

A movie poster for the film 'Przećcie'. The background is dark. On the left, a man in a black tuxedo and white shirt with a black bow tie looks off to the side. On the right, a woman's arm and hand are visible, wearing a red dress and a ring. She is holding a silver handgun. A thin red line cuts across the scene from the bottom left towards the center.

PRZEĆCIE

WOJCIECH NERKOWSKI

Takiej pary nie było od czasu
"Mr. & Mrs. Smith"!

FILIA

WOJCIECH NERKOWSKI

PRZE/CIĘCIE

FILIA

Copyright © by Wojciech Nerkowski, 2019

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: © Pola i Daniel Rusiłowiczowie
Zdjęcie na okładce: © Mayer George / Shutterstock
© Tugol / Shutterstock

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-779-0

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
tel.691962519

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Dedykacja](#)

[dzień / pierwszy](#)

[1 /](#)
[2 /](#)
[3 /](#)
[4 /](#)
[5 /](#)
[6 /](#)
[7 /](#)
[8 /](#)

[dzień / drugi](#)

[9 /](#)
[10 /](#)
[11 /](#)
[12 /](#)
[13 /](#)
[14 /](#)
[15 /](#)
[16 /](#)
[17 /](#)
[18 /](#)
[19 /](#)
[20 /](#)
[21 /](#)
[22 /](#)

23 /

24 /

25 /

26 /

27 /

28 /

29 /

dzień / trzeci

30 /

31 /

32 /

33 /

34 /

35 /

36 /

37 /

38 /

39 /

40 /

41 /

42 /

43 /

44 /

45 /

dzień / czwarty

46 /

47 /

48 /

49 /

50 /

51 /

dzień / piąty

52 /

53 /

54 /

55 /

56 /

57 /

58 /

59 /

60 /

61 /

62 /

63 /

64 /

65 /

dzień / szósty

66 /

67 /

68 /

69 /

70 /

Posłowie /

Rodzicom, raz jeszcze, na pewno nie ostatni

dzień / pierwszy

Wyrwali jej torebkę, popchnęli na ziemię, uderzyła łokciem o kamień, aż prąd przeszedł przez rękę. Nim się obejrzała, już uciekali. Spod podeszew ich sportowych butów wzbijały chmurki pyłu. W Warszawie od dwóch tygodni nie padało, ziemia była wyschnięta na wiór.

Kaśka była w szoku, bolał ją łokieć, ale prawie natychmiast zaczęła krzyczeć.

– Stać! Pomocy! Proszę pana!

Te ostatnie słowa skierowała do faceta w stroju biegacza, który truchtał kilkadziesiąt metrów dalej. Kaśka wiedziała, że trzeba zwrócić się o pomoc do konkretnej osoby, bo jak się krzyczy „złodzieje!” albo „ratunku!”, nikt z tłumu gapiów nie będzie się kwapił, żeby zaryzykować. Wprawdzie w zasięgu wzroku nie było żadnego tłumu ani w ogóle żywej duszy z wyjątkiem samotnego biegacza, ale i tak skupiła się na nim, by poczuł się zobligowany do pomocy.

– Proszę pana! – krzyczała. – Pan ich zatrzyma!

Spanikowana, pomyślała, że jeśli nie odzyska torebki, jest skończona. Przecież tam ma wszystko. I kluczyki do auta, i do mieszkania, i portfel, i komórkę. Oraz rzecz najważniejszą – przepustkę do nowego, lepszego życia.

Jak mogła tak dać się podejść dwóm debilom z wygolonymi łbami? Pasma niepowodzeń trwało. Zdradzona, poniewierana, na zakręcie życiowym, a na koniec napadnięta. No ludzie! Jeszcze powinna wymacać sobie jakiegoś guza złośliwego.

– Proszę pana! Pomocy!

Biegacz się zatrzymał, ale jakoś tak bez przekonania. Nic dziwnego. Kto przy zdrowych zmysłach próbowałby powstrzymać dwóch umięśnionych karków. W dodatku na odludziu, bez szans, że pojawi się policja czy jakiegokolwiek wsparcie.

Nic, tylko się pociąć. Ale nawet nie miałyby czym. Scyzoryk, droga jej sercu pamiątka po ojcu, też był w torebce.

Z rosnącym trudem łapał oddech. Czuł ból płuc, a mięśnie nóg paliły jak smagane pokrzywami. Serce biło mocno, na granicy wytrzymałości, ale nie przestawał biec, bo przynajmniej czuł, że żyje.

Przetarł spocone czoło. Myślał o tym, jak na co dzień życie przecieka mu przez palce. Mija niezauważone, jak jakaś czynność wykonywana automatycznie, z poczucia obowiązku. A przecież ma je tylko jedno, więc dlaczego tak je marnuje?

Robert Kidd wspominał dzień, kiedy po raz ostatni był z kobietą, którą kochał. Pewnie nadal kocha. Trzy lata temu był szczęśliwy, spełniony i syty. Jego życie smakowało wybornie, bo miało sens. A potem nagle koniec. Wszystko urwało się, a on popadł w jakiś koszmarny letarg, z którego nie potrafi się wybudzić.

Wysiłek fizyczny, dbanie o kondycję – to były działania rodem z poczekalni. PrzedSIONKA, który dopiero prowadzi do czegoś sensownego, choć

przecież nie zawsze. Aż za dobrze wiedział, że za kolejnymi drzwiami może czaić się przepaść, a w najlepszym wypadku starość, równia pochyła, po której powoli stoczy się w mrok i nicość.

Już niedługo. Już czterdziestka na horyzoncie...

Może jeszcze nie wszystko stracone? To dobry znak, że tryb czuwania zaczął mu przeszkadzać. Czerwona dioda „stand by” świeciła coraz bardziej ostrzegawczo.

Uciekł od męczących myśli i skupił się na tym, co tu i teraz. Opuścił wzrok i patrzył, jak jego stopy w niebiesko-czarnych butach do biegania wystrzeliwują naprzemiennie i opadają na szarobrazową wyschniętą ziemię. Na co dzień jeździł rowerem, często wielokilometrowe trasy wzdłuż Wisły albo do Lasu Kabackiego, i wydawało mu się, że ma niezłą kondycję. Ale bieg bezpardonowo ją zweryfikował.

Kiedy usłyszał wołanie o pomoc, natychmiast zwolnił, po kolejnych trzech krokach zatrzymał się.

– Stać! Pomocy! Proszę pana!

Kilkadziesiąt metrów od niego krzyczała kobieta, brunetka. Leżała na ziemi, a w stronę Kidda gnało dwóch facetów. Jeden z nich ścisnął w rękę jasnobrazową damską torebkę. Akcja jak z filmu. Kobieta musiała zobaczyć Kidda, bo wołała do niego.

Była piękna, typ ognistej Włoszki, z ciemnymi włosami upiętymi wysoko. Przed trzydziestką, niby elegancka, ubrana w białą sukienkę za kolana z dużymi nadrukami orchidei i krótką czerwoną kurteczkę, która podkreślała wcięcie talii. Jednak w ruchach miała coś zadziornego. Poderwała się z ziemi jak chłopak. W jej krzyku też było więcej wściekłości i wkurzenia niż rozpacz. Od razu ruszyła w pościg za złodziejami, choć biegnąc na szpilkach, była bez szans.

Napastnicy wyglądali jak typowe karki z siłowni. Obaj krótko obcięci, dobrze zbudowani. Wyższy, a właściwie większy, wyglądał jak napompowany sterydami. Miał na sobie T-shirt z wzorkiem moro. Niższy był żylasty, w szarej koszulce z jakimś niewielkim napisem na wysokości serca.

Obaj gnali prosto na Kidda, co mogło się wydać irracjonalne, ale zatrzymał się akurat przy dwóch zaparkowanych samochodach – czerwonym mini z białym dachem oraz czarnym bmw X1. Napastnicy zapewne zmierzali do swojego auta, żeby jak najszybciej prysnąć z łupem.

– Proszę pana! – krzyczała dziewczyna. – Pomocy!

Ilu mężczyzn na jego miejscu zdecydowałyby się stawić im czoła w pojedynkę? Na uboczu, na granicy Wilanowa z Powsinem, gdzie wokół jedynie

rozgrzane czerwcowe powietrze, drzewa i krzaki oraz hałdy piachu zgromadzonego do budowy obwodnicy.

Kidd mógł stać nieruchomo i nie reagować, lecz po mniej niż sekundzie namysłu ruszył, by przeciąć dresom drogę. Wciąż jeszcze łapał oddech po kilkukilometrowym biegu, ale dla koncentracji i uspokojenia nerwów zamknął usta i głęboko wciągnął powietrze nosem. Poczł zapach wysuszonej trawy wymieszany ze słodko-mdlącym aromatem kwitnących lip.

Rzucił się i bez słowa złapał za torebkę, którą ściszał wyższy z napastników. Kidd usiłował ją wyszarpnąć, tamten jednak trzymał mocno, siła rozpędu obróciła obu, niczym parę łyżwiarzy, którzy jadąc naprzeciwko siebie, złapałiby się za ręce. Torebka była solidna, właściwie była to torba, listonoszka wykonana ze skóry, z grubym paskiem przyszytym dratwą.

Drugi z dresiarzy w biegu kopnął Kidda w brzuch, aż ten się zatoczył i upadł na plecy.

Cały czas ściszał kurczowo torebkę nieznajomej. Gdyby mu ją wyrwali, byłoby po sprawie. Większy z karków szarpał torebkę i wierzgał nogami, mniejszy bez pardonu kopał Kidda gdzie popadnie.

Czy w obliczu przeważającej siły wroga jest sens szarżować odwagą? Dwóch na jednego, był bez

szans. To już raczej brawura, która każe ruszać z szablą na czołgi. Ojciec Kidda, Amerykanin, w żartach często przywoływał ten stereotyp na temat Polaków, ale matka, z domu Laskowska, za każdym razem z pełną powagą tłumaczyła, że to nieprawda. Wyjaśniała, że historia z czołgami jest apokryfowa i nigdy nie miała miejsca.

Kidd powinien odpuścić. Jednak z jakiegoś powodu kurczowo zaciskał palce na skórzanym pasku torebki. Wierzgając, próbował odgonić mniejszego z dresów, ale ten był zwinny i bez wątpienia zaprawiony w bójkach. Bez trudu uniknął ciosów niebiesko-czarnymi butami do biegania, a sam zaaplikował mu takiego kopniaka w żołądek, że Kidd prawie stracił przytomność.

– Zostaw go, ty gnoju! Zostaw, słyszysz?! – krzyczała właścicielka torebki, która w końcu dobiegła na miejsce starcia.

Na próżno. Kidd dostał kolejnego kopniaka na korpus. I jeszcze jednego. Szarpnęło nim tak mocno, że z nosa spadły mu okulary. Bolało. I jeszcze te ostre kamyki na ziemi, po której szurał plecami. Miał wrażenie, że rozrywają mu skórę i mięśnie. Jedyłą sensowną opcją było puścić torebkę i pozwolić napastnikom uciec.

Scena nijak nie przypominała bójek filmowych, podczas których obie strony wymieniają całą masę

widowiskowych ciosów, a dramaturgia faluje, dając przewagę to jednej, to drugiej stronie pojedynku, aż wreszcie osiąga crescendo i kończy się spektakularnym finałem. W prawdziwym życiu wszystko przebiegało brutalnie, ale nie widowiskowo. Kidd wił się, jednak nie uderzył ani nie kopnął żadnego z napastników. Nawet raz.

Sytuacja z kiepskiej przeszła w beznadziejną. Za chwilę będzie miał połamane żebra, odbite nerki, płuca i Bóg wie co jeszcze. A w końcu i tak złodzieje odjadą z łupem.

Tego nie dało się wygrać.

Wiedział jednak, że jeśli chce zmienić coś w swoim życiu, przerwać marazm i wyjść z uśpiania, musi trwać z rękami zaciśniętymi na torebce nieznajomej. Jeszcze chociaż przez chwilę.

Kaśka od początku miała złe przeczucia, ale zbyt twardo stąpała po ziemi, by się nimi przejmować. I zaszła już za daleko, żeby się wycofać. Parła do celu, zamiast wsłuchiwać się w jakieś ezoteryczne podszepty. Choć ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że zaślepia ją desperacja.

Podejrzane było to, że każą jej przynieść gotówkę i nie chcą umówić się w jakiejś kawiarni, knajpie czy w ostateczności na stacji benzynowej. Z samego rana przysłali jej lakoniczny esemes z propozycją spotkania o dziesiątej. Wiadomość zawierała pinezkę wskazującą lokalizację – kompletne odludzie w okolicach Wilanowa.

Wciąż jeszcze zaspana, usiadła na łóżku, odkaszlnęła (musi rzucić w końcu te papierosy!) i powiększyła dwoma palcami mapę. Liczyła, że pojawią się jakieś zabudowania. Nic z tego, pinezka była przyczepiona do kępy drzew. W pierwszej chwili chciała zmienić miejsce

spotkania, a na dokładkę zażądać, żeby przysłali jej zdjęcia potwierdzające autentyczność rękopisu, bo na razie widziała jedynie okładkę. Bała się jednak, że może ich zniechęcić. Pójdą do kogoś innego, a ona zostanie z niczym.

Kto nie ryzykuje, nie pije szampana.

Odpisała, że zgadza się na umówiony termin i miejsce. Odłożyła komórkę na nocny stolik wykonany z płyty wiórowej wykończonyj okleiną brzoową. Całe mieszkanie wyglądało jak z katalogu Ikei. Kaśka wynajęła je krótkoterminowo – na maksymalnie dwa miesiące, więc nie chciało jej się niczego tu zmieniać, choć jej zmysł estetyczny cierpiał, ilekroć przekraczała próg.

Odwróciła się i z westchnieniem popatrzyła na nagiego mężczyznę, który spał obok niej, chłopaka właściwie. Choć z tego, co pamiętała, był w jej wieku, sprawiał wrażenie młodszego. Drobna sylwetka pozbawiona tłuszczu, ale i mięśni.

Poeta – prychnęła w myślach. Pewnie nie ma co do garnka włożyć i chodzi wygłodniały. W tweedowej marynarce ze skórzanymi łatkami na łokciach, z burzą niesfornych loków w kolorze miodu, zrobił na niej wczoraj średnie wrażenie. Szału nie było, bo na ogół podobali się jej inni mężczyźni, dobrze zbudowani i męscy, ale

zainteresowało ją właśnie to, że w aplikacji randkowej opisywał się jako poeta. Pomyślała wtedy, że przyda się jej podczas planowanej transakcji. I nie tylko. Po miesiącu w Warszawie czuła się samotna i spragniona bliskości.

Umówili się wczoraj w Klubie Komediovym przy Nowowiejskiej, ale kiedy po kilku drinkach w końcu wylądowali u niej, chłopak był tak pijany, że do niczego nie doszło.

Wtedy była lekko zawiedziona, ale teraz odetchnęła z ulgą. Wstała z łóżka, które również było wykończone okleiną brzozową, i stąpając po jasnych panelach, przeszła do łazienki. Szarość kafli przełamowały wściekle żółte, wręcz cytrynowe ręczniki i niepasująca do nich antypoślizgowa mata w kolorze bahama yellow. Kaśka wzięła prysznic, obliczając w myślach, o której musi wyjść z domu, żeby zdążyć. Kiedy wyszła z łazienki, Poeta obudził się i chciał nadrobić wczorajszy wieczór, ale Kaśka nie miała już ochoty. Wszystkie myśli skupiała na nadchodzącym spotkaniu w Wilanowie, od którego miało zależeć całe jej przyszłe życie.

– Jesteś taka piękna. No chodź. – Chłopak przymknął zmysłowo oczy i przeciągnął się. Miał długie, wywinięte rzęsy, niejedna kobieta mogła mu ich pozazdrościć. – Przeżyjemy niezapomnianą chwilę, może dwie... Roztopimy się w niepamięci...

– Nie – odpowiedziała sucho, otwierając szafę w sypialni. Przygryzając dolną wargę, lustrowała wnętrze. Wielkiego wyboru nie było. Do Warszawy przyjechała z jedną walizką.

– Dlaczego nie? – Chłopak nie dawał za wygraną i wystudiowanym gestem ściągnął z siebie kołdrę. – No chodź...

Odwróciła się na moment. Chciało jej się śmiać. Czy liczył, że zrobi na niej wrażenie chuderławą sylwetką? Prędzej chciał zaszpanować poranną erekcją, na którą nawet nie spojrzała. Choć musiała przyznać, że chłopak miał coś w sobie. Mocne owłosienie ciała kontrastowało z chłopcęcią buzią i sylwetką. Lubiła takie zaskakujące przełamania urody.

– Nie mam ochoty – powiedziała, odwracając się z powrotem do szafy, z której wyjęła wieszak z białą sukienką z nadrukami orchidei. – A ty się zbieraj.

Gdyby w szkole uczyli asertywności, Kaśka dostałaby celujący. Nie miała żadnych problemów z wyrażaniem i egzekwowaniem potrzeb. I w ogóle nie przejmowała się tym, że w jej mieszkaniu był obcy mężczyzna, o którym tak naprawdę niewiele wiedziała. A przecież mógł się wkurzyć, że odmawia mu seksu. Zacząć ją napastować albo gorzej.

Niech spróbuje – prychnęła w myślach. „Roztopimy się w niepamięci”? Boże, co za grafoman...

Poeta jeszcze przez chwilę próbował ją przekonać, wiercił się, mruzczał, potem się obraził. Ale wstał z łóżka i zaczął się ubierać, wzdychając ostentacyjnie i prychnając niczym umierający na gruźlicę Słowacki.

– Zaprzepaszczasz wyjątkową szansę – powiedział urażonym tonem, naciągając na kościsty tyłek burgundowe slipki.

– Świetnie. Napisz o tym wiersz.

Kiedy zamknęła za nim drzwi, rozświetliła ekran komórki, żeby zobaczyć, czy nie przysłali kolejnej wiadomości. Dochodziła dziewiąta. Uznała, że zdąży jeszcze zjeść szybkie śniadanie: serek wiejski, do którego wkroiła pomidorki cherry, wszystko kupione poprzedniego dnia w sklepiku na rogu. W ekspresie przelewowym zaparzyła kawę.

Już i bez niej czuła, że ciśnienie jej skoczyło. Liczyła, że dzisiejsze spotkanie wreszcie przybliży ją do finału wymarzonej transakcji. Była na ostatniej prostej, żeby zdobyć swojego świętego Graala.

Dlatego starannie się przygotowała. Upięła włosy, zrobiła makijaż. Potrafiła korzystać ze swego uroku. Nie miała złudzeń, że przyszło jej żyć

w świecie zdominowanym przez mężczyzn. Więc jeśli zdarzali się tacy, których onieśmiała jej uroda – jej zysk, ich strata.

Parę minut przed wpół do dziesiątej wyszła z mieszkania. Korytarz niedawno ukończonego apartamentowca jeszcze pachniał zaprawą murarską i farbą. Zjechała na parking podziemny, wrzucając przyslaną esemesem pinezkę do nawigacji w telefonie.

Jak tylko podjechała w umówione miejsce i zaparkowała swoje białoczerwone mini obok czarnego bmw, przecucie znów ją tknęło. Coś jej nie pasowało, ale nie umiała określić dokładnie co, więc kolejny raz zagłuszyła wewnętrzny głos rozsądku.

Ostatni rzut oka w lusterko umieszczone w osłonce przeciwsłonecznej i wysiadła z samochodu. Było gorąco i przez chwilę zastanawiała się, czy nie zdjąć kurteczki i nie zostawić jej w aucie, ale uznała, że w samej sukience będzie wyglądać jak naiwne dziewczę. A czerwona skóra doda jej odrobiny agresji i pewności siebie.

Co to za miejsce? Rozglądała się niepewnie. Wiedziała, że pinezka doprowadzi ją do kępy drzew w pewnej odległości od zabudowań, ale jednak liczyła, że to będzie Wilanów. Czyli dzielnica

Warszawy, o której słyszała, że jest uosobieniem nudnej stabilizacji klasy średniej. Owszem, osiedle zwane „Miasteczkiem Wilanów” rozciągało się po drugiej stronie czteropasmowej drogi, ale tu były chaszczce, wertepy i doły, i jakaś wielka rozgrzebana budowa na horyzoncie.

Odruchowo aktywowała alarm w mini, choć nie zamierzała oddalać się od auta. Popatrzyła na zaparkowane obok bmw, z którego dochodziły przytłumione dźwięki rytmicznej muzyki. Przez boczną szybę złapała spojrzenie rozpartego na siedzeniu pasażera młodego mężczyzny. Był potężnie zbudowany, ale jego mięśnie wydawały się Kaśce nadmuchane jak popcorn. Wskazał ruchem głowy, żeby wsiadła. Otworzyła tylne drzwi auta, rzuciła zdystansowane „dzień dobry” i usadowiła się na skórzanej kanapie.

Otoczył ją przyjemny chłód, klimatyzacja była podkrecona na maksa. Poczowała zapach wody kolońskiej, nieco zbyt intensywny, ale zaskakująco wyrafinowany, jak na dwa ogolone łby, które miała przed sobą. Muzyka natomiast pasowała do nich jak ulał. Łupiący kawałek hiphopowca, który z wątpliwą dykcją rapował coś o matce i o tym, jak zrujnowała mu dzieciństwo.

– Byłaś dziwką, byłaś suką i zrobiłaś mnie w bambuko... – leciało z głośników, a Kaśka

powstrzymała się, żeby nie parsknąć śmiechem. Kolejny poeta grafoman.

– Możemy porozmawiać na zewnątrz? – spytała, zaglądając do torebki. – Chcę zapalić.

– Pal w aucie – powiedział mniejszy z dresów, skręcając żyłasty kark, żeby zwrócić się do niej, ale Kaśka już otworzyła drzwi.

Zapalając papierosa, ruszyła w kierunku mającego w oddali supermarketu budowlanego. Miała nadzieję, że kiedy odciągnie ich bliżej ludzi, poczuje się bezpieczniej.

Dwaj dresiarze, owszem, pokazali jej rękopis. Przez chwilę nawet trzymała go w drżących rękach. Wiedziała, że nie należy do nich, że są jedynie chłopcami na posyłki, jednak zaczęła negocjować cenę. Pokazała, że ma pieniądze, ale wtedy niespodziewanie wyższy z nich wyrwał jej torebkę, pchnął na ziemię i obaj poszli w długą.

Gdyby nie przypadkowy biegacz, skończyłoby się na jej wrzaskach. Przecież nie poszłaby na policję.

Mężczyzna, który ruszył jej na pomoc, był krótko obciętym ciemnym blondynem, na oko przed czterdziestką. Na nosie miał kanciaste okulary w drucianych oprawkach, które szybko stracił w trakcie szarpaniny.

Intelektualista w starciu z kibolami. Nie postawiłaby na niego ani grosza.

– Halo, policja?! – krzyczała Kaśka do telefonu, drobiąc na szpilkach w stronę naporzającej się trójki. – Szybko! Pomocy!

Na dresach okładających nieszczęśnika nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Zostawcie go! Gnoje! – krzyczała.

Z kieszeni czerwonej skórzanej kurtki wyszarpnęła taser wbudowany w latarkę. Choć tyle dały poranne złe przecucia, że zabrała go z sobą. Ktoś kiedyś pokazał jej, jak się nim posługiwać, ale nigdy wcześniej go nie użyła. Bała się celować w skłębione ciała, bo nawet jeśli trafiłaby dresiarza, prąd chyba przepłynąłby i przez jej obrońcę.

Kurwillo...

Nie było czasu się zastanawiać. W momencie kiedy drugi z dresów, mały żylasty gnój, kolejny raz przymierzał się, żeby kopnąć biegacza w brzuch, szybko zrobiła krok do przodu i przyłożyła paralizator na wysokości jego nerek.

W ułamku sekundy mężczyzna wyprostował się, po czym runął na kolana, wydając z siebie coś między skowytem a jękiem. Większy z dresów z wrażenia puścił pasek torebki i poderwał się na nogi, od razu gotowy do walki. Rzucił się w kierunku Kaśki, ale stanął metr od jej wyciągniętej ręki, która ścisnęła latarkę z taserem.

Duży dres zerkał niepewnie na klnącego i wijącego się z bólu kompana. Zrobił kilka nagłych ruchów głową i tułowiem, jakby próbował opracować skuteczny unik albo ją zastraszyć.

Ona zaś, siłą woli panując nad przerażeniem, trzymała w wyciągniętej ręce latarkę, niczym płonące łuczywo nocą w lesie, ostatnią zaporę przed watahą wilków. Prawdę mówiąc, była w szoku, że paralizator zadziałał tak skutecznie. Była przekonana, że to raczej gadżet, na kupno którego naciąga się zestrachane staruszki.

– Dobrze, czekamy! – mówiła do komórki, którą trzymała przy uchu drugą ręką. – Tak, na końcu tej drogi! Tam stoją dwa auta, widzicie je...?

Duży dres zaklął szpetnie, ale odpuścił. Pociągnął za koszulkę ryczącego kolegę, który wstał, jednak słańiał się na nogach, dziwnie wyginając plecy. Obaj dopadli bmw. Większy otworzył drzwi od strony pasażera i pchnął mniejszego do środka. Obiegł auto, wsiadł. Trzasnęły drzwi. Kilka sekund później odpalił silnik. Bmw wystrzeliło, pryskając spod opon kamykami.

Kaśka stała, z trudem łapiąc powietrze. Zatykało ją ze zdenerwowania, czuła, jak mocno bije jej serce. Nadal nie wierzyła, że to wszystko dobrze się skończyło. Latarka wypadła jej z ręki. Podeszła do mężczyzny, który podniósł się z ziemi, ale ni to

klęczał, ni kuczał, nadal kurczowo ściskając jej torebkę. Solidną listonoszkę z cielecej skóry, za którą dała w przeliczeniu na złote dwa tysiące, jak nie więcej. Kupiła ją podczas romantycznego wypadu do Paryża, w jednym z butików przy Avenue Montaigne. Wydawało się jej teraz, że było to w poprzednim życiu, a tak naprawdę zaledwie rok temu, kiedy przyszłość jeszcze była jasna i pozbawiona kantów.

– Dzięki. – Spojrzała z troską na pobitego biegacza. – Nic panu nie jest?

– W porządku – odpowiedział. Jego głos był niski, ale jednocześnie ciepły.

Wyciągnęła rękę, chcąc pomóc mu wstać. Mężczyzna inaczej zinterpretował jej gest.

– Robert. – Złapał jej dłoń i potrząsnął. – Bardzo mi miło. Robert Kidd.

– Kaśka – odpowiedziała odruchowo i prawie się uśmiechnęła. – Sobańska.

Mężczyzna dźwignął się o własnych siłach i oddał jej torebkę. Był niewiele wyższy od niej, najwyżej centymetr, dwa.

– Naprawdę dziękuję, rany boskie, uratowałeś mi dupę – mówiła szybko, chaotycznie. – Ja w ogóle nie wiem, jak to się stało... Twoje okulary... O nie!

Przeszła kilka kroków i podniosła je z ziemi. Oprawki były zdeformowane, a jedno ze szkieł

pęknięte. Spojrzała na mężczyznę przepaszająco i zawahała się, jakby wstydziła się podać mu zniszczoną własność.

– Ta policja naprawdę przyjedzie? – zapytał, krzywiąc się z bólu. – Czekamy?

Pokręciła głową.

– Dzwoniłeś kiedyś na sto dwanaście? Przyjechaliby najwcześniej, żeby stwierdzić twój zgon...

Próbował się uśmiechnąć.

– Jak to się w ogóle stało? – zapytał.

– Długa historia. – Kaśka machnęła ręką, jakby nie chciało jej się bawić w tłumaczenia. – Może chodźmy do auta. Te skurwysyny mogą wrócić.

Kiedy wolnym krokiem ruszyli w kierunku jej samochodu, zaczęła opowiadać, jak to w imieniu swojego klienta zamierzała przeprowadzić transakcję kupna pewnego dzieła sztuki. Dwaj dresiarze mieli reprezentować sprzedawcę i pokazać jej artefakt, żeby mogła potwierdzić jego autentyczność. Oni zaś chcieli się upewnić, że dysponuje gotówką na zakup. Ale widocznie padła ofiarą naciągaczy. Tak sobie to tłumaczyła. Zwabili ją w odludne miejsce, żeby uciec z jej pieniędzmi.

– Czyli jesteś marszandem? – spytał.

– Marszandką. – Uniosła dumnie podbródek.

Otworzyła torebkę. Choć nie było możliwości,

żeby napastnicy coś z niej wyciągnęli, irracjonalnie sprawdzała, czy wszystko jest na swoim miejscu. A konkretnie pięć grubych plików banknotów dwustuzłotowych oklejonych banderolami. Kidd aż uniósł z wrażenia brwi, ale powstrzymał się od komentarza.

– Lepiej spadajmy stąd... – powiedziała, wyciągając z torebki paczkę cienkich papierosów oraz elegancką, wąską i podłużną zapalniczkę ze srebrzystego metalu.

Kidd kiwnął głową. Zrobił kolejny niepewny krok i z trudem stłumił grymas bólu.

– Chodź, wsiadaj, zawiozę cię na pogotowie – zaproponowała, znów grzebiąc w torebce, a jednocześnie zaciągając się papierosem.

– Nic mi nie jest.

– Jak nic?! Człowieku, widziałam, jak cię napierdalał jeden z drugim. Możesz mieć pękniętą śledzionę! – mamrotała, wyciągając kluczyki do samochodu, które były doczepione do breloczka w kształcie Tytusa z komiksów Papcia Chmiela.

– Nie mam pękniętej śledziony – odparł spokojnie, otrzepując ziemię z mokrej od potu koszulki z granatowego goreteksu.

– To żebra możesz mieć pęknięte!

– Nie mam pękniętych żeber.

– W takim razie na pewno mózg masz pęknięty,

bo gadasz od rzeczy – powiedziała głosem
nieznoszącym sprzeciwu. – Jedziemy na pogotowie
i kropka!

Identyczni bliźniacy nigdy nie są tak naprawdę identyczni. Owszem, Łukasz i Tomasz mieli takie same geny, więc wyglądem niemal się nie różnili, zwłaszcza dla kogoś, kto ich nie znał. Chudzi, wysocy szesnastolatkowie o bardzo jasnych, potarganych włosach i o piwnych oczach. Obu formowały się dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechali, obaj nosili buty w rozmiarze czterdzieści cztery i tak dalej. Jednak dość szybko po urodzeniu między braćmi zaczęły się zaznaczać różnice charakterów. Z roku na rok rosły, wpływając na ich zachowanie, relacje z ludźmi, na większe i mniejsze decyzje życiowe.

Takie na przykład jak wybór bagażu. Chłopcy wracali właśnie z przedwyjazdowych zakupów w Galerii Mokotów. Łukasz dumnie dźwigał czarno-zielony plecak z wbudowanym stelażem. Tomek zaś po chodniku ulicy Rumianej ciągnął niebieską walizkę na kółkach. Ten pierwszy miał

w plecaku świeżo zakupiony zapas slipek, ten drugi zaś – bokserek. Geny niewątpliwie mają wpływ na charakter, ale potem kształtuje się on wyniku ścierania się z osobowościami ludzi wokół nas. Łukasz był bardziej zawadiacki i dominujący, a Tomek delikatniejszy i stonowany.

– Weź, nie mogę słuchać, jak pierdolisz te swoje głupoty – mówił Łukasz, poprawiając szelki plecaka. – Masz mi pomóc i tyle. Jesteś moim bratem czy nie?

– Nie podoba mi się, jak o niej mówisz. To twoja dziewczyna. – Tomek posłał bratu karcące spojrzenie.

– Oj, już się tak nie podniecaj – prychnął Łukasz i zaczął przedrzeźniać brata, co było o tyle proste, że miał identyczny głos. – Nie podoba mi się, jak o niej mówisz, to twoja dziewczyna, a nie jakaś ladacznica.

– Co? Co to w ogóle za słowo? Ja tak nie mówię.

– Właśnie, że mówisz – powiedział Łukasz, mijając staruszkę, która szła w tym samym kierunku co oni, ale powoli, z trudem podpierając każdy krok laską. – Sam byś chciał, żeby ci Paula gałę zrobiła...

– Weź się zamknij – syknął Tomek, po czym ukłonił się grzecznie leciwej sąsiadce. – Dzień dobry.

– A, dzień dobry, Łukaszku – odpowiedziała staruszka, spoglądając na jego walizkę. – A co to, wyjeżdżacie na wakacje?

Tomek nie sprostował pomyłki dotyczącej imienia, bo był przyzwyczajony, że ludzie biorą go za brata. Odwzajemnił uśmiech i grzecznie pokiwał głową.

– Tak, do dziadków, do Stanów.

– Mój Boże, wielki świat, kiedyś do Bułgarii to był wyjazd. Złote Piaski, pamiętam... Albo do Enerde... – powiedziała staruszka, ale bliźniacy już jej nie słuchali, szli dalej.

– Jak obaj poprosimy ojca, to zostawi nam wolną chatę, mówię ci... – Łukasz kontynuował przez kilka kroków konspiracyjnym szeptem. – Teraz albo nigdy. Dziś jest ostatnia szansa.

Tomek pokręcił głową, z niedowierzaniem i dezaprobatą. Podeszli do furtki dwupiętrowego bliźniaka ze spadzistym dachem, prawie w stylu góralskim. W niewielkim ogródku przed domem roiło się od roślin: szpaleru cisów wzdłuż ogrodzenia, glicynii, która pięła się po rynnie i już zaczynała kwitnąć, róż oraz magnolii. Wszystkie zasadziła ich mama, wkrótce po przeprowadzce, z wyjątkiem wysokiego świerka i dwóch sosen, które mogły mieć już dwadzieścia i więcej lat.

Łukasz wyciągnął z kieszeni opadających

w kroku granatowych szortów pęk kluczy. Przeszli przez furtkę, która najpierw jęknęła nienaoliwionymi zawiasami, a potem głośno zatrzasnęła się za nimi. Po drewnianych, pomalowanych na ciemny brąz schodkach zakręcających nad garażem wspięli się do drzwi. Siedział na nich paż królowej, który łapał promienie słońca, ale jak tylko wyczuł obecność ludzi, odleciał.

– Mówię ci, będzie chętna. Już beczy od tygodnia, że wyjeżdżam. Zrobi wszystko, żeby mnie do siebie przywiązać, one takie są... – powiedział Łukasz, uśmiechając się zawadiacko. Po czym otworzył drzwi wejściowe i zamarł.

Mignęła mu, przechodząca z kuchni do salonu, ciemnowłosa, zgrabna piękność. Piękność to mało powiedziane. Megalaska. Na oko mocno starsza od niego, może nawet trzydziestka. Miała wyraźnie odznaczające się pod sukienką piersi, umalowane szminką usta i wielkie ciemne oczy. Był w niej dziki ogień, przy którym jego dziewczyna, Paula, była jedynie zapalniczką.

Łukasz zrobił kilka kroków w głąb przedpokoju i zdębiał jeszcze bardziej. W salonie na kanapie leżał ojciec. Był bez koszulki.

Na co dzień wyszczekanego chłopaka kompletnie zatkało.

Przyłapaliśmy starego na uprawianiu seksu! – pomyślał. Nie wierzył własnym oczom. Wpatrywał się w zmierzającą w jego stronę piękną twarz i ponętną sylwetkę w białej sukience z dużymi nadrukami orchidei. Najciekawsze było to, że kobieta w ogóle nie wydawała się zmieszana. Popatrzyła na Łukasza, jakby to on był tu intruzem.

– Cześć, jestem Kaśka – powiedziała, wyciągając rękę na powitanie.

– Łu... Łukasz – wyjąknął.

– Łułukasz? – zaśmiała się. – A co to za imię?

W mgnieniu oka poczerwieniał ze wstydu. Nienawidził tego, ale nie był w stanie zapanować nad biologicznym odruchem. Krew czasem zalewała mu policzki, co u jasnego blondyna wyglądało idiotycznie i kompromitująco. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, bo nie raz oglądał podobny efekt na twarzy brata bliźniaka.

– Miło mi. – Nieznajoma uścisnęła jego dłoń, po czym przywitała się z Tomkiem. – Cześć, Kaśka. Ale numer, wy jesteście sklonowani!

Miała wypielęgnowane paznokcie, nie jakieś przesadnie długie, ale pomalowane ciemnym odcieniem czerwonego, którego nazwy Łukasz nie znał. Uścisk dłoni miała pewny, choć nie na tyle silny, żeby odebrać jej choć gram kobiecości.

Jak jakaś gwiazda filmowa. Ale sobie stary przygruchał, kto to w ogóle jest? – myślał Łukasz, szczerząc się do Kaśki.

– A co wy tak wcześniej? – spytał ojciec, siadając na kanapie. – Przecież mieliście robić zakupy.

Łukasz, widząc jego skwaszoną minę, utwierdził się w przekonaniu, że go nakryli. Ale po kilku sekundach szoku i dezorientacji bliźniacy odetchnęli z ulgą, bo okazało się, że nieznajoma nie uprawia z ich ojcem seksu, tylko przyniosła mu właśnie z kuchni mrożony groszek, który przyłożył sobie na posiniaczonych żebrach.

– O kurde, tata, coś ty odwalił? – spytał Łukasz, siląc się na zawadiacki ton, którym chciał przykryć wcześniejsze speszenie.

– Nic. Mały wypadek.

– Skasowałaś go tym mini? Bo to twoje auto stoi przed naszym domem, prawda?

– Łukasz... – Ojciec posłał mu surowe spojrzenie.
– Na „ty” to mów do koleżanek z klasy.

– Daj spokój, nie postarżaj mnie niepotrzebnie. – Kaśka machnęła ręką, po czym zwróciła się do Łukasza i uśmiechnęła się lekko. – Tak, to mój samochód, ale jakbym przejechała wam ojca, nie skończyłoby się tak lajtowo.

Łukasz zaśmiał się głośno, jakby opowiedziała dowcip z fenomenalną puentą.

– Tak w ogóle to muszę się zbierać. Jeszcze tylko okulary...

Kaśka zawiesiła głos. Ojciec spojrział na nią pytająco.

– Ile to będzie kosztowało? – Wzięła z okrągłego dębowego stołu torebkę, w której zaczęła grzebać. – Naprawa. Właściwie nie ma co naprawiać... Rekonstrukcja. Rezurekcja? – Parsknęła śmiechem.

– Daj spokój. – Kidd podniósł się z kanapy, przytrzymując jedną ręką okład z mrożonki.

– Robert... Nie żadne „daj spokój”, tylko powiedz, ile mam ci zostawić. Albo daj mi namiary na swojego optyka. Załatwię to.

Spierali się przez chwilę. Łukasz nie mógł oderwać wzroku od Kaśki, która gestykulowała z gracją, była jednocześnie stanowcza, ale i kobieca.

W końcu to jednak ojciec postawił na swoim, jak zwykle. Kaśka westchnęła głośno i powiesiła sobie torebkę na ramieniu. Szkoda, że nie na skos, pomyślał Łukasz, bo wtedy pasek przeszedłby między piersiami, jeszcze bardziej je uwypuklając.

– Do widzenia – powiedziała, zwracając się do ojca, który odłożył mrożonkę na stół. – I jeszcze raz dziękuję.

Łukasz zazdrościł mu sylwetki. Dzięki

regularnym ćwiczeniom i jeździe na rowerze ojciec miał wyrzeźbiony tors i brzuch, ani grama tłuszczu, tylko żyłaste mięśnie, obecnie mocno posiniaczone, a nawet z krwawymi wybroczynami. Trzymał się naprawdę nieźle. Ojcowie większości ich kolegów z klasy wyglądali dużo starzej i gorzej.

– Naprawdę... Jeszcze raz dzięki – powiedziała Kaśka. – I pomyśl o tych okularach, proszę. Mam już dość długów, żeby jeszcze dorzucać do nich dług wdzięczności...

– Pomyślę. – Ojciec ścisnął jej rękę, wyciągniętą na pożegnanie. – Polecam się, choć mam nadzieję, że tego typu pomoc nie będzie ci już potrzebna.

Posłała mu przepiękny uśmiech, ciepły i rozczulający, leciutko przechylając przy tym głowę i jednocześnie zaczesując kosmyk włosów za ucho. Był to tak piorunująco uroczy i kobiecy gest, że kiedy odwróciła się do bliźniaków i wyciągnęła rękę na pożegnanie, Łukasz poczuł, że ma erekcję.

Kaśka zatrzasnęła za sobą drzwi domu Roberta Kidda i szybko zbiegła po drewnianych schodkach. Już nie musiała maskować podekscytowania. Przecinając ogródek, wyciągnęła z kieszeni skórzanej kurteczki komórkę. Otworzyła skrzypiącą furtkę i dezaktywując alarm samochodu, drugą ręką odpalała już aplikację wyświetlającą położenie trackera GPS. Przystanęła, żeby osłonić ręką ekran. Czerwcowe słońce stało w zenicie, a sprawę pogarszał jeszcze fakt, że szybka smartfonu była pęknięta.

Z bijącym sercem Kaśka czekała, aż wyświetli się mapa z czerwonym znacznikiem. Z filmowym rozmachem najpierw pokazał się kontur Polski i dopiero potem aplikacja przeszła animacją do zbliżenia Warszawy. W końcu pojawiła się siatka ulic. Krótka, Leśna, Długa, Bolesława Prusa.

Gdzie to niby jest?

Kaśka dwoma palcami zmniejszyła skalę.

Wyświetliła się nazwa: Konstancin-Jeziorna. Czyli nie Warszawa? Poprzesuwała mapkę w prawo i lewo. OK, to miejscowość tuż przy stolicy. Pewnie dlatego ci dwaj popaprańcy umówili się z nią w Wilanowie, bo to dzielnica Warszawy granicząca z Konstancinem. Tu było im najbliżej. Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość, co bardzo ją ucieszyło.

Komórka przez chwilę łapała obecną lokalizację Kaśki, po czym wyznaczyła trasę przejazdu do trackera. Z ulicy Rumianej w Wilanowie do Krótkiej w Konstancinie było ledwie dziewięć kilometrów, trzynaście minut jazdy samochodem.

Kaśka poczuła przyływ energii. Wsiadła do auta i umieściła komórkę w uchwycie przyczepionym przyssawką do przedniej szyby. Przejrzała się w lusterku zamontowanym w osłonie przeciwsłonecznej i pospiesznie odpalając silnik, parsknęła śmiechem na wspomnienie napalonego nastolatka, jednego z synów Kidda. Chłopak z trudem ukrywał podniecenie. Pokręciła z niedowierzaniem głową. Drugi z bliźniaków bardziej przypominał z charakteru ojca: spokojny, wyważony.

Ruszyła Rumianą w stronę skrzyżowania z Kosiarzy. Próbowała skupić się na nadchodzącym zadaniu, ale podświadomość uparcie wracała do jej

wybawiciela.

Niby nic nadzwyczajnego, że uparła się, by przynajmniej odwiedzić go do domu, skoro nie chciał jechać na pogotowie... W końcu facet stracił przez nią okulary, a zyskał parę siniaków. Ale to było coś więcej niż wdzięczność i troska. Wpadł jej w oko? Nie, to za dużo powiedziane. Choć na pewno byłby lepszym wyborem niż Poeta. Niestety, mężczyźni jego pokroju raczej nie korzystali z aplikacji randkowych.

Zaintrygował ją. Przede wszystkim to egzotyczne nazwisko... Kidd? Kiedy się przedstawił, pomyślała, że jest cudzoziemcem, który nauczył się płynnie mówić po polsku, jak profesor Norman Davies, Timothy Garton Ash czy Anne Applebaum. Ale w przeciwieństwie do nich Robert nie miał absolutnie żadnego akcentu, więc obstawiała, że wychował się w Polsce. Pewnie matka tutejsza, a nazwisko ma po ojcu, Brytyjczyku albo Amerykaninie.

Kaśka miała w Gdańsku takiego znajomego. Nazywał się Bartek Cao Hong, chodzili razem do liceum. Był przystojny i wszystkie dziewczyny w klasie na niego leciały. Jego ojciec był Wietnamczykiem. Podobno dzieci pary odległej od siebie genetycznie z reguły są urodziwe.

Choć u Kidda bardziej chodziło o aurę, którą

roztacza. Kaśka nigdy nie poznała żadnego himalaisty, ale tak właśnie wyobrażała sobie, że powinien wyglądać człowiek gór. Surowy i szczerzy. Prostolinijny. Wchodzi na szczyt i schodzi, nie kombinuje po drodze. Nie ma uśmiechem, minkami. Patrzy prosto w oczy.

W tych jego oczach, które były tak jasnoszare, że aż prawie nienaturalne, oprócz szczerości zauważyła też cień cierpienia, a może nawet śmierci, której był świadkiem albo sam prawie jej zakosztował? Na bank jest himalaistą – pomyślała – i ćwiczy bieganie, żeby utrzymać kondycję przed kolejną wyprawą w góry. Był oszczędny w słowach, wręcz małomówny, bo przecież tam wysoko brakuje tlenu i nie można bezsensownie kłapać dziobem.

Skręciła w prawo, w Wiertniczą, i przyspieszyła, nie przerywając rozmyślań.

Interesujący mężczyzna, ale na pewno nie jest do wzięcia. Skoro ma dwóch synów, to i żonę też. Pewnie siedzi teraz w pracy. Urzędniczka albo raczej ciepła przedszkolanka, która o szesnastej wróci do domu i ugotuje swoim trzem mężczyznom trzydaniowy obiad... Potem w nocy wprowadzie w łóżku niczym Kidda nie zaskoczy, ale przynajmniej umożliwi mu rozładowanie napięcia po pełnym emocji dniu. I oboje zasną przytuleni. Może chociaż przez chwilę on pomyśli o tajemniczej

brunetce, której dziś pomógł. Może nawet podczas seksu z żoną... Po tylu latach pewnie są sobą znudzeni.

Kaśka uśmiechnęła się melancholijnie i wrzuciła piąty bieg, łamiąc przepisy i przyspieszając do setki. Próbowwała skupić się na czekającym ją zadaniu.

Kiedy godzinę wcześniej wsiadła na moment do bmw dwóch dresiarzy, niepostrzeżenie wsunęła w zgięcie tylnej kanapy tracker GPS: czarny breloczek w kształcie łożki, nie większy od monety pięciozłotowej. Po bójce zajęła się Kiddem, odwiozła go do domu, licząc, że w tym czasie obaj dresiarze wrócą, skąd przyjechali. Teraz tracker nie zmieniał położenia. Czyli ich bmw stało zaparkowane przy ulicy Krótkiej w Konstancinie. Najprawdopodobniej było to miejsce przechowywania rękopisu.

Doskonale. Przy odrobinie szczęścia ci dwaj idioci doprowadzą ją do celu. Grali nie fair, tym gorzej dla nich i dla ich mocodawcy. Teraz Kaśka nie będzie już mieć żadnych skrupułów ani wyrzutów sumienia.

Znów kontrolnie zerknęła na mapę na wyświetlaczu komórki. Znacznik pozostawał nieruchomy. Pomyślała, że jest jeszcze inna możliwość. Może dresiarze znaleźli tracker,

wywalili go w krzaki na poboczu ulicy Krótkiej i pojechali gdzieś dalej.

Zaraz się okaże.

Siedemset metrów przed celem Kaśka zaczęła się rozglądać za miejscem do parkowania. Woląca nie ryzykować, że rozpoznają jej samochód. A trudno o bardziej rzucającą się w oczy markę niż dwukolorowy mini.

Zatrzymała się na wysypanym żwirem parkingu na pięć aut przed niewielkim sklepem spożywczym. Wyjęła komórkę z uchwytu, wysiadła i przerzuciła przez ramię torebkę. Przez moment zawahała się i sprawdziła jej ciężar. Rozejrzała się, czy nikt w pobliżu nie patrzy, po czym wsiadła na chwilę z powrotem do auta. Wyciągnęła z torebki pięć plików banknotów. Po kolei zdierała banderole i zabierała z kupki górną i dolną dwusetkę. Próbowwała przy tym wyobrazić sobie minę dwóch dresiarzy, kiedy zorientowaliby się, że wszystkie pozostałe banknoty są atrapami. Wczoraj pół popołudnia spędziła, przygotowując mistyfikację. Musiała wydrukować fałszywki, wyciąć i odpowiednio spreparować ich brzegi, przygotować banderole...

Nie miała pieniędzy na zakup rękopisu ani nawet na zaliczkę, żeby go zaklepać. Wmawiała sobie, że jeśli potwierdzi jego autentyczność, weźmie kredyt,

ewentualnie wybląga u swojego mocodawcy jakąś przedpłatę. Skoro jej klientowi tak bardzo zależało na tym rękopisie, powinien jej pomóc. Ale prawda była taka, że Kaśka od początku rozważała kradzież. Dlatego wymyśliła numer z trackerem, żeby namierzyć miejsce przechowywania rękopisu.

Otworzyła schowek i cisnęła do niego fałszywki. Prawdziwe banknoty, w sumie dwa tysiące złotych, schowała do portfela. To były jej ostatnie pieniądze. Może jeszcze wycisnie coś z karty kredytowej, ale na kolejny miesiąc czynszu już nie będzie miała. No i dobrze. To dodatkowa motywacja, żeby sfinalizować sprawę. Wyjęła duże okulary przeciwsłoneczne w stylu lat sześćdziesiątych, które w jakimś filmie dokumentalnym nosiła jej idolka, Jackie Kennedy. Ściągnęła czerwoną kurteczkę i rzuciła ją na tylne siedzenie.

Wysiadła z auta. Zastanawiała się przez chwilę, czy w ogóle się nie przebrać, żeby zmienić wizerunek, ale uznała, że wystarczy, gdy zachowa ostrożność. Posiłkując się mapą na ekranie smartfona, ruszyła w kierunku oddalonego o pięćset pięćdziesiąt metrów trackera.

Mijała nie domy, ale wille postawione na sporych posesjach. Jedne nowoczesne, inne zabytkowe, pewnie nawet przedwojenne, chowały się za drzewami i w większości wysokimi, murowanymi

ogrodzeniami. Przypomniało jej się, że coś niecoś słyszała o Konstancinie-Jeziornej, podwarszawskiej enklawie bogaczy i celebrytów, którzy uciekają od zgiełku miasta i zainteresowania opinii publicznej. Westchnęła. Jeszcze niedawno była na prostej drodze, by do nich dołączyć.

Powietrze było tu czyste, wolne od spalin, pachniało sosnowym lasem. Upał się nasilał, robiło się coraz bardziej parno, na niebie wypiętrzały się cumulonimbuse, zapowiadające wieczorną burzę.

Odetchnęła z ulgą, kiedy z daleka zobaczyła znajome bmw. Samochód był zaparkowany przed posesją pod numerem 25, której leciwy drzewostan kontrastował ze stojącym w głębi nowoczesnym dwupiętrowym budynkiem. Mariaż klasycystycznych kolumnienek i nieregularnych przeszkleń raził jej zmysł estetyczny.

Koszmarna, efekciarska architektura.

Choć w zasięgu wzroku nikt się nie kręcił, wołała nie ryzykować, że któryś z dresów ją zauważy. Odpowiednio wcześniej odbiła w boczną uliczkę. Chciała obejść posesję numer 25, ale odkryła, że na tyłach ulicy Krótkiej biegnie rów melioracyjny, a dalej zaczyna się niewielki laszek czy też dziki park. Pomyślała, że może w nim znajdzie dogodne i zaciszne miejsce do obserwacji.

Miała poczucie, że jest już na ostatniej prostej. Wie, gdzie skrywa się skarb. Jeśli szczęście uśmiechnie się do niej, w ciągu kilku dni powinna go zdobyć...

– Co ty tu robisz?! – Kaśka krzyknęła ze złością na widok wysokiego bruneta, który wyszedł zza betonowej kolumny podziemnego parkingu w jej apartamentowcu, jak tylko zgasła silnik i otworzyła drzwi.

Mężczyzna trzymał bukiet bogato udekorowanych czerwonych róż. Jakieś wstążki, liście czy inne zielsko, ale całość trzymała fason i nie wyglądała na zakup w supermarkecie ani na stacji benzynowej. On sam też był elegancki, miał na sobie błękitną dopasowaną koszulę wpuszczoną w chinosy. W szlufki spodni wsunięty był szeroki pasek z czarnej skóry z dużą stalową klamrą w kształcie łba lwa. Z odległości nie sposób było dostrzec szczegółów, ale Kaśka dobrze знаła ten pasek, jak i jego właściciela. Sama mu go kupiła dwa lata temu na urodziny. Realistycznie oddany w metalu lew szczyrzył kły i miał przepaskę na jednym oku niczym pirat. Nie jeden raz, nie dwa

zdarzało się jej odpinać tę klamrę...

Dobry humor Kaśki, który towarzyszył jej w drodze z Konstancina, wyparował w okamgnieniu. Przez kilka godzin obserwowała willę, w której przechowywany był rękopis, i ustaliła sporo – miała nadzieję przydatnych – szczegółów. Wszystko zaczynało powoli malować się w optymistycznych barwach... A tu taka niemiła niespodzianka.

Ze złością zatrzasnęła drzwi auta. Dźwięk niczym wystrzał z pistoletu odbił się od ścian podziemnego parkingu. Myślała, że ten szalony dzień skończy się miło. Odświeży się i pójdzie na kolację do ekskluzywnej śródziemnomorskiej knajpy na rogu, by myśleć nad zerwaniem dorodnego jabłuszka, które udało się jej namierzyć.

– Katka... – Mężczyzna odsłonił w uśmiechu idealnie równe i śnieżnobiałe zęby, ale jej bardziej skojarzyło się to z grymasem drapieżnika. Ruszył w jej kierunku. – Ślicznie wyglądasz.

– Wynoś się!

– No jak ty się zwracasz do męża... – powiedział z udawaną pretensją, zatrzymując się jednocześnie. – Ładnie to tak? Przywitaj się, kobieto!

Nie przestawał się szczerzyć. Wyciągnął w jej stronę trzymany w rękach bukiet, ale nie czuła się bezpieczna. Nie ufała mu, a fakt, że zaczął się na

nią w podziemnym garażu, tylko pogłębiał jej obawy. W budynku niby była całodobowa ochrona, ale składała się albo z pyzatego studenta o ruchach tak powolnych, że miałby problem ze złapaniem żółwia, albo z drobnego bladego rencisty w ciągłym stanie przedzawałowym.

– Katinko. – Mąż zrobił krok w jej kierunku, znów próbując wręczyć jej kwiaty. – No chodź, buziak na zgodę...

Skąd wiedział, gdzie wynajęła mieszkanie?! Nikomu nie podała nowego adresu, a jednak jakimś cudem ją wyśledził.

– Idź stąd.

– Chociaż kwiaty weź, bo mi tu zaraz zwiędną.

Kaśka cofnęła się o krok, nie wzięła bukietu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że to sprytny manewr Maksa, pierwszy mały kroczek, który ma na celu przełamać jej opór. Albo zamydlić oczy. Przerabiała to już nie raz. A właściwie o wiele razy za dużo. Gdyby teraz znów dała się nabrać na te jego piękne oczy, piękny uśmiech, piękne wszystko, byłaby skończoną idiotką. Bo przecież błędzić jest rzeczą ludzką, ale tkwić w błędzie – diabelską.

– Może zaprosisz mnie na górę? Będziemy tak rozmawiać w garażu?

Kolejna próba przełamania jej oporu. Kaśka zorientowała się, że choć jeszcze przed chwilą

umierała z głodu, nagły stres sprawił, że już nie chciało się jej jeść.

– Nie. To znaczy tak. – Próbowwała skoncentrować się, splatając w obronnym geście ręce na piersiach.

– Nie zaproszę cię do siebie, jestem zajęta. Właściwie w ogóle nie mamy o czym rozmawiać. Maks, tłumaczyłam ci już... To koniec.

– Czym jesteś taka zajęta?

Położył kwiaty na masce jej samochodu i również splótł ręce na klatce piersiowej. Na serdecznym palcu zauważyła obrączkę. Ona swoją zdjęła i sprzedała już ponad miesiąc temu, w komisie po 133 złote za gram kruszcu.

– A może raczej powinienem spytać... Kim jesteś taka zajęta?

– Jezu! Nie twój zasrany interes – odparła ostro. Od kiedy pierwszy raz powiedziała mu, że ich małżeństwo dobiegło końca, konsekwentnie zachowywał się tak, jakby nie przyjmował tego do wiadomości.

– Ale złościca, no, no... Dobrze, że mam do ciebie anielską wprost cierpliwość.

Tak naprawdę już ochłonęła, ale nie zamierzała rezygnować z ostrego tonu, bo wiedziała, że tylko tak zdoła utrzymać go na dystans. Instrukcję obsługi swojego męża miała w małym palcu. Spokojna rozmowa do niczego nie doprowadzi, jest

tylko stratą czasu. Perswazją go nie przekona. Racjonalne argumenty mogła sobie wsadzić... Z nim trzeba było iść tylko wyżej, coraz wyżej, aż do zwarcia. Jedyłą drogą do zakończenia rozmowy było nakręcenie go mocno, tak żeby w końcu jakiś obwód w mózgu mu się przepalił i jego choleryczna energia wybuchła. Potem uchodziło z niego powietrze i dopiero wtedy na moment zachowywał się normalnie i można było zamknąć sprawę.

– Jechałem z Gdańska cały dzień, żeby się z tobą spotkać. Padam ze zmęczenia. Kochanie...

– To idź do hotelu – powiedziała z zamiarem odbijania każdego jego zdania niczym piłeczki na korcie tenisowym.

Po dwóch minutach zbijania jego próśb i perswazji w końcu doprowadziła do tego, że się wkurzył. Porwał bukiet z maski samochodu.

– Co ty, Kaśka, wyprawiasz? Weź się opanuj! Co ty chcesz kombinować? Jaki koniec? Wiesz, kim jesteś beze mnie?

– Nikim? – odpowiedziała bez namysłu.

– Gorzej. Głupią wieśniarą, która zgrywa laskę na poziomie. Rozumiesz?

Zmroziło ją, ale stała nieporuszona. Choć była zaprawiona w potyczkach słownych z Maksem, jego słowa raniły ją. Najgorsze, że miał trochę racji. Odpadła po pierwszym roku dziennikarstwa.

Potem nawet w zakładzie fryzjerskim mamy jej nie chcieli, chociaż to bardziej dlatego, że była pyskata...

– Maks, moja ocena tego, co się stało, nie zmieniła się – mówiła spokojnie, starając się dobierać mądre słowa. – Między nami wszystko jest skończone. Nie będziemy razem, pogódź się z tym.

– Skończone? Kurwa, ja ci tak łatwo nie odpuszczę! – Cisnął kwiaty na betonową podłogę. – I ty też jeszcze zatęsknisz!

Odwrócił się na pięcie i nawet nie spoglądając na nią, odszedł w kierunku metalowych drzwi, za którymi znajdowała się winda.

Kaśka odetchnęła z ulgą. Oparła się plecami o maskę samochodu, żeby odczekać chwilę i ukoić nerwy. Po chwili przez podziemny garaż przetoczył się huk zatrzaskiwanych drzwi.

Odruchowo poderwała się. Gdyby miał broń, strzeliłby do niej. Była tego pewna. Pieprzony nienormalny psychopata.

A za czym niby miała zatęsknić? Seks? Jedyna bezspornie dobra rzecz, jakiej doświadczyła w małżeństwie z Maksem. Nie licząc pierwszych kilku miesięcy, może roku ich znajomości, kiedy wszystko wydawało się idyllą. Nim odsłonił prawdziwe oblicze...

Choć ta ostatnia noc w Barcelonie... Dzika, namiętna, aż do świtu... Potem nabrała podejrzeń, że dosypał jej czegoś podczas kolacji w tej maleńkiej, ale fenomenalnej knajpce z tapasami w dzielnicy gotyckiej, ale on ze śmiechem zarzekał się, że jedynym afrodyzjakiem było jedzenie, wino i jego magnetyczna osobowość.

Mimo swojej wybuchowości, cholerycznego usposobienia, Maks nigdy nie podniósł na nią ręki. Często się kłócili, latały talerze. Ona nawet raz go spoliczkowała... Przestraszyła się, że jej odda, bo był rozjuszony, a jego oczy lśniły nienawiścią. Ale jednak miał zakodowane jakieś resztki rycerskości. Wychowywał się w tak zwanej dobrej rodzinie, z tradycjami i herbem szlacheckim. Nienagannymi manierami i aparycją światowca wzbudzał zaufanie, które potem bezbłędnie potrafił wykorzystać. Matka Kaśki z dumą pokazywała zięcia koleżankom z pracy. Jej szefowa, pani Irenka, właścicielka salonu fryzjerskiego, rozpływała się nad jego przedwojenną urodą.

Kaśka też poleciała na tę fasadę. Ale w końcu się opamiętała, bo zobaczyła, że pod spodem jest inny. Gdyby trwała w tym toksycznym związku, nie tylko byłaby coraz bardziej nieszczęśliwa. Za rok, dwa wylądowałyby pewnie w więzieniu. Działając na własną rękę, też może tam się znaleźć, ale jeśli

miałoby się to stać, to przez jej własny błąd. Którego przecież, nauczona doświadczeniem, nie popełni.

Chociaż łobuzy podobno kochają najmocniej...

Nie, nie i jeszcze raz nie!

Zdobędzie rękopis i zniknie stąd raz na zawsze. Za zarobione pieniądze zacznie nowe życie, w którym Maks będzie tylko wspomnieniem i nauką.

Zbudowana własną dojrzałością, wyszła z parkingu. Przywołała windę. Kiedy metalowe drzwi rozsunęły się, poczuła zapach wody kolońskiej Maksa – mocno korzenny, a jednocześnie przypominający woń drewna wyrzuconego przez morze. Jadąc na piąte piętro, do wynajmowanego mieszkania, próbowała uciec myślami od męża i skupić się na zadaniu. Oba tematy były niestety powiązane. Nagłe pojawienie się Maksa w Warszawie nie mogło być przypadkowe. Nie chodziło o próbę pogodzenia się z Kaśką.

To oczywiste. Zwabił go rękopis.

Nagle poczuła falę zdenerwowania, a nawet strachu. Za dobrze знаła swojego byłego. Wiedziała, że tak łatwo nie odpuści. Będzie musiała się pospieszyć.

– Mówię ci, że ojciec ją bzyka. A jak nie, to zacznie, jak tylko nasz samolot dotknie kołami pasa w Nju Jorku... – mówił Łukasz, zerkając znad komórki na brata, który kończył przygotowywać salon do imprezy. – Tylko czeka, żebyśmy zwolnili mu chatę, przebiera nóżkami.

– Ale ty głupi jesteś! I nie mów tak o nim.

Tomek skończył przecierać papierowym ręcznikiem szklany blat stolika. Popatrzył krytycznie, po czym wziął pojemnik z płynem do mycia okien i jeszcze raz go spryskał.

– Kogoś musi bzykać – rzucił filozoficznie Łukasz, poprawiając się na kanapie obitej ciemnoniebieskim sztruksem. Był zajęty wybieraniem playlisty, którą zamierzał posłać na bezprzewodowy głośnik. Na razie leciał z niego jakiś mdły chillout wybrany przez brata, muzyka, która absolutnie nie nadawała się na imprezę. – Myślisz, że przez te wszystkie lata nikogo nie

przeleciał? Na bank ustawili się przez Tindera z tym gorącym MILF-em, mówię ci. Tylko coś poszło nie tak. Może ma męża i ich przyłapał i dał ojcu wpierdol... Albo ona lubi takie zabawy... Wygląda mi na taką...

– Lecz się. Sam siedzisz na Tinderze. Widziałem! Co na to Paula?

Stojący w drzwiach wejściowych Kidd pokręcił głową z niedowierzaniem. Słyszał ostatnich kilka zdań, które jednocześnie zdumiały go i rozbawiły. Wszedł do kuchni i położył na blacie dwie reklamówki z zakupami, specjalnie zrobił to głośno, żeby chłopcy zorientowali się, że wrócił ze sklepu.

Kidd zdawał sobie sprawę, że synowie wchodzą w wiek męski. I w dorosłość. Jeszcze przed chwilą byli przecież dziećmi. A teraz w ich świecie pojawiły się tematy, którymi przestali się z nim dzielić. Niedługo nie będzie im do niczego potrzebny. Już kombinują, jak sprawić, żeby „zwolnił chatę”...

Trudno, musi się z tym pogodzić. Na szczęście godzenie się z tym, co nieuchronne, po tylu latach praktyki przychodziło mu łatwo.

– Jak wy chcecie robić imprezę, jak jeszcze nawet spakowani nie jesteście? – powiedział Kidd, stając na progu salonu.

– Oj, tato, zdążymy – powiedział Łukasz, który

nagle zaczął udawać, że sprząta. – Spakujemy się jutro. Przecież nie lecimy rano...

– Dobra. – Kidd westchnął po chwili wahania. – Wychodzę. O jedenastej wracam...

– Co?! No, tato, nie bądź lamerem. Chociaż do pierwszej daj nam czas... – Łukasz prosił z takim przejęciem, że Kidd nawet nie chciał zgadywać, jakie plany związane z imprezą i swoją dziewczyną ma jego syn.

Tak się złożyło, że Łukasz kilka miesięcy temu zaczął chodzić z córką sąsiadów, mieszkającą w drugiej części bliźniaka Pauliną. Wkrótce później Tomek też znalazł sobie dziewczynę, koleżankę z równoległej klasy w szkole, chyba głównie dlatego, że nie chciał być gorszy od brata.

Kidd ustąpił. Miał wątpliwości, czy jest dobrym ojcem. Pozwalał synom na zdecydowanie zbyt wiele. Powinien wychowywać ich twardszą ręką, ale za każdym razem, kiedy przymierzał się do wyegzekwowania kary albo chciał im czegoś odmówić, miał moment zawahania i często rezygnował. Przypominało mu się, że ich dzieciństwo zdemolowała śmierć matki. Wiedział, że w żaden sposób nie wynagrodzi im tej straty, więc przynajmniej próbował ją osładzać.

Niech mają tę swoją wolną chatę. Chyba nie puszczą jej z dymem. A nawet jeśli, dom jest

ubezpieczony – pomyślał.

– Tylko żadnego alkoholu. – Wystrzelił wskazującym palcem w stronę Łukasza. – Jutro zrobię inwentaryzację barku... Albo każę wam dmuchać w alkomat.

Syn zrobił niewinną minkę. Kidd odwrócił się i ruszył po schodach na piętro, gdzie była jego sypialnia, garderoba, łazienka i gabinet. Na poddaszu swoje pokoje mieli chłopcy. Dom zbudowano na malutkiej działce, dlatego był wąski, ale rozciągnięty w górę aż na trzy kondygnacje. Kosztował fortunę. Kidd zaharowywał się, by spłacać kredyt. Rodzice i teściowie pewnie pospieszyliby z pomocą, w miarę swoich możliwości, ale nie chciał niczego w prezencie.

Wszedł do swojego gabinetu, który pozbawiony był jakichkolwiek ozdób czy bibelotów, z wyjątkiem stojącej na biurku prostej metalowej ramki ze zdjęciem trzydziestolatki o delikatnych rysach i bardzo jasnych prostych włosach do ramion. Nagle jakby coś sobie przypomniał. Usiadł na krześle komputerowym i zaczął grzebać w szufladzie biurka. Była tu i zapasowa ładowarka do telefonu, i kilka długopisów, w tym jeden czerwony, nigdy nieużywane wieczne pióro, które dostał w prezencie – już nie pamiętał, czy od rodziców, czy od teściów, szwajcarski scyzoryk,

jakieś notatki, monety z różnych stron świata, paszport polski, paszport amerykański, zestaw cyrkli w wyściełanym czarnym atlasem płaskim pudełeczku. Odsunął szufladę jeszcze bardziej i po chwili znalazł futerał, w którym były jego stare okulary. Zastygł na moment. Przypomniało mu się, że niemodne już dziś zaokrąglone oprawki wybrała mu jeszcze Julia.

Przetarł okulary irchową szmatką, która była w futerale, i ze wzruszeniem założył na nos. Pamiętał, jak żona, która była zdeklarowaną weganką, upewniała się w salonie optycznym, że ircha jest syntetyczna, bo nie chciała kupować nawet skrawka prawdziwej skóry.

Zatrzasnął szufladę i wyszedł z gabinetu. W sypialni podniósł z podłogi czarną torbę sportową na ramię. Wrzucił do niej szary ręcznik i strój na siłownię. Klapki i żel do kąpieli były już w środku. Zszedł na dół. Z toaletki w przedpokoju zgarnął kluczyki samochodowe. Pożegnał się z synami, strzeliwszy im jeszcze dwa zdania gadki pedagogicznej.

Wyszedł z domu. Wieczór był ciepły i parny. Od kilku dni zanosilo się na burzę i czuł, że prędzej czy później lunie, i to z hukiem. Może dziś, może dopiero jutro.

Wciągnął głęboko powietrze przesycone

zapachem świerka i sosen, które rosły przed domem. Zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno chce mu się iść na siłownię. Bolały go skopane żebra i plecy. Ale musiał gdzieś przeczekać do jakiejś pierwszej w nocy. Sieć siłowni, w której miał wykupiony abonament, miała w Warszawie kilka lokalizacji czynnych całodobowo. Najbliżej na ulicy Puławskiej, w dawnym kinie Silver Screen, gdzie oprócz siłowni była też ścianka wspinaczkowa. Albo w wieżowcu Spire na pobliskiej Woli. Mógłby godzinę poszaleć na maszynach, a potem odprężyć się w saunie. Może dziś jednak powinien darować już sobie sport?

Wyciągnął komórkę i zaczął przewijać listę kontaktów, szukając alternatywy dla siłowni.

„A” jak Adamczyk, Administracja, Aga... Czyli koleżanka z pracy. Zatrzymał przewijanie. U niej mógłby przesiedzieć do północy. A nawet dłużej. On był wdowcem, ona po przykrym rozstaniu... Oboje poturbowani i po przejściach, nie szukali nowych związków, a jedynie namiastki, fizycznej bliskości, której raz zasmakowawszy w życiu, trudno się wyrzec. Oboje mieli świadomość, że to tylko przyjaźń i seks. Akceptowali taki stan rzeczy. Przynajmniej jeszcze do niedawna, bo ostatnio Kidd zaczął wyczuwać z jej strony zmianę nastawienia na bardziej liryczną, romantyczną.

Podejrzewał, że Aga zaangażowała się emocjonalnie. A on? Nie był gotowy, może nigdy nie będzie, może nie z nią...

Kidd westchnął. Odpada. Jeśli pojechałby do niej i został tak długo, niepotrzebnie zaczęłyby budzić w niej złudną nadzieję.

Nagle odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Spokojnym ruchem schował komórkę do kieszeni spodni. Wieczór powoli przechodził już w noc, na Rumianej latarnie uliczne były rzadkie jak stacje benzynowe przy polskich autostradach, ale mimo mroku widział, że ktoś siedzi w czarnym golfie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Kojarzył auta wszystkich sąsiadów. Naprzeciwko mieszkało małżeństwo emerytów, które jeździło starą granatową mazdą. Niby ktoś mógł przyjechać do nich w odwiedziny, ale kiedy Kidd wracał kilkanaście minut wcześniej z zakupami, też miał wrażenie, że kierowca golfa siedzi w samochodzie. Nadal tam tkwi? To lekko podejrzone.

Kidd stał na ganku i zastanawiał się, czy nie jest przewrażliwiony. Rok temu, również na początku wakacji, kiedy zaczynają się wyjazdy, złodzieje okradli dom dwie przecznice dalej, na Królowej Marysieńki. Może tak właśnie to się zaczyna, że obserwują posesję, chcąc ustalić rytm życia właścicieli i wytypować moment ich nieobecności.

Ale na Rumianej, kilkadziesiąt metrów od domu Kidda, znajdowała się rezydencja ambasadora Tajlandii, więc ulica powinna być pod specjalnym nadzorem policji.

– Cześć, Robert.

Obrócił się i uniósł głowę. Szczupła kobieta w obcisłej granatowej sukience stanęła przy krawędzi tarasu na pierwszym piętrze po drugiej stronie bliźniaka.

– Cześć.

Trzasnęła zapalniczka. Sąsiadka przytknęła płomień do cienkiego papierosa, po czym oparła się o drewnianą barierkę.

– Ewakuacja? – spytała, patrząc na sportową torbę przewieszoną przez jego ramię, po czym zaciągnęła się łapczywie. – Impreza szykuje się chyba naprawdę ostra...

Kidd uśmiechnął się lekko. Sąsiadka, mama Pauli, miała na imię Eliza. Właśnie rozwodziła się z mężem. Całą sobą przedstawiała emocje związane z tym życiowym wstrząsem. Jej sylwetka była spięta, a twarz wyrażała ból, choć skrywany pod maską makijażu i pozornie wyluzowanej miny.

– Paula szykuje się już od godziny... – Sąsiadka strąciła popiół do popielniczki z przydymionego szkła, po czym westchnęła protekcyjnie. – Dzieciaki...

– Niech mają. – Kidd uśmiechnął się lekko.

Lubił sąsiadkę. Przynajmniej na tyle, na ile można czuć sympatię do praktycznie obcej osoby. Na pewno lubił Elizę bardziej niż jej męża, któremu kilka razy dał się namówić na squasha w pobliskiej hali sportowej. Ganiecie w szklanym akwarium i walenie piłeczką o betonową ścianę odstręczyło Kidda. Uprawianie sportu było dla niego sposobem na kontakt z naturą, medytacją nad życiem, a nie daniem ujścia agresji. Poza tym sąsiad już wtedy ślinił się na widok dwóch dziewczyn w kusych spódniczkach, grających na korcie obok, i próbował flirtować z recepcjonistką, która wydawała im kluczyki do szafek w szatni. Kidd miał ochotę palnąć rakieta jego łysy łeb i powiedzieć, żeby się opanował, bo przecież ma żonę.

– Ja zostaję. – Eliza znów strzepnęła popiół z papierosa i posłała mu powłóczyście spojrzenie spod ciężkich od tuszu rzęs. – Może razem to przeczekamy? Chodź, zamówiłam zarcie z China Town... Masz ochotę? I dyskretnie, ale... Będziemy mieć wszystko pod kontrolą...

Kidd zawahał się. Już nawet nie chodziło o to, że na pewno popsułby zabawę chłopcom, gdyby wiedzieli, że ich stary czai się za ścianą. Nie był też wcale przekonany, czy Eliza rzeczywiście chce mieć

wszystko pod kontrolą...

Mężczyzna siedzący w zaparkowanym na Rumianej golfie widział obie sylwetki rozmawiających osób, które czerniały na tle jaśniejszej fasady bliźniaka, ale złościł się, bo nie był w stanie wyłapać ani jednego słowa. Mimo że delikatnie opuścił szybę, dobiegał go jedynie ledwo słyszalny szmer głosów stojącego na ganku mężczyzny i jego palącej papierosa sąsiadki.

Miał przezwisko Młody, które cholernie go wkurzało. A przecież wcale nie było tak, że wszyscy pozostali w zespole to stare wygi. Dwie, trzy osoby są w jego wieku, ale on dołączył jako ostatni i nie wkupił się jeszcze w łaski dobrze zintegrowanej grupy. Niczym się dotychczas nie wykazał, gorzej, czasami dawał im powody, żeby tytułowali go Młodym, a wtedy denerwował się podwójnie. Przecież to nie jego wina, że brakuje mu doświadczenia. Stara się jak może, nawet bywa nadgorliwy, i dlatego czasami coś nie wychodzi.

Teraz też dużo by dał, żeby słyszeć rozmowę po drugiej stronie ulicy. Nie miał mikrofonu kierunkowego, a bał się zaparkować bliżej obiektu, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

Ale jaja! – myślał Młody, wierząc się na siedzeniu. Pozyskać informacje, ryzykując spalenie przykrywki?

Plecy miał mokre od potu, kołnierzyk koszuli gryzł go w szyję, ale nie chciał włączać nawiewu, bo jeśli padnie mu akumulator... Stary samochód wszedł niedawno w okres nastoletniego buntu i coraz częściej wycinał różne numery albo wprost odmawiał współpracy.

Młodemu coraz bardziej burczało w brzuchu. Wiedział, że na końcu ulicy jest McDonald's, chwilami miał nawet wrażenie, że dolatuje go woń smażonych burgerów, ale to chyba raczej były omamy wygłodniałego mózgu. Musiał wytrzymać, przecież nie może zejść z posterunku, bo na pewno wtedy wydarzy się coś ważnego.

Chciał się wykazać. Może w końcu przestaną mu dawać trzeciorzędne zlecenia, nie będzie musiał na siłę wymyślać sobie zajęć, tylko zacznie robić coś naprawdę ważnego. Wejdzie do wewnętrznego kręgu i dostanie służbowe auto. Z klimą.

Jak długo już tu kibluje? Parę godzin. Obiekt w tym czasie wyszedł na zakupy i ponad pół

godziny temu wrócił z dwiema siatkami. Młody zwalczył falę nudy i próbował na nowo tchnąć w siebie jakąś motywację. Co łatwe nie było. Nawet on, napędzany szczerym zapałem, musiał przyznać, że jest minimalna szansa, by facet, przed którego domem sterczał, miał jakikolwiek związek z rozpracowywaną przez nich dziewczyną. Dzisiejsze spotkanie tych dwojga było dziełem przypadku, ale Młody nie był w stanie wymyślić sobie nic lepszego do roboty.

Zaczęła wibrować komórka leżąca w otworze na napoje przy drążku skrzyni biegów. Młody zerknął na wyświetlacz. Wyprostował się i usztywnił. Odebrał połączenie.

– Tak, szefie? – zapytał, jednocześnie zasuwając szybę.

– Młody! – Głos w słuchawce pobrzmiwał charyzmą, ale i zniecierpliwieniem. – Gdzie jesteś?

– Na Rumianie.

– Po cholere?

– No obstawiam tego faceta, z którym Sobańska miała dziś przecięcie...

– Ocipiałeś? To jest nikt...

– Być może. – Młody wszedł Szefowi w słowo. – Ale może jednak warto sprawdzić, bo ona była u niego przez godzinę i...

– Już go sprawdziliśmy – przerwał mu

przełożony. – Robert Kidd, lat trzydzieści osiem, podwójne obywatelstwo, inżynier, wykładowca na polibudzie...

Młody był niemile zaskoczony. Przez głowę przeleciała mu myśl, czy przypadkiem starsi koledzy nie zakpili z niego. Może specjalnie podsycali jego zapał, żeby się ośmieszył, rozpracowując absurdalnie poboczny wątek. Ale z drugiej strony... To obce nazwisko i podwójne obywatelstwo to było coś nietuzinkowego.

– Śpisz? – W głosie Szefa pobrzmiwało zniecierpliwienie.

– Nie, oczywiście. Zrozumiałem. Ale myślałem...

– Od myślenia to ty nie jesteś – przerwał mu SzeF. – U Sobańskiej objawił się mąż.

Młody zaklął w myślach. To dopiero była bomba. Nikt się go nie spodziewał w Warszawie, a na pewno nie teraz. Facet miał tupet.

– Zdjęliście go?

– Co?! – SzeF się obruszył. – Takie decyzje zostaw mnie. Zdejmiemy ich wszystkich, we właściwym momencie. Bierz dupę w troki i wracaj do firmy. O dwudziestej drugiej robię odprawę.

Młody grzecznie poczekał, aż SzeF zakończy rozmowę. Wtedy przeklął, soczyście, choć cicho, odłożył komórkę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Stary golf odpalił dopiero za drugim razem.

dzień / drugi

Kidd sięgnął po granatowy kubek z białym logo politechniki, które wyglądało jak wydrapane szpilką. Na dnie była mizerna resztką kawy, mniej niż łyk. Z rozczarowaniem odstawił kubek na blat biurka, czując jednocześnie, jak na plecach napręża mu się szara lniana marynarka. Nie przepadał ani za garniturami, ani za swoją pracą. Wykonywał ją sumiennie, ale bez serca, raczej z odpowiedzialności za synów, bo przecież z czegoś trzeba żyć. Zajęcia na uczelni nie były jego żywiołem, a liczne i jednocześnie powierzchowne interakcje ze studentami męczyły go. Spamiętanie wszystkich imion było nie lada wyczynem, ale każdego roku podejmował ten wysiłek. Nie wyobrażał sobie, żeby zwracać się do studentów „pani w żółtym sweterku” czy też „pan w dzinsowej koszuli”, jak to mieli w zwyczaju niektórzy jego koledzy.

Prowadził wykłady i ćwiczenia głównie

z pierwszym rokiem: inżynierię materiałową oraz wytrzymałość materiałów i mechanikę budowli, także w wersji anglojęzycznej dla cudzoziemców: Material Engineering i Strength of Materials and Mechanics of Construction. Nużyła go powtarzalność, od trzech lat wałkował to samo. W każdej grupie zdarzała się jedna, może dwie osoby naprawdę zainteresowane tematem, pozostałym chodziło o papierek, bo ulegli presji rodziców albo chcieli zdobyć solidny zawód i zarabiać kasę.

Spojrzał na zegarek. Za pięć minut kończył mu się dyżur, podczas którego dawał wpisy. Ostatni w tym roku akademickim. Co za ulga. Przez wakacje choć trochę zapomni o mozole wykładowcy i w październiku bez protestów wróci do kieratu.

Po drugiej stronie biurka pocił się delikwent poprawiający niezdany w pierwszym terminie egzamin. Chłopak jakby wpadł w stupor. Patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem, próbując sklecić odpowiedź.

Kidd milczał. Nie zamierzał ułatwiać mu sprawy. Z rozrzewnieniem wspominał lata spędzone na kontraktach inżynierskich na Bliskim Wschodzie. Pierwszy raz wyjechał do pracy zaraz po studiach. Był niewiele starszy niż student, którego egzaminował. Poleciał go jego promotor, który sam

lata osiemdziesiąte spędził, pracując w Libii. Polscy inżynierowie od dziesięcioleci cieszyli się dobrą renomą w krajach arabskich. A oprócz solidnego technicznego wykształcenia Kidd mógł pochwalić się perfekcyjną znajomością angielskiego, jakby nie patrzeć – jego ojczystego języka. Praca przy rozbudowie kompleksu rafinerii w Al-Dżubajl w Arabii Saudyjskiej była lukratywna, ale cholernie ciężka. Często jedenaście godzin na dobę, sześć dni w tygodniu w piekielnym upale, pod nadzorem Saudyjczyków, którzy na niczym się nie znali, ale zatrudnianych przez siebie fachowców traktowali z góry jak służących.

Co kwartał przylatywał na dwa tygodnie urlopu, a po roku wyrobił sobie taką pozycję, że przeskoczył na bardziej prestiżowy i mniej wyczerpujący plac budowy w Abu Zabi. Potem wielokrotnie zmieniał pracodawców, stał się bardziej koordynatorem projektów niż szeregowym inżynierem. Dwa razy ściągnął rodzinę, ale chłopcy i Julia źle znosili życie na Bliskim Wschodzie, upał oraz ciągle przeprowadzki. Po krótkotrwałym zachłyśnięciu się egzotyczną scenerią pojawiał się syndrom złotej klatki. Ostatecznie żona z synami wróciła do Polski i osiadła na Rumianej, a on dalej zarabiał na utrzymanie rodziny.

Niestety, śmierć Julii trzy lata temu wywróciła

do góry nogami jego świat. Nie mógł już zniknąć na parę miesięcy, być gościem we własnym domu. Bliźniacy mieli wtedy po trzynaście lat, zaczęli dojrzewać i jednocześnie przeżywali największą traumę swojego życia. Z dnia na dzień musiał rzucić wszystko i zająć się synami. Oszczędności skończyły się szybko, więc praca na uczelni spadła mu jak z nieba. Z czasem zaczął też realizować drobne zlecenia, ale była to robota biurowa. Tęsknił za pracą w terenie, jednak wiedział, że dopóki Łukasz i Tomek się nie usamodzielnia, chociaż nie pójda na studia, musi się dla nich poświęcić.

– Dobrze, zaliczę panu... – Kidd w końcu przerwał dukającemu studentowi. Wyciągnął rękę, prosząc o kartę semestralną.

Tak naprawdę powinien kolejny raz oblać delikwenta, ale zlitował się. Chłopak bąknął na początku egzaminu, że bardzo mu zależy, by zaliczyć wszystkie przedmioty teraz, a nie w sesji poprawkowej we wrześniu. Kidd zdusił w sobie wyrzuty sumienia, że przepycha miglanca, który opuści mury uczelni niedouczony i w przyszłości spowoduje katastrofę budowlaną. Miał przekonanie graniczące z pewnością, że wymuskany chłopak w dopasowanym garniturze, ze starannie wymodelowaną ciemną grzywką,

której końcówki prawie wpadały mu do oka, nie przepracuje ani dnia jako inżynier.

Przypomniała mu się anegdota o wykładowcach politechniki, którzy mieli lecieć na konferencję naukową i na pokładzie samolotu dowiedzieli się, że skonstruował go ich wychowanek. Wszyscy pierzchli w popłochu. Na pokładzie został tylko jeden, który stwierdził, że jeśli samolot jest rzeczywiście dziełem jego studenta, nie ma opcji, żeby wystartował.

– A mógłbym liczyć na czwórkę? – Chłopak posłał mu prośące spojrzenie, odgarniając włosy z czoła.

– Słucham? – spytał zdumiony Kidd.

– Bardzo mi zależy.

– Pan żartuje – skwitował Kidd i wpisał trójkę.

Chłopak zmarszczył czoło i zrobił niezadowoloną minę, ale nic więcej nie powiedział. Wyszedł z sali, a Kidd odetchnął z ulgą i sięgnął po plecaczek, który leżał przy nodze krzesła niczym wierny pies. Roszczeniowy chłopak z grzywką był ostatnim petentem.

Kidd, który rankiem odstawił synów na lotnisko, poczuł, że teraz nareszcie rozpoczął wakacje.

Ale nagle rozległo się pukanie i drzwi sali 205 otworzyły się. Kidd jęknął w duchu. Jeszcze jakaś zagubiona dusza, chyba że to miglanc z grzywką wraca wyklócać się o wyższą ocenę.

– Cześć, można?

Do gabinetu weszła dziewczyna, której wczoraj pomógł. Uśmiechnęła się szeroko. Dziś była ubrana w letnią czerwoną sukienkę tuż za kolano. Ciemne włosy rozpuściła. Lekko falując, opadały za łopatki.

– Witaj... – Kidd starał się nie okazać po sobie zaskoczenia, a już broń Boże lekkiego zadowolenia, które poczuł na jej widok. – Tylko nie mów, że chcesz zostać inżynierem.

– W następnym życiu czemu nie – powiedziała, ściągając z ramienia swoją solidną skórzaną torbę. – Jako dziewczynka bardziej lubiłam bawić się klockami, a nie lalkami. Ale dziś... Mam dla ciebie niespodziankę.

Czuła, że on też ma ochotę kontynuować znajomość zawartą poprzedniego dnia w tak dramatycznych okolicznościach. Świadczył o tym sposób, w jaki przekręcił klucz w drzwiach pokoju, na których wisiała tabliczka z napisem „dr inż. Robert Kidd”. Zrobił to powoli, tak jakby z ociąganiem, bo wiedział, że za chwilę pożegnają się i każde pójdzie w swoją stronę. Jak miliardy innych ludzi, których drogi przecinają się każdego dnia, by już nigdy więcej się nie spotkać.

Pretekst, którego użyła, żeby do niego przyjść, czyli odkupienie mu okularów, już się zużył. Kidd był zaskoczony, najpierw się oczywiście opierał, chciał jej oddawać pieniądze, w końcu ustąpił. Zdjął okulary, pewnie zapasowe – niemodne oraz zupełnie niepasujące do jego twarzy – i założył te, które mu przyniosła.

– Tylko pewnie będziesz jeszcze musiał pójść, poprawić sobie rozstaw gałek ocznych czy innych

zauszników – powiedziała Kaśka.

Prezentował się dziś oficjalnie. Strój do biegania zamienił na koszulę w kolorze butelkowej zieleni, choć bez krawata. Popielaty lniany garnitur pasował mu do koloru oczu, ale fason miał nijaki, nie umywał się do szytych na miarę włoskich marynarek Maksa, które mocno wcięte w talii, podkreślały zarówno jego wąskie biodra, jak i szerokie ramiona.

I znowu ich porównuje.

– Naprawdę, nie musiałaś... – powiedział Kidd, zdejmując nowe okulary, tak jakby chciał przyjrzeć im się jeszcze raz.

– Lubię stawiać na swoim.

W odpowiedzi uśmiechnął się lekko, prawie niezauważalnie. Założył okulary z powrotem na nos. Ruszyli ciemnym korytarzem, który rozświetlały jedynie słabe świetlówki ukryte w podwieszanym suficie.

Miała ochotę usiąść z nim na kawę, porozmawiać jeszcze chwilę, ale wiedziała, że inicjatywa musi wyjść od Kidda. Powinien odbić piłeczkę, nie tylko dlatego, że nie wypada, by mu się narzucała. Jeśli tego nie zrobi, to znaczy, że albo nie jest zainteresowany, albo jest facetem bez inicjatywy, odwagi, jednym słowem – bez jaj. A takiego by nie chciała. Przypomniawszy jej splawiony przez nią

Poeta, który nadal dobijał się do niej esemesami.

Bez dwóch zdań Robert Kidd to inna klasa. Poeta, gdyby krzyknęła o pomoc, może nie odwróciłby się na pięcie i nie uciekł, widząc dwóch dresów, ale na pewno po pierwszym kopniaku w zebra odpuściłby. A Maks? Rzuciłby się na pomoc, ale tylko gdyby widziałby w tym jakiś interes dla siebie.

Do wyjścia z budynku Wydziału Inżynierii Lądowej pozostało kilkadziesiąt metrów, korytarzem i schodami. Czy wystarczy czasu, by sprowokować Kidda do działania?

– Nawet nie spytasz, jak cię tu znalazłam – powiedziała, poprawiając pasek torebki. Mijali właśnie wiszącą na ścianie lekko pożółkłą tablicę „Poczet polskich mechaników”.

– Bardziej intryguje mnie, jakim cudem wiedziałaś, jakie noszę okulary.

– A widzisz. Ty oczywiście jesteś za poważnym starszym panem, żeby mieć fejsbuka. Że o instagramie nie wspomnę... – droczyła się. – Za to twoi synowie siedzą po uszy w mediach społecznościowych. Macie rzadkie nazwisko, więc łatwo było ich namierzyć.

– Mój ojciec jest Amerykaninem... – powiedział takim tonem, jakby tłumaczył się ze wstydliwego epizodu swojej biografii. – Czyli za moimi plecami

spiskowałaś z Łukaszem i Tomkiem?

– Z Łukaszem. Obawiam się, że na mnie leci...

– Dlatego wysłałem go dziś na dwa miesiące do Ameryki...

No proszę, mistrz ciętej riposty...

Już byli na parterze i widać było drzwi wejściowe do budynku. Minęli makietę mostu, który, jak głosiła tabliczka, zdobył nagrodę w konkursie The Nordic Steel Bridge Competition. Przy niej stał student, który wszedł przed Kaśką do gabinetu Kidda. Przystojniaczek w drogim garniturze, ale w ogóle nie wyglądał jej na inżyniera. Ze skwaszoną miną rozmawiał teraz przez komórkę. Najpierw obciął Kaśkę bezczelnym spojrzeniem, po czym popatrzył na Kidda z niedowierzaniem.

Uśmiechnęła się w myślach. Wyszli z budynku. Zapach kwitnących lip mieszał się ze smrodem spalin nadlatujących od strony alei Armii Ludowej.

– Chciałbym ci... jakoś podziękować za te okulary... – Kidd zaczął obiecująco, ale zaraz urwał.

– Już ci mówiłam, nie ma za co. Daj spokój, robisz się nudny...

– No popatrz... A chciałem ci jeszcze trochę poprzynudzać. Gdybyś... pozwoliła zaprosić się na kawę...

Kaśka udała, że jest zaskoczona propozycją. Nie

mogła przecież odkryć kart i pokazać, że od początku właśnie o to jej chodziło. Lepiej się trochę poopierać, bo mężczyźni lubią być zdobywcami.

– No dobrze – powiedziała w końcu tonem pozornie obojętnym. – Ale to musi być szybka kawa, bo jestem naprawdę zajęta.

– W takim razie espresso, wypijesz jednym haustem – powiedział to tak poważnym tonem, że nie dała rady się nie roześmiać.

– Tylko gdzie moglibyśmy w spokoju usiąść...? – Kidd rozglądał się, jakby szukał knajpy w zasięgu wzroku.

Zabrzęczała komórka. Kaśka ściągnęła z ramienia torebkę i po chwili szperania wydobyła z niej telefon. Zerknęła na wyświetlacz i z trudem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. Zaklęła tylko w myślach.

– Nie jesteś hipsterką, prawda?

– Słucham? – Spojrzała na niego kompletnie rozkojarzona.

– Słyszałem, że przy placu Zbawiciela jest mekka hipsterów. A tam chyba będzie najbliżej...

– Przepraszam... – Weszła mu w słowo, wskazując gestem głowy komórkę. – Coś mi wypadło...

– Oczywiście.

Poczuła, że Kidd się usztywnił. Pewnie pomyślał,

że chce go spławić.

– Naprawdę. Muszę po prostu coś teraz załatwić. Dostałam... pilną wiadomość – plątała się w tłumaczeniach.

– Nie ma sprawy.

– Umówmy się wieczorem. O siódmej. Możesz?

– Wysłałem dziś chłopaków za ocean. Przed chwilą skończyłem ostatni dyżur na uczelni. Cały mój czas należy znów tylko do mnie...

– Świetnie, to jesteśmy umówieni!

– Ale jak?

– Koło mnie niedaleko jest świetna knajpa, dosłownie na rogu. Hoża, róg Wilczej, masz mój telefon jakby co. Przepraszam! Muszę lecieć, naprawdę muszę. To umówieni, okej?

Kidd kiwnął głową. Kaśka uśmiechnęła się przepaszająco i już biegła w kierunku swojego samochodu.

W głowie wyła jej syrena alarmowa. Była przejęta, ale jednocześnie zła, że musi przerwać spotkanie z Kiddem.

– A jak zebra? – krzyknęła jeszcze, obróciwszy się na moment.

– Nie wiem, nie pytałem. Chyba się zrastają – odparł śmiertelnie poważnie, ale właśnie dlatego wiedziała, że żartuje.

Przedzierając się autem przez centrum Warszawy, Kaśka gotowała się z niepewności. Chciała krzyknąć, choć jeszcze nie straciła nadziei. Jeśli się pospieszy, może wszystko uda się uratować. Nie miała daleko, za chwilę będzie na miejscu... Albo i nie będzie. Dlaczego to pieprzone miasto jest zakorkowane nawet w środku dnia?!

Parkując w podziemnym garażu, prawie przetarła stojącego obok peugeota. Zgasiła silnik, ale za szybko zdjęła nogę ze sprzęgła, przez co auto szarpnęło jeszcze w ostatnim podrygu. Klnąc pod nosem, wyciągnęła kluczyk ze stacyjki, ale potem – dla uspokojenia – wzięła dwa głębokie oddechy.

Może to fałszywy alarm? Możliwe, że z niezapowiedzianą wizytą przyszedł właściciel mieszkania? Oczywiście nie powinien tego robić podczas jej nieobecności, obsobaczy go, ale wyglądał jej na takiego, co będzie sprawdzał, czy nie urządziła mu przypadkiem w nieruchomości

burdelu...

Wysiadła z auta i szybkim krokiem ruszyła w kierunku metalowych drzwi, za którymi znajdowała się winda.

Jej panikę wywołała aplikacja „house alert”, która zaczęła brzęczeć podczas rozmowy z Kiddem. Podczepione pod nią czujniki były zamontowane w wynajmowanym mieszkaniu. Kaśka uspokajała się w myślach, że może coś źle skonfigurowała albo zostawiła otwarte okno i podmuch wiatru aktywował alarm. Jednak wczorajsze nagłe pojawienie się Maksa sprawiło, że nie mogła zbagatelizować sprawy.

Wjechała na piąte piętro i podeszła pod drzwi z numerem 19. Nie było żadnych śladów wejścia przy użyciu siły. W korytarzu rozświetlanym jedynie niewielkimi plafonami uruchamianymi przez fotokomórkę panowała idealna cisza.

Stała przed drzwiami już lekko uspokojona i zaczęła grzebać w torebce.

Cholera jasna! – zaklęła w myślach, próbując przekręcić klucz w zamku. Jednak coś było nie tak. Klucz utknął. Szarpnęła ze złością za klamkę. Drzwi ustąpiły.

Czyli jednak ktoś się włamał.

Weszła do środka i zamarła. Z małego przedpokoju pomalowanego na gołębi szary widać

było salon w nudnym, hotelowym kolorze kawy z mlekiem. Oba pomieszczenia były splądrowane. Na podłodze wałały się porozrzucone papiery i czasopisma. Z szafki na buty ktoś wywalił jej tenisówki, balerinki i dwie pary szpilek. Poduchy granatowej kanapy były zrzucone na podłogę.

– Kurwillo... – wyrwało jej się na głos.

Rzuciła się w stronę sypialni. Rozgrzebane łóżko w rozmiarze małżeńskim było puste. Łudząc się, jeszcze omiotła wzrokiem podłogę i stolik nocny. Kabel ładowarki zwisał smętnie z jasnego blatu.

Komputera, który zostawiła rano na kołdrze, nie było.

Zrobiło jej się gorąco, w oczach pociemniało, zakręciło się w głowie, aż musiała przykucnąć, bo bała się, że zemdleje.

Dobrze wiedziała, kto był nieproszonym gościem, cholernym złodziejem. Przysiadła na łóżku, klnąc coraz bardziej soczyście. Poczowała się przytłoczona, przygnieciona. Poleciały jej łzy, ale to był tylko moment, od którego odbiła się niczym tonący od dna.

Wszystko jasne. Gnój włamał się, żeby podebrać jej klienta i zarobić jej kasę. A przy okazji zemścić się, udowodnić Kaśce, że bez niego jest nikim.

Prawie miesiąc jej starań, ciężkiej pracy, żeby namierzyć drogocenny rękopis, poszedł właśnie

z dymem.

Drżącymi rękami wyciągnęła z torby komórkę. Wyświetlacz pokazał szesnastą trzydzieści siedem. Zaczęła przeglądać kontakty na „M”. Marzena, Masterpiece Antwerpen, Mąż.

Znów zakłęła w myślach. Musi to zmienić. Tak jak kiedyś przerobiła „Maks” na „Mąż” w dniu, w którym wzięli ślub w ambasadzie w Paryżu. Była wtedy zakochana i szczęśliwa, skora do romantycznych gestów. Gotowa zmieniać swoje życie, wyburzyć, wyrwać z korzeniami to stare, do bólu zwyczajne, którego trochę się wstydziła. Nie dlatego, że było w nim coś uwłaczającego czy godnego potępienia. Wstydziła się go, bo było nijakie i przeciętne. Życie w małym zaniedbanym mieszkaniu na gdańskiej Zaspie, w którym wielka była jedynie płyta, z której je zbudowano.

Wtedy myślała, że w Paryżu umarła Kaśka Zarębska, a narodziła się Katarzyna Sobańska. Była wręcz przepełniona euforią, że oto zaczyna nowe, światowe życie u boku przystojnego męża z wyższych sfer, który prowadzi galerię sztuki na gdańskiej starówce. Odtąd miała obracać się w wielkim świecie, wśród pięknych przedmiotów i ludzi, w luksusowych i uroczych miejscach, z dala od brzydoty i bylejakości.

Miało być *dolce vita*, a wyszła zwykła bida.

Wybrała numer Makska, ale od razu zgłosił się komunikat operatora. Sukinsyn wyłączył komórkę. Albo zmienił numer.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Kaśka zamarła. Ale zaraz wstała z łóżka i ruszyła do przedpokoju.

Może jeszcze nie wszystko stracone? Może to tylko jakaś gierka z jego strony i teraz właśnie wrócił z jej komputerem i tymi debilnymi kwiatami? To by było w jego stylu. Najpierw zastraszyć, zmaltretować psychicznie, pokazać, kto tu rządzi, a na końcu łaskawie odpuścić.

Z impetem otworzyła drzwi, ale na progu stał nie Maks, tylko szpakowaty i brzuchaty pięćdziesięciolatek w rozpiętej pod szyją koszuli khaki z krótkim rękawem, cielistych szortach i granatowych crocsach na białe skarpety.

– Dzień dobry, sąsiadko, wszystko w porządku? – spytał mężczyzna.

– Nie, nie jest w porządku, proszę pana! Zostałam okradziona! – powiedziała, niewiele myśląc, na jednym wydechu.

Dała upust złości, choć tak naprawdę nie chciała zwierzać się facetowi, w którym rozpoznała sąsiada z mieszkania naprzeciwko windy. Często i namolnie ją zagadywał. Nazywała go Wciągi brzuchem, bo ilekroć na niego spoglądała,

desperacko próbował ukryć nadwagę.

– Sąsiadko! No więc ja widziałem, że coś się święci. Dobrze, dobrze... – Mężczyzna wyciągnął z kieszeni komórkę w seledynowym etui z imitacji skóry. – Dzwonię na policję.

– Pan nigdzie nie dzwoni!

– Na policję – powtórzył wyjaśniająco, jakby uznał, że nie dosłyszała.

– Nie!

– Jak to nie? – Sąsiad wparował do mieszkania. – Dzwonię! Pani jest w szoku. Proszę niczego nie dotykać. Może są odciski palców.

Kaśka podejrzewała, że Wciągi brzuch, jak tylko słyszy odgłos jadącej windy, wygląda przez wizjer. Kiedy z niej wysiadała, często akurat niby przypadkiem otwierał drzwi, tłumacząc, że idzie ze śmieciami czy do sklepu. Za każdym razem, kiedy próbował nawiązywać rozmowę, Kaśka uprzejmie, choć stanowczo ją uciniała, odchodząc korytarzem. Teraz zawahała się, czy nie zapytać go o włamywaczy, istniała duża szansa, że ich widział. Ale co to da? Szkoda czasu na dochodzenie. Była pewna, że okradł ją Maks.

– Ochrona niby jest – mówił kpiąco Wciągi brzuch. – Darmozjady, ja już bym dawno ich pogonił. Snują się nawaleni albo przysypiają...

– Jadę na policję – przerwała mu, cofając się

w głąb mieszkania. Porwała swoją listonoszkę, leżącą na stole w salonie. – Tak będzie najszybciej.

– Ale jak to... – Zdziwiony Wciągi brzuch urwał. – Trzeba ich wezwać. Tutaj. Muszą przyjechać technicy kryminalistyczni i te pe, i te de.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale niemal wypchnęła go za drzwi. Facet irytował ją już tak bardzo, że gdyby nie wyszedł, chyba by go wykopała. Odruchowo sięgnęła do torebki po klucze, ale przypomniała sobie, że zamek jest uszkodzony.

Rabunek w biały dzień. Tak naprawdę mogła się tego spodziewać. Jeszcze wczoraj, po konfrontacji w podziemnym garażu, powinna się stąd ewakuować.

Nie pamiętała już, kiedy pierwszy raz dostrzegła u swojego męża zachowania godne gangstera. Chyba kiedy zabrał ją w pewien słoneczny wrześnieowy weekend do domu swoich znajomych w Borach Tucholskich. Po przybyciu na miejsce okazało się, że znajomi zapomnieli zostawić klucz. A kiedy zawiedziona zaczęła się irytować, kopniakiem wywalił drzwi. Może w ogóle nie było żadnych znajomych i włamał się do domku letniskowego obcych ludzi, wiedząc, że właściciele nie przyjadą? Wtedy bardziej ją to nawet rozbawiło niż zaniepokoiło. Ot, ułańska fantazja narwanego

przystojniaka...

– Do widzenia. – W najprostszy możliwy sposób ucięła rozmowę z Wciągi brzuchem. – Jeszcze raz dzięki za pomoc.

Szybkim krokiem ruszyła do windy. Wciągi brzuch szedł za nią, próbując jeszcze ją przekonywać i powołując się na znajomości w policji i wpływy, które ma jako członek zarządu Związku Ogródków Działkowych.

Kaśka była pełna obaw, że wszystko stracone. Ale nie podda się bez walki. Grunt to determinacja. A Kaśka miała kapitalną motywację, by działać. Marzenie o nowym życiu. Dla siebie, mamy i rodzeństwa. Sen o słonecznej Sycylii, domku i gaju pomarańczowym, w którym przyjemny wietrzyk kołysze gałęziami uginającymi się pod ciężarem dorodnych owoców.

Nie pozwoli sobie tego odebrać. Ten gnój, mimo że dzielił z nią łożę i życie, jeszcze nie wie, z kim zadarł.

Z piskiem opon wystrzeliła z podziemnego garażu, skręciła w Hożą, ale dalej już szło jak po grudzie. Zaczęły się godziny szczytu, a wraz z nimi potężne korki. Próbowwała pocieszać się tym, że choć Maks ma jej komputer, nie dorwie się tak szybko do jego zawartości. Przecież ustawiła hasło i to bynajmniej nie jego datę urodzin ani imię.

Może zdąży i przebojem załatwi sprawę? Ale jak? Nieważne! Musi jak najszybciej dojechać do Konstancina-Jeziornej. A potem? Wejdzie, ukradnie, przedrze się przez dwóch dresiarzy i będzie negocjować z tajemniczym właścicielem rękopisu? Może po prostu nastraszy go, bo była pewna, że też nie wszedł w jego posiadanie legalnie. Gdyby wszystko było zgodne z prawem, sprzedałby go otwarcie.

Przeskakiwała z pasa na pas, żeby uciec przed korkami, ale już Belwederska na wysokości skrzyżowania z Gagarina stała. Sznur samochodów

ciągnął się wzdłuż całego ogrodzenia ambasady Rosji. Kaśka wrzuciła luz i tylko operowała hamulcem, pozwalając samochodowi staczać się po spadku drogi. Auta posuwały się w iście ślimaczym tempie. A czas uciekał.

Spojrzała na wielki okrągły zegar na desce rozdzielczej. Siedemnasta sześć. Bała się, że z tych nerwów i narastającej frustracji straci cierpliwość i nie zdąży wyhamować, kiedy znów w samochodzie przed nią zapalą się czerwone światła stopu.

Rozległ się dźwięk nadchodzącego esemesa, a ekran komórki, umieszczonej w uchwycie na przedniej szybie, rozświecił się. Nieznany numer. Kaśka jednym okiem kontrolowała odstęp od hamującego przed nią auta, a jednocześnie odblokowała komórkę, by odczytać wiadomość.

Wzgardzony poeta

Siedzi po zmroku w pustym pokoju...

To znowu ten chłopak, którego poderwała przedwczoraj. Zmienił numer albo dobija się do niej z telefonu mamy albo siostry, bo wcześniejsze wiadomości od niego ignorowała.

W rękach ma tylko kartkę
papieru, na której łązy zapisują

niemą kobietę, jej usta nieskalane
mową piękna

Co to za bełkot? Kaśka nie znała się na poezji, ale czuła, że ma do czynienia z grafomaństwem czystej wody. Zgasiła ekran. Nie będzie tracić czasu na te wypociny, gdy właśnie teraz Maks próbuje zhakować jej komputer i sprzątnąć sprzed nosa milion złotych!

Przypomniał się jej fragment oglądanego wczoraj rękopisu. Nim dwaj dresiarze popchnęli ją na ziemię i wyrwali torebkę, przeczytała początek jednego z wierszy. Tamte słowa brzmiały szlachetnie, wzniośle. I intrygująco. Coś o tym, że matka pierwszego człowieka nie była z rodu ludzkiego? Bo inaczej to ona byłaby pierwszym człowiekiem, a nie jej syn? Kaśka nie pamiętała dokładnie słów. Ale czytając tamten wiersz, miała świadomość, że obcuje z czymś wybitnym, nie tak jak w przypadku wiersza Poety – tandetnym.

Pas ruchu w przeciwległą stronę był niemal pusty, tak jakby nastąpił nagły exodus z centrum miasta. Tak samo było na skrzyżowaniu z Sikorskiego i na kolejnym... Sytuacja poprawiła się dopiero w Wilanowie. Kaśka przyspieszyła do setki. Po lewej minęła miejsce, w którym została poprzedniego dnia napadnięta.

Rozległ się dzwonek komórki. Ostry, wibrujący, zaczerpnięty z analogowego telefonu z dawnych lat. Kaśka odruchowo cmoknęła, bo pomyślała, że to Poeta dzwoni, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarł na niej najnowszym wierszem. Zerknęła na komórkę. Zastrzeżony numer.

– Halo? – Odebrała, po czym już po omacku próbowała wcisnąć ikonkę głośnika.

– Katarzyno, moja droga Katarzyno... – Wypełniający wewnątrz samochodu głos był nietuzinkowy. Cichy i pozornie spokojny, ale pobrzmiewała w nim jakaś nieprzyjemna siła, stanowczość, która sprawiła, że Kaśka w okamgnieniu spięła się i mocniej zacisnęła ręce na kierownicy, jednocześnie zdejmując nogę z gazu.

Rozpoznała głos. Dzwonił Książę. To właśnie on był kolekcjonerem, dla którego miała pozyskać rękopis. Oferował za niego okrągły milion złotych. Przez kilka ostatnich lat Maks i Kaśka żyli ze zleceń dla starego arystokraty, bo prowadzona w Gdańsku galeria przędła cienko.

Mimo że był ich głównym klientem, Kaśka wiedziała o nim niewiele. Bardzo pilnował swojej prywatności. Twarzą w twarz spotkała go właściwie tylko raz. Na swoim ślubie. Nie na spontanicznej cywilnej uroczystości w ambasadzie w Paryżu, ale kilka miesięcy później, kiedy

w Rzymie, w kościele Świętego Stanisława powtórzyli przysięgę w obecności rodzin i przyjaciół. Kaśka nie miała parcia na ceremonię w białej sukni, ale wiedziała, jak bardzo wzruszy się jej matka. Asystentka Księcia pomogła wszystko załatwić, przydały się jego znajomości. Ślub udzielany w Wiecznym Mieście przez jakiegoś biskupa wypadł jak z bajki.

Wtedy zrozumiała, że Księżę jest nie tylko bogatym, ale i wpływowym człowiekiem. Nie raz wypytywała o niego Maksa. Ponoć jego rodzice wyemigrowali z Polski wkrótce po drugiej wojnie światowej. Wywodził się ze starego arystokratycznego rodu, którego majątki przepadły pod rządami komunistów.

– Dzień dobry – powiedziała niepewnie Kaśka. Była przejęta, żeby nie powiedzieć spanikowana, bo Księżę prawie nigdy nie dzwonił do niej osobiście. Jeśli miał coś do przekazania, zazwyczaj robiła to w jego imieniu asystentka.

– Jak tam nasze zlecenie, Katarzyno? – mówił takim tonem, jakby zwracał się do niesfornej córki, a trochę do służącej. – Zbliżamy się do szczęśliwego finału, jak mniemam?

– Oczywiście. Działam. Nawet w tej chwili prowadzę ostatnie negocjacje – kłamała. – I jestem już blisko. Mam nadzieję, że bardzo blisko...

– Doskonale. Nie mogę się doczekać. I bardzo na ciebie liczę... – Książę zawiesił głos, po czym zmienił ton na mniej oficjalny. – A jak tam, wybaczyć moją ciekawość, sprawy z Maksymilianem?

Kaśka, która już zaczęła się rozluźniać, znów się usztywniła. Książę lubił Maksa, miał wręcz do niego słabość. Z pewnością uważał tego zdegenerowanego dupka za kulturalnego młodego człowieka, kogoś ze swojego świata, wąskiej elity, dawnej arystokracji. Kaśka obstawiała, że jej mąż zadzwonił do swego protektora na skargę. Facet nie cofnie się przed niczym, bo wie, że jeśli wykoleguje Kaśkę, zapunktuje podwójnie. Zarobi wielkie pieniądze, a ona zostanie na lodzie i będzie musiała wrócić do niego z podkulonym ogonem.

– Wolałabym teraz o tym nie rozmawiać. Jadę właśnie samochodem...

– Ja wiem, dziecko, że temat nie jest łatwy. Ale... Czy mógłbym mieć do ciebie prośbę?

– Oczywiście.

Wrzuciła piąty bieg i przycisnęła pedał gazu. Przejechała skrzyżowanie na pomarańczowym, właściwie już na czerwonym.

– Pogódźcie się... Katarzyno, wiem, wiem, co powiesz... To nie jest łatwe. To znaczy łatwo jest powiedzieć, a...

– No właśnie... – weszła mu w słowo.

– Przynajmniej spróbuj. Przecież wzięliście ślub. Przed Bogiem... W jego oczach jesteście rodziną. Zwariowaną rodziną, nie da się ukryć...

– Obiecuję, że przemyślę sprawę.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Chciałabym się tylko upewnić... – pośpiesznie zmieniła temat, bo obawiała się, że Księżę zaraz zacznie rozmowę o dzieciach. Hipotetycznych dzieciach jej i Maksa, a tego by już nie zniosła. – Bo, jak wspomniałam, weszłam właśnie w kluczową fazę negocjacji. I...

Urwała, bo w wielkim pędzie wyprzedziła ją policyjna kia. Kaśka przestraszyła się, że zaraz ją zhaltują za przejechanie na czerwonym, ale radiowóz pognał dalej.

– Tak, Katarzyno?

– Chciałabym się upewnić, że nasza umowa nadal jest aktualna.

– Moja oferta nie zmieni się, drogie dziecko. Choć bardzo bym pragnął, żebyście przywieźli mi rękopis razem, to jeśli pojawisz się z nim sama, bez mrugnięcia okiem wypłacę ci obiecaną sumę. Business is business, jak mawiają ci okropni Amerykanie.

– Dziękuję – odparła.

– Muszę kończyć, Katarzyno. W takim razie czekam na sygnał.

Odpuściła gaz, bo widziała już z oddali kolejne światło zmieniające się z zielonego na czerwone. Zredukowała bieg i powoli zaczęła naciskać hamulec. Odetchnęła z ulgą. W sumie Księciu zawsze zależało tylko i wyłącznie na dziełach sztuki. Zastanawiała się przez moment, czy nie powinna zażyczyć sobie wyższej sumy.

Milion złotych. Kaśka nie była chciwa, w przeciwieństwie do swojego męża. Kiedy od niego odeszła, została z niczym. Nie kłóciła się o kasę, nie próbowała niczego wyszarpać. Miała swoją godność, ale potrzebowała pieniędzy, żeby zacząć wszystko od nowa.

Zamierzała kupić niewielki pensjonat w Marsali na Sycylii. Właściwie zwyczajny piętrowy dom na obrzeżach miasta, przerobiony na kwatery dla turystów. Jej mama przez wiele lat przyjeżdżała tam latem, żeby sprzątać. Nawet kiedy pracowała już w salonie fryzjerskim Irenki, latem brała bezpłatny urlop i prawie przez cały sezon turystyczny latała z mopem, słała łóżka, robiła pranie. Kaśka też, zanim poznała Maksa, czasami tam dorabiała. Właścicielka zmarła w marcu, a jej dzieci, które od lat mieszkały w Rzymie, nie były zainteresowane prowadzeniem pensjonatu. Kaśka umówiła się z córką Włoszki, że do końca lipca, najpóźniej do połowy sierpnia załatwi pieniądze.

Oczywiście wyobraźni widziała swój mały pensjonat w gaju pomarańczowym, z własnoręcznie wykonanymi woreczkami z potpourri wyłożonymi na szerokich parapetach z drewna piniowego. Nie miała pojęcia, jak się je robi, ale nauczy się! Wsiąknie w ten cudowny, ciepły, śródziemnomorski klimat.

Na pobliskim lotnisku w Trapani lądowało sporo samolotów tanich linii lotniczych, więc biznes powinien się kręcić. Mama przeniosłaby się do niej, zawsze mile wspominała czasy, kiedy pracowała w Marsali, a przez te wszystkie lata nauczyła się trochę włoskiego. Roboty w salonie fryzjerskim tak naprawdę nie cierpiała, bo była zahukana przez właścicielkę i te wszystkie swoje głupie koleżaneczki. Na pewno na początku przestraszy się tak poważnej zmiany, ale potem będzie szczęśliwa. Mieszkanie w Gdańsku zostawią studiującemu rodzeństwu i wszystko ułoży się przepięknie.

Zapaliło się zielone światło i Kaśka ruszyła z kopyta, jednocześnie hamując galopadę myśli. Nie ma sensu dzielić skóry na niedźwiedziu. Najpierw musi zdobyć rękopis, który przecież oddała się od niej z każdą chwilą.

Tym razem nie miała czasu bawić się w ostrożność i parkować w bezpiecznej odległości od posesji przy ulicy Krótkiej w Konstancinie. Podjechała bliżej. Wczoraj kręciła się tu przez kilka godzin i dokładnie rozpracowała sytuację. Willa, co sprawdziła, wpisując adres w wyszukiwarkę, była siedzibą firmy Komaxi Constructions. Wyszukała ją w KRS. Jej właścicielem był niejaki Jarosław Komasa. W internecie znalazła o nim niewiele informacji – biznesmen, miał firmę remontową i jakiś nieaktualizowany od dawna profil na portalu dla profesjonalistów, na którym chwalił się, że jest deweloperem.

Zakładała, że to on jest właścicielem rękopisu. Obstawiała, że wpadł w jego ręce po przejęciu jakiegoś mieszkania po zmarłej staruszce, w jakiejś skrytce, podczas remontu, coś w tym stylu. Gdyby posiadał go legalnie, poszedłby z nim do domu aukcyjnego, ewentualnie do władz, do jakiegoś

instytutu literackiego czy fundacji dziedzictwa narodowego. I dostałby za niego nie tylko niezłą sumkę, ale order oraz uścisk dłoni ministra.

Zatrzymała samochód, wyszarpała kluczyk ze stacyjki, wypięła pas bezpieczeństwa. Nadal nie miała planu. Po rekonesansie poprzedniego dnia Kaśka domyślała się, gdzie Komasa ukrywa rękopis. I choć nie chciała przyznać się nawet sama przed sobą... w tyle głowy kołatała natrętna myśl, że najprościej będzie go po prostu ukraść.

Niestety, kiedy wysiadła z auta, jej zapach w mgnieniu oka wyparował. Zakląła w myślach swoim ulubionym „kurwillo”.

Spóźniła się. Przy posesji pod numerem 25, w bocznej uliczce parkował jeep Maksa w charakterystycznym odcieniu brązu, który swego czasu Kaśka nazwała złośliwie „gówno metalik”. Za kierownicą siedział, czekając w gotowości, jeden ze współpracowników jej męża, Błażej. Poznała go po kanciastej głowie z krótką szyją i zwalistej sylwetce. Ponieważ ukończył na SGGW studia z konserwacji drewna, przydawał się, gdy przedmiotem transakcji Maksa był mebel, ewentualnie kiedy obraz miał zabytkowe ramy. Na co dzień jednak robił za kierowcę.

Jak zwykle był zatopiony w telefonie komórkowym, dla zabicia czasu grał w węża czy

inną durną grę, dzięki czemu nie zauważył samochodu Kaśki. Szybko wsiadła z powrotem i wycofała się na tyle, że Błażej zniknął jej z pola widzenia, a ona jemu.

Gorączkowo kombinowała, co robić, ale bała się, że już jest pozamiatane. Była załamana. Jak zwykle głupi los dał jej w twarz. Tym razem nie prztyczka w nos, tylko pięścią między oczy.

Wysiadła z auta i trzasnęła drzwiami ze złością i z całej siły. Nie mogła pogodzić się z tym, że jej miesięczny wysiłek idzie właśnie na marne. Ruszyła wzdłuż ogrodzenia z kutej stali, za którym rósł gęsty szpaler cisów. Gorączkowo próbowała coś wymyślić. Może na chama wciśnie się w transakcję, wtedy w najgorszym wypadku razem pojedą z rękopisem do Księcia i może Kaśka przypilnuje, żeby Maks dla odmiany podzielił się z nią kasą? Miała po dziurki w nosie wspólnoty majątkowej, która polegała na tym, że ona mogła korzystać z karty kredytowej o skromnym limicie, a dostęp do konta miał tylko on.

Nagle zamarła. W oknie na piętrze willi Komasy mignął jej większy z dwóch dresów, którzy na nią wczoraj napadli. Pojawił się niczym upiór w horrorze, jakby ktoś pchnął go na okno, a potem szarpnął z powrotem i rzucił na podłogę. Zjawa zaraz znikła, ale Kaśka zdążyła wyraźnie zobaczyć

przerażenie malujące się na zakrwawionej twarzy faceta. Zmroziło ją. Chwilę później za szybą przeszedł Kosiarz, kolejny współpracownik jej męża, który trzymał w ręku kij baseballowy.

Kaśka patrzyła w okno jak zahipnotyzowana.

Kosiarz zniknął, ale kilka sekund później za oknem pojawił się Maks. Jak zwykle elegancki, sprawiający wrażenie mężczyzny z klasą, w szytej na miarę karmazynowej koszuli. Pochylił się, gwałtownym ruchem złapał dresiarza obiema rękami za ramiona. Mówił coś do niego, po czym z wściekłością puścił jedną rękę i wymierzył cios pięścią.

Przerażający był kontrast między ciszą, która panowała w tym luksusowym zakątku pośród ogrodzonych willi z wypielegnowanymi ogrodami, a dramatem, jaki rozgrywał się wewnątrz jednej z nich.

Kaśka domyśliła się, że Maks też nie zamierza kupować rękopisu. Specjalnie jej to nie zdziwiło, bo nie po raz pierwszy uciekał się do rabunku.

Pobity dresiarz na pewno zaraz pęknie i zdradzi mu miejsce przechowywania drogiego przedmiotu. Kaśka zastanawiała się intensywnie, co robić. Zadzwoić na policję? Zanim przyjadą, Maks zagarnie jej skarb.

Rozglądając się czujnie na boki, szybko przeszła

wzdłuż ogrodzenia do samego końca. Tam uliczka urywała się, a dalej przebiegał rów melioracyjny i zaczynał się dziki park.

Postanowiła, że sprawdzi, czy rękopis jest tam, gdzie podejrzewała. Jeśli tak, weźmie go i natychmiast dzwoni na policję. Przecież Maks z Kosiarem pozabijają tych biednych głupich dresiarzy...

Zdejmując z nóg szpilki, przypomniała sobie, kiedy pierwszy raz zwróciła uwagę na wybuchowy i niestabilny charakter męża, który wcześniej nazywała po prostu ognistym temperamentem i kojarzyła głównie z intensywnymi przeżyciami w łóżku. Najpierw zaczęła domyślać się, że z równą pasją naciska na niezdecydowanych klientów, a nawet wymusza na nich sprzedaż dzieł sztuki, które później dostarczali Księżciu. Przez długi czas kupowała jego tłumaczenia, że starsi ludzie hamletyzują i z trudem podejmują decyzje, więc trzeba być stanowczym, bo inaczej nigdy niczego by nie sprzedali. Obudził ją dopiero wyraz twarzy eleganckiej wdowy po generale Wojska Polskiego, która podczas podpisywania u notariusza umowy sprzedaży obrazu Wojciecha Fangora, blada jak trup, spoglądała na Kaśkę z niemą pogardą wymieszaną z bólem i przerażeniem, co i rusz dotykając nerwowym gestem bursztynowego

wisiorka na piersi.

Tylko że wymuszenia to nie to samo co rozbój w biały dzień, i to z użyciem niebezpiecznego przedmiotu! Facet przekroczył już wszelkie granice.

Kaśka wzięła się w garść i wspięła się na ogrodzenie. Nie wymagało to żadnych specjalnych umiejętności, a jedynie odwagi, żeby wsunąć stopę między stalowe pręty i zaprzeć ją o kuty element dekoracyjny, a następnie podciągnąć się i drugą nogę postawić nieco wyżej. Jako dziecko nie raz wspinała się na drzewa i parkany, czasami zawstydzając swoją brawurą chłopaków z podwórka. Musiała tylko uważać, żeby czerwona sukienka nie zaczepiła się o zaostrome groty, którymi ozdobione były pręty ogrodzenia. Ostrożnie przeszła na drugą stronę i po kilkunastu sekundach zeskoczyła na gęstą trawę już na terenie posesji Komasy.

Przekroczyła Rubikon, bo jeśli przyłapie ją mąż albo jeden z jego pomagierów, nie będą się z nią patyczkować.

Ale chyba baseballem jej nie potraktują?

Zastanawiała się, dlaczego Maks tak się zawział i chce ją ubiec. Tylko dlatego, żeby zrobić jej na złość? Może też potrzebuje pieniędzy. Wprawdzie nachapał się przez te wszystkie lata, ale przepuścił

jeszcze więcej. W Monte Carlo, w Baden Baden, a na Malcie w Dragonara Casino w jeden wieczór utopił kilkadziesiąt tysięcy euro... Hazard. Kolejna ukryta wada tego pozornie perfekcyjnego męskiego oblicza.

Poprzedniego dnia, kiedy w Wilanowie dwaj dresiarze pokazali jej rękopis, Kaśka zauważyła, że trzymają go nie w jakiejś teczce, ale w przezroczystym etui ze szczelnym zamknięciem. Na pewno było wodoodporne, przypominało jej saszetkę, w której Maks przechowywał dokumenty na wynajętym jachcie, którym popłynęli kiedyś z Barcelony do Monte Carlo.

Przemykając na bosaka między drzewami, doszła do narożnika posesji, który przecinał rów melioracyjny. Na jego brzegu rosła sosna, pochylając się lekko w kierunku wody.

Kaśka zrobiła trzy kroki w stronę drzewa i uklękła. Popatrzyła na mętny rów. To będzie jeden szalony strzał, ale nie miała czasu na więcej. Wczoraj już po zmroku, kiedy czatowała, obserwując posesję, zauważyła, że jeden z dresiarzy wyszedł z willi i kręcił się gdzieś tutaj dłużej chwilę, zniknąwszy w zaroślach. Wstała i odłamała gałązkę jakiegoś krzewu. Włożyła jej koniec w wodę i zaczęła przesuwając wzdłuż brzegu. Poczula opór i wyłowiła poskręcane, wpół zgniłe

rośliny.

Już miała poddać się i odpuścić, ale znów zanurzyła gałąź i po chwili wyciągnęła przezroczystą żyłkę, zamaskowaną w ściółce i krzakach, a przywiązaną do korzenia sosny. Po nitce do kłębka... Do drugiego końca żyłki przyczepiona była saszetka z ciemnego brezentu. Leżała na dnie rowu przygnięciona kamieniami. Ciągnąc delikatnie za żyłkę, Kaśka wydobyła ją na powierzchnię.

Drżącymi rękami rozwinęła brezent. W środku było wodoodporne przezroczyste etui. A w nim rękopis. Kaśka przewróciła płócienną okładkę. Rozpoznała nakreślony niezbyt czytelnym, ale równym pismem tytuł *Zapiski sztokholmskie*.

Kidd z niepewną miną wpatrywał się we wnętrze szafy. Stojący w kącie sypialni mebel miał niewielkie gabaryty. Był jednodrzwiowy, skromny. Do pokoju przylegała osobna garderoba, ale była ona królestwem Julii. Nawet po śmierci żony Kidd z niej nie korzystał. Zostawił wszystko jak było, doniósł tylko pozostałe jej rzeczy, które zebrał w domu: dokumenty, kosmetyki i tak dalej.

To nie tak, że nie potrafiłby się pozbyć jej ubrań, zwietrzałych już perfum i przeterminowanych kremów. To były tylko przedmioty należące do zmarłej osoby. Po prostu jak dotąd nie czuł potrzeby, żeby się tym zająć, a garderoby zwyczajnie nie potrzebował. Lata spędzone na walizkach umocniły jego zamiłowanie do minimalizmu. Miał ledwie kilka koszul oraz dwie i pół marynarki. Pół, bo błękitnej lnianej, którą parę lat temu dostał na gwiazdkę od matki, praktycznie nie nosił. Była ekstrawagancka, a on

nie lubił się wyróżniać, a już na pewno nie krzykliwym ubraniem.

Zastanawiał się, czy w ogóle zakładać marynarkę. Wieczór zapowiadał się ciepły, pewnie wystarczy koszula. A może coś jeszcze mniej formalnego?

Od prawie dwudziestu lat nie był na randce. Od razu skarcił się w myślach – spotkanie z poznaną ledwie wczoraj Kaśką nie będzie żadną randką. Absolutnie nie. To jakaś natrętna idea, która wparowała mu do głowy i, jak na złość, nie chce się odczepić.

Niemal całe swoje dorosłe życie spędził z żoną, a po jej śmierci nie umówił się z żadną kobietą, nawet na kawę. Owszem, była koleżanka z pracy. Ale z nią... To też nie były randki. Wyświadczali sobie nawzajem przyjacielską przysługę. Nigdy nie umówili się ani do kina, ani na romantyczną kolację, poza pracą spotykali się jedynie w jej mieszkaniu na Ursynowie. Uprawiali seks, rozmawiali, ale nic więcej. Byli, jak to się mówi po angielsku, *friends with benefits*.

Wrócił myślami do pięknej nieznajomej. Zaraz, czy ich dzisiejsze spotkanie w ogóle dojdzie do skutku? Coś przecież jej wypadło. W jego precyzyjnych inżynierskich standardach zabrakło potwierdzenia. Sięgnął po komórkę i napisał esemesa: „Siódma nadal aktualna?”. Po chwili

namysłu skasował słowo „nadal” i wysłał wiadomość. Miał numer Kaśki, bo sam zaproponował, żeby się nimi wymienili, jeśli zgłosi napaść na policję i będzie potrzebowała, żeby Kidd złożył zeznania.

Rzucił komórkę na łóżko i znów podszedł do otwartej szafy. Wyciągnął zieloną koszulkę polo, którą dostał na urodziny od synów. Rozpiął koszulę, w której był na uczelni, ściągnął ją i odłożył na krzesło.

Usłyszał rytmiczną wibrację komórki. Właściwie zawsze miał ją wyciszoną, nie pamiętał nawet, jaką ustawił melodyjkę. Obstawiał, że Kaśka oddzwania, bo chce odwołać spotkanie i wytłumaczyć mu się. W przeciwnym razie przysłałaby tylko krótkiego esemesa z potwierdzeniem, że aktualne. A może to chłopaki? Nie, jeszcze nie dolecieli. Zerkając na zegarek, próbował szybko obliczyć, o której powinni wylądować w Newark. Jednocześnie podszedł do łóżka. Skrzywił się lekko, spoglądając na wyświetlacz, ale odebrał.

– Halo, mamó?

Dzwoniła teściowa i Kidd od razu wyczuł, że jest jeszcze bardziej poirytowana niż zazwyczaj.

– Myślałeś, Robercie, że się nie dowiem? – zaczęła, nawet nie przywitawszy się.

– O czym?

– Nie o czym, tylko o kim! – powiedziała z naganą w głosie.

Teściowa lubowała się w tego typu suspensach. Rzucała jakieś mgliste oskarżenie, po czym dramatycznie zawieszała głos. Przeciągała rozmowę, zwlekała z wyjaśnieniem, o co jej chodzi, czekając, aż rozmówca się zestresuje. Ale Kidd za dobrze ją znał, by dać się wciągnąć w gierki i manipulacje. Spokojnie milczał. Włączył w komórce tryb głośnomówiący i odłożył ją na łóżko. Z komódki pod oknem wziął dezodorant w sztyfcie.

– Jesteś tam? – powiedziała po chwili teściowa. – O naszych wnukach mówię! O chłopcach. Myśleliśmy z Zenonem... Byliśmy pewni, że przyjadą na wakacje do nas, do Krakowa.

– Przyjadą...

– Nie przyjadą! – weszła mu w słowo. – Pojawią się co najwyżej na jakiś nędzny weekend pod koniec sierpnia! No bo kiedy?

Matka Julii wymawiała to słowo bardziej jak „lykend” niż „likend”. W ramach odpowiedzi Kidd jedynie westchnął. Zamknął dezodorant i odłożył go na komódkę.

– Lepsze ochłapy rzucają hienom w zoo, Robercie. Gumkujesz Zenona i mnie, gumkujesz polskość,

gumkujesz patriotyzm, kompletnie pomijasz nas w ich wychowaniu... No jak my mamy rywalizować z tym tanim blichтром Ameryki... – Teściowa kontynuowała tyradę.

– Mamo, chłopcy nie byli w Stanach od czterech lat...

– Ty chyba próbujesz wyrugać Julię z ich pamięci, z ich życia.

Nawiązanie do zmarłej żony Kidd odebrał jak cios poniżej pasa. Nie chciał odciąć się niegrzecznie, ale aż zacisnął pięści.

Był zły, ale tylko przez ułamek sekundy. Teściowa nie była w stanie wyprowadzić go z równowagi. Choćby nawet zaczęła oskarżać go o śmierć Julii, pozostanie niewzruszony, jego odporność psychiczna była nie do złamania. Spokojnie sięgnął po koszulkę polo i przełożył ją przez głowę.

Leżąca na łóżku komórka dalej trajkotała głosem teściowej, odsądzając go od czci i wiary.

Wróciła z piekła do nieba. Ściskając w ręku swój skarb, kilkanaście zapisanych stron, poczuła gigantyczną radość, a jednocześnie wielki strach. Marzenia, które niemal uznała za stracone, znów udało się pochwycić. Pensjonat w Marsali przestał rozwiewać się niczym miraż na pustyni, ale w każdej chwili mogła go zaprzepaścić, tym razem już na zawsze.

Zaskoczyło ją, że Komasa zdecydował się na tak dziwną, i w sumie ryzykowną, skrytkę. Choć, z drugiej strony, w tym szaleństwie może i była metoda. Żadnemu złodziejowi nie przyszłoby do głowy szukać rękopisu w rowie z wodą. Prędzej przetrząsnąłby wilgę, rozpruł poduszki, a potem ściany, a skończyłby, w żalösnej desperacji rozkręcając gniazdko elektryczne.

Drżącymi rękami wsunęła rękopis z powrotem w wodoodporne etui, które owinęła brezentem. Po czym rzuciła się pędem w kierunku ogrodzenia.

– Ej, stój! – Usłyszała za plecami głos Kosiarza.

A wszystko zaczynało się już tak pięknie układać...

Adrenalina była jak sprężyna. Wybiła Kaśkę do góry. W mgnieniu oka obie nogi zapierały się o metalowe pręty parkanu. Kaśka nie odwróciła się, żeby nie tracić cennej sekundy, nie zatrzymała się. Cisnęła brezent przez szparę między przęsłami, a sama jak jakaś szalona szympansica zaatakowała ogrodzenie. Ręce, nogi, koordynacja ruchów – to wszystko działało jakby poza nią, niezależnie od świadomości.

– Stój, kurwa, Kaśka, bo cię zajebię! Widzę cię! Stój!

Tym razem rozpoznała głos męża. Tak, tego czarującego dżentelmena, konesera piękna i dzieł sztuki.

Nim wrzask Maksa ucichł, już zeskakiwała po drugiej stronie. Ręce łapczywie porwały z trawy brezentową saszetkę. Potem podniosła swoje szpilki, ale wiedziała, że nie ma czasu, by je teraz zakładać. Żeby jeszcze tylko zdążyła dopaść samochodu i odjechać...

Rzuciła się biegiem, z nową nadzieją, ale zaraz jęknęła w myślach i zwolniła kroku, bo zauważyła przy zaparkowanym mini męską sylwetkę. Umundurowany policjant w koszuli z krótkim

rękawem spisywał jej numer rejestracyjny.

Nie, dobry Boże, nie, nie!

Znów dała o sobie znać ironia losu, ten odwieczny wróg. Na ostatniej prostej wsadziła jej kij w szprychy. Pensjonat w słonecznej Marsali powoli zmieniał się w szarą celę więzienia na Białolece.

Pójdzie siedzieć. Jak nic ją przyskrzynią. Przecież przed chwilą przywłaszczyła sobie coś, co do niej nie należy. Ukradła rękopis z willi, w której doszło do brutalnego napadu rabunkowego. Przelazła przez płot i właśnie ucieka z miejsca przestępstwa. Jak nic będzie współwinna.

Kątem oka zauważyła radiowóz, który zaparkował od frontu obok brązowego jeepa Maksa. Zaczęła iść wolno w stronę policjanta stojącego przy jej samochodzie. Serce podeszło jej do gardła. Wiedziała, że musi spróbować przemówić mu do rozumu, wyłgać się, raz jeszcze jeden ostatni wykorzystać swój urok osobisty, ale ze zdenerwowania czuła taki ścisk strun głosowych, że trudno byłoby jej wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk oprócz wycia z rozpacz.

Wbiła ręce w kieszenie kurteczki. Poczwała latarkę z wbudowanym taserem. Zaatakować policjanta? To byłoby samobójstwo... Ale gdyby go zamroczyło tak skutecznie jak tego dresiarza wczoraj... Może wyrwie mu notes, w którym spisał jej rejestrację.

I zdąży odjechać...

Nie, to jakieś rojenia, marzenia ściętej głowy.

Nagle padł strzał. Policjant stojący przy mini odruchowo przykucnął. Po czym poderwał się i pobiegł pędem w stronę frontu, sięgając do kabury z bronią. Spadła mu z głowy czapka z daszkiem, ukazując jasne włosy. Był młody. Chudy szczyl, pewnie niewiele starszy od jej brata. Kaśka pomyślała, że to żadne siły specjalne, prędzej jakiś lokalny patrol. Widocznie ktoś zaalarmował policję, że w willi biznesmena dzieje się coś podejznanego.

Padły kolejne strzały. Dwa, trzy... Kaśka dopadła auta, drżącą ręką wyłączyła alarm i wsiadła do środka. *Zapiski sztokholmskie* rzuciła na siedzenie pasażera, zatrzaskała drzwi i przezornie uruchomiła zamek centralny. Kątem oka zauważyła, że Błażej wyskoczył z jeepa, zdezorientowany zrobił dwa kroki do przodu, potem zaraz się cofnął. Młody policjant zdążył gdzieś zniknąć. Padł za to kolejny strzał.

Jej strach i zdenerwowanie ulotniły się. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Wydawało się jej, że jest na planie jakiegoś filmu sensacyjnego. W prawdziwym życiu to nie mogło tak się potoczyć. A raczej stoczyć. Nie miała jednak teraz czasu, żeby o tym myśleć.

Odpaliła silnik i wystrzeliła z bocznej uliczki, od

razu skręcając w prawo, w Krótką. Byle dalej od tej przeklętej willi.

Jeszcze tylko zerknęła kontrolnie na siedzenie pasażera. Chciała upewnić się, że brezentowa saszetka nie zniknęła.

Była. Z całą swoją cenną zawartością. Kaśka popatrzyła we wsteczne lustro. Nikt za nią nie jechał. Ale nie czuła ulgi. Wiedziała, że odniosła pyrrusowe zwycięstwo. Uratowała się, ale tylko na chwilę. Jej marzenia przepadły. Zamiast w słonecznej Marsali, będzie musiała szukać domu w miejscu, w którym nie obowiązuje europejski nakaz aresztowania.

Odetchnęła tak naprawdę dopiero w windzie swojego apartamentowca. Wreszcie nie musiała skupiać się na prowadzeniu auta, a jednocześnie mieć oczu wkoło głowy, żeby sprawdzać, czy ktoś jej nie ściga, czy w podporządkowanej uliczce nie czai się radiowóz.

Teraz poczuła się bezpiecznie. Ale niewielka przestrzeń i cztery metalowe ściany znów przywołały skojarzenia z całą więzienną. Kaśka wyciągnęła komórkę i odpaliła nawigację. Zaczęła analizować trasę z Warszawy do Wiednia.

Właśnie w stolicy Austrii umówiła się z Księciem. Zadzwoiła przed chwilą do jego asystentki, Joanny, i poprosiła o pilny kontakt. Gdy asystentka przekazała mu słuchawkę, Kaśka ani słowem nie zająknęła się o strzelanie w Konstancinie-Jeziornej. Powiedziała mu tylko, że wszystko się udało i ma dla niego rękopis. Ucieszył się. Początkowo chciał się z nią spotkać dopiero

w przyszłym tygodniu w Rzymie, bo na weekend miał wyjechać, żeby wziąć udział w jubileuszu jakiejś austriackiej arystokratki. Kiedy Kaśka zaczęła delikatnie nalegać, zaproponował spotkanie następnego dnia w Wiedniu. To było i szybciej, i bliżej, a ona chciała już mieć tę przygodę za sobą.

O ile w ogóle będzie to możliwe, żeby wyplątać się ze strzelaniny z policjantami... Maks zgłupiał już do reszty. Co on najlepszego narobił? A może zginął? Tego mu nie życzyła, ale miała nadzieję, że funkcjonariusze go złapali, pobici dresiarze przeżyją, a wszystkie strzały, które słyszała, poszły w powietrze.

Oparła się plecami o zamontowane w windzie lustro i popatrzyła na mapę wyświetlającą się na ekranie smartfona. Najkrótsza trasa, oszacowana przez aplikację na siedem godzin jazdy, biegła autostradą A1, ale potem droga na wysokości Częstochowy zmieniała kolor na czerwony, a trójkątna ikonka z człowieczkiem ze szpadłem sygnalizowała roboty drogowe. Może lepiej będzie jednak pojechać na Kraków, a potem odbić? Trasa dłuższa, ale bez żadnych przeszkód... Potem Czechy, Austria... I zostanie milionerką. Może jednak policjant, który spisał jej rejestrację, nie powiąże jej auta z napadem na willę Komasy?

Może takie są rutynowe działania, że spisuje się wszystkich i wszystko wokół podejrzanego miejsca?

Zagapiła się i nie zauważyła, kiedy winda stanęła. Drzwi rozsunęły się, a kiedy Kaśka ocknęła się z zamyślenia, zaczęły się już z powrotem zasuwac. Zablokowała je nogą. W tym momencie otworzyły się drzwi mieszkania naprzeciwko i stanął w nich Wciągi brzuch. Jego koszula khaki z krótkim rękawem była jeszcze bardziej rozchełstana niż poprzednio.

– Sąsiadko kochana, dobrze, że znowu na siebie wpadamy... – powiedział, podkrecając nerwowym ruchem wusa. – Właśnie wychodziłem do sklepu.

– Jaki zbieg okoliczności... – Kaśka z trudem powstrzymała się, żeby nie odpowiedzieć kpiąco.

Wysiadła z windy i ruszyła energicznie korytarzem, dając mu do zrozumienia, że się spieszy. Pogaduszki ze Wciągi brzuchem były ostatnią rzeczą, na którą miała teraz ochotę. Musiała jak najszybciej spakować się i wyruszyć na spotkanie z Księciem. Zabrać cały swój skromny dobytek, bo już raczej nigdy nie będzie mogła wrócić do wynajmowanego mieszkania. Nie ma co się łudzić, numer rejestracyjny jej auta jest zapisany w notatniku policjanta. Namierzają ją, to tylko kwestia czasu.

– Tak sobie pomyślałem, że jak oni już tam

skończą, to ja sąsiadce pomogę. Przecież trzeba będzie nowy zamek wprawić...

– Słucham? – Kaśka zatrzymała się w pół kroku i odwróciła w stronę Wciągi brzucha.

– Nie ma sensu ryzykować. Przecież mogli dorobić klucze. Ale sąsiadka się nie martwi, ja sąsiadce pomogę... – Zrobił dwa kroki w stronę Kaśki i położył jej rękę na ramieniu, niby gestem pełnym wsparcia.

Natychmiast ją strząsnęła.

– Jacy „oni”? O czym pan mówi?

– No przecież policja. Prowadzą już czynności... Pójść z sąsiadką? Potrzytać za rączkę?

Kaśkę zmroziło. Poczwała, że nogi się pod nią uginają, a w gardle formuje się gęła. Jakim cudem już u niej byli?! Namierzyli ją tak szybko? Czy raczej nadgorliwy Wciągi brzuch jednak zadzwonił, żeby zgłosić włamanie? Nieważne. Musi uciekać!

– Przepraszam, zapomniałam coś z samochodu – wymamrotała i cofnęła się do windy. Nerwowo nacisnęła przywołujący ją guzik, drzwi rozsunięły się od razu.

– Zupełnie gratisowo zamontuję to sąsiadce... No, sąsiadka postawi... Symboliczne winko, bo kwiatów nie piję. – Zaśmiał się z własnego żartu. – I będziemy kwita...

Kaśka wcisnęła guzik „-1” i kiedy drzwi już się

zasuwały, posłała Wciągi brzuchowi piorunujące, pełne pogardy spojrzenie. Wiedziała, że nigdy więcej faceta nie zobaczy.

Jadąc na dół, klęła w myślach, chowając twarz w dłoniach.

Była pewna, że będzie miała chwilę, chociaż kwadrans, żeby się spakować. Ale nie mogła ryzykować, nawet jeśli policja w jej mieszkaniu jest w związku z włamaniem, a nie strzelaniną w Konstancinie. Trudno. Najpotrzebniejsze rzeczy kupi gdzieś po drodze, a o tych najważniejszych i najdroższych sercu będzie musiała zapomnieć.

Kilka zdjęć z ostatnich wspólnych wakacji z rodzeństwem i z rodzicami, podczas których pojechali nad jezioro... Miała wtedy szesnaście lat i choć wiedziała, że będą ostatnie, przez kilka krótkich chwil była szczęśliwa. Zdjęcie babci, jeszcze czarno-białe, wisiorok z ametystem, który od niej dostała. Szkoda jej było tych kilku okruchów przeszłości. Kolejna strata, którą zafundował jej Maks.

Na szczęście portfel i dokumenty, łącznie z paszportem, miała przy sobie, w swojej wiernej listonoszce. Komputer już i tak został ukradziony. Ładowarkę do telefonu kupi, kosmetyki, bieliznę... Wszystko kupi. Od jutra przecież będzie bogata.

Może jednak powinna zadzwonić na policję?

I spróbować wytłumaczyć, że nie miała nic wspólnego z działaniami swojego męża. Ale oczywiście nie tu, nie teraz. Lepiej nie ryzykować.

Wysiadła z windy na poziomie minus jeden. Otworzyła metalowe drzwi prowadzące na podziemny parking. Zrobiła dwa kroki i raptownie kucnęła, znów klnąc pod nosem. Już z daleka zobaczyła, że przy jej aucie stoi brązowy jeep Maksa.

Osaczona. Atakują ją z obu stron.

Myślała, że zdoła wycofać się po cichu. Ale w tym momencie metalowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Namacała klamkę, jednak musiała się podnieść, żeby je otworzyć. Zauważyli ją. Zarejestrowała kątem oka, że z jeepa wyskoczyły dwie osoby.

Zaczęło robić się naprawdę gorąco. Wiedziała, że w kilka sekund ją dopadną. Na szczęście winda znów na nią czekała. Kaśka wsiadła i wcisnęła guzik z cyfrą zero. Potem w panice zaczęła stukać w przycisk przyspieszający zasunięcie się drzwi. Przez kilka sekund umierała ze strachu, bo gdyby zdążyli i dopadli ją tutaj... Na szczęście winda szarpnęła i ruszyła w górę, sekundę zanim usłyszała krzyk Maksa i łomot. Sfrustrowany walił pięścią w metalowe drzwi i krzyczał, żeby przestała mu uciekać.

Podróż na dystansie jednego piętra dłużyła się Kaście niemiłosiernie. Zdawało się jej, że upływają minuty, nie sekundy. Zdążyła przeanalizować swoją sytuację. Była odcięta od mieszkania, w którym urzędowała policja, i od samochodu. Gonią ją zdesperowani bandyci, którzy kilkadziesiąt minut wcześniej wdali się w strzelaninę z policją.

Winda zatrzymała się, ale znów całą wieczność trwało, nim drzwi się rozsunęły. Kaśka nie czekała do końca, przecisnęła się przez wąską szczelinę, po czym wybiegła z lobby apartamentowca, stukając obcasami po granitowej posadzce.

Znalazła się na ulicy. Na razie jej jedynym celem było oddalić się od podwójnego kotła. Ruszyła przed siebie.

Obróciła głowę w kierunku drzwi wejściowych.

Kurwillo!

Maks i Kosiarz właśnie wybiegali z budynku. Pewnie nie czekali na windę, tylko pognali klatką schodową. Byli dosłownie dziesięć metrów za nią. Zaś tuż obok niej, na chodniku przy kwadratowym spłachetku ziemi, na którym rosło drzewo, parkował radiowóz. Nie była pewna, czy w środku ktokolwiek siedzi. Wolała nie sprawdzać, nie zerkać, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi.

Przyspieszyła kroku, ale wiedziała, że nie ma

z nimi szans. Dogonią ją, dopadną. Co jej zrobią w biały dzień i w środku miasta? Będzie wrzeszczeć i wierzgać?

Była pewna, że w ręku Kosiarza błysnęło ostrze noża. Wyrwą jej torebkę, jak nic, dźgną, jeśli będzie się stawiać! W panice rzuciła się przed siebie. Nagle kątem oka zobaczyła parkującą właśnie obok radiowozu czarną alfa romeo giuliettę. Za kierownicą siedziała znajoma postać. Niewiele myśląc, Kaśka podbiegła do samochodu i otworzyła drzwi od strony pasażera.

– Cześć – rzuciła do Roberta Kidda. – Fajnie, że jesteś.

– Nie byłem pewien, czy się w końcu umówiliśmy, bo nie odpisałaś – rzucił Kidd.

– Jedźmy! – krzyknęła. – Przepraszam, miałam urwanie głowy. Jedź! Szybko! Tu nie można stać!

Kłamała, ale musiała nakłonić go do natychmiastowego działania. Kidd sprawnie wycofał auto, wykręcił i ruszył Hożą. Zdążyła jeszcze zarejestrować wściekłą minę Maksa i jeszcze bardziej przerażającą, bo kompletnie pozbawioną wyrazu twarz Kosiarza.

Wyleciało jej z głowy, że umówiła się z Kiddem. Włamanie do jej mieszkania, rajd do Konstancina, kradzież, strzały, podwójny kocioł przed chwilą... Stres i adrenalina całkowicie zawładnęły jej umysłem. Przedpołudniowe spotkanie z Kiddem na politechnice było zdarzeniem jakby z poprzedniego życia. Kiedy ustawiała w komórce nawigację do Wiednia, mignął jej esemes od niego z prośbą o potwierdzenie spotkania, ale nie miała głowy,

żeby odpisać.

Dziękowała losowi, że mimo wszystko przyjechał. Od początku czuła, że solidna z niego firma. Drugi raz ją uratował! Wolała nawet nie myśleć, co by się z nią stało, gdyby go zabrakło. Dopadłby ją Maks z Kosiarzem albo policja, albo jedni i drudzy.

– A nie mieliśmy iść do tej restauracji na rogu? – spytał, nie odrywając wzroku od drogi. – Dokąd właściwie jedziemy?

Wyszykował się. Nie jakoś obscenicznie, pomyślała, ale poczuła wyraźny zapach wody kolońskiej. Miał na sobie stalowoniebieskie spodnie i koszulkę polo w kolorze zieleni Veronesego. Milczała, próbując zebrać myśli, więc po chwili posłał jej krótkie, uważne spojrzenie.

– Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście – powiedziała, siląc się na spokój, ale jednocześnie obróciła się nerwowo i znów popatrzyła przez tylną szybę, żeby upewnić się, czy nie goni ich brązowy jeep albo samochód policyjny. – Co mówiłeś?

– Pytałem, dokąd jedziemy.

– Na Centralny.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie, ale nie skomentował.

– Dworzec? – upewnił się.

– Niestety – westchnęła. – Przepraszam cię, ale

znów coś mi wypadło. Będziemy musieli odłożyć naszą randkę... Muszę pilnie wyjechać.

Zachnęła się w myślach. Powiedziała „randka”, choć przecież niczego takiego nie ustalili. Co on sobie pomyśli? Że na niego leci?

Nieważne. Jego też już nigdy więcej nie zobaczy.

Żałowała, ale przecież nie było jeszcze czego. Głupota i chciwość Maksa namieszały w jej życiu masakrycznie. Tak bardzo, że jeszcze nie do końca to do niej dotarło. Przepadły rzeczy osobiste, pamiątki, samochód. Znajomość z Kiddem też przepadła, nim właściwie jeszcze w ogóle się zaczęła. A najgorsze w tym wszystkim było to, że mąż zniszczył jej przyszłość. Przecież nie będzie mogła kupić domu na pieprzonej Sycylii, bo ten idiota wplątał ją w przestępstwo. Choć bezcenny rękopis ukradła sama, Maks uwikłał ją w strzelaninę z policją. A to była katastrofa już nie do odkręcenia...

– Jasne, nie ma sprawy – odparł beznamiętnym głosem Kidd i wrzucił prawy kierunkowskaz. – Czyli na Centralny.

Maskował się czy odwołana randka w ogóle go nie obeszła?

Próbowała sklecić naprędce jakieś kłamstwo, które wyjaśniłoby nagłą zmianę planów. Kidd przyjął je do wiadomości, nie drążąc tematu. Przez

chwilę jechali w milczeniu. Nie mieli daleko, choć na Chałubińskiego zrobił się jakiś dziwny korek.

– Fajny samochód – rzuciła, żeby przerwać ciszę.
– Z charakterem.

– Stary – odparł Kidd, ale po chwili chyba uznał, że wypadałoby rozwinąć temat. – Pora rozejrzeć się za czymś nowszym. Chociaż nigdy jeszcze mnie nie zawiodła.

Żartobliwym gestem pogładził i poklepał deskę rozdzielczą. Zwróciła uwagę na jego dłonie: silne, ale zgrabne. Na pewno nie był alpinistą, bo gdyby wspinał się w górach, miałby bardziej chropowate łąpska.

– Naprawdę przykro mi, że musiałam odwołać. – Kaśka wróciła do tematu.

– Nie ma sprawy.

Rozmowa się nie kleiła. Kidd i tak nie był mistrzem elokwencji, z tego, co zauważyła. Używał krótkich zdań albo nawet równoważników. A ona myślała gorączkowo o tysiącu innych spraw. Musi kupić bilet kolejowy do Wiednia, a jeśli coś zostanie, wymienić resztę pieniędzy na euro. Dalej: kupić bieliznę, kosmetyki, ładowarkę do telefonu. Musi dojechać na miejsce, sfinalizować transakcję z Księciem, potem zaś sprawdzić, co dokładnie stało się w Konstancinie i co jej za to grozi...

Będzie musiała zniknąć. Tylko, kurczę, gdzie

i jak? Może jakoś nielegalnie przedostanie się z Grecji na terytorium Cypru Północnego, gdzie jej nie capną, nie wydadzą... Słyszała, że są tam tanie nieruchomości, choć pensjonatu przecież nie poprowadzi...

Kidd przebił się w końcu przez korek, skręcił w prawo w Aleje Jerozolimskie i chwilę później wjechał na zapchany parking przy Dworcu Centralnym. Samochody stały zaparkowane, jeden obok drugiego, w trzech zwartych rzędach. Nie było ani jednego wolnego miejsca, a jedynie wąska alejka, którą można było objechać parking naokoło.

– Nie da rady tu nigdzie stanąć. W takim razie...
– Kidd zatrzymał auto tuż przy wyjeździe z parkingu. Obrócił się w stronę Kaśki. – Chyba tu musimy się pożegnać.

– No niestety...

– Bezpiecznej podróży.

– Dzięki za wszystko. Naprawdę...

Kierowca samochodu za nimi zatrąbił niecierpliwie.

– Mam twój telefon – powiedziała, siląc się na uśmiech. – Odezwę się, jak tylko załatwię... tę sprawę.

Kłamstwo przyszło jej zaskakująco łatwo. Wysiadła, trzasnęła drzwiami. Kidd ruszył natychmiast, ostrożnie przeciskając się autem obok

niemiłosiernie brudnego busa, z którego wysiadali pasażerowie, rozprostowując kości. W powietrzu czuć było smród spalin, mimo wieczoru nadal było gorąco i parno, ale cumulonimbusy wypiętrzały się z jeszcze większym rozmachem niż wczoraj.

Kidd wyjechał z parkingu, skręcił w Emilii Plater. Kaśka zobaczyła, że jeszcze oderwał rękę od kierownicy i podniósł ją w pożegnalnym geście. Odmachnęła mu i poczuła w sercu nieprzyjemne ukłucie.

Fajny facet – pomyślała. Ale jak się wybrało kretyna na męża, to trzeba ponieść konsekwencje.

Kaśka wbiegła po schodach, rozsunęły się drzwi sterowane fotokomórką i już była w hali głównej Dworca Centralnego, w której kłębiło się od podróżnych.

Wszystko działo się tak szybko, że nie miała nawet czasu sprawdzić rozkładu pociągów. Wychodziła jednak z założenia, że po prostu musi jak najszybciej wyjechać z Warszawy. Nawet jeśli o tej porze nie będzie bezpośredniego pociągu do Wiednia, pojedzie gdziekolwiek, byle na południe. Katowice, Kraków albo nawet Praga? Może spędzi tam noc i dopiero jutro będzie kontynuować podróż na spotkanie z Księciem. Już bezpieczna i spokojna, że Maks oraz jego ludzie nie dopadną jej, by zabrać rękopis, a policja nie zatrzyma jej w związku ze strzelaniną w Konstancinie.

W hali zaczynały kłaść się długie cienie. Przez panoramiczne okna wpadały promienie

zachodzącego słońca. Kręciło się tu kilkadziesiąt osób, może ponad setka, niektórzy stali w kolejkach do kas, inni wjeżdżali z bagażami na antresolę, żeby wypić kawę. Ktoś nerwowo biegł w stronę tablicy świetlnej, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach.

Kaśka podeszła do długiej ściany kas, ale nie zatrzymała się przy żadnej z nich. Naliczyła aż troje policjantów, więc wolała nie ryzykować. Jeszcze nie daj Boże zrobi nerwową minę, zwróci na siebie ich uwagę, zechcą ją wylegitymować...

Niezrażona przecięła halę i zeszła schodami na niższy poziom. Z tego, co pamiętała, w podziemnych zakamarkach dworca znajdowało się jeszcze kilka kas. Uznała, że bezpieczniej będzie skorzystać z jednej z tych nie na widoku. Albo może z samoobsługowej? Tak na wszelkie wypadek, żeby nie kusić losu. W międzyczasie podeszła do tablicy odjazdów. Poczowała radosną ekscytację, bo o siódmej trzydzieści pięć, a więc za niewiele ponad kwadrans, odchodził pociąg do Wiednia.

Uznała, że taki zbieg okoliczności to musi być zrządzenie losu. Znak, że zła passa się skończyła. Może w momencie kiedy zawalczyła o swoje i przechwyciła rękopis, coś w mechanice nieba się przestawiło i zabłysła jej szczęśliwa gwiazda?

Choć w sumie lepiej by było, gdyby pociąg nie

odchodził tak zaraz. Zdążyłaby nie tylko kupić bilet, ale wymienić pieniądze na euro, a przede wszystkim zaopatrzyć się w sąsiadującej z dworcem galerii handlowej w najpotrzebniejsze drobiazgi. Trudno, wszystko kupi dopiero w Wiedniu. Najważniejsze, że znajdzie się w nim jutro z samego rana. Może już w południe zje lunch z Księciem, bogatsza o milion.

Niestety, optymizm równie szybko jak się pojawił, wyparował. I zaczął ustępować miejsca kielkującej panice. Kolejna kasa biletowa, którą Kaśka minęła w podziemiach, była obstawiona przez policję. Łudziła się jeszcze, że to jakieś rutynowe działania, ale wolała nie ryzykować i poszła dalej. Postanowiła wsiąść do pociągu na gapę i kupić bilet u konduktora.

Wiszący pod sufitem zegar pokazywał dziewiętnastą dwadzieścia dziewięć. Zostało sześć minut. Kaśka zaczęła zjeżdżać ruchomymi schodami na peron trzeci, przy którym miał zatrzymać się pociąg do Wiednia. Już wyświetlił się na tablicy informacyjnej. Większość podróżnych wypatrywała go, patrząc w czarną czeluść tunelu.

Wzrok Kaśki prześlizgnął się na ekran telewizora zawieszonoego na słupie. Wypełniała go grafika z konturem Polski, który pokrywały ikonki chmurek z błyskawicami. Czyli w końcu lunie

i będzie burza.

Na dole ekranu przesuwiał się żółty pasek. „PILNE: Strzelanina w Konstancinie-Jeziornej pod Warszawą, dwóch policjantów nie żyje, trwa obława...” Kaśkę zalała fala gorąca, poczuła, że nogi się pod nią uginają i z największym trudem na nich ustała. Schody ruchome zafalowały, musiała złapać się poręczy.

Zabici policjanci? Łudziła się, że skończyło się na ostrzegawczych strzałach, może ktoś został ranny... Teraz to ma przesrane.

Przed ekranem stało kilka osób, które z zainteresowaniem oglądały prognozę pogody. Chwilę później pasek zniknął i zaczęły się reklamy. Kiedy Kaśka oderwała wzrok od telewizora, dostrzegła, że po peronie przechadzają się dwaj policjanci, którzy bacznie rozglądają się wśród podróżnych.

Panika zawładnęła jej umysłem. Trudno już było ocenić, co jest realnym zagrożeniem, a co paranoją. Była pewna, że ci wszyscy funkcjonariusze, którzy rozmnożyli się i obstawiają dworzec, są częścią obławy. Między innymi na nią! Kiedy dotarła do końca ruchomych schodów, natychmiast pojechała z powrotem na górę, a nogi trzęsły się jej, tak że ledwo na nich stała.

Głupi rękopis, cenny, ale przecież nie aż tak. To

nie był obraz, żaden tam van Gogh wart ponad sto milionów euro ani rzeźba Giacomettiego w podobnej cenie. Zresztą nawet Mona Lisa nie była warta tego, żeby za nią zabijać.

Dworzec Centralny nagle wydał się jej pułapką, z której jak najszybciej powinna uciekać. Pomyślała, że może policja błyskawicznie ją namierzyła, podsłuchiwała jej rozmowę z Księciem i już wiedzą, że będzie chciała dostać się do Wiednia. Dlatego obstawili dworzec. Jadąc ruchomymi schodami na górę, próbowała odwracać dyskretnie głowę, żeby upewnić się, że nie ściągnęła na siebie uwagi patrolujących peron policjantów.

W tym momencie zobaczyła światła metalowego kolosa, który wynurzył się z tunelu. Narastający huk pociągu zagłuszył komunikat wypowiedziany komputerowym kobiecym głosem. Kaśka zawahała się jeszcze przez moment. Może jednak powinna zaryzykować i wsiąść, i uciec stąd przez Katowice, Chałupki, Bohumin i Breclav? Kilka godzin stresu, ale o świcie byłaby już w Wiedniu...

Bijąc się z myślami, dojechała do końca ruchomych schodów. Kiedy zeszła z nich na górnym poziomie, prawie wpadła na kolejnych dwóch funkcjonariuszy. Z największym trudem powstrzymała się, żeby nie rzucić się do ucieczki,

a tylko – w miarę naturalnym gestem – odwrócić głowę i jak gdyby nigdy nic ruszyć przed siebie.

Była załamana, ale nie zamierzała się poddawać. Po trwającej kilka chwil rozsypce wzięła się w garść i starała się myśleć jasno. Obstawienie dworców to na pewno rutynowe działania w przypadku obławy na groźnych przestępców. Z pewnością obstawiają też trasy wylotowe z Warszawy, próbując namierzyć jej samochód i jeepa Maksa.

Może powinna już teraz zgłosić się na policję i wszystko opowiedzieć?

Przecież jej nie uwierzą. A jak złapią Maksa, może już złapali, to skurczysyn na pewno nie powie, że ona nie miała nic wspólnego z jego morderstwami. Kochany mężulek z dziką rozkoszą pociągnie ją na dno.

Wdepnęła w to gówno na dobre. Dlatego musi się wyrwać z obłączenia i uciec z Warszawy. Inaczej już po niej.

– Trzeba ją zatrzymać! Przecież to Sobańska... – Młody stał jak zahipnotyzowany przed ekranem, który zajmował całą ścianę w centrum dowodzenia operacją „Sarajewo”. Pomieszczenie znajdujące się na terenie jednostki wojskowej na obrzeżach Ursynowa zwane było „Game Room”, czyli Pokojem Gier. Na wyświetlacz składało się dziewięć połączonych ze sobą czterdziestocalowych monitorów, ustawionych w trzech kolumnach i rzędach. Lewy dolny ekran wyświetlał czarno-biały obraz z kamery monitoringu na Centralnym, na którym widać było zgrabną sylwetkę kobietą w skórzanej kurtce, z torebką przewieszoną przez ramię, która szybkim krokiem przemierzała dworcowy korytarz.

– Tam są nasi. – Młody pokazał palcem dwóch policjantów.

Wiedział, że ważniejsze jest w tym momencie złapanie Maksymiliana Sobańskiego i jego ludzi,

ale ich na razie nie byli w stanie namierzyć. Po strzelaninie w Konstancynie-Jeziornej bandyci, którzy mieli krew na rękach, zapadli się jak pod ziemię.

– Przeszła metr od nich, dlaczego nikt nic nie robi? – odezwał się znowu. – Trzeba im powiedzieć...

– Zamknij się – warknął Szeff.

Młody spojrzał na niego z wyrzutem, ale zastosował się do polecenia. To był jeden jedyny moment tego wieczoru, kiedy Szeff stracił nad sobą panowanie.

W centrum operacyjnym trwał chaos, który zaczął się w momencie, gdy nadeszły informacje o strzelaninie z udziałem policjantów.

Na niewielkiej przestrzeni uwijało się kilkanaście osób. W pomieszczeniu nie było okien, światło padało z umieszczonych w podwieszanym suficie lamp ledowych. Oprócz centralnego ekranu w Pokoju Gier znajdowały się cztery biurka, a na środku stał niewielki stół konferencyjny. Klimatyzacja była ustawiona na maksimum, ale nie dawała rady.

Na co dzień oprócz Młodego pracowało tu najwyżej pięć-sześć osób, biorących udział w operacji „Sarajewo”. Niespodziewane wypadki dzisiejszego popołudnia podwoiły, a nawet potroiły

personel. Na dokładkę w ministerstwie zawiązał się sztab kryzysowy.

Nikt nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Młody za nic w świecie nie chciał być teraz w skórze Szefa. W ciągu kilku chwil wszystko się posypało. Starannie zaplanowana, koronkowa akcja zamieniła się w krwawą jatkę.

Napad na willę, strzelanina z policjantami... To się nie miało prawa wydarzyć. Nie tropili przecież mafii ani żadnego gangu. Owszem, Maksymilian Sobański stworzył zorganizowaną grupę przestępczą, ale zajmowała się nielegalnym wywozem z Polski dzieł sztuki. Jej członkowie uciekali się czasem do przemocy, zastraszając sprzedających albo wręcz rabując cenne przedmioty. Ale nigdy wcześniej nikogo nie zabili, nie spowodowali nawet bezpośredniego zagrożenia życia.

Ujęcie grupy Sobańskiego miało być wielkim triumfem i zwieńczeniem wielomiesięcznych starań specjalnego zespołu, do którego niedawno dołączył Młody. Usiłowali zatrzymać drenaż bezcennych dzieł sztuki. Zamiast tego mieli na razie trzy trupy w Konstancinie, w tym dwóch policjantów, a jeden facet z pękniętą czaszką walczył o życie w szpitalu.

– Sobański ma brata ciotecznego w Ursusie – powiedział stanowczym tonem łysy

czterdziestoparolatek o surowej, pooranej zmarszczkami twarzy. – Patryk Kaniewski, wyślijcie tam kogoś, tylko, kurwa, ze wsparciem.

Młody nie miał pojęcia, kim jest łysy facet, pojawiło się tu kilka nowych twarzy. Góra uznała, że sobie nie radzą, i zrobiła im desant fachowców. Formalnie to nadal Szef wydawał rozkazy, ale nie ulegało wątpliwości, że beknie za ten pieprzony Konstancin. Poleci, to na pewno, może już działa tu zarząd komisaryczny, który powoli odsuwa go od sprawy.

Ale kto mógł przewidzieć, że Sobański tak się zradykalizuje? Chociaż pewnie popełnili błąd, nie uprzedzając lokalnych policjantów. Młody był prawie pewien, że jednego z nich spotkał kiedyś na jakichś zawodach albo szkoleniu... To rzeczywiście był błąd Szefa, który ograniczał przepływ informacji do minimum, bo obsesyjnie bał się przecieku i dekonspiracji „Sarajewa”. Nawet Młody nie wiedział wszystkiego o przeprowadzanej operacji, a co dopiero zwykłe krawężniki z jakiegoś posterunku pod Warszawą.

– Młody! Nie stój tak. – Szef zrugął go już na spokojnie. – Ustal adres tego Kaniewskiego. Ale już!

– Jasne! – odpowiedział gorliwie i wycofał się, żeby zejść mu z oczu.

Usiadł przy swoim stanowisku i poruszył myszką, żeby zlikwidować wygaszacz ekranu z plakatem z najnowszego filmu o Bondzie, który nagle wydał mu się infantylny. W sumie ucieszył się, że dostał coś do roboty, bo przez ostatni kwadrans krążył chaotycznie po Pokoju Gier, udając, że jest zajęty.

Zerknął na dziewczynę, która siedziała przy biurku obok. Agata Bartnicka była od niego ledwie dwa lata starsza, sprawdził to w jej aktach. Może zanim dołączył do zespołu, to ona nosiła przezwisko „Młoda”? Rzadko się uśmiechała. Poważna, skupiona mina nadawała jej wygląd osoby dojrzałej i wielce profesjonalnej. A jednocześnie miała piękną, dziewczęcą twarz. Taką w typie hollywoodzkim: kształtny, zadarty nosek, jasne blond włosy upięte w koński ogon, duże niebieskie oczy. W ramach wdrażania się w „Sarajewo” Młody czytał niedawno książkę o Beksińskich, którego obrazy często gęsto były wyprowadzane przez gang Sobańskiego. Dowiedział się z niej, że znany malarz miał słabość do kobiet z zadartymi noskami. Początkowo wydało mu się to śmieszne, ale patrząc na Agatę, zaczynał rozumieć, że coś w tym jest...

Skarcił się w myślach, bo przecież mają armagedon, a on rozprasza się, myśląc o dupach. Ale ostatnio był tak przepracowany, że miał coraz

większe kłopoty z koncentracją. Sytuacji nie poprawiał fakt, że nie uprawiał seksu, wyżywał się tylko na siłowni i onanizując się pod prysznicem po treningu. Mieszkał z matką, emerytowaną nauczycielką, która próbowała go kontrolować i obsesyjnie nasłuchiwała wszelkich odgłosów.

Pomylił się, wklepując swoje hasło. Jezu, trzy trupy, dwaj policjanci... Skup się, człowieku!

Jeszcze raz zerknął w kierunku sąsiedniego biurka. Agata była pochłonięta rozmową przez zestaw słuchawkowy, jednocześnie notowała przekazywane informacje na bloczku żółtych karteczek samoprzylepnych. Młody miał nadzieję, że była zbyt zajęta działaniem, by usłyszeć, jak SzeF go przed chwilą zgasił.

Rzeczywiście jak głupi wyskoczył z tym zatrzymaniem Sobańskiej. Gdyby ją teraz zdjęli, jedyny pożytek byłby taki, że złapałiby niebezpieczną ślicznotkę, która Młodemu kojarzyła się ze złą macochą z bajki Disneya, ale to pewnie przez te ciemne włosy. A SzeF zapewne liczy, że bandyci się kontaktują. Jak teraz założą jej ogon, Sobańska doprowadzi ich do reszty.

Chcąc zachować chociaż cień szansy na ocalenie tyłka, musieli wyłapać ich wszystkich, łącznie z szefem tej całej grupy przestępczej, czyli facetem o pseudonimie Książę. Muszą zmazać tę hańbę,

jaką była akcja w Konstancinie. To musi być spektakularne uderzenie. Polecą albo głowy przestępców, albo ich.

Młody, szukając w bazie Patryka Kaniewskiego, szykował się na długi wieczór i pewnie jeszcze dłuższą noc. W ogóle go to nie deprimowało. Wręcz przeciwnie, mimo zmęczenia cieszył się, i to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze coś się działo, coś ekscytującego, dzięki czemu może nauczyć się nowych technik operacyjnych. Po drugie, spędzi tę noc w towarzystwie Agaty.

Pół godziny po ucieczce z Dworca Centralnego Kaśka wysiadła z autobusu linii 175 na przystanku „Lotnisko Chopina – odloty”. Nie była tak głupia, żeby ryzykować podróż samolotem. Wiedziała, że jeśli pociągi są obstawione, to ruch lotniczy tym bardziej.

Z zazdrością patrzyła na trójkę pasażerów, którzy wraz z nią dojechali do końcowego przystanku: dwóch dwudziestoletnich chłopaków z plecakami oraz szykowną pięćdziesięciolatkę z walizką na kółkach w ładnym odcieniu różu indyjskiego. Na ich twarzach malowało się radosne podekscytowanie, które zwykle towarzyszy dalekiej podróży.

Na twarzy Kaśki zaś nadal gościła niepewność. Ale też determinacja. Zeszła schodami na poziom niżej, na którym znajdował się terminal przylotów. Uśmiechnęła się do siebie, bo pomyślała, że to na pewno ostatnie miejsce w Warszawie, w którym

szukałaby jej policja i Maks. Gdyby tylko mogła gdzieś się tu zaszyć i przeczekać burzę... Siedziałyby sobie w kafejce, popijając horrendalnie drogą kawę. Pies z kulawą nogą by się nią nie zainteresował. Patrzyłaby na przewijającą się rzekę podróżnych, a w końcu wstałaby, kupiła bilet, przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa i niecałą godzinę później lądowałyby w Wiedniu. A wieczorem tego samego dnia mogłaby być na Sycylii, podpisywać u notariusza umowę kupna nieruchomości...

Wygnała z głowy nierealne marzenia. Musi się skupić i działać. Przyjechała na lotnisko w konkretnym celu. Ponieważ dworce były obstawione, a policja zapewne pilnowała też jej samochodu w podziemnym garażu na Hożej, Kaśka postanowiła wypożyczyć auto i tym sposobem dostać się do Wiednia. Wylotówki z Warszawy na pewno też są obstawione, ale przecież policja nie będzie zatrzymywać każdego. Spróbują wyłować jeepa Maksa i jej mini, więc wypożyczoną skodą czy toyotą powinna się wymknąć, pośród setek, jak nie tysięcy, skód i toyot wyjeżdżających z miasta w każdej godzinie.

W hali przylotów roilo się od firm oferujących wynajem samochodów: Hertz, Sixt, Avis, Europcar, Yourrent, Global Rent i parę innych. Przemierzając

przestronne, jasno oświetlone wnętrze, w którym dziesiątki podekscytowanych ludzi czekało na swoich bliskich, Kaśka tęsknym wzrokiem omiotła tablice wyświetlające informacje o przylotach i odlotach. Rzym, Paryż, Ateny... Los drwił z niej okrutnie, machając przed nosem dokładnie tym, czego nie mogła mieć.

Kilka metrów przed nią potężny, miśkowaty facet rozłożył szeroko ramiona i złapał w nie roześmianą drobną blondynkę, która przed momentem wyszła przez rozsuwane drzwi. W jednej chwili zaroilo się od podróżnych, którzy witali się ze swoimi bliskimi albo szli od razu w stronę wyjść z terminalu. Kaśka, nie zatrzymując się, zaczęła grzebać w listonoszce w poszukiwaniu portfela.

– Niestety, do wypożyczenia samochodu absolutnie wymagany jest dokument ze zdjęciem – usłyszała trzy minuty później.

Gnojek wyglądał jej na co najwyżej maturzystę. Chudy, w białej koszuli pod tandetnym poliestrowym krawatem w srebrzącą się jodełkę. W rzeczywistości pewnie był studentem zatrudnionym na śmieciówce, który szpanuje kolegom i dziewczynom, że pracuje na lotnisku. Kaśka obstawiała, że dwie, góra trzy stówki załatwią sprawę. O ile nie wystarczy jeden jej uśmiech.

– Panie... Jak pan ma na imię? – Zamrugła rzęsami, wchodząc w rolę zagubionej, potrzebującej pomocy istotki.

– Ścibor.

Ja pierdolę, pomyślała, ale powstrzymała złośliwy uśmiezek, który już formował się na jej twarzy.

– Panie Ściborze, wiem, że wymagany jest dokument ze zdjęciem. – Kaśka nadal grała Sierotkę Marysię. – I pewnie karta kredytowa...

– Oczywiście... Takie mamy procedury, ale kaucja jedynie zostanie zablokowana na czas wypożyczenia...

– Tak, wiem. I chwała Bogu za te procedury. Ale tak się też składa, że ja dokumenty i kartę kredytową zostawiłam w Wie... we Wrocławiu – kłamała. – I właśnie potrzebuję samochodu, żeby po nie pojechać...

– Do Wrocławia? – odpowiedział niepewnie Ścibor, gdy zawiesiła znacząco głos.

– Otóż to. I co teraz, panie Ściborze? Mam tylko gotówkę... Do samolotu też nikt mnie nie wpuści bez dowodu... Co ja mam teraz zrobić?

W odpowiedzi chłopak wyszczerzył w uśmiechu równe, choć drobne zęby, które pasowały bardziej do dziecka niż dorosłego mężczyzny. Wzruszył ramionami.

– Niech pani pojedzie pociągiem – odparł po chwili, dumny jak paw ze swojego pomysłu.

Kaśka przygryzła dolną wargę. Miała ochotę walnąć go albo chociaż potargać starannie wymodelowane włosy w ładnym kasztanowym odcieniu. Pilnowała się, ale po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło, czego była świadkiem... Wciąż miała przed oczami zakrwawioną twarz dresiarza, w uszach słyszała huk strzałów, przekleństwa, którymi obrzucał ją Maks, żółty pasek wiadomości z informacją o zabitych policjantach... Z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby nie wybuchnąć.

Zaczęła zastanawiać się, czy jest jakiś sposób, żeby wydobyć mini z podziemnego garażu przy Hożej. Może da jakiemuś dzieciakowi w stylu Ścibora stówkę, żeby wyprowadził je i podjechał w umówione miejsce? Może gliny nie będą go śledzić? Nie, za duże ryzyko. Prędzej czy później by ją namierzyli. Raczej prędzej, zważywszy na to, jak bardzo charakterystyczny jest jej biało-czerwony samochodek.

Może jednak powinna zaryzykować i okazać ten pieprzony dokument ze zdjęciem. Niemożliwe, żeby policja działała tak sprawnie i efektywnie, by kontrolować firmy wypożyczające auta.

Nie. Znając jej szczęście, nie powinna ryzykować.

Jedyna szansa to przekonać albo przekupić Ścibora, żeby wypożyczył jej auto bez tych formalności. Przecież to nie może być aż tak trudne.

Nawet dla kogoś, kto tak jak Kaśka rozkochał w sobie pecha...

Kidd napawał się ciszą. Była rzadkim gościem w jego domu. Urodzeni w drugim tysiącleciu synowie okazali się dziećmi zupełnie nowego porządku. Ery hałasu, chaosu oraz wiecznego szumu. Bardziej Łukasz, który bez włączonego telewizora nie potrafił funkcjonować. Tomasz był spokojniejszy, stonowany, ale i on miał swój ukochany głośnik bluetooth, który ustawiał w najdziwniejszych zakamarkach domu. Kidd żałował, że nie udało mu się zaszczepić w synach umiejętności delektowania się ciszą. Pocięszał się, że może jeszcze do niej dojrzeć.

Teraz obaj chłopcy pewnie śpią jednaście kilometrów nad Atlantykiem, chociaż – Kidd popatrzył na zegarek – samolot chyba już schodzi do lądowania. Dziadkowie parę minut temu zameldowali się na lotnisku, żeby ich odebrać. Matka Kidda napisała mu esemesa, że nie może się

doczekać. Trudno się dziwić. Nie wiedzieli wnuków od ponad roku. Kiedyś regularnie przyjeżdżali do Polski, ale ostatnio ojciec, Rex Kidd, zaczął podupadać na zdrowiu. Siedemdziesiątka na karku, w sumie nie ma się co dziwić. Cierpiał na artretyzm, puchły mu nogi i źle znosił transatlantyckie loty, a na klasę business nie było ich stać.

Kidd wyszedł z sypialni i zszedł po drewnianych schodach, niosąc w ręku pusty kieliszek w kształcie walca. Butelkę wina zostawił na blacie w kuchni na parterze. Zakładał, że skończy wieczór na jednej lampce, ale ostatecznie postanowił dolać sobie jeszcze trochę. Chłopców nie było, więc nie będzie świecił złym przykładem. Jutro nie miał żadnych planów, więc mógł spokojnie uczcić koniec roku akademickiego i początek wakacji.

Po śmierci żony przez chwilę obawiał się, że może się rozpić. Z rozpacz, z presji odpowiedzialności za synów... Najbardziej dobijające były samotność i ból po utracie ukochanej osoby. Wtedy pił wino codziennie, choć nigdy nie więcej niż butelkę. Ale szybko się pozbierał i po miesiącu wrócił do swojej bezpiecznej normy czyli jednego-dwóch kieliszków nie częściej niż raz-dwa razy w tygodniu.

Nie miał skłonności do alkoholizmu, ale po śmierci żony zaczął się obawiać, że przeznaczone

jest mu inne przekleństwo. Nie nałóg, ale równie niebezpieczna forma ucieczki od rzeczywistości.

Nie, nie samobójstwo. Ale też śmierć. Emocjonalna. Od pogrzebu Julii miały kolejne miesiące, a on powoli przestawał cokolwiek czuć. Jakby odpowiedzialne za emocje obszary mózgu obumierały. Z jego świata zniknęła zarówno radość, jak i gniew, pragnienia wyblakły. Początkowo myślał, że to depresja, ale uznał, że nawet w depresji coś się czuje. Ból psychiczny, czasami tak intensywny, że popycha do samobójstwa. A on stał się wewnętrznym wypalony i pusty. Ogród jego uczuć, choć i wcześniej nie był może zbyt wybujały, teraz zamienił się w pustynię. Nawet kiedy uprawiał seks z koleżanką z pracy, czuł tylko w momencie orgazmu rozluźnienie, ale nie emocje. Jakby to była potrzeba fizjologiczna, którą należy regularnie zaspokajać dla poprawnego funkcjonowania organizmu. Jak oddychanie, jedzenie, wydalanie.

W pewnym sensie przestał być człowiekiem. Zamienił się w organizm.

Przez jakiś czas myślał, że może to naturalny etap żałoby, który z czasem minie. Potem się przyzwyczaił. Uznał, że to ataraksja, czyli ideał spokoju wewnętrznego, o którym marzyli stoicy. Niewzruszoność, wyzbycie się przyziemnych

pragnień, lęku przed śmiercią.

Coś jednak było nie tak. Zamiast wewnętrznego spokoju i harmonii czuł smak tektury w ustach. Po trzech latach od śmierci żony były dni, kiedy zastanawiał się, co z nim dalej będzie, skoro jest czymś na kształt maszyny czy też robota, kukiełką w ludzkim ciele.

Nic z tym nie robił, nie szukał porady specjalisty, bo żywił jeszcze nadzieję, że jego emocje nie wymarły bezpowrotnie. Może to tylko taka pora roku, zima, kiedy świat przykrywa gruba warstwa tłumiącego wszystko białego śniegu? Czekał na wiosnę. Tylko co jeśli ona nigdy już nie nadejdzie? Może naprawdę umarł za życia?

Wszedł do kuchni, ale nie zapalił światła. Przez okno wpadała lekko pomarańczowa poświata miasta. Idealną ciszę mąciło jedynie mruczenie zmywarki. Bliźniacy oczywiście nie sprzątnęli po wczorajszej imprezie, ale jak zwykle im odpuścił. Zwłaszcza że ani chłopcy, ani ich goście nie wycięli żadnego numeru w stylu zarzyganej łazienki.

Sprzątanie całego domu pochłonęło go na parę godzin i dało namiastkę celu. Ale teraz był wczesny wieczór, a on nie miał już nic sensownego do roboty. Trochę żałował, że Kaśka odwołała ich „randkę”. Ale nie, nie chodziło o emocje. Raczej o to, że nastawił się na to spotkanie. A w umyśle

perfekcjonisty każde pokrzyżowanie planów powodowało dyskomfort. Poza tym zwyczajnie się nudził. Nie chciało mu się leżeć w łóżku, pić wina i czytać książki. Na siłowni był wczoraj... Pomyślał o koleżance z pracy, a nawet o sąsiadce za ścianą...

Na kamiennym blacie w kuchni stała otwarta butelka primitivo. Kidd podszedł i nalał jedną czwartą kieliszka. Podniósł go i powąchał. Nie był koneserem wina, nie wyczuwał nut wanilii i pieprzu, jak głosił opis na etykiecie. W końcu wziął mały łyk, który zostawił na języku i podniebieniu mocny ślad tanin. Kidd skupił się na tworzeniu w myślach planów na jutrzejszy dzień. Pustkę emocjonalną wypełniał działaniem.

Weźmie się za remont, a raczej „prace w domu”, które zawsze skuteczniał latem. Bliźniak był zbudowany na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, na szybko i trochę byle jak. Ciągłe coś się psuło albo wymagało renowacji. Na pewno będzie musiał pomalować drewniane ramy okienne, bo zauważył, że na tych od południa zaczęła łuszczyć się farba. Planował zainstalowanie na dachu paneli słonecznych. Może też zrobi chłopakom niespodziankę i odmaluje ich pokoje? Tylko musiałby zapytać ich o kolor, wolał nie strzelać. Może poprosi babcię, żeby spróbowała dyskretnie ich wybadać. Tomek przebąkiwał coś

o dodatkowych półkach na książki... Chłopak czyta, to ewenement w jego pokoleniu, trzeba to wspierać.

Ciszę przerwało „ding-dong” domofonu. Zaskoczony Kidd odstawił kieliszek, w którym ledwie zdążył zamoczyć usta. Wyjrzał przez okno w kuchni, przez które widać było furtkę, zmarszczył brwi z zaskoczenia, po czym wyszedł z domu, żeby przywitać gościa osobiście.

– Cześć, to ja, twoja niespodzianka... – Stojąca za furtką Kaśka posłała mu uśmiech, po czym odrzuciła głowę lekko do tyłu, unosząc jednocześnie podbródek.

Kidd nie miał wątpliwości, że tym gestem, buńczucznym i wyrażającym pewność siebie, chce tak naprawdę pokryć zmieszanie i dodać sobie animuszu.

– Tylko nie myśl, że zostałam twoją psychofanką – dodała, śmiejąc się.

– Nie myślę – powiedział, naciskając klamkę furtki. – Ale jak rozumiem, znowu zmieniłaś zdanie i nie wyjechałaś.

– Brawo, Sherlocku...

Furtka otworzyła się z cichym jęknięciem zawiasów.

– Mogłaś zadzwonić.

– Mogłam. Ale wiesz co... – Zaczęła, jakby szykowała się do dłuższej przemowy, ale szybko

urwała. – Mam sprawę. Tu, na miejscu. A właściwie to prośbę.

– A już myślałem, że to mój urok...

– Wreszcie powiedziałaś coś śmiesznego – odcięła się. – A już się bałam, że jesteś sztywniakiem, nudziarzem bez poczucia humoru.

Trzy minuty później siedzieli w kuchni, przy blacie, który tworzył wyspę. Kidd nie zapalił górnego światła, a jedynie lampkę w okapie. Kaśka odmówiła, choć z pewnym wahaniem, wina. Chcąc dotrzymać jej towarzystwa, Kidd też powstrzymał się od wypicia kieliszka, który nalał przed jej przyjściem.

W kuchni panowała cisza, a Kidd trawił sprawę wyłuszczoną mu przed momentem. Dla jego analitycznego, podążającego ścieżkami logiki umysłu, Kaśka stanowiła nie lada wyzwanie. Jak mawia libretto pewnej opery, „kobieta zmienną jest”, ale jego nowa znajoma szła na rekord. Dziś już zdążyła zaskoczyć go niespodziewaną wizytą na uczelni, potem umówiła się z nim na kawę, przełożyła to nagle na wieczór, następnie w ostatniej chwili odwołała spotkanie, oznajmiła, że wyjeżdża z Warszawy, a teraz ni mniej, ni więcej, tylko zaproponowała Kiddowi, żeby sprzedał jej samochód.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że

uwazała to za coś najzupełniej zwyczajnego i normalnego. Wpatrywała się w niego intensywnie, tymi swoimi ciemnymi oczami, jakby zdumiona, że od razu się nie zgodził i nie poleciał po kluczyki i dowód rejestracyjny.

– Muszę przyznać, że kolejny raz mnie dziś zaskoczyłaś – przerwał w końcu ciszę.

– Oj, już nie bądź taki drętwy.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, którym wyrażał rozbawienie, ale i niedowierzenie.

– Mówisz poważnie? Przyszłaś, bo chcesz kupić mój samochód?

– Sam mówiłeś, że jest stary i będziesz chciał go opylić, bo zaraz zacznie się sypać – powiedziała lekko zniecierpliwionym głosem. – Jak mnie odwoziłeś na dworzec. Pamiętasz?

– Tak, wiem ... Ale muszę przemyśleć sprawę...

– Nad czym tu myśleć? „Zrób to teraz!” To moja dewiza życiowa, serdecznie ci polecam.

– Poza tym... Poczekaj – powiedział, sięgając po plastikową butelkę z wodą mineralną. Otworzył szafkę i wyjął z niej dwie szklanki. – Chcesz?

Pokiwała głową.

– Chciałbym to przeprowadzić tak, że najpierw kupię nowe auto – tłumaczył, nalewając wodę do szklanek. – Albo przynajmniej muszę mieć coś na oku. Dopiero potem puszcę w świat giuliettę. Ona

jest kobietą, prawdziwą damą. Nie mogę potraktować jej tak z buta... – próbował żartować.

Wiedział, że Kaśka nie odpuści. Będzie naciskała, próbowała go przekonać. Naprawdę musiało jej zależeć, skoro zjawiła się u niego o dziesiątej wieczorem. Wyczuwał w jej głosie i zachowaniu pewną nerwowość i desperację, którą starała się ukryć. Mógł uciąć dyskusję. Powiedzieć, zresztą zgodnie z prawdą, że samochód wybrała jego zmarła żona, więc nie ma opcji, by sprzedał go tak od ręki, bez namysłu.

Julia nie znała się na motoryzacji, nie miała pojęcia o osiągach, spalaniu, zdarzyło się jej zatankować benzynę do diesla, ale kiedy zaczęli zastanawiać się nad kupnem auta, po prostu zafiksowała się na swojej „imienniczce”. Kidd wolałby bardziej męski samochód. Ostatecznie ustąpił, a Julia powiedziała, że na osłode może wybrać kolor.

– Człowieku, weź się przełam. Kiedy ostatnio zrobiłeś coś szalonego? – powiedziała Kaśka, wyrrywając go z zamyślenia, po czym odsunęła szklankę z wodą, sięgnęła po jego kieliszek i upiła spory łyk wina.

Kidd westchnął. Zdecydował, że nie opowie Kaście o swojej żonie. Nie chciał podejmować tak intymnej rozmowy z kimś, kogo prawie nie znał. Nie musi

się jej tłumaczyć, dlaczego nie sprzeda samochodu tak w pięć minut.

Nagle błysnęło, jakby ktoś robił im zdjęcie z fleszem. Oboje instynktownie obrócili się w stronę okna. Od strony Mokotowa zbliżała się burza. Od kilku dni już się na nią zanosilo. Przegrzane i parne powietrze musiało się w końcu oczyścić.

– Posłuchaj... – Kidd zaczął bawić się szklanką z wodą. – Powiedz, co tak naprawdę się dzieje. Coś się chyba wydarzyło?

– Nic. Jezu! Potrzebuję auta. – Trąciła go w ramię jakby był jej kumplem. – Mój miniaczek się rozkraczył, a muszę pilnie coś gdzieś zawieźć. Proszę cię, pomóż mi!

Wiedział, że Kaśka kłamie, ale robiła to z wdziękiem i przekonująco.

– Przecież miałaś jechać pociągiem...

– Ale okazało się, że źle sprawdziłam rozkład jazdy – powiedziała Kaśka, upijając kolejny łyk wina, i pełnym irytacji gestem przeczesła włosy. – Nie wnikaj, szkoda czasu. No, ile warta jest ta twoja strzała? Dychę? Piętnaście tysięcy? Zapłacę pięć tysięcy więcej, niżbyś za nią dostał. Zrobisz interes życia.

– To mój kieliszek – powiedział, uciekając w zastępczy temat.

Wstał i podszedł w stronę przeszklonej szafki kuchennej. Znowu błysnęło, ale nie słyhać było gromu.

– Robert, posłuchaj, bardzo mi na tym zależy – usłyszał za plecami. – Zapłacę. Tylko uczciwie mówię, nie teraz. Teraz nie mam takich pieniędzy. To znaczy nie przy sobie. Jutro ci prześlę, obiecuję... Możemy spisać umowę, dam ci wszystkie namiary, wszystko ci podpiszę.

Zamilkła, jakby zdała sobie sprawę, że jej oferta staje się coraz bardziej groteskowa.

Kidd odwrócił się i popatrzył na nią. Była zmęczona i poirytowana. Nadal jednak jej twarz wydawała mu się piękna, a jednocześnie przykuwająca uwagę. Wyglądała bardziej na aktorkę niż modelkę. I to taką utalentowaną, która ma osobowość, charyzmę, jest w stanie przekazać całą paletę emocji. Poczul się jak zmarznięty kot, którego ktoś w środku zimy w końcu wpuścił do domu i pozwolił usiąść przy kominku emanującym ciepłem, ale i hipnotyzującym płomieniami za szybką.

– Dlaczego miałbym ci zaufać? – zapytał, wyciągając z szafki czysty kieliszek.

– A dlaczego nie?

Przerwało im ciche mruczenie komórki. Dostał esemes. Matka informowała go, że chłopcy

wylądowali i cała czwórka jest już w drodze do Hyde Parku.

– Przepraszam, muszę odpisać – powiedział Kidd, siadając z powrotem naprzeciwko Kaśki. – Moment.

Rodzice kupili w Hyde Parku dom, kiedy ojciec przeszedł na emeryturę, i postanowili osiąść w USA. Niewielka miejscowość w stanie Nowy Jork była oddalona o około dwie godziny jazdy samochodem od lotniska. Na tyle daleko od metropolii o tej samej nazwie, że ceny nieruchomości były w niej przystępne dla emerytowanego wykładowcy akademickiego i jego polskiej żony.

Kidd szybko wstukał zdawkową odpowiedź, po czym odłożył komórkę i popatrzył na Kaśkę tym swoim uważnym, przenikliwym spojrzeniem.

– Posłuchaj – powiedziała, a w jej głosie pobrzmiwała już wyraźna nuta zniecierpliwienia. – Dobra, powiem ci wszystko, chociaż mnie już wkurwiasz. Jutro w Wiedniu mam umówione spotkanie. Biznesowe. Dostanę dużą kasę. W gotówce. I od razu będę mogła zapłacić ci za auto. Tu nie ma żadnego przekreśtu ani czarnej magii. Ale muszę wyruszyć jak najszybciej, już! Za dużo czasu straciłam, kumasz?

Błysnęło kolejny raz. Tym razem po kilku

sekundach do ich uszu doleciał przytłumiony odgłos gromu.

– Jeśli naprawdę potrzebujesz tego samochodu tylko po to, żeby dostarczyć coś na szybko do Wiednia, to dlaczego nie chciałaś go ode mnie pożyczyć? – spytał Kidd. – Dlaczego od razu chcesz kupować?

Oż, kurwillo – zachnęła się w myślach Kaśka. Co za popieprzony mózg analityczny z tego człowieka...

A przecież mogła go oszukać. Rzeczywiście poprosić, żeby pożyczył jej samochód na dwa dni. Obstawiała, że zrobiłby to, nawet za darmo. Bo jest dobrym, uczynnym człowiekiem.

Kłęła w myślach ile wlezie, ale tak naprawdę nie żałowała, że zagrała uczciwie. Nie lubiła kłamać, naciągać ani lawirować. Zaproponowała Kiddowi, że kupi od niego samochód, bo wiedziała, że nie będzie mogła mu go oddać, ponieważ nigdy już nie wróci do Warszawy.

A przecież kurierem mu go nie odeśle.

Wypiła spory łyk wina. Było nawet niezłe, ale jak na jej gust trochę zbyt wytrawne. Najważniejsze, że koło jej zszargane nerwy. Westchnęła. Poczowała, że go nie przekona. Zresztą trudno było mu się dziwić. Znienacka nachodzi faceta późnym

wieczorem i z podejrzaną gorliwością nakłania go do sprzedaży samochodu. Mogła chociaż zadzwonić wcześniej, ale dostała paranoi, że jej komórka może być już na podsłuchu. Choć przecież nie było to możliwe, bo i ona, i Maks posługiwali się niezarejestrowanymi pre-paidami, które kupili we Francji.

Postanowiła zagrać w otwarte karty. Sięgnęła do listonoszki. Otworzyła torbę i wyciągnęła pakunek owinięty czarnym brezentem. Zaczęła go rozpakowywać. Metodycznie, ostrożnie. Kidd z zaciekawieniem obserwował jej ruchy. Jego jasne oczy niemal świeciły w półmroku. W okna kuchni uderzyły pierwsze krople deszczu. Błyskało i grzmiało z coraz większą częstotliwością. Zerwał się wiatr, który zatrzaskało okno gdzieś na piętrze.

Po chwili na kamiennym blacie Kaśka położyła notatnik, nieco większy od jej dłoni. Na dole okładki z jasnego płótna wytłoczony był złoty napis „Grand Hôtel”, a nad spacją między słowami widniała korona. Otworzyła go. Papier był dobrej jakości, lekko kremowy. Czowała dziwną podniosłość, patrząc na tytuł *Zapiski sztokholmskie*. Niezbyt czytelny, napisany drobnym, ale równym charakterem pisma, lekko pochylonym w prawo i nieznacznie się wznoszącym.

Kidd zerknął na nią pytająco, po czym sięgnął po

notatnik.

– Ostrożnie – wyrwało się Kaśce.

– Co to jest?

– To, co widzisz. Nigdy nieopublikowany tomik Szymborskiej – powiedziała, siląc się na beztroski ton, jakby opisywała mu ulotkę z ofertą kablówki.

– Jutro w Wiedniu jestem umówiona z kupcem, który da mi za niego milion złotych.

– To niemożliwe...

Kidd cofnął rękę. Wpatrywał się w notatnik, jakby bał się go dotknąć.

– Możliwe. Mój klient... To koneser sztuki, facet bajecznie bogaty, praktycznie sra kasą – mówiła szybko, a wino sprawiało, że nie panowała już nad wulgaryzmami. – Poza tym jak sobie to policzysz... Za samo wydanie tych wierszy w Polsce, Szwecji, na rynku anglojęzycznym, we Francji, Włoszech, Japonii, oczywiście po przetłumaczeniu, można zgarnąć i parę milionów. Chłopie, to będzie sensacja na skalę światową. Wyobrażasz to sobie? Nigdy nieopublikowane wiersze laureatki Nobla...

– Nie o to mi chodzi – wszedł jej w słowo. – Wierzę, że to może być tyle warte. Ale to niemożliwe, że taki tomik istnieje...

– Co niemożliwe? – zachnęła się. – Babula siedziała w hotelu w Sztokholmie, czekała na galę i coś tam se skrobała. Potem w samolocie do

Warszawy i tak dalej. Dorwała hotelowy notesik, to pisała, jak to poetka. Co miała robić w tym Sztokholmie, pójść do Ikei?

– Nie, to jakiś fejk, jak mawiają moi synowie...

– Za kogo mnie masz, sprawdziłam to.

Tak naprawdę Kaśka zweryfikowała rękopis pobieżnie. Tydzień temu dostała od dresiarzy skan tytułu, który dała do analizy grafologowi. Ten wzbraniał się, bo powinien pracować na oryginale, ale ostatecznie uznał, że jest duże prawdopodobieństwo, że to pismo Szyborskiej. Kaśka ustaliła też, że poetka rzeczywiście nocowała w Sztokholmie w Grand Hotelu i w tamtych czasach tak wyglądały notatniki znajdujące się na wyposażeniu pokoi. Przypomniała sobie o niewydarzonym Poecie, którego zamierzała poprosić o pomoc przy sprawdzeniu samych wierszy.

Kurczę, może ten grafoman ma samochód?! Dlaczego o nim nie pomyślała?

Pewnie dlatego, że od kiedy dała mu kosza, wysyła jej obrażone i patetyczne esemesy z próbkami swojej koszmarnej twórczości. Postawiona pod ścianą, chyba będzie musiała się do niego odezwać, bo czas leci, a Amerykanin o szlachetnej twarzy jest do bólu ostrożny. Jednak zabrakło mu fantazji, szkoda...

Kidd wreszcie ośmielił się i delikatnie wziął do rąk notatnik. Poprawił okulary i zaczął przyglądać się karcie tytułowej.

– Wszystkie źródła podają, że Szymborska zamilkła po Noblu – powiedziała Kaśka, biorąc kolejny łyk wina. – Na ponad sześć lat. Wiem, powinnam też dokładnie zbadać sam rękopis. Ale właśnie wczoraj, kiedy mnie napadli... Ci dwaj debile mieli mi to umożliwić. Pokazać mi go i tak dalej. Już trudno. Ominęłam ich i załatwiłam sprawę bezpośrednio z właścicielem – kłamała. – Zresztą mój klient naraił mi to zlecenie. Zna się na tym i jest przekonany, że to autentyk. Chce mi zapłacić bańkę, rozumiesz?

Kidd w milczeniu przewracał kolejne strony. Były gęsto pokreślone, ale bez większego trudu dało się odczytać tytuły oraz treść kolejnych utworów: *Kto nas tu zaprosił*, *W studni*, *Przypis tłumacza*. Dotykał kartek notatnika ostrożnie, jakby miały rozpaść się w proch ze starości. *Arkana ewolucji*, *Nieproszony gość*, *Ostatnia westalka*. W sumie dwanaście utworów.

– To chyba rzeczywiście byłaby sensacja – powiedział w końcu. – Ale dlaczego nie zostały wydane?

– Słuchaj, nie wiem. Była wrażliwa, jak to poetka. Podobno ten Nobel nieźle ją sieknął. Może

nie miała dystansu do tych wierszy, poprawiała je, ale wiesz, jacy są poeci. Coś jej nie pasowało? I dopiero sześć lat później wydała tomik. Inny tomik, napisany od zera. A może po prostu ktoś jej podpierdolił ten notes? Kto wie? To była kobieta starej daty, nie trzymała kopii zapasowej w chmurze...

– Czytałaś je?

– Nie miałam czasu. Posłuchaj... Nie mam czasu na pogaduszki...

Kidd przetarł twarz ręką. Kaśka była zadowolona, widząc, jak bardzo jest zszokowany.

– Może jednak strzel sobie kieliszek wina – rzuciła lekkim tonem. – Tylko z dala od rękopisu, bo trzęsą ci się ręce i jeszcze mi go zalejesz.

Niebo za oknem znów przeciął piorun. Po chwili zagrzmiało. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Kaśka zauważyła, że Kidd rzucił w ich stronę zdziwione spojrzenie.

– Spodziewasz się kogoś? – spytała, sięgając nerwowym ruchem po rękopis.

Nie odpowiedział. Oddał jej notatnik, po czym wstał i wyjrzał przez okno, z którego widać było bramę i furtkę. Kaśka była pewna, że zatrzasnęła ją za sobą, więc ktokolwiek przyszedł o tak późnej porze, powinien zadzwonić domofonem. Pukanie powtórzyło się, było bardziej natarczywe.

Kidd wyszedł z kuchni do przedpokoju, podczas gdy Kaśka szybko pakowała *Zapiski sztokholmskie* z powrotem do wodoodpornego etui, które zawinęła w brezent. Jednocześnie czuła, że ciśnienie krwi jej skacze, a tętno znów przyspiesza.

Niemożliwe, żeby ją tu znaleźli.

Kidd otworzył drzwi wejściowe. Za nimi stała sąsiadka, mama Pauli. Zmokła, bo przechodząc od swojej części bliźniaka, obeszła dom od tyłu, gdzie ogród był nieodgrodzony, dzięki czemu nie musiała dzwonić domofonem. Sukienka przylgnęła do ciała, uwydatniając szczupłą sylwetkę, w odczuciu Kidda trochę za szczupłą. Sąsiadka z pewnością wypila już tego wieczoru więcej niż jeden kieliszek. I sądząc po metalicznym zapachu, który mieszał się z jej mocno kwiatowymi perfumami, nie był to kieliszek wina.

– Cześć, Robert – powiedziała, robiąc krok bliżej i patrząc mu prosto w oczy. – Strasznie boję się tych piorunów...

Burza pohukiwała już gdzieś w oddali, ale gwałtowna ulewa jakby wzięła na cel warsztat samochodowy na obrzeżach Warszawy, w którym na metalowych stołkach siedziało dwóch mężczyzn. Harmonijkowe drzwi były podniesione, jednak ściana wody mogła z powodzeniem je zastępować.

– Nawet nie wiemy, gdzie ona jedzie, czy ona w ogóle jedzie. I czy w tym aucie – powiedział Błażej.

– I co, kurwa, z tego?! – Maks Sobański wydarł się, tak jakby chciał w głosie zawrzeć całą swoją frustrację. – To nasz jedyny trop, ostatnia pierdolona szansa. Rozumiesz?

Błażej zamilkł. Nie lubił się kłócić. Był człowiekiem konsensusu, choć czasami zastanawiał się, czy ta jego ugodowość nie zmieniła się już w uległość. Z Maksem i tak niczego by nie ugrał, facet zawsze stawiał na swoim. I nie znosił sprzeciwu. Czasami przynosiło im to sukces, ale

równie często oznaczało kłopoty.

– I tak musimy stąd wypierdalać. I to jak najszybciej – pieklił się Maks. Poderwał się ze stołka upapranego zaschniętą białą farbą, który następnie ze złością kopnął.

Zaczął krążyć po warsztacie. W powietrzu unosił się zapach benzyny i rozpuszczalników. Na opuszczonym podnośniku stał jeep w charakterystycznym brązowym kolorze. Wzdłuż bocznych ścian warsztatu biegły cztery metalowe regały zawałone częściami samochodowymi i narzędziami. Naprzeciwko wejścia wisiał brudny i wypłowiały banner producenta opon samochodowych.

– I tak mamy przesrane – wycedził Maks, opierając się o jedną z kolumn podnośnika, po czym wymamrotał pod nosem kolejną porcję przekleństw.

Błażej w myślach przyznał mu rację. Podszedł do podniesionych drzwi i wyjrzał. Betonowy podjazd bulgotał niczym wrzątek, a przecinająca go kratka kanalizacyjna ledwo dawała sobie radę z odprowadzaniem wody. Kurtyna deszczu ograniczała widoczność, ale w momentach gdy czerń nocy rozświetlała błyskawica, Błażej widział sylwetkę Kosiarza, który kilka metrów dalej stał na ganku domu i palił papierosa.

– Musimy się rozdzielić – mówił gorączkowo Maks, znów rozpoczynając niespokojny obchód po warsztacie. – Są co najmniej dwie drogi, którymi mogła pojechać, szmata jebana. Na logikę powinna wybrać krótszą, ale mogła założyć, że nie odpuścimy, i dla zmyły pojedzie przez Kraków...

– A skąd wiesz, że nie pojechała pociągiem?

– Bo wiem!

Błażej oderwał wzrok od hipnotycznej ściany deszczu, odwrócił się i spojrzał na Maksa. Wiedział, że powinien siedzieć cicho i słuchać, ale nie wytrzymał.

– Maksiu... Z całym szacunkiem i przepraszam cię bardzo, ale ważniejsze teraz, żebyśmy się gdzieś zadekowali. Mamy przechlapane, jak sam zauważyłeś. A ona równie dobrze mogła pojechać na północ, żeby zaszyć się w Gdyni czy skąd tam ona pochodzi, i przeczekać.

Błażej chciał jeszcze nawiązać do „szmaty”, bo nie podobało mu się, że Maks tak brzydko wyraża się o Kaście, jakby nie było swojej żonie, a jeszcze do niedawna członkini ich grupy, ale nie starczyło mu już odwagi. Przestraszył się, że Maks wpadnie w szal i rzuci się na niego z pięściami albo przyłoży mu kluczem francuskim. Coś dziwnego dziś się z nim stało, jakby przekroczył jakąś granicę. Zawsze był wybuchowy, ale nigdy jeszcze nikogo

nie zabił. Błażej zamilkł i chcąc rozładować stres, zaczął obracać w rękach komórkę.

– Nie znasz jej. – Maks wyciągnął z kieszeni złotą papierośnicę. – A ja tak. Aż za dobrze. Poza tym wiem. Wiem, że już jest w drodze do Wiednia. Na sto procent, rozumiesz? Wszystko jedno, czy zapierdalała tam pociągiem, czy samochodem, musimy ją gonić. Jeśli zaryzykowała pociąg, będziemy tam przed nią i powitamy odpowiednio uroczyście na peronie... Rozumiesz?

Błażej pokiwał głową. Westchnął. Gdyby umiał wykrzesać w sobie choć odrobinę asertywności, nadal w zaciszu pracowni w Gdańsku zajmowałby się konserwacją drewnianych zabytków. Choć nie uczestniczył bezpośrednio w strzelaninie w willi w Konstancinie, widział tych policjantów, zanim jeszcze stali się zwłokami. I żałował tego dnia przed ośmiu laty, kiedy na progu jego pracowni stanął Maks z pierwszym zleceniem, zabytkowym dziewiętnastowiecznym drewnianym telefonem, kupionym na targu staroci za 50 złotych, a po renowacji sprzedanym za półtora tysiąca. Ostatnio Błażej miał sen, w którym ów odrestaurowany przez niego telefon dzwoni, a głos w słuchawce każe mu uciekać.

– Jezu, nie pal tu, proszę cię – powiedział błagalnie. – Jeszcze tylko pożaru nam brakuje do

tych wszystkich nieszczęść.

Maks posłał mu spojrzenie pełne niechęci i pogardy, ale schował papierośnicę z powrotem do kieszeni dopasowanych dżinsów, które opinały się na umięśnionych udach.

– Ostatnia szansa, żeby zarobić tę pierdoloną bańkę. A mamy co najmniej godzinę w plecy. Trzeba będzie się streszczać, żeby ją dogonić.

Błażej układał w myślach jakieś mądre zdanie, które przekonałoby Maksa, że niepotrzebnie zafiksował się na punkcie tego rękopisu i na swojej żonie. A teraz naprawdę powinni kombinować, gdzie się zaszyć i przeczekać. Będą kolejne zlecenia od Księcia, więc po co ryzykować.

Jezu, zabili policjantów... Zabili jakichś niewinnych ludzi...

– Jest Lichy – powiedział Kosiarz, stając w drzwiach warsztatu.

Błażej aż podskoczył ze strachu.

– Auto nie załatwił. Tylko nowe blachy. – Kosiarz mówił jakby z lekkim wschodnim akcentem.

Maks wykrzywił twarz w grymasie, po czym zamachnął się. Błażej niemal podskoczył ze strachu, bał się każdego gwałtownego gestu. Ale Maks tylko rzucił kluczyki od auta. Kosiarz złapał je, przy tym żaden mięsień jego twarzy nawet nie drgnął. Spływały po niej tylko krople deszczu. Choć

Kosiarz przeszedł zaledwie kilka metrów od ganku do warsztatu, był mokry, jakby wskoczył w ubraniu do basenu.

– To jaki plan? – zapytał.

– Wy bierzecie jeepa – zarządził Maks, ruszając w stronę wyjścia z warsztatu. – A ja motor Lichego. I podzielimy się. Wy jedziecie na Kraków. Ja na Katowice. Dorwiemy sukę, tylko ruchy!

– Dziwny jesteś – powiedziała Kaśka, próbując przebić wzrokiem noc oraz ścianę deszczu. Wycieraczki samochodu pracowały na najwyższych obrotach, ale w starciu z żywiołem były bezsilne. Zdawało się, że natura nagle i natychmiast chce nadrobić dwa tygodnie suszy.

– Dlaczego tak uważasz? – Kidd skupiał się na prowadzeniu auta.

– Nikt normalny nie zgodziłby się, żeby zawieźć obcą laskę... Do Wrocławia nawet, a co dopiero do Wiednia.

– Za kasę? – Skontrował kierownicą niewielki poślizg, w który wpadli, rozjechawszy kałużę wypełniającą koleinę drogową. – Dlaczego nie. Jak byłem mały, chciałem zostać taksówkarzem...

– Nudzi ci się? Za mało masz adrenaliny w życiu?

Kaśka westchnęła ciężko i ostentacyjnie, chcąc dać mu do zrozumienia, że jest niezadowolona z takiego obrotu spraw. Choć w głębi serca musiała

przyznać, że towarzystwo Kidda ją cieszy. Nie znosiła samotności, wręcz się jej bała. Druga sprawa – taniej na tym wyjdzie, że Kidd zawiezie ją do Wiednia, zamiast sprzedawać jej samochód. Kaśka zainkasuje milion za *Zapiski sztokholmskie* i odpali mu tysiąc euro plus zwrot za benzynę.

Wszystko pięknie... Wszyscy będą zadowoleni. Tylko gdzieś w tyle głowy czał się cień nieufności. Coś jej tu nie grało.

Kidd jest praktycznie obcym człowiekiem, czy może mu zaufać? Może będzie chciał ją oszukać. Ukradnie jej cenny rękopis, który sama przecież ukradła? Albo poczeka, aż Kaśka dostanie od Księcia kasę i rąbnie jej ten milion? Po co mu to wszystko powiedziała jak na spowiedzi? Obracała w głowie różne scenariusze, ale w końcu uznała, że za dużo czasu spędziła z Maksem. Może nie każdy mężczyzna jest nieuczciwy i ma nieczne zamiary?

Znów rozjechali koleinę, a dźwięk miażdżonej wody przyprawił Kaśkę o dreszcze. Poczowała lekkie szarpnięcie, to chyba system kontroli trakcji włączył się, żeby zapobiec poślizgowi. Kidd zmienił pas na lewy. Wylotówką na co dzień wlokło się w korkach sporo TIR-ów i to pewnie one były odpowiedzialne za kiepski stan nawierzchni.

– Co tak milczysz? – zapytał, podkreśliwszy odrobinę ogrzewanie.

Kaśka, jak to ona, powiedziała mu otwartym tekstem o swoich wątpliwościach i podejrzeniach wobec jego osoby. W odpowiedzi wzruszył ramionami. Zaczął przekonywać ją, że na uczelni zaczęły mu się wakacje, chłopcy wyjechali...

– Poza tym sąsiadka nachodziłaby mnie co wieczór – dodał żartobliwie. – A dzięki tobie może da mi spokój...

– Co z nią jest nie tak? – spytała Kaśka. – Pomijając fakt, że była nawalona jak szpadel, to bardzo ładna kobieta.

– W zasadzie nic.

– Rozumiem, rozumiem. Prawdziwy zdobywca... Nie lubisz, kiedy kobieta podaje ci się na talerzu.

– Żaden facet tego nie lubi, jeśli już musisz wiedzieć.

Kaśka poczuła, że odrobinę się rozluźniła. Powoli uchodził z niej stres mijającego dnia. Każdy kilometr dalej od Warszawy przybliżał ją do pieniędzy Księcia, zwiększał też szansę, że zostawia za sobą i Maksa, i policyjną obławę. A może już go złapali i dadzą jej spokój?

Na moment serce podskoczyło jej do gardła, bo w bocznym lusterku zobaczyła migające czerwono-niebieskie światła. Ale to nie był pościg, a jedynie karetka, która wyprzedziła ich i pognęła z zawrotną prędkością.

Kilka sekund przed dwudziestą drugą Enya skończyła śpiewać w radio swój największy hit *Sail Away* i zaczęły się wiadomości. Był początek lata, więc poważnych i politycznych newsów było jak na lekarstwo. Informacją dnia był szczyt klimatyczny w Pekinie, którego uczestnicy mieli walczyć z globalnym ociepleniem.

Biurokratyczne bicie piany, które niczego nie zmieni – pomyślała Kaśka.

Kolejna informacja rozczuliła ją. W zoo we Wrocławiu przyszedł na świat koczkodan górski, przedstawiciel gatunku zagrożonego wyginięciem. Kaśka sięgnęła po komórkę, żeby sprawdzić, jak wygląda małopka, która jest górale.

– Do brutalnego napadu doszło popołudniu w podwarszawskim Konstancinie – relacjonował spiker. – W strzelaninie zginęły trzy osoby, w tym dwóch funkcjonariuszy policji. Sprawcy są niebezpieczni i uzbrojeni, a ich łupem padły najprawdopodobniej dzieła sztuki o wielomilionowej wartości...

Dziennikarz podawał dalsze szczegóły, ale Kaśka ledwo je słyszała. Kabina samochodu, cały świat wokół zawirował i zamglił się na moment. Ta okropna rzeczywistość, która wydawała się już przeszłością, zawzięła się na nią i wróciła. Z nową siłą. Kaśka wpatrywała się w ekran komórki i nie

wiedziała, na co patrzy. Wyświetlało się na nim zdjęcie smutnej małpki. Dopiero po chwili zrozumiała, że przed chwilą wpisała w przeglądarkę hasło „koczkodan górski”. To wszystko wydało się jej abstrakcyjne, surrealistyczne.

– Miałaś z tym coś wspólnego? – zapytał Kidd tym swoim beznamiętnym głosem.

Wiedziała, że się zorientował. Nie był głupi. Milczała. Serwis informacyjny skończył się i weszły o pół tonu głośniejsze reklamy, a ona siedziała jak sparaliżowana.

– Nie – powiedziała w końcu.

Spojrzał na nią przenikliwie tymi swoimi jasnymi oczami, choć zaraz musiał odwrócić wzrok, żeby skontrolować drogę.

– Nie wierzę – powiedział ze spokojem, ale tonem stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu. – Powiedz mi prawdę. Skąd masz ten tomik?

Kidd prezentował inny typ charyzmy niż Maks. Zimną, nie gorącą. Jej mąż też lubił stawiać na swoim, upierać się jak dziki osioł, ale na ogół egzekwował swoje racje pod groźbą awantury, wrzasków, zastraszania, a czasem nawet agresji. Kaśka miała wrażenie, że Kidd nigdy nie straciłby panowania nad sobą. Ale nie był ciepłą kluchą. Z jakiegoś powodu czuła przed nim respekt

większy niż przed mężem.

Uznała, że nie ma sensu kłamać. Winę miała wypisaną na twarzy. Mogła mu teraz zmyślać historyjki z tysiąca i jednej nocy, czarować seksapilem, ale wiedziała, że Kidd jej nie uwierzy.

– Posłuchaj... Nie miałam z tym napadem nic wspólnego. Nie jestem zła. Ja uciekam przed nimi – powiedziała, zastanawiając się, na ile bezsensownie brzmią jej słowa.

Jak może nie mieć nic wspólnego z napadem, którego cel, wart milion złotych, znajduje się na dnie jej torebki? Sama by w to nie uwierzyła.

Kidd milczał, jakby czekał na więcej szczegółów. Poczwała nagle, że łzy cisną się jej do oczu. Nie była typem beksy. Ale to było już ponad jej siły. Została wplątana w napad rabunkowy, w zabójstwo. Zasłoniła twarz rękami, bo nie chciała, żeby ktokolwiek widział ją w tym stanie. Przewalczyła łzy, po chwili uspokoiła się. Westchnęła, pociągnęła nosem i opowiedziała po kolei wszystko, co się dziś wydarzyło, od momentu kiedy pospiesznie przerwała ich spotkanie na politechnice, bo uruchomił się w jej mieszkaniu alarm.

Skończyła, a Kidd nadal milczał. Minęli zieloną tablicę, która wskazywała odległości, ale w strugach deszczu niczego nie dało się przeczytać. W radio skończyła śpiewać Annie Lennox i zaczęła

się piosenka jakiegoś polskiego artysty młodego pokolenia, którego Kaśka nie kojarzyła.

Pomyślała, że nawet Kidd jej nie uwierzył, więc co dopiero policja. Będzie musiała uciec, ukrywać się.

– Dobrze, to zatrzymajmy się... – powiedziała, czując, że narastają w niej emocje. Wiedziała, że za chwilę znów ścisną ją za gardło i, nie daj Boże, rozpłacze się na głos. Albo wybuchnie i wykrzyczy coś, czego będzie żałować.

– Nie możemy się tu zatrzymać. Poza tym jest noc, pada...

Miała ochotę go walnąć w ten krótko ostrzyżony łeb. Facet mówił spokojnym głosem, jakby była tępą studentką, której musi wytłumaczyć, jak się oblicza wytrzymałość betonu.

– W takim razie wyrzuć mnie na najbliższej stacji. Albo w najbliższym mieście, w którym jest dworzec. Albo wróćmy do planu A. Sprzedaj mi ten cholerny samochód. Nie będziesz w żaden sposób w to zamieszany.

– Już jestem w to zamieszany.

– To jak mnie złapie policja, powiem, że ukradłam ci auto. Porwałam cię! Przyłożyłam do głowy pistolet. Zadowolony?

– To nierealne...

Nadal był całkowicie opanowany. Jakby

opowiedziała mu, że policja ją ściga, żeby wlepić jej mandat, bo zaparkowała auto na niedozwolonym miejscu.

Pohukała jeszcze chwilę, ale powoli jego totalny spokój udzielił się i jej. Pomyślała, że może niepotrzebnie zaczęła histeryzować. Maks jej już nie dogoni ani policja. Nie mają pojęcia, gdzie jedzie i po co, i z kim. Nie znajdą jej, a jutro bogatsza o milion zacznie nowe życie. Gdzieś poza Schengen, poza Unią Europejską, no trudno. Jeśli Cypr Północny nie wypali, to może zaszyje się w Argentynie? Popłynie tam jak Gombrowicz i zacznie nowe życie na emigracji. Choć Argentyna kojarzyła się jej również z nazistami, którzy znaleźli w niej schronienie po drugiej wojnie światowej.

Ale wdepnęłam – pomyślała, a serce ścisnęło się jej na myśl o mamie i rodzeństwu. Kiedy ich znowu zobaczy?

Ponownie schowała twarz w rękach. Nie chciała, żeby Kidd widział jej łzy.

W Pokoju Gier klimatyzacja nadal nie nadążała, mimo że pracowała na najwyższych obrotach. Młody miał wrażenie, że choć nad Warszawą przeszła oczyszczająca burza, ludzie zaraz zaczną tu mdleć. Zdecydowanie za dużo osób kręciło się na tak małej powierzchni. Atmosfera była gęsta i nerwowa, choć każdy z obecnych sprawiał wrażenie skupionego na swoim zadaniu. Na dziewięciu telewizorach centralnego ekranu wyświetlały się podglądy co chwila zmieniających się kamer monitoringu. Z wyjątkiem górnego rzędu, który był zarezerwowany na zdjęcia podejrzanych.

Jako pierwszy swój hollywoodzki uśmiech prezentował Maksymilian Sobański. Młody zazdrościł mu równych i białych zębów. Przed chwilą usłyszał krótką wymianę zdań na jego temat między Agatą i czterdziestoparoletnią Moniką, która pracowała w ich zespole jako

psycholog i analityk. Najpierw poruszyły temat „ciemnej triady”. Młody, znudzony przeglądaniem nagrań z monitoringu miejskiego, nadstawił ucha. Wprawdzie był to jakiś psychologiczny bełkot, ale niby tłumaczył, dlaczego Sobański cieszy się takim wzięciem u płci pięknej. Skłonność do manipulowania, narcyzm, wybuchowość? Jakim cudem to ma być lep na kobiety? Monika zachichotała i powiedziała, że Sobański jest najprzystojniejszym kryminalistą, z jakim miała do czynienia. Agata uśmiechnęła się lekko i odparła, że jej nie kręci. Po czym ucięła rozmowę i wróciła do swoich obowiązków.

Chyba nie jest lesbijką? – zaniepokoił się Młody, ale zaraz przywołał się do porządku. Teraz nie czas ani miejsce. Powinien skoncentrować się, działać precyzyjnie i sprawnie jak maszyna. Bo jeśli zorientują się, że Młody ma problemy z koncentracją, wywalą go jak nic. Odeślą do drogówki, jak nie gorzej.

Powinien brać przykład z Agaty, która akurat w skupieniu prowadziła kolejną rozmowę przez zestaw słuchawkowy. Wyglądała ultraprofesjonalnie, ale widać było, że jej też udziela się niepokój. Lekko kręciła się na krześle komputerowym, a uwadze Młodego nie uszło, że przy każdym wychyleniu kusząco zaznaczała się jej

linia bioder.

– Namierzyliśmy Sobańską – rzucił Szeff gromkim barytonem, skończywszy rozmowę przez komórkę. Odzyskał już sto procent dawnego spokoju. Na jakąś godzinę zniknął, podobno dyskretnie dostał opierdół od samego koordynatora służb i wiceministra, ale widocznie udało mu się wyblagać drugą szansę, bo wrócił. I to nie po to, żeby spakować do pudełka swoje graty.

– Podejrzana kieruje się „es siedem” w stronę Kielc – powiedział, a wszyscy obecni w Pokoju Gier na moment oderwali się od swoich zajęć i skupili na nim wzrok.

– A pozostali? – spytał Młody. – To znaczy Sobański?

– Robimy wszystko, żeby ich też namierzyć. Ale coraz bardziej prawdopodobne, że zaszyli się w jakiejś dziupli. Ale nawet jeśli tak jest, prędzej czy później z niej wyleżą. Przeglądacie monitoring?

– Tak jest, Szefie – gorliwie potwierdził Młody.

Gęste powietrze przeciął dźwięk nadchodzącego esemesa. Szeff zerknął na ekran komórki.

– Sobańska w tej chwili jest już jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy. Czarne alfa romeo giulietta, numer rejestracyjny wu en dwa ...

Szeff urwał, bo zgasł ekran jego komórki,

z którego odczytywał dane. Trzymał ją odsuniętą na sporą odległość, co zdradzało typową dla jego wieku dalekowzroczność.

Młody aż podskoczył.

– O kurczę! – zawołał, po czym rzucił się po leżący na biurku notes.

Szef i Agata, i parę innych osób, spojrzeli na niego jak na wariata.

– Wiedziałem! – ekscytował się Młody, przewracając drżącymi palcami kartki. – Rejestracja wu en dwa zero pięć siedem ef gie?

– Zgadza się – powiedział Szef.

– To auto tego kolesia, u którego była wczoraj. W Wilanowie. Robert Kidd. Wiedziałem! Co robimy?

Szef spojrział na niego protekcyjnie, ale też z lekkim rozbawieniem. Młody ponieważ zorientował się, że zareagował trochę zbyt entuzjastycznie, jak małe dziecko.

– Czekamy – powiedział Szef już z poważnym wyrazem twarzy. – Najważniejsze, że ją namierzamy. Skupcie się na tamtych, szukajcie. Musimy dorwać ich wszystkich. Co do jednego.

Zbliżała się północ, a oni byli już niedaleko Krakowa. Po prawie trzech godzinach jazdy Kidd nie czuł ani krzty zmęczenia. Raczej lekkie podekscytowanie. Jakby przebudził się z długiego snu i miał w zapasie jeszcze spore zapasy energii.

Może udzieliło mu się zdenerwowanie pasażerki? Już sama obecność tak pięknej kobiety mogła podnieść facetowi ciśnienie. Ale Kidd przede wszystkim myślał o jej niewesołej sytuacji. Wierzył Kaśce, że nie miała nic wspólnego z napadem, ze śmiercią policjantów. Opowiedziała mu w najdrobniejszych szczegółach o dramatycznych wydarzeniach w Konstancinie i o ucieczce z apartamentowca przy Hożej. Wątpił, żeby była w stanie to nazmyślać. Pozostawał temat kradzieży rękopisu...

Przez kilka minut jechali w ciszy, bo radio, którego słuchali, straciło zasięg. Kaśka wierciła się

chwilę na siedzeniu pasażera, założyła nogę na nogę, patrzyła przez boczną szybę na mrok nocy gdzieś w środku Polski.

– Przeczytać ci wiersz? – zaproponowała niespodziewanie.

– Pewnie. Znasz się na poezji?

– Skąd. Ani trochę. Dlatego vyhaczyłam... – Kaśka urwała i szybko się zreflektowała. – Chciałam nawiązać współpracę z ekspertem w tej dziedzinie. Ale w końcu nie nawiązałam...

Kaśka sięgnęła do torebki po rękopis *Zapisków sztokholmskich*. Wnętrze samochodu oświetlały jedynie mijane co chwila latarnie, których światło nadchodziło i oddalało się w równym rytmie.

– „Nie wiedzą, kto ich tu zaprosił / ani w jakim celu” – przeczytała pierwsze dwie linijki.

Zrobiła to z lekkim wahaniem i bez większego przekonania, jakby utwór wydał się jej banalny. Potem jednak z każdym słowem jej recytacja nabierała wigoru.

Kidd słuchał z zaciekawieniem. Wiersz opowiadał o balu, którego uczestnicy są zagubieni, bo nie wiedzą, kto jest gospodarzem i z jakiej okazji został wydany. Przyjmują różne strategie. Niektórzy są tak skonsternowani, że wychodzą przedwcześnie, inni próbują się czegoś dowiedzieć i prowadzą coś na kształt dochodzenia. Ci bardziej leniwi albo

obdarzeni bujną wyobraźnią siedzą przy stole, popijają wino i snują teorie na temat wysoko postawionego gospodarza, który zaszczyił ich zaproszeniem, i w końcu się pojawi. A jeszcze inni po prostu bawią się, nie zwracając sobie głowy, jaki jest cel balu.

Kidd musiał przyznać, że wiersz napisany jest dość sprytnie, bo od pewnego momentu czytelnik zdaje sobie sprawę, że bal jest metaforą życia. Ci, którzy wyszli wcześniej, to samobójcy, prowadzący dochodzenie to ludzie racjonalni, potem są wierzący w Boga i tak dalej.

– Nigdy specjalnie nie przepadałam za poezją – powiedziała Kaśka, kiedy odcyfrowała ostatni wers. – Ale ta cała Szymborska... No właściwie... Coś w sobie ma, nie uważasz?

W odpowiedzi pokiwał tylko głową.

– W końcu napisała jedną piosenkę dla Kory i Maanamu. Znasz? *Nic dwa razy się nie zdarza* – spytała z poważną miną, a kiedy Kidd posłał jej zdumione spojrzenie, trąciła go z rozbawieniem w ramię. – Żartuję... Tak naprawdę przed tym zadaniem podszkoliłam się z jej poezji i nawet się trochę przekonałam. Kiedyś napisała w ogóle wiersz pod tytułem *Bal* i też był metafizyczny, trochę taki kosmiczny i w ogóle...

– Przeczytaj jeszcze – poprosił Kidd. – Wybierz

coś.

Przez chwilę przewracała kartki, lgnąc z notatnikiem do mijanych świateł ulicznych. W końcu zaczęła czytać wiersz, który miał tytuł *Nieproszony gość*.

Przez uchylony lufcik
wpadł przed świtem,
kiedy noc najmroczniejsza,
a rozum śpi.

Chce tylko przeżyć
kolejny dzień,
potem jeszcze jeden,
cicho, nie wadząc nikomu.
Może prześpi całą zimę
odwrócony, za szafą?
Jak bóg da, a człowiek
odpuści.

- I to koniec? – spytał, kiedy zamilkła.
- Nie, ale to... Takie smutne... Przepraszam, wzruszyłam się. Do naszego mieszkania w Gdańsku... – urwała.
- Wpadł nietoperz?
- Nie. Przyprowadziłam psa. Znajdkę taką. Ale też zimą. Jak byłam mała...

– Nie było happy endu? – zgadł Kidd.

Kaśka pokręciła głową.

– Rodzice się nie zgodzili.

Kaśka przez chwilę walczyła jeszcze ze wzruszeniem i wspomnieniami, ale potem dokończyła wiersz o wybudzonym ze snu zimowego nietoperzu. Mieszkańcy domu, w którym szukał schronienia, brzydzą się go. Z powodu zabobonów i strachu przed chorobami, które może roznosić, wyganiają go na mróz. Ostatnie wersy Kaśka znów przeczytała łamiącym się głosem.

– Dla mnie to głos w sprawie uchodźców – powiedział. – Też nieproszeni goście, te niby choroby, które przenoszą. Chociaż... – Zamyślił się na moment. – Kiedy to pisała, to musiało być, zanim...

– Uchodźcy są zawsze – weszła mu w słowo. – I ona była wyczulona na ich krzywdę. Pamiętam, sprawdzałam, napisała też taki wiersz *Jacyś ludzie*. Mocne, naprawdę mocne...

Kaśka westchnęła ciężko. Odłożyła notes na deskę rozdzielczą i wierzchem dłoni osuszyła kąciki oczu.

Pogoda była już łaskawsza. Oberwanie chmury skończyło się wkrótce po tym, jak wyjechali z Warszawy. Front burzowy, który szedł przez Polskę z południowego zachodu na północny

wschód, zostawili w tyle. Potem jeszcze dwa razy Kidd musiał włączać wycieraczki, ale były to już tylko przelotne opady.

– Tu zaraz odbijemy – powiedział, rzucając okiem na mapę wyświetlającą się w komórce. – Na Olkusz, a potem na Katowice.

– Nie jesteś głodny?

– Nie.

Kaśka uśmiechnęła się.

– Co się stało? – spytał, zauważając kątem oka jej uśmiech.

– Nic – westchnęła.

– A, rozumiem. Ty jesteś głodna?

– Powiedzmy. A w wersji nieoficjalnej chce mi się siku. Mogę tak powiedzieć? Czy to cię zniesmacza?

– Dlaczego miałyby mnie zniesmaczać? Wszyscy mamy potrzeby fizjologiczne.

– Mój mąż na przykład uważał, że prawdziwe damy nie robią kupy.

– Zaraz zrobimy mały postój. Chętnie napiję się kawy.

– Dasz w ogóle radę jechać w nocy?

– Do Wiednia zostało nam jakieś... Myślę, że siedem godzin. Powiedzmy, że zrobimy jeszcze jeden mały postój. Dojedziemy przed świtem. Co ty na to?

Kidd próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio

zarwał noc. Albo zrobił cokolwiek niesztampowego. Miał dziwne poczucie, że odżył, że tego właśnie mu brakowało.

Podświetlone logo koncernu paliwowego zobaczył już z odległości kilkuset metrów. Uznał, że przy okazji zatankuje, więc zatrzymał auto przy dystrybutorze.

Nie podejrzewał, że stacja benzynowa okaże się pułapką.

Po wyjściu z toalety Kaśka nabrała przekonania, że dziewczyna za kasą przygląda się jej podejrzliwie. Drugi pracownik stacji benzynowej, drobny, chudy chłopak, który w okularach w okrągłych oprawkach wyglądał jak Harry Potter, skupiał się na obsłudze klienta, ale jego pulchna koleżanka, o jasnych jak pszenica włosach zaplecionych w warkocz, co i rusz strzelała spod grubo wymalowanych rzęs w stronę Kaśki.

Kierowca, który właśnie płacił u niej za paliwo, szczupły szpakowaty pięćdziesięciolatek, starał się jak mógł zwrócić na siebie uwagę. Dowcipkował, zagadywał o punkty systemu lojalnościowego. Ale ona jakby w ogóle go nie słuchała, tylko łypała na Kaśkę.

Cholera jasna.

Kaśka próbowała się uspokoić, że to jedynie złudzenie... Pewnie dziunia chce dać lowelasowi do zrozumienia, że nie jest zainteresowana

dwuminutowym flirtem o północy. Dlatego ostentacyjnie odwraca od niego wzrok. Albo pomyliła Kaśkę z kimś sławnym. Nie pierwszy raz jej się to zdarzyło. Brali ją za prezenterkę, która prowadziła w jakiejś telewizji muzyczny talent show.

A co, jeśli policja przekazała informację o niej do wszystkich stacji benzynowych w Polsce? Może przefaksowali jej zdjęcie z wniosku paszportowego albo dowodowego? O ile jeszcze w dzisiejszych czasach funkcjonują faksy. Raczej takie informacje przesyła się pocztą elektroniczną. Ale przesyła się, zwłaszcza kiedy trwa obława na groźnych przestępców.

Kaśka poczuła, że zaczynają drżeć jej kolana, a w żołądku, który jeszcze przed chwilą burczał z głodu, czuje nieprzyjemne ciepło.

Nie, to niemożliwe... Codziennie zdarzają się w Polsce napady, rozboje, popisy jeszcze gorsze niż to, co odstawił Maks. Może prawie codziennie... Ale chyba pracownicy stacji benzynowych nie zdążyliby z przyswajaniem portretów pamięciowych podejrzanych. Kaśka nie miała pojęcia, jak w podobnych sytuacjach postępuje policja, ale na wszelki wypadek chciała jak najszybciej się stąd ulotnić.

Podeszła do Kidda, który zatankował już i stał

teraz w kolejce do kasy.

– Ja zapłacę – powiedziała cicho. – Idź się wysikaj.

Chciał zaproponować, więc zgasiła go spojrzeniem.

– Tak będzie szybciej. Chcesz coś jeść? Coś na ciepło? – Wskazała ruchem głowy na przeszkloną ladę, za którą turlały się parówki.

– Cokolwiek. – Wzruszył ramionami, ale posłusznie ustąpił jej miejsca w kolejce i ruszył w stronę prowadzących do łazienek drzwi z bulajem.

Kaśka rzuciła kontrolne spojrzenie w kierunku kasjerki, ale dziewczyna wbijała akurat wzrok w terminal płatniczy. Szpakowaty flirciarz zamilkł w końcu i właśnie zbliżył do niego kartę. Rozległo się przenikliwe piknięcie.

– PIN poproszę – powiedziała kasjerka.

– Z wrażenia zapomniałem. Ale pani się nie martwi, mam gdzieś zapisany. W portfelu, wiem, głupota, ale wie pani co, ja to lubię szczyptę szaleństwa w życiu...

– PIN i zielonym – odparła niewzruszona kasjerka.

– Już się robi. A wie pani, jaki mam? Zdradzę pani, choć to też nieodpowiedzialne – mówił kierowca, jednocześnie pikając przyciskami. – Sześćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt dziewięć...

Kasjerka w końcu nie wytrzymała i prychnęła śmiechem, a Kaśka odetchnęła z ulgą. Ale tylko na moment. Natrętne myśli wirowały jej w głowie.

A czy tego całego Kidda może być pewna? Co o nim wie tak naprawdę?

To nie tak, że Kaśka miała skłonność do popadania w paranoję. Bardziej chodziło o to, że wszystko zbyt ładnie zaczęło się układać. Ten facet spadł jej jak z nieba, mimo że sama się do niego zgłosiła. A co, jeśli Kidd właśnie teraz siedzi na kiblu i wykręca sto dwanaście, żeby ją zakablować? Wyglądał jej na takiego do bólu praworządnego. Pewnie własnych synów by zadenuncjował, gdyby przyłapał ich na paleniu trawki. Żeby dać im nauczkę.

Kaśka klęła w myślach i na zmianę obiecywała sobie, że przestanie tyle kląć, nawet w myślach, przecież damie nie przystoi.

– Numer pięć – powiedziała, kładąc na ladzie zakupy spożywcze. – I to. I jeszcze dwa hot dogi. Sosy? Hmm... Jakieś tam uśrednione niech będą, tylko szybko.

– Dobry wieczór. – Kasjerka obrzuciła ją sztucznym uśmiechem. – Poproszę pani dowód osobisty.

Kaśkę zmroziło. Potem poczuła kolejną falę gorąca rozchodzącą się od żołądka.

– Słucham?

– Dokument tożsamości. Ze zdjęciem.

Kaśka stała jak sparaliżowana, nie wiedząc, czy powinna rzucić się natychmiast do ucieczki... Tylko co by to dało? Kluczyki do auta miał Kidd. Spieprzyłaby w krzaki?

– Ale w jakim celu pani chce mój dowód? – spytała, po czym kaszlnęła, bo zaschło jej w gardle. Miała wrażenie, że na stacji benzynowej nagle zapadła cisza, a wszyscy obecni gapią się na nią.

– Muszę sprawdzić, czy jest pani pełnoletnia. – Kasjerka wskazała na dwie butelki cydru na blacie, które leżały obok tabliczki mlecznej czekolady z kawałkami prażonych migdałów, którą wzięła z myślą o Kiddzie, bo podobne opakowanie zauważyła wciśnięte w schowku auta.

Kaśka odetchnęła z ulgą i sięgnęła po portfel. Trudno jej było uwierzyć, że ktokolwiek mógł ją jeszcze wziąć za niepełnoletnią gówniarę. Albo ta kasjerka nudzi się na nocnej zmianie, albo jest nowa i przesadnie obowiązkowa, albo... W dyskretny sposób chce potwierdzić tożsamość Kaśki i dać zaraz cynk policji, że ją rozpoznała...

Jeśli tak, to mają przechłapanie. Policja będzie wiedziała, jakim samochodem się poruszają. Gorączkowo myśląc, Kaśka sięgnęła po portfel i wyciągnęła z niego prawo jazdy, którego nie

wymieniła po ślubie, więc figurowało w nim jej panięskie nazwisko.

– Dziękuję – powiedziała uprzejmym tonem kasjerka i zaczęła nabijać zakupy.

Kaśka postanowiła, że zapłaci gotówką. Ostrożniej było nie używać karty kredytowej. Za dużo naoglądała się filmów sensacyjnych, w których ściganych namierzano właśnie po historii transakcji.

W międzyczasie Kidd wrócił z łazienki. Dwie minuty później opuścili budynek stacji benzynowej, trzymając w rękach po hot dogu.

– Czyli lubisz śmieciowe jedzenie – żartowała Kaśka, chcąc rozładować stres. – Przynajmniej jeden rys na twojej kryształowej osobowości.

W odpowiedzi posłał jej zdziwione spojrzenie, wgryzając się w hot doga. Uzmysłowała sobie, że niby ironicznie, ale sprzedała mu właśnie komplement. „Kryształowa osobowość”? Rany, ale żenada. Powiedziała szybciej niż pomyślała, ale trudno, taką już miała naturę.

– Jeżeli śmieciowym jedzeniem nazywa się po prostu żywność niezdrową i przetworzoną – powiedział poważnym tonem Kidd – to jak nazwać to jedzenie, które naprawdę wyciągają ze śmieci ci, jak oni się nazywają, freeganie?

– O, proszę, jaki erudyta... – Zakpiła, oblizując

nadmiar ketchupu, który ściekał po bułce. – A raczej sucharianin, bo żywisz się kiepskimi żartami.

Zaśmiała się, zadowolona ze swej błyskotliwości, ale nagle zamarła. Na granicy kręgu światła rzucanego przez lampy stacji benzynowej, na miejscu postojowym za kompresorem i odkurzaczem, zauważyła jeepa w charakterystycznym brązowym kolorze.

– Kurwillo! – krzyknęła, upuszczając ledwo napoczętego hot doga na ziemię.

– Co jest?

– Znaleźli nas! Ale jak?!

Puściła się biegiem do zaparkowanej przy dystrybutorze giulietty, a Kidd ruszył za nią. O nic nie pytał. Wyszarpanym z kieszeni breloczkiem otworzył zamek centralny ułamek sekundy, zanim Kaśka szarpnęła za klamkę. Sam wsiadł od strony kierowcy, wcisnął hot doga w plastikową przegródkę na wewnętrznej stronie drzwi i odpalił silnik.

Za późno. Jeep z Błażejem za kierownicą już podjechał i zablokował ich od przodu, oślepiając światłami.

– Jezu, zrób coś! – krzyczała Kaśka. – Spierdalajmy. Zabiją nas!

Kidd odwrócił się. Niestety, za nimi stał

ciemnozielony volkswagen polo, który już od kilku chwil czekał w kolejce na tankowanie. Był za blisko, żeby zdołali wyjechać tyłem. Mimo to Kidd wrzucił wsteczny, próbując zmusić volkswagena do wycofania się. Ale jego kierowca nie zrozumiał intencji Kidda. Stał w miejscu i tylko ostrzegawczo zatrąbił.

Tymczasem z jeepa od strony pasażera wyskoczył Kosiarz. W rękę ścisnął kij baseballowy. Zrobił dwa kroki w kierunku samochodu Kidda. Niewiele się namyślając, wziął zamach i przywalił z całych sił w ich przednią szybę.

Huk nie był tak głośny, jakby się można tego spodziewać. Klejone szkło nie rozpadło się na tysiąc odłamków. Pajęczyna pęknięć była gęsta, wielkości głowy dorosłego człowieka, ale szyba pozostała w jednym kawałku.

– Jedź! – krzyczała Kaśka. – Jedź!

Była autentycznie przerażona. Kosiarza bała się jeszcze bardziej niż Maksa. Jej zdaniem był psychopata. Nie w znaczeniu potocznym, ale klinicznym – nie miał w sobie krzty wrażliwości na uczucia innych ludzi. Ich ból i cierpienie nie robiły na nim żadnego wrażenia. Kiedyś spytała Maksa, skąd go wystraszał, a on opowiedział o tym, że Kosiarz był wojskowym, najemnikiem podczas wojny w Czeczenii. Nigdy nie doszła, czy to był żart, czy też mąż powiedział jej prawdę, ale ten zakapior o poranej bruzdami twarzy był w ich teamie specjalistą od zastraszania.

Kosiarz uderzył drugi raz, obok pierwszej

pajęczynki wykwitła kolejna. Potem musiał odskoczyć, bo Kidd wrzucił jedynekę i ruszył do przodu, skręcając ostro, jak najostrzej w lewo. W ostatniej chwili przed zderzeniem z jeepem zwolnił, ale kiedy dotknął już zderzakiem auta ich prześladowców, nacisnął gaz. Odsunął trochę tył jeepa, tak że kiedy zrobił, kręcąc jak w amoku kierownicą, jeszcze jeden nawrót, był w stanie wyjechać z pułapki. Stracił jedynie prawe lustro.

– Patrz, czy coś nie jedzie! – krzyknął do Kaśki, bo przez uszkodzoną z jego strony szybę prawie nic nie widział. Dwie gęste pajęczynki skutecznie zamgliły mu obraz, jakby ktoś cisnął na szkło śnieżkę. A Kosiarz, który nie zamierzał odpuszczać, zaatakował od tyłu. Znów zamachnął się kijem baseballowym. Tylne szyby nie były klejone, więc rozsypała się w drobny mak.

– Jedź! Szybko, teraz! Nic nie ma... – krzyknęła Kaśka.

Wyjechali ze stacji benzynowej i z piskiem opon włączyli się do ruchu. Ale Kaśka kłamała ze strachu albo w nerwach źle oceniła prędkość samochodu, który gnał w ciemności ich pasem. Rozległ się jazgot klaksonu i rozpaczliwy pisk hamulców.

dzień / trzeci

Kiedy wreszcie się zatrzymali, było już po północy. Kidd zjechał na pobocze i zaciągnął ręczny. Starał się zachowywać spokój, choć po kilkunastominutowej jeździe praktycznie na ślepo poziom stresu w jego organizmie osiągnął Himalaje.

Stali na drodze przecinającej pole z falującym zbożem, które opalizowało od poświaty księżyca. Gdzieś w oddali biegła linia wysokiego napięcia, a jeszcze dalej, na horyzoncie, błyskało, jakby burza zmieniała zdanie, zawróciła i też zaczęła ich ścigać. Przez wybitą tylną szybę do wnętrza samochodu wpadało rześkie, przesycone wilgocią i ozonem powietrze.

Na stacji benzynowej Kidd zadziałał instynktownie. Ruszył, przepchnął się, uciekł. Kiedy włączyli się do ruchu, jadący na zderzenie samochód zdążył przyhamować i odbić na przeciwległy pas, którym na szczęście nic nie

jechało. Udało im się zgubić jeepa, który ruszył za nimi w pościg. Potem przez chwilę jechali krajową siódmką z prędkością ponad 220 na godzinę. Kidd wiedział, że ścigający ich samochód nie wyciągnie nawet dwustu, szybko zostawili go w tyle.

Jazda z rozbitą przednią szybą wymagała nie tylko zaufania Kaśce i jej oczom, ale przede wszystkim przełamania psychologicznej blokady. Pewnie rzadko kto potrafiłby tego dokonać, ale ścisły umysł Kidda zadziałał jak maszyna: ręce pewnie na kierownicy, a noga na gazie. Zero miejsca na strach, że w każdej chwili może przywalić w niewidzialną przeszkodę i zakończyć żywot.

To nie było tak, że nie widział zupełnie nic, ale musiał polegać na oczach Kaśki. Cały czas opisywała mu sytuację na drodze. Tak niekonwencjonalne prowadzenie auta przypominało rajd, podczas którego obok kierowcy siedzi pilot. Zaufał jej, wytrzymał, ale teraz miał już dość.

Kaśka musiała przyznać, że Kidd kolejny raz zaskoczył ją swoim opanowaniem. Słuchał jej instrukcji, zmieniał biegi, kręcił kierownicą i nawet

nie drgnęła mu powieka. Nie dawał po sobie poznać, że zniszczenie auta, jazda niemal na ślepo i w ogóle cała ta kryzysowa sytuacja, w którą go wciągnęła, w jakikolwiek sposób go ruszyły.

Ale kiedy zatrzymali się na środku polnej drogi i Kidd wysiadł, żeby z bliska obejrzyć straty, coś w nim pękło. Widziała, że wzbiera w nim jakaś emocja. Twarz miał bardziej zaciętą niż zwykle, a ruchy szybsze i ostrzejsze. Chyba zorientował się, że jest bliski utraty panowania nad sobą. Obserwowała, jak próbuje się uspokoić. W milczeniu stał i wpatrywał się w uszkodzoną przednią szybę. Ale nad czym się tu zastanawiać? Nie wymyślił przecież sposobu, żeby w nocy na środku pola ją skleić i ponownie uczynić przezroczystą.

– Nie możemy dalej jechać – powiedział w końcu, a jego głos wibrował nisko, jakby wydobywał się z głębi ściśniętego gardła.

Kaśka milczała. Również wysiadła, żeby zerknąć na zniszczenia. Choć Kidd stwierdził coś oczywistego i racjonalnego, poczuła, jakby na nią naskoczył. Mimo że nadal starał się panować nad tonem swojego głosu, w tych kilku słowach pobrzmiwała złość i irytacja.

– To co, zamierzasz tu nocować? – spytała odrobinę bardziej zadziornie niż planowała. Ale jej

trudno było zapanować nad emocjami.

W pierwszej kolejności należały mu się przeprosiny. Gdyby nie ona, jego napalona sąsiadka pewnie robiłaby mu teraz ósmego loda, a on, rozparty na łóżku czy też na kanapie, sącyłby winko, ciesząc się na nadchodzący miesiąc beztrudnych wakacji, odpoczynku od obowiązków rodzicielskich. A zamiast tej idylli, wdepnął w niezłe gówno. Zadarł z bezwzględnym gangiem, dwie szyby do wymiany, lustro, wgnieciony zderzak... To zniszczenia idące w tysiące złotych. Uciekli z miejsca zdarzenia, więc na ubezpieczenie nie ma co liczyć.

– Przecież nie możemy tu zostać. Musimy jechać dalej – powiedziała cichym, już nieco spokojniejszym tonem.

– Po pierwsze, może zwinąć nas policja – zaczął wyliczać Kidd. – Cud, że jeszcze nie natknęliśmy się na radiowóz albo ktoś, kogo mijaliśmy, nie zadzwonił na 112, że jedzie wariat z rozwalonymi szybami. Po drugie, to niebezpieczne, po trzecie, z tymi pieczętkami jesteśmy jak na talerzu dla tych twoich znajomych, nie mówiąc o tym, że już wszyscy w tym momencie wiedzą, jakim autem się poruszamy...

– Dobrze, tak, powiedz to! – wypaliła. – Wszystko moja wina.

– Nie powiem tego. – Posłał jej zdziwione spojrzenie. – Chociaż nie byłoby to stwierdzenie pozbawione podstaw.

Jak on ją irytował w tym momencie! Zastanawiała się, jak nazwać to, co Kidd teraz uskutecznia. Pasywna agresja? Z dwojga złego wolała już chyba, kiedy ktoś atakuje ją otwarcie.

– Trzeba było sprzedać mi ten samochód i zostać w Warszawie. Ze swoją sąsiadeczką. A nie teraz będziesz się wyzłośliwiał...

Zamilkła, bo z mroku wyłoniły się dwa reflektory zmierzające w ich stronę. Podskakiwały w górę i dół na nierównościach szutrowej drogi. Kaśce znów serce podeszło do gardła. Na szczęście po chwili wiśniowe seicento minęło ich, nawet nie zwolniwszy.

Kidd chciał coś powiedzieć, ale ubiegła go.

– Dobrze, Robert, to... Dzięki za pomoc. Daj mi znać, ile będzie kosztowała ta szyba, jedna z drugą, prześlę ci kasę... – Kaśka przewiesiła sobie torbę przez ramię i ruszyła przed siebie. – Cześć!

– Poczekaj. – Złapał ją za przedramię. – Musisz teraz strzelać focha?

– Puść mnie! – Nic tak Kaśki nie irytowało, jak oskarżenie o rozchwianie emocjonalne. – Strzelić to ja cię mogę zaraz w papę!

Odepchnęła go, wyrwała się, ale stała w miejscu.

– Kaśka... – Sam się zreflektowałem, a może wyczułem, że się zjeżyła jak kotka i zaraz może go dziabnąć pazurkami. – Jesteśmy nie wiadomo gdzie, na środku jakiegoś pola. Nie zostawię cię tu. Razem w to wdepnęliśmy. Nie irytuj się.

Zrobił krok w jej kierunku i popatrzył prosto w oczy.

– Dobrze, przyznaję, musiałem odreagować – powiedział nieco ciszej. – Wybacz. Ale chodziło mi o to, że trzeba coś wymyślić... Coś zrobić, żebyś dotarła do tego Wiednia, bo dalsza jazda moim autem odpada.

– I naprawdę tak cię to zaprzęta, żebyś dotarła do Wiednia? – kpiła. – Ja bym się bardziej wkurzyła o zniszczony samochód.

– Auto rzecz nabyta. I tak co rok traci na wartości.

W jego głosie nie wyczuła już nawet cienia ukrytych pretensji. Szybko się opanował. A ona ucieszyła się. I to podwójnie. Z jednej strony, że nie okazał się pozbawionym emocji cyborgiem. Coś tam przeżywał, choć starał się kontrolować. A po drugie, ten jego niemal niewzruszony spokój coraz bardziej jej się podobał, a nawet imponował.

Być może dlatego, że nie potrafiła powstrzymać się przed porównywaniem Kidda do cholerycznego i wybuchowego Maksa, który zrobił jej kiedyś

karczemną awanturę o zarysowany zderzak, choć wiedział, że to nie była jej wina, bo siedział obok niej na siedzeniu pasażera, kiedy to się stało.

– No dobrze, to co można teraz zrobić? – zapytała już spokojniejszym tonem.

– Po pierwsze, ustalmy, gdzie jesteśmy – powiedział, wyciągając z kieszeni komórkę.

– To akurat wiem. W czarnej dupie.

Młody był załamany i zły, widząc, jak „jego” trop rozplywa się w powietrzu. Przecież to on pierwszy zwrócił uwagę na mężczyznę, który na obrzeżach Wilanowa stanął w obronie Sobańskiej. Potem Młody jak głupi warował pod domem Kidda, badając sprawę. Można powiedzieć, że od początku miał nosa. A teraz Kidd i czarnowłosa femme fatale zjechali z krajowej siódemki, rozplynęli się w mrokach nocy i raczej pewne było, że porzucą uszkodzony samochód. Akcja pościgowa znów skupi się na grupie Sobańskiego, którego auto, choć z fałszywymi tablicami rejestracyjnymi, wypłynęło przed chwilą na stacji benzynowej kilkadziesiąt kilometrów przed Krakowem.

Dochodziła pierwsza w nocy, ale w żyłach Młodego krążyło zbyt wiele adrenaliny i napojów energetycznych, żeby odczuwał zmęczenie. W centrum operacyjnym panowała cisza, przerywana jedynie stukaniem w klawiaturę,

szumem klimatyzacji i klikaniem. Na nocną zmianę została połowa ludzi. Psycholog Monika poszła do domu, podobnie jak kilkoro analityków. Reszta uczestników operacji „Sarajewo” przeglądała nagrania z kamer monitoringu zainstalowanych na drogach i stacjach benzynowych. Praca cholernie nudna, ale jedyna, która w tej chwili mogła przynieść im przełom.

– Może kawy? – Młody spytał Agatę.

Dziewczyna tkwiła na posterunku niczym prymuska. Nawet na niego nie spojrzała. Pokręciła tylko głową z uśmiechem, który wydał mu się protekcyjny. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Agata traktuje go z dystansem i z góry. Chyba że pilnuje się, żeby nie przekroczyć granicy intymności z kolegą z pracy, bo byłoby to źle widziane.

Pomyślał, że to całkiem pocieszający wniosek, bo jeśli ktoś się przed czymś broni, to coś jest na rzeczy.

Ciszę przerwał dźwięk nadchodzącego esemesa. Młody sięgnął do kieszeni spodni, a jednocześnie uświadomił sobie, że wszyscy jego współpracownicy mają komórki ustawione na wibracje. Z wyjątkiem Szefa, co pewnie podkreślało jego status. Zezłościł się sam na sobie, że nie załapał tego wcześniej i znów dał kolegom pretekst do traktowania go jak

gówniarza.

Wyciszył pospiesznie telefon, po czym odczytał wiadomość. To matka, która denerwowała się, że nie wróci na noc. Chciała się upewnić, że wszystko w porządku, mimo że kilka godzin temu, jak na porządnego syna przystało, wymknął się do kibla, żeby zadzwonić i uprzedzić ją, żeby nie czekała z kolacją.

Nawet rodzona matka nie traktuje go poważnie – Młody zżymał się w myślach. Musi jak najszybciej awansować, dostać podwyżkę. Wtedy wynajmie mieszkanie, wyprowadzi się, byle dalej od jej zaborczej troski. Tylko żeby dostać awans i podwyżkę, musi sprawić, by przestali go w końcu traktować jak dziecko.

Co powinien zrobić? Jak może się wykazać? Przestał przychodzić do pracy w sportowych bluzach, zaczął w koszulach, ale to zdecydowanie za mało.

Uznał, że nic mądrego nie wymyśli. Będzie dalej wykonywał swoje obowiązki z pełnym zaangażowaniem. Westchnął i kliknął, żeby odtworzyć kolejne czarno-białe, ziarniste nagranie, na którym ledwo co było widać.

Po chwili w Pokoju Gier pojawił się Szeff, roztaczając woń świeżo wypalonego papierosa.

– Nadal ich nie mamy – powiedział Młody i zaraz

skarcił sam siebie w myślach. Wydawało mu się, że niechcący nadał swojemu głosowi zbyt gorliwe brzmienie. Jakby był prymusikiem, który w dodatku próbuje się podlizać, zdając przełożonemu banalny raport.

– Znajdź jakiś podgląd w tej lokacji. – Szef, co było do przewidzenia, kompletnie go zignorował. Podeszedł do biurka, przy którym pracowała Agata, i podsunął jej swoją komórkę. Dziewczyna zerknęła na wyświetlacz i zaczęła wstukiwać coś na komputerze.

– To w Krakowie? – spytała.

– Przedmieścia. – Szef pokiwał głową. – Strzeżone osiedle, więc oczywiście wewnętrzny monitoring nie jest podczepiony.

– Spróbuję gdzieś przed bramą wjazdową – odpowiedziała, powiększając i obracając ruchem myszki mapę. – Jest kamera na dojeździe, na rondzie.

– Dawaj.

Młody zaciekał się. Wstał i podszedł bliżej biurka Agaty.

– Co to za adres? – spytał, zerkając to na Szefa, to na ekran komputera.

– Teściowie Roberta Kidda.

Młody odruchowo pokiwał głową, wyrażając uznanie. Tak naprawdę był zaskoczony pomysłem

Szefa, który obracał w rękach kolejnego papierosa. Zdaniem Młodego ten strzał, choć błyskotliwy, jest jednak zbyt odległy.

Okolo minuty zajęło Agacie podłączenie się pod kamerę monitoringu, która przedstawiała niewielkie rondo z trzema zjazdami. Posłała obraz na ekran centralny.

Czekali. Nic się nie działo. Szef zostawił ich i odszedł w stronę łysego faceta z dzisiejszego desantu, który koordynował patrole policji w Małopolsce szukające jeepa Sobańskiego. Następnie wyszedł zapalić. Agata patrzyła jak zahipnotyzowana na ekran, który był nieruchomy niczym stop-klatka.

Po paru minutach Szef wrócił i stanął na środku pokoju, wpisując coś w komórkę. Kiedy Młody poczuł, że nadciąga pierwsze tej nocy ziewnięcie, na ekranie monitora zamajaczyły dwie czarno-białe, niewyraźne sylwetki.

Młody zaklął w myślach i posłał Szefowi pełne podziwu spojrzenie. Tym razem szczerze.

Nie było wątpliwości, że na ekranie pojawili się Kaśka Sobańska i Robert Kidd.

Podchodząc po schodkach do masywnych drzwi z ciemnego drewna, Kidd wiedział, że będzie żałował swojej decyzji i przyjdzie mu za nią słono zapłacić. Zapukał, ignorując ozdobną, pozłacaną kołatkę w kształcie dłoni. Zawsze wydawała mu się pretensjonalna, nie mówiąc już o tym, że gospodarze spodziewali się ich, więc nie trzeba było się dobijać w środku nocy, budząc sąsiadów.

Bardzo, ale to bardzo nie chciał tu być, jednak nie miał wyjścia. Wcześniej przeanalizował i odrzucił wszystkie inne rozwiązania. Nie było możliwości, żeby o tej porze wstawić szyby w samochodzie. Znalezienie innego auta o pierwszej w nocy wydawało się równie niewykonalne. Pozostawienie Kaśki bez pomocy nie wchodziło w rachubę. Kiedy wysiedli z uszkodzonego auta na jakimś prowizorycznym parkingu na przedmieściach Krakowa, taka myśl przeszła mu przez głowę. Zamówioną przez siebie taksówką mógłby

podrzucić Kaśkę na dworzec kolejowy i pożegnać się. Niech sobie radzi...

Ale Kidd uparł się, że załatwi inny samochód. Tak, aby mogli kontynuować nocną podróż do Wiednia. Żaden facet z baseballlem nie zmieni jego planów.

– Dobry wieczór, Robercie. No naprawdę, prędkiej ojca świętego bym się spodziewała na naszym progu... – powiedziała, otworzywszy drzwi, szczupła kobieta. Przekroczyła sześćdziesiątkę, ale trzymała się świetnie. Wyprostowana, z dumnie uniesionym podbródkiem. Długie włosy ufarbowane na ciemny blond miała ufryzowane dostojnie, niczym u rzymskiej matrony. Skojarzenie podbijał jeszcze biały szlafrok frotte i gruby kremowy szal udrapowany niczym starożytna toga.

– Dobry wieczór – odpowiedział Kidd, skłaniając lekko głowę.

– Cóż, nikt nie może cię winić, że zacząłeś prowadzić nocne życie, ale o tak wariackiej porze... To już jawny absurd na miarę Witkacego...

– Jeszcze raz najmocniej przepraszam, mamó. – Wstrzelił się, w momencie gdy brała oddech, bo inaczej mogłaby spokojnie suszyć mu głowę przez najbliższe pięć minut, rzucając nawiązania do najwybitniejszych dzieł literatury młodopolskiej.

Wiedział, że jedyną sensowną strategią będzie pokora i maksymalna uprzejmość, na jaką go stać. A także odporność. Na ciosy, które niewątpliwie nadejdą. Jego teściowa, Helena Woydyłło-Słucka, nie zwykła przepuszczać okazji do wbicia szpili, a dziś praktycznie podał się jej na tacy. Będzie musiał to wytrzymać. Jakakolwiek próba konfrontacji byłaby strategią samobójczą.

Swoją szansę Kidd bardziej upatrywał w teściu. To przecież ojciec Julii, przynajmniej nominalnie, był właścicielem samochodu, który Kidd zamierzał pożyczyć. Oczywiście bez zgody żony Zenon Słucki nawet nie otworzyłyby drzwi garażu, ale był przyczółkiem i należało go zdobyć przed główną bitwą.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za pół godziny, wypiwszy kurtuazyjną herbatę, ruszą w dalszą drogę. Może nawet teść będzie tak uprzejmy, żeby zająć się jutro naprawą uszkodzonego samochodu Kidda.

– Wchodźcie, jak miło, gość w dom, Bóg w dom...
– wymamrotał stojący dwa kroki za żoną pulchny siwy mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy i nieprzytomnych oczkach.

Był pijany. Nie zaskoczyło to Kidda ani trochę. Od kiedy poznał swojego przyszłego jeszcze wówczas teścia, miał wrażenie, że zawsze

towarzyszą mu opary alkoholu. Zenon uchodził za konesera koniaków, ale w ten sposób jedynie maskował nałóg. Kiddowi było go żal. Był przekonany, że teść zaczął pić, nie mogąc wytrzymać psychicznie z apodyktyczną żoną, a po śmierci jedynej córki beznadzieja jego egzystencji wymagała podwojenia dawki.

Teść, podobnie jak Helena, występował w szlafroku, a na ramiona zarzucił marynarkę z grubego brązowego sztruksu. Kidd był przekonany, że łąziebno-wieczorowy ubiór był pomysłem teściowej, rodzajem manifestacji. Przecież zadzwonił do nich pół godziny wcześniej, zanim jeszcze zamówił taksówkę. Uprzedził, że się zjawią. Nawet jeśli Słuccy już spali, spokojnie zdążyliby się przebrać. Ale Helena na pewno chciała pokazać mu, jak bardzo zakłócił ich spokój i jak się dla niego poświęcają.

– Dobry wieczór – powiedziała Kaśka.

Teściowa Kidda obrzuciła ją krytycznym wzrokiem. Nie było to nawet grzeczne przelotne spojrzenie, tylko bezceremonialne i bezczelne gapienie się, obliczone na onieśmienie gościa.

– Woydyłło-Słucka. – Helena wyciągnęła do Kaśki rękę z takim obrzydzeniem, jakby miała przywitać się ze śmierdzącym bezdomnym.

– Kaśka... Sobańska, bardzo mi miło.

Kidd utwierdził się w przekonaniu, że sprawę wypożyczenia samochodu musi załatwić migiem. Kiedy zadzwonił do teściów, sprzedał im bajeczkę o aucie, które nagle zepsuło mu się na obrzeżach Krakowa. Liczył, że blitzkriegiem pożyczą samochód teścia i ruszą na Wiedeń.

– Jeszcze raz bardzo przepraszam za kłopot – powiedział, wchodząc głębiej do przedpokoju wyłożonego ciemną boazerią, w którym wisiały obrazy autorstwa Heleny, żadne tam bohomyzy, poprawne warsztatowo, choć banalne widoczki Tatr i Jury Krakowsko-Częstochowskiej. W powietrzu unosił się żywiczny zapach werniksu. – Niestety, tak jak podejrzewałem, nie uda się tak szybko naprawić auta, o tej porze to już w ogóle wykluczone, a musimy kontynuować podróż...

– Od tego jest rodzina. – Teściowa rzuciła mu kwaśne spojrzenie. – By sobie pomagać. Jeśli się oczywiście pamięta, że jeszcze ma się rodzinę...

Zapadła niezręczna cisza. Wszyscy wyglądali na lekko speszonych, oprócz Heleny, która obróciła się w stronę Kaśki.

– Mam nadzieję, że nie jest pani wegetarianką. Albo, nie daj Boże, weganką! Jak moja świętej pamięci córka.

– Słucham? – Kaśka zmarszczyła brwi i spojrzała kontrolnie na Kidda.

– Pani taka chuda... A w lodówce mamy tylko gulasz po węgiersku. Pani Jadzia zrobiła i tak się męczymy już drugi dzień... A dna jeszcze nie widać. Oczywiście w garnku.

– Nie jesteśmy głodni – wtrącił pospiesznie Kidd, któremu w głowie zapaliła się czerwona lampka. – I, tak jak powiedziałem, trochę się spieszymy...

Teściowa odwróciła się w jego stronę raptownie, jakby miała wybuchnąć. Kiedy jednak odezwała się, brzmiała spokojnie, choć władczo.

– No chyba żartujesz, Robercie... Odbierasz mi wnuków... Wysyłasz mi ich do Hameryki, do tego MakŚwiata na zatracenie, sam zjawiasz się u nas raz na ruski rok i zamierzasz nas potraktować jak postój taksówek? Nawet Julci nie odwiedzasz...

Podbródek teściowej zaczął drżeć. Przykryła usta dłonią, jakby zawstydzona chciała ukryć swoją wrażliwość. Kidd poczuł, że robi mu się gorąco, zaczęły go piec czubki uszu. Takiego obrotu spraw nie przewidział.

– Mamo, już ci dziś tłumaczyłem. A raczej przepraszałem, że chłopcy poleciecieli...

– Zawsze taki był, lojalnie panią ostrzegam, moja droga – przerwała mu, niespodziewanie zwracając się do Kaśki, która otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia, po czym, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, pokiwała głową.

Helena uniosła oskarżycielsko chudy, lekko pokrzywiony artretyzmem palec i wycelowała go w Kidda.

– Ale chcę, żebyś wiedział, że my zawsze tu czekamy... Cóż nam zostało do roboty? Czekamy... Sam wiesz na co...

– Kochanie, nie denerwuj się – wymamrotał Zenon.

– Na usraną śmierć! – Helena zawsze musiała dokończyć, dopowiedzieć, mieć ostatnie słowo. Jakby wszystkich wokół uważała za głupszych od siebie, którym trzeba wyłożyć kawę na ławę, inaczej nie rozumieją.

Kidd czuł się podle, mimo że doskonale wiedział, że wmanipulowanie w poczucie winy to ulubiona zabawa jego teściowej. Nie uważał, że liczbą wizyt na grobie żony można mierzyć cokolwiek, a już na pewno nie uczucie, którym darzył Julię. Tak naprawdę chciał, żeby jego żona została pochowana w Warszawie, ale ustąpił, bo nawet w chwili największej rozpacz miał wzgląd na boleść rodziców, którzy stracili jedyne dziecko.

– Przepraszam, czy mogłabym skorzystać z toalety? – Niezręczną ciszę przerwała Kaśka. – Bo się zaraz zsikam...

Dziesięć minut później jedli odgrzewany gulasz po węgiersku, siedząc w kuchni, która mimo że

znajdowała się w domu zbudowanym ledwie kilka lat temu, wyglądała, jakby miała z dwa wieki. Ściany wyłożono kaflami w stylu rustykalnym, z grubą fugą, meble wykonane były ze spatynowanego dębu, a nad głowami wisiał witrażowy klosz Tiffany.

Teściowie Kidda mieszkali kiedyś w kamienicy w centrum Krakowa, ale kiedy oboje przeszli na emeryturę, postanowili wynieść się na przedmieścia. Po pierwsze, ich mieszkanie było nieduże, po drugie – i ważniejsze – z czasem niemal wszystkie lokale po sąsiedzku zaczęto wynajmować krótkoterminowo turystom, zwłaszcza głośnym Anglikom i Irlandczykom. Wojna z nimi i długotrwałe próby ich „cywilizowania” wykończyły Helenę Woydyłło-Słucką. Z żalem zaordynowała, by porzucić prestiżową dzielnicę i wybrać Gawrę w Bronowicach, luksusowe osiedle domków, ale jednak na rubieżach miasta, a więc praktycznie na prowincji, choć – co podkreślała z lubością – zakotwiczonej w kulturze wysokiej przez Wesele Wyspiańskiego.

– Czym się pani zajmuje, pani Katarzyno? – spytała Helena, przerywając ciszę, rozpraszaną jedynie stukaniem sztuców i tykaniem stojącego na kominku secesyjnego zegara, który wyglądał jak

sterta liści odlanych z mosiądzu na czterech lwich łapach.

Siedzący naprzeciwko Kaśki Kidd zauważył lekki grymas na jej twarzy. Domyślił się, że nie lubi ona pełnej wersji swojego imienia. Rzeczywiście, Katarzyna średnio pasowała do jej temperamentu i osobowości, była zbyt sztywna i oficjalna albo zbyt grubo ciosana, podobnie jak Kasia – zbyt dziecinna. Tylko Kaśka pasowała jak ulał.

– Pośredniczę przy sprzedaży dzieł sztuki.

– Czyli handel. – Helena się skrzywiła. – Bardzo pani młoda. – Mówiąc to, teściowa rzuciła Kiddowi spojrzenie pełne wyrzutu. – Długo się znacie?

– Jakiś czas – odpowiedział enigmatycznie.

Znów zapadła gęsta, nieprzyjemna cisza. Teściowi kiwała się głowa, aż w końcu zaczął przysypiać na krześle. Kidd postanowił skorzystać z okazji. Jeszcze raz spróbował przekonać teściową, że jest już bardzo późno, a im się spieszy, ale Helena uparła się, żeby zanocowali. Spór przerwał zegar na kominku, wybijając drugą w nocy. Kidd popatrzył na Kaśkę, która wyglądała na zmęczoną. Sam po zjedzeniu obfitego, ciężkiego posiłku, poczuł nagle senność. Jeszcze raz zerknął na swoją towarzyszkę, tym razem pytająco unosząc brwi. Ziewnęła i lekkim skinieniem, bardziej powiek niż głowy, dała mu znać, że się zgadza. Wtedy i on się

poddał. Przystał na propozycję Heleny, by kontynuowali podróż dopiero rankiem.

– Jeszcze raz dziękujemy, kolacja była pyszna – westchnął, odkładając sztucę na pusty talerz. Zdjął z kolan materiałową serwetkę. – Ukłony dla pani Jadzi.

– Zaprowadzę was do sypialni – powiedziała lodowatym głosem teściowa, wstając od stołu.

– Ale jaja... Ona tak na serio...? – Kaśka wyszeptała pełnym niedowierzania tonem, kiedy zamknęli za sobą drzwi w sypialni na piętrze. – Mogę tu zapalić?

– Robiłem, co mogłem – powiedział Kidd, podchodząc do okna. Przedarłszy się przez firankę, otworzył je, po czym zaciągnął zasłony z grubego brązowego weluru, które falowały pod wpływem wpadającego powietrza. – Mogę iść jeszcze porozmawiać z teściem i wziąć ten samochód teraz zaraz.

– On już chyba średnio kontaktuje – westchnęła Kaśka. – Nie, nic się nie stało. W sumie lepiej, że przenocujemy. Nie wiem jak ty, ale ja padam na pysk. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień...

Usiadła na łóżku. Sięgnęła do swojej listonoszki po papierosy i zapalniczkę, po czym położyła się na plecach i oparła głowę na brązowej poduszce z falbankami.

Patrzyła na sufit, obramowany gipsową sztukaterią, i ciężki mosiężny żyrandol w kształcie dziewięcioramiennego świecznika, który, gdyby się urwał, zabiłby ją na miejscu. Wielki stojący zegar w kącie pokoju wybił właśnie drugą trzydzieści.

– Błagam cię, wyłącz to, przecież nie zmrużymy oka!

Kidd podszedł do zegara, otworzył jego szafkę i zatrzymał wahadło. Kaśka podniosła głowę z poduszki i rozejrzała się po pomieszczeniu przeładowanym bibelotami. Zaśniedziałe świeczniki na kredensie pod ścianą, kolejne obrazy sygnowane „Woydyłło-Słucka”. W powietrzu unosił się zapach starej szuflady.

– Myślisz... – Kaśka zniżyła głos do szeptu – że twoja teściowa stoi za drzwiami i podsłuchuje?

Uśmiechnęła się łobuzersko, zapaliła papierosa, po czym zaczęła rytmicznie wiercić się na łóżku, aż zatrzeszczały sprężyny materaca. Kidd posłał jej karcące spojrzenie.

– Będę spał na podłodze.

– Zwariowałaś? Masz połamane zębra. Poza tym nie żyjemy w dziewiętnastym wieku. Choć pewnie twoi teściowie tak myślą. Możemy spać w jednym łóżku, nic zdrożnego się przecież nie stanie. Chyba że właśnie się boisz, że ci stanie... – Zachichotała. – Przepraszam, jestem obrzydliwie wulgarna.

Zawsze tak mam po alkoholu, a ten koniak walnął mnie jak sztacheta...

Lekko zawstydzona, zaciągnęła się papierosem, po czym usiadła na krawędzi łóżka, sztywno wyprostowała plecy i elegancko skrzyżowała nogi.

– Luz – powiedział Kidd.

– Nieprawda. Mężczyźni lubią damy. Ale to przez stres. Po prostu martwię się... Boję...

– Na razie nie mamy się czego bać. Tutaj nikt nas nie znajdzie. A teściowie nie oglądają telewizji, nie słuchają radia, czytają tylko „Tygodnik Powszechny”. Nie wiedzą, że wystawiono za tobą list gończy.

– Bardzo śmieszne.

– Poza tym to strzeżone osiedle. Nic nam nie grozi.

– Wiem, pewnie masz rację – westchnęła. – I... Jeszcze raz dziękuję.

Z sypialnią połączona była niewielka łazienka. Jak zwykle szarmancki Kidd zaproponował, żeby pierwsza skorzystała z niej Kaśka. Zamknęła za sobą dębowe drzwi z biegnącym na dole rządkiem okrągłych wywietrzników w tandetnych plastikowych oprawkach. Pet wrzucony do muszli klozetowej syknął na pożegnanie. Zanim usiadła na sedesie, odkręciła wodę w umywalce. Już i tak wyszła na prostaczkę, nie chciała przynajmniej,

żeby słyszał, jak sika.

Nie lubiła brać kąpeli w wannie, ale w łazience nie było kabiny prysznicowej. I tak powinna być wdzięczna losowi, że może się odświeżyć. I będzie mogła w spokoju się wyspać.

Rozebrała się i powiesiła sukienkę oraz bieliznę na stylizowanym na retro stojaku kąpielowym wykonanym z giętych metalowych prętów. Łazienka była wykończona „na bogato”, ale w odczuciu Kaśki bez gustu. I jeszcze te kafle, na zmianę kasztanowe i umbra. Wszystko w tym domu było w odcieniach ciemnego brązu, a przez to smutne, ciężkie i przygnębiające. Nawet ręczniki, które dała im Helena, miały bury kolor. Ale były puszyste, wykonane z wysokogatunkowej bawełny i przyjemnie pachniały lawendą.

Kaśka weszła do wanny, kucnęła i z ulgą pochyliła głowę pod strumieniem wody. Nacierając ciało płynem do kąpeli o zapachu wanilii, marzyła jeszcze o koszuli nocnej. Mogłaby wówczas zrobić w umywalce szybkie pranie. Może wyschłoby do rana. W podróż wyruszyła dosłownie tak jak stała. Bez bielizny na zmianę, bez ubrań. W swojej torbie listonoszce nosiła tylko najprzydatniejsze drobiazgi: perfumy, szminkę, tusz do rzęs i chusteczki do demakijażu. O płynie micelarnym mogła tylko pomarzyć. Na szczęście teściowa Kidda

dała jej szczoteczkę do zębów i pastę. Ale o inne kosmetyki Kaśka wolała nie prosić, żeby nie dostać kremu z jadem, niekoniecznie botulinowym.

Zastanawiała się, czy spać w bieliźnie, czy jednak zrobić pranie i założyć sukienkę na gołe ciało.

Kidd jakby czytał w jej myślach. Kiedy wyszła z wanny, zapukał cicho w drzwi łazienki i powiedział, że w szafie znalazł T-shirt jednego z synów.

– To Łukasza czy Tomka? – spytała, kiedy podał jej przez otwarte drzwi koszulkę z nadrukiem *Star Trek* i rysunkiem statku kosmicznego w kształcie talerza.

– Nie mam pojęcia, nie rozróżniam ich – odparł tak święcie poważnym tonem, że mu uwierzyła. – Żartuję – dodał po sekundzie. – Tomka. On jest fanem *Star Treka*, a Łukasz *Gwiezdnych wojen*. Wolisz koszulkę z *Gwiezdnych wojen*? Mogę poszukać.

Zaśmiała się, po czym zamknęła drzwi. Stała przed lustrem. Zdjęła bury ręcznik, którym była owinięta, i przetarła nim zaparowaną taflę szkła.

Niepotrzebnie dała się namówić nawalonemu teściowi Kidda na koniak. Wprawdzie ukoił nerwy zszargane wszystkimi okropnymi wydarzeniami tego dnia, ale czuła, jak szlachetny trunek krąży jej teraz w żyłach, rozprowadzając nieznośną lekkość

bytu. Oglądała kiedyś film dokumentalny o tym, jak alkohol działa na ludzi. U kobiet nieco inaczej niż u mężczyzn, nie tylko poluzowuje hamulce, ale wręcz wzmacnia wydzielanie jakiegoś hormonu odpowiedzialnego za podniecenie.

Krytycznie spojrzała na odbicie w lustrze swojej twarzy, która pozbawiona makijażu wydała się jej nijaka, na pewno nie piękna. Błada, z niewyraźnymi rysami i zaczerwienionymi od alkoholu policzkami. Tylko sylwetka nic nie straciła na kontakcie z wodą.

Może być ciekawie – pomyślała, zakładając T-shirt, który sięgał jej do połowy uda.

Dla Kidda nie miało większego znaczenia, czy bierze prysznic, czy kąpiel, choć zimą o poranku wolał rozgrzać się, leżąc na dnie wanny, a w upały wskoczyć tylko na chwilę i splukać się lodowatą wodą.

Dziś, mimo że był początek lata, zanurzając się w ciepłe, poczuł ulgę. Zamknął oczy i zsunął się jeszcze niżej, aż z wody wystawał mu tylko nos. Przez chwilę słuchał zniekształconych dźwięków. Następnie wynurzył głowę, ale oczy nadal miał zamknięte. Wciągnął nosem zapach waniliowego żelu do kąpieli, którego przed chwilą używała Kaśka. On jeszcze nie zdążył się namydlić. Świadomość, że dosłownie kilka minut wcześniej w tej samej wannie leżała naga, piękna kobieta, była nieuchronnie erotyczna. Ale Kidd przyjął ją ze spokojem.

Jest mężczyzną, natura i ewolucja wyposażyła go, jak każde zwierzę, w zestaw instynktów, jednak on

nauczył się nad nimi panować.

Był senny, ale jednocześnie niespokojny. Nie pamiętał, kiedy ostatnio wyciął równie szalony numer. I nie chodziło tylko o decyzję o podróży do Wiednia, ale o przyprowadzenie nocą do teściów obcej kobiety. Powinien przewidzieć, że Helena nie pożyczy mu auta ot tak, po prostu. Ale też nie powinien ich tak złośliwie wkręcać, dając do zrozumienia, że Kaśka jest jego nową partnerką. Z drugiej strony... Może właśnie lepiej, że teraz ich oswoi z tą perspektywą? Niech Helena przeżyje szok i go przeprocjuje. Niech stępi swoje żądło na asertywnej Kaśce. Może nie będzie już tak jadowita, jeśli kiedyś Kidd pojawi się z kimś naprawdę...

Zachnął się na tę swoją kalkulację. Ale przecież od śmierci Julii minęły trzy lata. Miał prawo ułożyć sobie życie na nowo. W mediach czasami pojawiały się wypowiedzi znanych osób, które były w podobnej do niego sytuacji – utraciły drugą połówkę. Wszyscy deklarowali, że nigdy nie przestaną kochać zmarłej żony czy męża. Ale jak można kochać kogoś, kto już nie istnieje? Wspomnienia miłości – tak – zostaną na zawsze, choć z biegiem lat będą blakły i zacierały się. Ale czy jest sens, żeby umarł emocjonalnie razem z Julią? Był na najlepszej drodze, żeby to osiągnąć,

a przecież jeszcze nie miał czterdziestu lat.

W oczach teściów i tak był spalony. Od pierwszego dnia, kiedy pojawił się w ich życiu. Nie lubili go. Zwłaszcza Helena od początku kwestionowała jego oddanie wobec Julii. Dlatego nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu w sprawie Kaśki. Niech myślą, że ułożył sobie życie na nowo z młodszą kobietą. I tak nie mogą już mieć gorszego zdania na jego temat, ich relacji nikt i nic nigdy nie zdoła naprawić. Pozostaną dla niego tylko dziadkami jego synów.

Nie mówiąc już o tym, że próba wytłumaczenia teściom, kim tak naprawdę jest Kaśka i dlaczego znalazł się w ich krakowskim domu o pierwszej w nocy z obcą kobietą, była pozbawiona sensu, a wręcz niebezpieczna. Kto wie, co Helena Woydyłło-Słucka zrobiłaby z tak newralgiczną informacją. Była nieobliczalna. Mogła zadzwonić na policję albo co tam jeszcze przysłoby jej do głowy.

Przerwał rozmyślania, zwawo się namydlił, spłukał i wyszedł z wanny. Nie patrząc na swoje odbicie w lustrze, wytarł się i owinął ręcznik wokół bioder.

Po wyjściu z łazienki lekko zdębiał. Kaśka leżała na łóżku na brzuchu i sprawdzała coś w komórce. Koszulka ledwo zakrywała jej pośladki. Zgięte

w kolanach nogi miała uniesione do góry, lekko skrzyżowane w kostkach. Opalone, zgrabne, długie nogi. Pomyślał, że może nadinterpretuje sytuację, ale to nie była do końca przypadkowa poza. Kaśka z premedytacją go kusiła. Nie przekraczając granicy dobrego smaku, ale jednak.

– Dzięki jeszcze raz – powiedziała, nie odwracając głowy. – Bo już myślałam, że będę musiała spać na golasa.

– Nie ma sprawy.

– Jesteś podobny bardziej chyba do mamy. Chociaż szczenę to masz po ojcu. – Kaśka zniemacka zmieniła temat.

Kidd patrzył na nią ze zdziwieniem. Uznał, że pod wpływem koniaku pomieszało się jej i myśli, że nocują u jego rodziców, a nie teściów.

– Coś ci się pomyliło.

– Nic mi się nie pomyliło. Twój syn zamieścił relację na Instagramie – powiedziała, odwracając się i pokazując mu ekran swojej komórki.

Kidd zdjął okulary w łazience, więc mrużąc oczy, przysunął głowę bliżej. Zobaczył rodziców podchodzących pod drzwi swojego domu w Hyde Parku, Tomka, który ciągnie niebieską walizkę. W końcu ekran komórki wypełniła roześmiana twarz Łukasza. Nagle w jego oczach pojawiły się animowane amerykańskie flagi. Kidd skrzywił się.

– Nie rozumiem mediów społecznościowych – powiedział, wkładając sobie mały palec do ucha, żeby usunąć wodę. – Jestem już stary.

– Oj, jeszcze taki stary nie jesteś – odpowiedziała Kaśka tonem, który odebrał jako kokieteryjny.

Kolejny raz podjął próbę urządzenia sobie zaimprovizowanego posłania na podłodze, ale Kaśka niemal siłą pociągnęła go na łóżko.

– Jeśli tak bardzo się mnie boisz, to ja będę spała na podłodze – powiedziała, odgarniając wilgotne włosy. – Ale nie ma takiej opcji, żebyś miał zrezygnować z łóżka. Masz połamane zębra. No ludzie!

Tak naprawdę też nie uważał, że to coś zdrożnego, jeśli będą spali w jednym łóżku. I nie obawiał się, że tak piękna kobieta obok niego, na wyciągnięcie ręki, zamroczy mu zdrowy rozsądek.

Wynegocjował przynajmniej tyle, że ona wzięła kołdrę, a on beżową satynową poszewkę w różyczki, którą z niej ściągnęli. U siebie w domu latem, aż do pierwszych jesiennych chłódów, też obywatel się bez kołdry. Może to była amerykańska część jego osobowości, bo w Stanach, w domu jego ojca i u wszelkich krewnych, u których przyszło mu nocować, zawsze dostawało się sheets, a kołdra, czyli duvet, była uznawana za dziwactwo.

Kaśka podłączyła komórkę do ładowarki Kidda.

Na szczęście oboje mieli telefony tej samej firmy, a on wyruszając w drogę, spakował kilka najważniejszych drobiazgów. Po chwili kokoszenia się Kaśka wyłączyła stojącą na stoliku przy łóżku lampkę nocną.

– Śpisz? – spytała ledwie po paru sekundach.

– Tak.

Usłyszał lekkie prychnięcie.

– Muszę cię jeszcze pomęczyć... – powiedziała cicho. – Ale spokojnie. Po prostu popytać. Mogę?

Nie odpowiedział.

– Dlaczego właściwie to robisz? – Wcześniej leżała na wznak, ale teraz obróciła się, tak żeby być twarzą do niego.

– Co?

– Dlaczego mi pomagasz?

– Teraz nie mam już wyboru...

– Czyli, że co? Że niby wpadłeś jak śliwka w kompot... Zostałeś przeze mnie wplątany...

Nie wiedział, czy to przez sposób, w jaki zawiesiła głos, czy przez to, co powiedziała, a może z powodu ciszy, która zapadła, ale poczuł, jak narasta między nimi napięcie.

Nie tylko z jej strony. Do niego też powoli docierało, że oto leży w łóżku obok zgrabnej, długonogiej i pięknej kobiety, ubranej jedynie w młodzieżową koszulkę... Kobiety, która sama

nalegała, żeby się tu znaleźć.

Wiedział, że na poziomie fizycznym może odczuwać podniecenie, ale skuty zimowym lodem krajobraz nie pęknie pod naporem wiosny, a na jego emocjonalną pustynię nie spadnie deszcz. Nawet jeśli podda się teraz namiętności, to skrzywdzi Kaśkę. Potraktuje ją tak samo jak Agę, koleżankę z pracy, z którą od czasu do czasu sypiał. Teraz Kidd zrozumiał, że tamta biedna dziewczyna była normalna, to on jest okaleczony. Skoro nawiązali intymną relację, było między nimi przyciąganie, a na dokładkę lubili się, pracowali przecież razem... Nic dziwnego, że w niej zaczęło coś kiełkować. A w nim nie. Pustynia. Jałowa pustynia. I teraz ten sam scenariusz powtórzyłby się z Kaśką.

I nie, nie chodziło o to, że jest tak szlachetny, nadal, do śmierci zakochany w swojej żonie. Raczej przeżywszy tragedię utraty Julii, desperacko bronił się przed powtórką. Dlatego już nigdy nie zaangażuje się emocjonalnie w żadną kobietę. Za dużo by go kosztowało, gdyby znów miał ją stracić.

– Mogę się do ciebie przytulić?

Zaskoczyła go tym pytaniem, a raczej tonem głosu, jakim je wypowiedziała. Był smutny i szczerzy, a jednocześnie bezbronny. Jakby typowa dla niej zadziorność zniknęła wraz z wyłączeniem

światła.

Nie odpowiedział, a tylko przysunął się bliżej i objął ją od tyłu „na łyżeczkę”, otaczając ramieniem. Byli niemal tego samego wzrostu, nosem dotykał jej włosów, które były nadal trochę wilgotne i pachniały wanilią.

Naraz zorientował się, że jej oddech przyspiesza. Wysupłała się z uścisku jego ramion, odwróciła znów twarzą do niego, a jej ręka, niby przypadkiem, zawędrowała na jego udo i zaczęła przesuwać się do góry. Chciał coś wyszeptać, ale usta zamknęły mu jej wargi. Całowała go delikatnie, nie natarczywie ani nie zachłannie, niemal z nieśmiałością, której nie spodziewałby się po tak przebojowej i pewnej siebie kobiecie.

Wiedział, że za moment sprawy zajdą za daleko. Odchylił głowę i odchrząknął.

– Kaśka...

Ręka na jego udzie zamarła, a sekundę później wycofała się, jak oparzona. Kaśka usiadła na łóżku i już miała się poderwać, kiedy Kidd złapał ją w pasie.

– Proszę cię, tylko nie strzelaj znów focha.

Dolał oliwy do ognia. Czuł, jak gotuje się w niej wściekłość. Zdawał sobie sprawę, że zaraz dostanie w twarz z liścia, a może nawet pięścią, albo rozjuszona kobieta przejedzie mu pazurami po

policzku, ale wiedział, że musi ją spacyfikować.

– Puść mnie! – syknęła.

– Proszę cię – powtórzył, przyciągając ją do siebie. Mówił tonem bardziej rozkazującym niż proszącym. – Proszę...

Opierała się jeszcze chwilę, ale był silniejszy i bardziej zdeterminowany. Wiedział, że jeśli naprawdę będzie chciała, to się wyrwie, nie zamierzał przekraczać cienkiej granicy, która odgradza perswazję od przemocy. Ale czuł, że jej chodzi tylko o to, żeby skontrolować jakoś jego zachowanie, jego obojętność.

Ona pewnie myśli, że albo mu się nie podoba, albo on wstydzi się kochać z nią w domu swoich teściów. Nie miał siły jej teraz tłumaczyć, pewnie nie potrafiłby się wysłowić w tak delikatnej kwestii. Łód, emocjonalna pustynia? Może Szymborska ułożyłaby to w wiersz. On nie potrafił.

– Jesteś popierdolonym dupkiem. – Ulżyła sobie jeszcze słownie, ale przestała się szarpać. – Pieprzonym Robocopem.

– Wiem, ale teraz już śpijmy – powiedział cicho, przytulając ją do siebie, ale stopniowo zwolnił uścisk. – Proszę.

Kiedy poczuła już, że jest wolna, demonstracyjnie odsunęła się od niego. Została w łóżku, ale Kidd zastanawiał się, czy nie przyczała się, żeby uśpić

jego czujność i zaatakować w najmniej
spodziewanym momencie.

Kiedy obudził się, pomyślał, że dopiero świta, bo było jeszcze ciemno. Czuł się wypoczęty, spał jak kamień. Sięgnął po leżącą na nocnym stoliku komórkę. Już ósma? Czyli wcale nie świta, już pełnia poranka, tylko grube zasłony nie przepuszczają słońca. Kidd dostał esemesy. Od sąsiadki Elizy, w którym przeproszała za wczorajszą wizytę, od swojej przyjaciółki z pracy, od matki. Synowie oczywiście nie uznali za stosowne zameldować się po przylocie do Stanów.

Kaśka jeszcze spała. Kidd słyszał jej miarowy oddech. Ostrożnie, żeby jej nie obudzić, obrócił się na bok i popatrzył.

Widok śpiącej osoby był dla niego intymniejszy niż zobaczenie jej nagiej. I bardziej rozczulający. Kaśka ścisnęła nakrochmaloną poduszkę niczym małe dziecko misia, a na jej twarzy, choć rozluźnionej snem, malował się lekki grymas, może nie bólu, ale udręczenia, jakby śniło się jej coś

nieprzyjemnego.

Kidd obrócił się na plecy i popatrzył w sufit. Surrealizm wydarzeń ostatniej nocy, a także wczorajszego dnia, zaczynał go bawić. Był przyjemnym przebudzeniem z letargu ostatnich miesięcy, a może nawet lat, kiedy jak robot, precyzyjnie i bez emocji, wypełniał swoje obowiązki, zawodowe i rodzicielskie.

Tylko żeby nie rozpędzić się za bardzo... Żeby z Robocopa płynnie nie zmienił się w Casanovę. W świetle dnia Kidd jeszcze dobitniej uzmysłowił sobie, że nie powinien za mocno angażować się w znajomość z Kaśką. Jeśli zostanie przy niej, może niechcący oberwać. I kto wie, jak mocno...

Intuicja podpowiadała Kiddowi, że Kaśka jest w gruncie rzeczy dobrą osobą, ale czy nie mamy tendencji, żeby wybielać i usprawiedliwiać tych, których poznaliśmy, zbliżyliśmy się do nich?

Tak szeptał mu do ucha rozum. A Kidd na ogół słuchał głosu rozsądku. Tylko że przy kimś takim jak Kaśka łatwo było się rozproszyć.

Ale pewnie po wczorajszym incydencie z ręką wędrującą po jego udzie temperamentna dziewczyna obraziła się na dobre. I ich wspólna przygoda skończy się za parę godzin w Wiedniu. Tak będzie chyba lepiej dla obojga.

Kaśka przewróciła się na plecy. Nawet bez

makijażu i z poduszką odciśniętą na policzku była zjawiskowa. I nie chodziło tylko o jej urodę, ale o charakter, albo może raczej – charakterek.

Kidd nigdy nie zdradził swojej żony, mimo że jego praca wręcz do tego zachęcała. Częste okresy rozłąki i tak dalej. Ale miał silnie zakodowany swój wewnętrzny kodeks moralny i nigdy nie zrobił nic, z czego musiałby się Julii spowiadać. Choć i tak miał wyrzuty sumienia, kiedy po jej śmierci zaczął sypiać z koleżanką z pracy. Za szybko? Tylko kto jest władny, żeby to ocenić? Podobnie jak wino wypijane podczas pierwszego miesiąca po śmierci żony, seks z Agą był rodzajem ucieczki od rozpacz. Krótkim momentem oddechu od beznadziei jego pustej, wydrażonej egzystencji.

Westchnął i sięgnął po komórkę, żeby odpisać na esemesy od Elizy i od koleżanki z pracy. Ale myślami krążył przy kobiecie śpiącej obok. Może jednak głos rozsądku, ten sprawdzony druh, tym razem się myli? Jeśli nie zaryzykuje, może emocjonalna zima nigdy się nie skończy?

Kidd przerwał „myślowę”. Ostrożnie wstał z łóżka i zatopił stopy w miękkim ciemnobrązowym dywanie. Udało mu się nie obudzić Kaśki. Przeszedł do łazienki i wziął szybki prysznic. Zimny.

Kiedy wrócił do sypialni, Kaśka już nie spała.

Siedziała na łóżku, sprawdzając coś w komórce.

– Cześć – powiedział, spoglądając na nią badawczo. Chciał wyczytać z jej miny nastrój, w jakim się obudziła. A raczej jak bardzo jest wściekła, że w nocy dał jej kosza.

– Cześć. Wiesz... Obudziłam się, żyję, to dobra wiadomość. Ale przez chwilę myślałam, że cały wczorajszy dzień... To był jakiś sen.

Odłożyła komórkę na pościel i spojrzała na Kidda, który zastanawiał się, czy ona mówi o wydarzeniach w łóżku... Chyba jednak o tych na stacji benzynowej i o swoich wcześniejszych przeżyciach.

– Myślisz, że ich złapali? Sprawdziłam, nie ma nic nowego, żadnych artykułów, żadnej wzmianki. Twój teściowie nie mają przypadkiem telewizora?

Kidd pokręcił głową. Ciekawa strategia – pomyślał. Tak jakby rzeczywiście wczorajszy pocałunek, muśnięcie przez Kaśkę jego ud nie wydarzyło się naprawdę, a jedynie mu się przyśniło. Miał swoją szansę, ale nie skorzystał, więc bezpowrotnie przepadła i została wymazana z historii.

Westchnął, sięgając po komórkę, żeby podłączyć ją do zwolnionej przez Kaśkę ładowarki.

Po śniadaniu w rustykalnej kuchni Słuckich, które było drugim odcinkiem serialu „Złośliwości

Heleny”, Kidd poszedł z Zenonem do garażu. Stało w nim białe volvo XC60, kilkuletnie, ale wyglądało, jakby wyjechało prosto z fabryki. Chciał już jak najszybciej ruszyć w podróż, wyrwać się z przygnębiająco-toksycznej atmosfery, ale teść nalegał na formalne załatwienie spraw. Przynajmniej w tym wycinku, wążutkim jak cieśnina Bosfor, mógł poczuć, że coś kontroluje, coś zależy od niego.

– Zróbmy to porządnie, jak należy. Zatrzyma cię policja i pomyślą, że ukradłeś – powiedział Zenon, wychodząc z garażu. Poszedł do swojego gabinetu i po kilku chwilach wrócił z arkuszem papieru kancelaryjnego i z wiecznym piórem, ciągnąc za sobą delikatną smugę alkoholu. Usiadł na taborecie i chwiejną ręką spisał upoważnienie dla Roberta Kidda na kierowanie pojazdem marki volvo, numer rejestracyjny taki i taki. Na dole strony złożył zamaszysty podpis, po czym podał płachtę papieru Kiddowi. Przez moment oczy świeciły mu z zadowolenia, że dopiął swego i jednak ma coś do powiedzenia.

Jeśli jednak Kidd miał nadzieję, że z oficjalnym upoważnieniem już będą mogli wyruszyć, to się grubo mylił. Helena zażądała, żeby najpierw pojechali na Cmentarz Rakowicki. Znów zaszantażowała go emocjonalnie Julią. Mając

w kieszeni kluczyki samochodowe i papier od teścia, miał ochotę w uprzejmy i stanowczy sposób wygarnąć jej, ale przez wzgląd na zmarłą żonę się powstrzymał.

Grób rodziny Woydyłło znajdował się w kwaterze niedaleko bramy cmentarza sąsiadującej z ulicą Rakowicką. Kaśka z trudem opanowała się, żeby nie przewrócić oczami na jego widok. Był okazały, zadbany, w kształcie niewielkiej kapliczki z dwiema parami romańskich kolumn wspierających trójkątny tympanon. I jego dotknęła fascynacja Heleny kolorem brązowym, a może było to u niej rodzinne. Wykonany z marmuru Marrón Emperador w czekoladowym kolorze, grobowiec wyglądał trochę jak piernikowa chatka Baby Jagi z bajki o Jasiu i Małgosi.

Po kilku latach spędzonych z Maksem w świecie dzieł sztuki Kaśka się wyrobiła. Z córki fryzjerki i glazurnika przemieniła się w damę, która ma gust i klasę. Pozyskała wiedzę na temat artystów, kanonów piękna, malarstwa, rzeźby. Historię sztuki miała w małym palcu, umiała też się zachować. Dlatego gdy tylko całą czwórką doszli do grobu i zatrzymali się w nabożnym milczeniu,

dyskretnie się wycofała. Nie ustalali tego z Kiddem, ale posłał jej spojrzenie, które wyrażało wdzięczność. Zdażyła jedynie omieść wzrokiem wmurowaną od frontu tablicę, na której wyryte były dane aż dziesięciorga osób spoczywających w grobie. Najświeższa data śmierci była przy nazwisku zmarłej w wieku trzydziestu pięciu lat Julii Słuckiej-Kidd.

Poranek był rześki jeszcze wspomnieniem wczorajszego frontu pogodowego, ale chmury powoli odpływały, kałuże parowały i zapowiadał się kolejny upalny dzień. Oprócz Kidda, jego teściów i Kaśki o tej porze na cmentarzu nie było zbyt wielu osób. Dwie pary stały w skupieniu przy grobach, a tęgawa starsza kobieta, która oparła kulę o ławeczkę, szorowała z zapalem granitową płytę mogiły.

Poddając się atmosferze zadumy nad przemijaniem, Kaśka ruszyła przed siebie i mimowolnie sięgnęła do torebki. Nagle obraz, który wykwitł jej przed oczami – zdjęcie powykęcanej chorobą, cierpiącej twarzy – wyrwał ją z zamyślenia. „Palenie zabija” – głosił czarny napis na paczce papierosów. Aż się zatrzymała z wrażenia.

Czy na cmentarzu wypada zapalić? Nie, zdecydowanie nie. Wepchnęła papierosy

z powrotem do torebki i znów zaczęła spacerować między alejkami, omiatając wzrokiem nagrobki.

Nagle stanęła jak wryta. Grób, do którego przypadkiem zawędrowała, był skromny, wyróżniał się jedynie jasnym kolorem marmuru oraz tym, że płonęło na nim kilka zniczy. A jednak sprawił, że serce Kaśki zabiło mocniej.

Trzy minuty przed dziewiątą rano młody chłopak podszedł do drzwi komisum samochodowego „Premium Car and Leasing”, który mieścił się na obrzeżach Krakowa, przy alei 29 listopada, w szpetnym blaszanym pawilonie z początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Chłopak był drobny, szczupły, miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, delikatne rysy twarzy i jasne włosy niemodnie obcięte „na pieczarkę”. Ubrany w białą koszulę zapiętą na wszystkie guziki i wpuszczoną w czarne spodnie ze starannie zaprasowanym kantem, wyglądał jak schludny i pilny uczeń.

Miał na imię Dima i marzył o kawie. Za moment nastawi ją w przelewowym ekspresie. Położy i doda łyżeczkę śmietanki w proszku, która stała na parapecie w słoiku opisanym dla niepoznaki jako „sól”. Ta kawa była właściwie jedynym bonusem kiepsko płatnej pracy. Choć i tak nie trafił najgorzej. Jego dziewczyna serwowała

hamburgery oraz frytki i wracała do wynajmowanej przez nich kawalerki tak przesiąknięta smrodem smażonego tłuszczu, że za każdym razem prosił ją, żeby całe ubranie od razu włożyła do pralki, a sama wzięła prysznic. Nie był dziwakiem, miał po prostu wrażliwy węch.

Podchodząc do drzwi komisju, Dima obrzucił zdziwionym wzrokiem trzech mężczyzn, którzy zdawali się czekać na niego, oparci o murek.

– Dzień dobry – powiedział z lekkim wschodnim akcentem.

Mężczyźni nie odpowiedzieli. Jeden z nich miał nieruchomą, surową twarz, w której było coś niepokojącego, okrutnego. Choć był najstarszy, w wieku około pięćdziesięciu lat, to nie on wydał się Dimie przywódcą. Był nim niewątpliwie wysoki, elegancki i dobrze zbudowany brunet w błękitnej koszuli. Dima poczuł jego wodę kolońską i od razu pomyślał, że musi być bardzo droga i ekskluzywna. Zapach, którym emanował elegant, wydał mu się nie tylko świeży i przyjemny, ale jednocześnie dyskretny i głęboki, wręcz opowiadający jakąś atrakcyjną historię, jakby facet właśnie zszedł z luksusowego jachtu, którym żeglował po morzu, racząc się koniakami i paląc na pokładzie najdroższe kubańskie cygara. Ostatni z mężczyzn zdawał się najsympatyczniejszy. Choć też nie

odpowiedział na przywitanie, przynajmniej skinął lekko głową, która wyglądała na przyczepioną od razu do pulchnych barków, tak jakby bez szyi.

Przekręcając klucz w metalowych drzwiach, Dima zerkał ukradkiem na nieznajomych. Pomyślał, że kawa będzie musiała chwilę poczekać, bo wyglądali na takich, którym się spieszy. Może elegancki mężczyzna z pomocnikami przyszedł do komisju, żeby kupić jakąś limuzynę? Dima szybko zrobił w myślach przegląd luksusowych aut, których nie było tak wiele na parkingu przed pawilonem. Coś tam może by się znalazło.

Cała czwórka weszła do środka.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Dima, włączając komputer.

– Dawaj mi dane samochodu, który facet kupił wczoraj albo wymienił na tę giuliettę z pukniętą szybą z przodu i z tyłu – powiedział elegant tonem, który nie znosił sprzeciwu, jakby wydawanie poleceń było jego drugą naturą.

– Słucham?

– Nie rozumiesz po polsku? Ukrainiec?

– Tak, ja z Ukrainy, ale nie mam problemu z rozumieniem w języku polskim – odparł spokojnie Dima.

– To z czym masz problem?

– Ja tu nie mogę udzielać informacji

o transakcjach. Chyba że wy z policji.

– Tak, my z policji.

Dima był przekonany, że elegant kłamie. Zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Poprosić o pokazanie legitymacji? Facet był chyba znieczcierpliwiony przedłużającą się ciszą. Podszedł do Dimy blisko, aż za blisko. Górował nad nim wzrostem. W jego zachowaniu było coś nieprzyjemnie agresywnego.

– A ty tu legalnie pracujesz?

Chłopak nie dał się zastraszyć. Choć spuścił wzrok i posmutniał, bo wiedział, że z pewnym siebie, wysokim mężczyzną czeka go przeprawa. Znał ten typ. Przychodzili do komisju niby chcąc kupić samochód, a tak naprawdę, żeby się wyżyć na kimś, kto z założenia musiał okazywać im grzeczność.

– Poza tym wczoraj nie przyjęliśmy żadnego samochodu marki alfa romeo – powiedział Dima, skupiając się na komputerze.

– Kłamiesz.

– Nie, proszę pana. Wczoraj nie przyjęliśmy w komisju żadnego auta tej marki. To mogę powiedzieć na pewno.

I w tym momencie skończyła się cierpliwość eleganta. Facet wybuchł stekiem obelg i złapał Dimę za kark. Chłopak struchlał i nie protestował,

kiedy elegant chwycił go za kołnierzyk koszuli i wyciągnął przed budynek, gdzie na wysypanym szutrem parkingu stało kilkadziesiąt aut.

– Spokojnie, Maksiu... – bąknął korpulentny mężczyzna, który wraz z trzecim, niezmiennie milczącym, też wyszli z biura. – No po co te nerwy?

Elegant bez słowa włókł Dime, który nie stawiał oporu. Zatrzymał się dopiero przed czarną alfą z rozbitą przednią i tylną szybą oraz urwanym prawym lusterkiem.

– Odświeżyć ci pamięć?

Elegant jednocześnie puścił i pchnął Dime, który zatoczył się i niemal upadł na szuter.

Ukrainiec zaczął się bać, bo wyczuł, że mężczyzna, który go szarpał, jest nieobliczalny. Nie miało znaczenia, że jest jasny dzień i znajdują się w środku wielkiego, zachodnioeuropejskiego miasta.

– To... To nie jest auto z naszego komisju – powiedział, poprawiając koszulę.

Kątem oka zauważył, że elegant zaciska pięści.

– Co ty, kurwa, pierdolisz?

– Pracowałem tu wczoraj, aż do końca. I kiedy zamykałem biuro, nie było go tutaj, naprawdę. Więc...

Dima urwał w połowie zdania, bo poczuł tak silne uderzenie w twarz, że padł na ziemię, a w oczach

mu pociemniało.

Kidd w milczeniu pochylał głowę nad grobem żony. A właściwie nie „nad” tylko „przed”, bo bizantyjska krypta Woydyłłów sięgała mu powyżej oczu. Nie modlił się, nie bardzo wierzył w Boga. A precyzyjnie rzecz ujmując – był pozbawiony daru wiary. Jako umysł ścisły, inżynier w każdym calu, ograniczał się do tego, co mogło dojrzeć „szkiełko i oko”. I to mu wystarczało.

Chociaż może po śmierci Julii popadł w jałowe odrętwienie właśnie dlatego, że nie miał nadziei, by kiedykolwiek się jeszcze spotkali? Ale nijak nie mógł się przemóc, żeby uwierzyć w coś, co było nienamacalne, pełne dziur logicznych i niedomówień.

Wydawało mu się, że ludzie czepiają się marzeń o życiu wiecznym głównie z lęku przed niebytem. Nie potrafią sobie wyobrazić swojego nieistnienia przez całą przyszłość, choć przecież nie istnieli równie długo, przez całą przeszłość przed swoim

urodzeniem. A to dla odmiany ich jakoś nie martwi. Kidd zdawał sobie sprawę, że jego argumenty są myślową ekwilibrystyką, ale wolał, jeśli już, poświęcać czas i energię właśnie na oswojenie się z nieuchronnie nadchodzącym niebytem.

Helena lekko przyciszonym, ale uroczystym głosem, zaczęła odmawiać Ojciec nasz, nawet w takim momencie próbując zdominować męża i zięcia, wciągając ich w swoją modlitwę, niejako zmuszając, żeby się przyłączyli. Teść posłusznie przez chwilę mamrotał coś pod nosem, ale Kidd milczał, więc teściowa w końcu odpuściła i też przeszła na cichy tryb modlitwy, który zakończyła efektownym znakiem krzyża.

Kidd źle się czuł z tym, że swoje rodzinne, intymne sprawy wplątał w awanturniczą przygodę z Kaśką. Za wszelką cenę chciał tego uniknąć, ale kiedy jeszcze raz zastanawiał się, jak powinien postąpić wczoraj w nocy, wiedział, że nie miał innego wyjścia. Tak się po prostu ułożyło. Pożyczenie samochodu od teścia było jedynym logicznym wyjściem z sytuacji. Nie zrobił też nic zdrożnego, co zszargałoby pamięć zmarłej żony. Skąd miał przypuszczać, że teściowa zmusi go do nocowania w ich domu i wspólnej wyprawy na cmentarz?

Helena i Zenon skończywszy modlitwę, zajmowali się zapalaniem zniczy i porządkowaniem grobu.

– Weź te wiechcie! Wyrzuć! Wiesz, jak nienawidzę sztucznych kwiatów. Tyle razy mówiłam Bożenie, żeby nie składowała tu tego gówna...

– Może zapalę jeszcze jeden...

– Tego nie pal. Te małe są dla Staszewskich. I dla Mariana...

Kiedy Kidd poczuł, że już może odejść, odwrócił się i rozejrzał. Kątem oka dostrzegł ruch. Starsza kobieta, podpierając się kulą, zmierzała powoli w kierunku wydzielonego niską metalową barierką śmietnika. Trzymane w drugiej ręce wściekle zielone plastikowe wiaderko bujało się z każdym jej koślawym krokiem. Kidd popatrzył w drugą stronę i dostrzegł ciemne loki Kaśki opadające na jej krótką kurtkę z czerwonej skóry oraz przewieszoną przez ramię torebkę. Dziewczyna stała nieruchomo, lekko się garbiąc, kilkadziesiąt metrów dalej. Ruszył w jej stronę, bo wiedział, że teściowie mają tu w okolicy jeszcze kilka grobów swoich znajomych i dalszych krewnych, które zawsze przy okazji odwiedzali. Zejdzie im jeszcze dobry kwadrans, jak nie dłużej.

Kaśka usłyszała jego kroki, odwróciła się. Miała łagodny wyraz twarzy, zadumany, jakby powoli

wracała myślami z daleka.

– To grób Szymborskiej – powiedziała tonem, jakby do końca sama nie mogła w to uwierzyć.

Kidd stanął obok niej i popatrzył na jasną prostą bryłę.

– Ale jaja – westchnęła Kaśka. – Myślisz, że to znak?

– Po prostu zbieg okoliczności.

– Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności.

– Ale one nie są czymś, w co można wierzyć albo nie. Czasami po prostu się zdarzają.

Kaśka otworzyła listonoszkę i wyciągnęła z niej *Zapiski sztokholmskie*.

– Tu jest wiersz na ten temat. O tym, że jak rzucasz kości, to nawet jeśli wierzysz, że rządzi tym przypadek, to jednak ktoś musi podjąć decyzję, jaki konkretnie wypadnie wynik. „Dlaczego akurat dwójka, a nie szóstka, dlaczego spotkali się dziś, a nie jutro”.

– To tylko wiersz – powiedział cicho Kidd.

– Jaki ty jesteś bezduszny, no nie mogę... – powiedziała, kręcąc głową z niedowierzaniem, po czym znów zamilkła i zadumała się.

Wyobraziła sobie wielką poetkę, a tak naprawdę drobną staruszkę, która z papierosem w rękę siedzi w ociekającym przepychem ogromnym apartamencie w Grand Hotelu w Sztokholmie

i pisze wiersze w notatniku. Zaciąga się dymem, spogląda spod zmrużonych oczu na notatnik. To coś napisze, to coś skreśli... Jej skromna postać nie pasuje do bizantyjskiego przepychu. Kaśka sprawdziła, że obecnie, w ramach polityki równości i demokracji, wszyscy laureaci nocują w identycznych, standardowych pokojach, ale Szymborska załapała się jeszcze na apartament noblowski, w którym przez sto lat nocowali przed ceremonią laureaci nagrody literackiej.

– Wiesz co, Robert? Może po prostu dać sobie z tym spokój? Mam wrażenie, że tyle złych rzeczy wydarzyło się, bo tak bardzo zafiksowałam się na tych wierszach. I jeszcze więcej, jeszcze gorszych może się wydarzyć.

– I co, chcesz teraz tak po prostu odpuścić?

– Maks mnie ściga, policja mnie ściga ... A może jak teraz do nich pójde ... Zgłoszę się i wszystko opowiem... Jezu, no może uwierzą mi? Albo chociaż dostanę nadzwyczajne złagodzenie kary. Jakies zawiasy i naganę do akt czy do dzienniczka, czy co tam robią...

– Jak chcesz...

Kaśka popatrzyła na niego, ale już bez przekonania. Stała jeszcze chwilę, schowawszy rękopis z powrotem do torebki, i patrzyła na grób.

– Chodź – powiedział Kidd. – Odwieziemy teściów

i jedźmy. Nie ma co zwlekać.

Kaśka, wciąż jeszcze zadumana, pokiwała głową.
– Muszę zapalić.

Wybrukowaną alejką ruszyli w kierunku bramy, za którą, przy ulicy Rakowickiej, stało zaparkowane volvo. Z każdym krokiem, z każdym mijanym grobem, Kaśka czuła spływający na nią spokój. To takie oczywiste i nieuchronne, że kiedyś i ona wyląduje na takim cmentarzu. Ale jeszcze nie teraz. Na razie musi zawańczyć o siebie, nie dać się zastraszyć.

Miała ochotę złapać Kidda za rękę. Ale powstrzymała się, bo pomyślałby sobie nie wiadomo co. Choć mina jego teściowej byłaby bezcenna. Kaśka uśmiechnęła się do siebie w myślach. Przy tym niewysokim facecie o kamiennej twarzy czuła się bezpieczna. Jeszcze tylko ostatni akord szalonej historii, czyli transakcja z Księciem. I będzie mogła zacząć nowy rozdział swojego życia.

Nie miała zielonego pojęcia, że tak naprawdę jej los jest już przesądzony, że znalazła się na celowniku grupy operacyjnej „Sarajewo”, której zadaniem jest rozpracowanie i schwytanie gangu jej męża oraz Księcia. Kamera monitoringu, zamocowana na słupie lampy ulicznej niedaleko bramy cmentarza, transmitowała każdy krok jej

i Kidda do Pokoju Gier w Warszawie.

Młody miał zamiar podejść do sprawy ambicjonalnie. Nie poddawać się zmęczeniu i pracować na pełnych obrotach przez całą noc. Jednak gdzieś tak przed czwartą nad ranem odpuścił. Wypełził z piwnicy, w której mieścił się Pokój Gier, i poszedł do socjalu na piętrze, żeby zdrzemnąć się na kanapie. I tak nic sensownego do rana by nie osiągnął. Sobańska była namierzona, spała w domu teściów Roberta Kidda na zamkniętym osiedlu na obrzeżach Krakowa. Ściągnięte z całej Małopolski patrole policji i służb uganiały się za bandą Sobańskiego, ale było to szukanie igły w stogu siana. Na stacji benzynowej objawili się w aucie na fałszywych rejestracjach, równie szybko zniknęli. Pewnie zaszyli się gdzieś albo tym razem zmienili samochód, a nie tylko blachy.

Młody wiercił się na niewygodnej kanapie, która wydzielala nieprzyjemny, bliżej nieokreślony

zapach brudu, i była dla niego za krótka. Na szczęście nigdy nie miał większych problemów z zasypianiem. Trudniej było wstać. Budzik w komórce nastawił na siódmą trzydzieści. Obudził się z bólem głowy i sztywnym karkiem. Półprzytomny zszedł do łazienki w podziemiach, po drodze zaglądając do szatni. W swojej szafce miał przezornie przygotowany ręcznik i bieliznę na zmianę. Nie pomyślał tylko o żelu do kąpieli, ale mokry wyskoczył spod prysznic i nabrał w dłoń trochę mydła w płynie z dozownika obok umywalki.

Na stołówce wziął posmarowaną margaryną bułę z szynką i paskami papryki. Nie chciał jej jeść w dusznym pomieszczeniu pachnącym przypalonym mlekiem, więc wyszedł na parę minut przejść się po Lesie Kabackim. Z przyjemnością odetchnął powietrzem przesyconym zapachem igliwia, a może już nawet pierwszych w tym roku grzybów. Gdzieś wysoko nad lasem krążyły dwa drapieżne ptaki.

Kiedy najedzony i odświeżony Młody wszedł do Pokoju Gier, Agata siedziała już na swoim miejscu. Wyglądała na pochłoniętą pracą. Wkrótce po pierwszej w nocy pojechała do domu, dzięki czemu miała możliwość nie tylko wyspać się, ale i zmienić ubranie. Dziś miała na sobie zwiewną bluzeczkę w kolorze jasnej kawy z mlekiem. Młody wiedział,

że ten odcień ma jakąś specjalną nazwę. Jego poprzednia dziewczyna, która chciała zostać blogerką modową, naśmiewała się z niego, że jest daltonistą i nie odróżnia nawet różowego od pomarańczowego, nie mówiąc już o czymś takim jak kolor pudrowy czy lilaróż.

Bluzeczka Agaty wpuszczona była w czarne legginsy, co było o tyle rzadkością, że jej nogi do najprostszych nie należały. Dziewczyna musiała zdawać sobie sprawę z tego mankamentu urody, bo na ogół chodziła w sukienkach. Jednak Młodemu w ogóle to nie przeszkadzało, uważał nawet, że jej „iksy” są urocze.

Ciekawe, dlaczego dziś tak się ubrała – zastanawiał się. Może przyjechała rowerem?

– Ślicznie wyglądasz – powiedział, siadając przy swoim komputerze. – Wyspałaś się?

W odpowiedzi dziewczyna posłała mu tylko obojętne spojrzenie. Ale jednak, co Młody odnotował z zadowoleniem, poprawiła odruchowo włosy upięte w kucyk. Tak jakby jego słowa nie przeszły bez echa.

Kropla draży skałę – pomyślał, siadając przed komputerem.

To była pierwsza lekcja, którą zapamiętał na szkoleniu prowadzonym przez emerytowanego oficera w Wyszkanie. Jak on się nazywał?

Nazwisko wyleciało Młodemu z głowy, ale do końca życia będzie pamiętał cierpliwość, której pokłady odkrył wtedy w sobie. O świcie przez kilka godzin musiał stać w deszczu, potem wypełniał trzydziestostronicowy, upierdliwy formularz, potem badanie na wykrywaczu kłamstw. Przeszedł, wyróżnił się, dołączył do najlepszych, więc teraz tym bardziej nie może się poddawać, jeśli ma odnieść sukces.

– Może kawy? – zapytał Agatę.

– Chętnie.

– A zbrifujesz mnie? – Młody poderwał się natychmiast. – Coś nowego?

– Niewiele. Sobańskiego i jego grupy nadal nie namierzyliśmy. Prawdopodobnie przekroczyli już granicę i będą chcieli dorwać ją podczas przekazania fantu. No chyba że odpuścili i siedzą w jakiejś dziupli, ale wątpię.

– Ja też wątpię... – Młody urwał, bo nie chciał wyjść na takiego, co zbyt gorliwie potakuje.

– Sobańska była na Cmentarzu Rakowickim, a teraz jedzie w stronę czeskiej granicy samochodem Zenona Słuckiego. Z tego wynika, że jej spotkanie z Księciem jest aktualne. Czyli to nadal nasza szansa.

Młody podziękował, po czym poszedł do niewielkiej kuchni na końcu korytarza.

Uruchamiając ekspres, chuchnął sobie na rękę, żeby się upewnić, że w rozmowie z Agatą nie zionął brzydkim zapachem z ust. O paście i szczoteczce też zapomniał, kiedy kompletował zestaw na wypadek nocowania w pracy.

Po chwili wrócił do Pokoju Gier, niosąc ostrożnie dwa kubki z kawą. W międzyczasie pojawił się Szeff. Był ubrany tak samo jak poprzedniego dnia: ciemnoszary garnitur, czarna koszula i bordowy połyskliwy krawat. Młody pamiętał, że kiedy szedł się zdrzemnąć, Szeff trwał na posterunku, więc jeśli nawet zaliczył krótki sen, to pewnie na kanapie w swoim gabinecie piętro wyżej. W Pokoju Gier pracowało już też dwóch facetów z wczorajszego desantu. Było parę minut po dziewiątej.

– Szeffie, a to naprawdę dobry pomysł, żeby dać prysnąć Sobańskiej? – zapytał Młody, stawiając kawę przed Agatą.

– Co ty znowu filozofujesz? – Szeff skrzywił się lekko.

– No w sensie przekroczyć granicę... Sobańska jedzie w stronę Czech samochodem Słuckiego. – Młody z poważną miną zacytował meldunek, który usłyszał przed chwilą od Agaty.

– I bardzo dobrze. Wszystko zgodnie z planem.

Agata uśmiechnęła się leciutko i popatrzyła na Szefa z szacunkiem. Młody znowu złapał się na

tym, że szybciej otworzył usta niż pomyślał. Dobrze przecież wiedział, że cała misterna operacja o kryptonimie „Sarajewo” została skonstruowana tak, by w pierwszej kolejności ująć Księcia, czyli ukreć łeb nielegalnemu procederowi wywozu z Polski dzieł sztuki. To ten tajemniczy klient był priorytetem.

Trochę jednak dziwiło Młodego, że tak kurczowo trzymają się pierwotnej wersji planu. Nie raz uczył się na szkoleniach, że wraz ze zmieniającymi się okolicznościami trzeba modyfikować zadania operacyjne. A wczorajsza strzelanina w Konstancinie niewątpliwie powinna wpłynąć na ich optykę.

To wszystko zabrzmiało mu w głowie tak mądrze i profesjonalnie, że nie mógł się nie podzielić swoimi przemyśleniami.

– Ale Szefie, Szef nie uważa, że teraz najważniejszy jest Sobański i jego ludzie?

– Nie bojitsja. Zgarniemy ich wszystkich – przerwał mu przełożony, poprawiając mankiety koszuli. – Wszystkich, co do jednego. We właściwym momencie.

Młody miał ochotę zapytać, kiedy ten właściwy moment nastąpi, jednak nie miał już śmiałości, żeby drążyć temat. Czuł, że wyczerpał dzisiejszy limit hardości i asertywności wobec przełożonego.

Ale Szeff jakby czytał w jego myślach, bo odpowiedział mu na pytanie, które nie padło.

– Dziś wieczorem będzie po sprawie, zobaczycie. Zdejmujemy ich w Wiedniu. Dopinam akcję z Austriakami. Dokładnie o dwudziestej pierwszej trzydzięci, w budynku Opery Wiedeńskiej. – Szeff prawie się zaśmiał. – O dwudziestej drugiej będziemy siedzieć w tej knajpie przy Puławskiej i opijać akcję. Ja stawiam!

Młodemu opadła szczeka ze zdziwienia, ale starał się nie okazywać zaskoczenia, żeby znów nie wyjść na dziecinnego. Był pod wrażeniem zarówno pewności siebie Szefa, jak i precyzji przekazywanych przez niego informacji.

Gdzie, jak, kiedy została ustawiona taka operacja? I dlaczego niby w Wiedniu? Młody znał na pamięć wszystkie akta dotyczące prowadzonej operacji. Wynikało z nich, że Księżę ma posiadłość gdzieś w okolicach Rzymu. A tu nagle Wiedeń, współpraca z Austriakami? Tak precyzyjne dane jak Opera Wiedeńska i konkretna godzina?

Młodego zalała znajoma fala niepewności. Cholera, znów o niczym nie wie, coś się zadziało za jego plecami. To nie wróży niczego dobrego. Młody nie był głupi, wiedział, co to może oznaczać. Że się nie sprawdził. I po zakończeniu „Sarajewa” odeśła go. Nie został dopuszczony do wewnętrznego kręgu.

Usiadł przy swoim biurku. Poczłł gorzki smak na języku. Sięgnął po kubek i przełknął łyk kawy. Zastanawiał się, co jeszcze może zrobić, żeby zasłużyć na uznanie przełożonych. Praca tu coraz bardziej mu się podobała. Był w stanie znieść wiele wyrzeczeń, a nawet upokorzeń, byle tylko nie musieć wracać do komendy rejonowej.

Zacząła dzwonić komórka Szefa. Ostre, drażniące brzęczenie, które kiedyś instalowano w telefonach stacjonarnych. Młody słyszał je kilka razy w starych filmach, pamiętał też jak przez mgłę, że jego babcia, która umarła, kiedy miał sześć lat, posiadała takie starodawne dzwoniące urządzenie. Szef odebrał i przez chwilę słuchał, potakując monosylabami.

– Jakaś akcja w komisie samochodowym – rzucił do Agaty i Młodego, przesłoniwszy ręką mikrofon.
– Ciężko pobity Ukrainiec. Policja w Krakowie dostała zgłoszenie. Prawdopodobnie to Sobański i jego ludzie.

Gdyby ktoś tydzień temu powiedział Kiddowi, że w najbliższą sobotę wieczorem, u boku pięknej kobiety, będzie zmierzał na bal elit w Operze Wiedeńskiej, uznaliby to za żart. Ta sama przepowiednia wygłoszona poprzedniego dnia, kiedy z rozbitymi szybami uciekali na oślep ze stacji benzynowej, wydawała się jeszcze bardziej niedorzeczna.

A jednak.

– Do twarzy ci w garniaku – rzuciła Kaśka, ujmując go pod ramię. – Wszystkie te dziunie arystokratki będą się ślinić na twój widok.

Kidd milczał, patrząc na wielki, neorenesansowy gmach podświetlony lampami o przyjemnie ciepłej, żółtawej barwie. Wtapiał się w otoczenie, mimo przeładowania ozdobnymi detalami. Fasada wyglądała jak jedna wielka płaskorzeźba uwieńczona kolumnadą balustrady i na dokładkę jeszcze dwoma spatynowanymi posągami

uskrzydłonych koni.

– Co nic nie mówisz? Przynajmniej najemy się za friko – powiedziała niepewnym tonem, jakby speszona jego milczeniem. – Wino też na pewno będzie pierwsza klasa, zobaczysz. Zobaczysz, nie pożałujesz, i nie mówię już nic o swoim skromnym towarzystwie.

Zbliżali się do wejścia, a raczej ciągu drzwi wejściowych, przed którymi, za barierkami i czerwonym grubym sznurem, tłoczyli się fotoreporterzy oraz dwie ekipy telewizyjne. Niedaleko narożnika budynku, przy niewielkim trawniku z fontanną, parkował srebrzysty wóz transmisyjny z nadajnikiem satelitarnym na dachu.

– Speszyłam cię? – spytała Kaśka, mocniej przywierając do jego ramienia. – Znowu czujesz się zmolestowany?

– Daj spokój. – Kidd posłał jej rozbawione spojrzenie, ale nie odpowiedział ani nie zrewanżował się komplementem, choć w głębi serca musiał przyznać, że jego towarzyszka wygląda zjawiskowo. Już w metrze i kiedy szli rozległymi podziemiami stacji Karslplatz, co drugi mężczyzna taksował Kaśkę spojrzeniem wyrażającym jak nie zachwyt, to chociaż zainteresowanie. A przecież eleganckie kobiety

w porze wieczorowej i w pobliżu opery musiały być zjawiskiem powszednim.

Kaśka miała na sobie czerwoną, dopasowaną suknię, która podkreślała jej zgrabną sylwetkę, oraz okrywający ramiona czarny szal z delikatnego, opalizującego materiału. A może ta część garderoby nazywała się inaczej? Kidd nie był pewien, nie znał się na modzie. Do tego czarne szpilki i torebka, w której skrywał się wart fortunę rękopis Szymborskiej. Nieodłączna listonoszka była zbyt toporna na snobistyczny raut. A może nie pasowała kolorem? W każdym razie została w pokoju hotelowym i grzecznie czekała na powrót swojej pani.

Kidd mógł puścić Kaśkę samą, żeby sfinalizowała transakcję z Księciem. On poczekałby na obiecany tysiąc euro, jedząc tort Sachera w którejś z wiedeńskich kawiarni albo popijając lampkę wina na Grinzingu, ale zaproponowała, żeby jej towarzyszył. Nalegała wręcz, argumentując żartobliwie, że przecież może go oszukać. Zainkasować milion i zmyć się, nie zapłaciwszy mu ani grosza.

– Przecież jestem zła... Wyrachowana i nieuczciwa – prowokowała go, uśmiechając się zadziornie.

– Na dokładkę zdeprawowana – odciął się ostro,

ale tym razem się nie obraziła, tylko parsknęła śmiechem.

– Zdesperowana – odpowiedziała z autoironią.

Do stolicy Austrii wjechali wczesnym popołudniem. Podróż z Krakowa upłynęła im bez przygód i w zaskakująco innej atmosferze niż wczorajsza ucieczka z Warszawy, przerwana traumatycznym incydentem na stacji benzynowej, a potem wymuszonym noclegiem u jego teściów.

Tak, jakby wizyta na Cmentarzu Rakowickim uspokoiła i wyciszyła ich emocje. A może przyzwyczaili się już trochę do siebie? Nie wiedzieć kiedy przestali być dwójką zupełnie obcych sobie ludzi, których na chwilę połączył przypadek. Każdy kilometr przejechany po polskich, czeskich, a w końcu austriackich drogach oswajał ich ze sobą.

Najpierw rozmawiali o jego teściach, a potem Kaśka zaczęła go podpytywać o zmarłą żonę. Kidd sam z siebie nie otworzyłby się, nie czuł takiej potrzeby, ale Kaśka umiejętnie zadawała pytania. Przy tym nie miał wrażenia, że jego pasażerka jest wścibska, a jedynie autentycznie zaciekawiona.

Opowiedział jej, jak poznali się z Julią na pierwszym roku, podczas imprezy w klubie studenckim. Przyznał, że bliźniacy byli wpadką, bo kto planuje dzieci w wieku dwudziestu jeden lat.

Nie odpowiedział na pytanie, czy Julia była jego pierwszą dziewczyną, a wtedy Kaśka zaśmiała się i powiedziała, że na pewno tak właśnie było, bo w przeciwnym wypadku by się przyznał. Naśmiewała się z niego dobrych kilka kilometrów, ale potem, żeby było sprawiedliwie, zrewanżowała się kilkoma soczystymi anegdotami na temat Maksa.

– Nie wszystko było złe w tym naszym małżeństwie – powiedziała, uśmiechając się lekko.

– Zasponsorował ławkę w parku w Gdańsku, z naszą tabliczką... Prawda, jakie to romantyczne?

– Coś mi mówi, że było jednak jakieś „ale”.

– No ba! Ubzdurał sobie kiedyś, że przyjdziemy tam nocą, żeby się bzykać...

W sterylnym wnętrzu volvo teścia zrobiło się przytulnie, zwłaszcza że słuchali radia grającego powolne jazzowe standardy. Kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa stracili zasięg. Kaśka przełączyła radio na odtwarzacz płyt, ale po kilkunastu sekundach utworu zniecierpliwiona nacisnęła „eject”.

– Jezus Maria, co to za smęty? – jęknęła, wyszarpując płytę. – *The Best of Turnau*? Dajcie trumnę, bo ja umrę...

Kidd nie mógł powstrzymać uśmiechu. Kaśka otworzyła schowek i krzywiąc się, wrzuciła do

niego płytę. Szukała jakiejś innej, ale niczego nie znalazła. Po chwili wahania wyciągnęła z torebki przezroczyste wodoodporne etui, a z niego rękopis *Zapisków sztokholmskich*.

– Właściwie mogłabym skserować te stroniczki i sprzedać je drugi raz jakiemuś wydawcy – powiedziała z zawadiackim błyskiem w oku. – Co sądzisz?

– To jest dla mnie właśnie trochę dziwne w tym wszystkim – powiedział Kidd. – Nie uważasz, że prawa do tych wierszy ma jakiś oficjalny spadkobierca? Wiem, że ona nie miała dzieci. Ale jest jakaś fundacja?

– Całkiem możliwe. Ale to już się będzie Książę martwił. – Wzruszyła ramionami. – On dużo może. Sfałszuje jakiś papier. Coś w stylu, że odkupił ten rękopis od gosposi Szymborskiej, której zapisała go przed śmiercią.

– Takie numery robi? – Kidd chciał pociągnąć ją za język, ale Kaśka szybko zmieniła temat.

– Kwadrans kulturalny – powiedziała żartobliwie, modulując głos niczym natchniona dziennikarka radiowa zapowiadająca program. Zaczęła przeglądać rękopis. – O, ten jest dobry... *W studni*. Chcesz?

W odpowiedzi Kidd pokiwał głową.

Żyje od stu z górą lat.
Nadal krzepki i w formie,
ale co to za życie
na dnie studni.

Węgorz. Gdyby był elektryczny,
może świeciłby sobie. A tak
w ciemności pełzną lata, stulecie.
Noc jedna, lecz wieczna.
Węgorz nie wie, jaki jest sens
jego istnienia na dnie studni.

– Ale o co chodzi? – Kaśka zrobiła zdziwioną minę. – Nic nie rozumiem. Jaki węgorz?

– Ja wiem... Było coś takiego. Parę lat temu... Że w Szwecji zmarł jakiś stuletni węgorz, który był trzymany w studni.

– Nie gadaj. – Zaśmiała się, ale zaraz wygooglowała informację w komórce. – Rzeczywiście! Było coś takiego w 2014, czyli dwa lata po jej śmierci. „Niecodzienna depesza BBC: Zmarł najstarszy węgorz świata. Trwa żałoba” – odczytała, marszcząc czoło nad ekranem komórki. – Pewnie jak była w Sztokholmie, ktoś jej opowiedział o tym. Wtedy jeszcze żył, bidula, ale rzeczywiście, co to za życie...

Kidd pokiwał głową, próbując przywołać uśmiech na twarz, ale tak naprawdę nie mógł pozbyć się

natrętniej myśli, że po śmierci Julii sam stał się takim węgorzem na dnie studni.

Tak minęło im prawie pięć godzin podróży do Wiednia. I kiedy na koniec Kaśka spytała go, czy pójdzie z nią na spotkanie z Księciem, zgodził się bez wahania.

Kaśka wynajęła pokój w czterogwiazdkowym hotelu ViennArt niedaleko opery. Kidd planował powrót do Polski jeszcze tego samego dnia, ale ona chciała zostać w Wiedniu dzień, może dwa, żeby po sfinalizowaniu transakcji z Księciem na spokojnie zastanowić się, co dalej. Wykąpali się, zjedli obiad w hotelowej restauracji, zachodząc w głowę, skąd wytrzasnąć stroje wieczorowe.

Na spotkaniu z Księciem nie mogli pojawić się w swoich zwykłych ubraniach. Nikt by ich nie wpuścił do szacownego gmachu opery, w którym odbywał się jubileusz księżnej von Danhoff. Po obiedzie pojechali metrem do stacji Stephansplatz. W bezpośrednim sąsiedztwie katedry św. Stefana były między innymi Zara oraz H&M, a że trwały akurat wyprzedaże, za niewielkie pieniądze skompletowali wieczorową garderobę, łącznie z czarną muszką, którą Kaśka własnoręcznie zawiązała na szyi Kidda.

– *Good evening* – powiedziała, podchodząc do dwóch rosnących mężczyzn w czarnych garniturach,

którzy strzegli wejścia do budynku opery.

– *Good evening, madame, good evening, sir* – powiedział jeden z nich z twardym niemieckim akcentem, który niejako równoważył przyjaznym uśmiechem.

Następnie, ignorując Kaškę, posłał Kiddowi pytające spojrzenie, podnosząc wymownym gestem podkładkę z listą gości.

– *Your name, sir?* – spytał.

– Katarzyna Sobańska – hardo wcięła się Kaška.
– *He is my plus one.*

Ochroniarz sztywno skłonił głowę i uśmiechnął się przepaszająco.

– Austriacka szowinistyczna świnią – powiedziała Kaška po polsku.

– Przesadzasz – odpowiedział Kidd, poprawiając mankiety koszuli, tak żeby wystawały z rękawów marynarki na przepisowe kilka milimetrów.

– Nie – powiedziała twardo. – Uznał, że to ty jesteś zaproszony, a ja jestem tylko dupą do towarzystwa.

– Czyli myśli, że jesteś za ładna na arystokratkę. Potraktuj to jak komplement.

Ochroniarz zaczął sprawdzać listę. Kaška spojrzała na Kidda, ale w ułamku sekundy uśmiech na jej twarzy zamarł i zamienił się w grymas przerażenia. Kidd odwrócił się, żeby

sprawdzić, co ją tak przestraszyło. Przez Opernring szybkim krokiem przechodził po pasach mężczyzna o wyglądzie zakapiora, który wczoraj kijem baseballowym rozwalił szyby jego samochodu. Towarzyszyli mu dwaj inni o równie zdeterminowanych twarzach. Jeden przysadzisty z krótką szyją, a drugi wysoki, dobrze zbudowany, brunet o przystojnej twarzy. Kidd domyślił się, że oto nadchodzi Maksymilian Sobański, mąż Kaśki.

– Bardzo mi przykro, *madame* Sobańska, ale nie mam państwa na liście – powiedział po angielsku ochroniarz.

Kaśka obróciła się spanikowana i popatrzyła na niego, jakby nie rozumiała, co powiedział. Zaraz jednak się opanowała.

– Proszę sprawdzić jeszcze raz – powiedziała stanowczo. – Powinniśmy tam gdzieś być. Sobańska.

Ochroniarz jeszcze raz przełożył pierwsze trzy kartki, żeby dojść do litery „S”, przyłożył wskazujący palec, którym zaczął powoli jechać w dół listy. Trzech mężczyzn zeszło już z pasów, byli kilkadziesiąt metrów od nich, przyspieszyli kroku. Kidd pomyślał, że przecież nie zaryzykują otwartej konfrontacji w miejscu publicznym, w dodatku tak pilnie strzeżonym i obstawionym fotoreporterami i kamerami telewizji.

Jednak twarz Maksa Sobańskiego zionęła taką wściekłością, że Kidd zaczął powątpiewać, czy mąż Kaśki zachowa się racjonalnie. Może rzucą się na nich i nim ktokolwiek zdąży zareagować, wyrwą jej torebkę i uciekną.

Dojechawszy palcem do końca strony, ochroniarz jakby coś sobie uświadomił i zerknął na ostatnią kartkę. Podniósł wzrok i popatrzył na Kaśkę z oficjalnym uśmiechem.

– Oczywiście, bardzo przepraszam. Zostali państwo dopisani.

Ochroniarz zrobił krok do tyłu i wykonał zapraszający gest. Kaśka i Kidd podeszli do jego towarzysza, który sprawdził ich ręcznym wykrywaczem metalu. Poprosił jeszcze, żeby Kaśka otworzyła torebkę, zajrzał do niej, po czym podziękował i zapraszającym gestem wskazał na drzwi skrywające się w głębi kolumnady. Błysnęły flesze fotoreporterów, którzy pewnie uwieczniali każdego, kto wkraczał na czerwony dywan umilający ostatnie metry przed wejściem do opery.

– Kaśka, opanuj się, nie daruję ci! – krzyknął Maks, stając przed ochroniarzem z listą, który powstrzymał go stanowczym gestem. – Co ty odpierdalasz?!

– *Good evening, sirs* – powiedział ochroniarz, podnosząc podstawkę z listą gości. – *Your names,*

please...

– Kaśka! Kurwa no... – Maks zignorował go i zawołał ponad jego ramieniem. Zrobił krok do przodu, ale ochroniarz stanowczo go powstrzymał, kładąc mu rękę na ramieniu. Jego kolega obsługujący wykrywacz metalu rzucił się na pomoc.

Flesze przerzuciły się na Maksa, który ze złością próbował się przed nimi osłonić, przepychając się jednocześnie z dwoma ochroniarzami. Fotoreporterzy i dziennikarze nie mieli pojęcia, na czym polega konfrontacja prowadzona w obcym języku, ale zadziałał ich zawodowy instynkt. Podniesione głosy to na ogół ciekawy materiał dla prasy. Kaśka nie zareagowała na wołanie Maksa. Wzięła Kidda za rękę, ścisnęła ją mocno i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do opery.

Sezam się otworzył. Wrogowie zostali z tyłu, przynajmniej na razie.

Po krótkim ataku paniki przed wejściem Kaśka odczuwała teraz ulgę, wręcz euforię, że znów udało się jej uciec przed Maksem i jego zakapiorami. Nie miała pojęcia, jak ten drań ją tu namierzył. W rozmowie telefonicznej z Kaśką Książę zaklinał się, że nie powie Maksowi o ich spotkaniu. Podkreślał, że oddziela sprawy biznesowe od osobistych. I Kaśka знаła go na tyle, żeby mu uwierzyć. Gdy chodziło o dzieła sztuki, wszelkie sentymenty, a pewnie i skrupuły Księcia, przestawały się liczyć.

Najważniejsze, że nic już jej nie groziło, bo budynek Opery Wiedeńskiej, który gościł tego wieczoru setki arystokratów, a może nawet jakąś koronowaną głowę, był twierdzą, prawdopodobnie najlepiej strzeżonym i zabezpieczonym budynkiem w całej Europie Środkowej.

Nie myślała o tym, że prędzej czy później będzie musiała z tej twierdzy wyjść. Wtedy zacznie się

martwić. Coś wymyśli, Maks nie jest w stanie obstawić wszystkich wejść do budynku, biegnących wzdłuż Opernring, a przecież po bokach są jeszcze drzwi dla personelu. Na pewno się wymknie, w najgorszym wypadku Księżę ją osłoni. Była pewna, że jak już dobieje z nim targu i porozmawiają w cztery oczy, stary arystokrata jej pomoże. Wieloletni dobrodziej, a jednocześnie autorytet Maksa, przemówi temu kretynowi do rozsądku. Sprawa rękopisu Szymborskiej zostanie raz na zawsze zamknięta. Może Księżę będzie miał dla Maksa kolejne zlecenie, coś na otarcie łez. Ciągłe przecież wynajdywał informacje o dziełach sztuki, które chciał pozyskać. Za każdym razem, kiedy przywozili mu wymarzone cacko, miał już upatrzoną w Polsce kolejną zdobycz.

– Nic się nie bój, damy radę – rzuciła żartobliwie do Kidda. – Najgorsze już za nami.

– Nie boję się.

Pomyślała, że jak każdy facet, Kidd nie przyznałby się, bo musi grać twardziela. Uśmiechnęła się do dwóch tajniaków, których właśnie mijali, idąc w stronę głównych schodów wyłożonych wykładziną w wyblakłym zielonym kolorze. Kaśka nie miała wątpliwości, że ma do czynienia z agentami ochrony. Jeden z tajniaków uniósł rękę, jakby chciał podrapać się w nasadę

nosa, ale jednocześnie mówił cicho do swego mankietu.

Jeszcze bardziej się wyluzowała. Pomyślała nawet, że ochroniarze naradzają się, by zdjąć teraz Maksa i jego ludzi, jako podejrzaną grupę, która zakłóca spokój przy wejściu.

Nie miała pojęcia, że tak naprawdę mija nie ochroniarzy, ale funkcjonariuszy austriackich służb specjalnych, którzy w porozumieniu z polskimi partnerami przygotowali zasadzkę na Księżcia i na nią. W życiu nie przyszłoby jej do głowy, że Centralne Biuro Śledcze Policji ma ją na oku i tylko czeka na dogodny moment, bo rozpocząć ostatnią fazę operacji „Sarajewo”.

W przepastnych wnętrzach opery huczało zwielokrotnione echo rozmów prowadzonych przez gości księżnej von Danhoff. Uczestników balu były setki, wszyscy w strojach wieczorowych. Błyskały już nie flesze, ale brylanty w kolczykach i na tiarach arystokratek, kryształki żyrandoli, a także złocenia kolumn. Kaśka była jedyną kobietą, która występowała bez biżuterii. Ale była na tyle pewna siebie i swojej urody, że nie czuła się nieswojo.

– Prześliczna z was para – powiedziała po angielsku zasuszona staruszka, łapiąc ramię Kaśki kościstą, poskręcaną artretyzmem ręką ozdobioną złotymi pierścieniami. – Przypomnij mi nazwisko,

moje drogie dziecko.

– Sobańska – wypaliła Kaśka. – A to jest Robert Kidd.

– Ach, czyli nie jesteście jeszcze małżeństwem. Sobańska... – Staruszka przymknęła na chwilę powieki, jakby odcięcie się od bodźców wzrokowych poprawiało działanie pamięci. – Nazwisko oczywiście nie jest mi obce...

– Ród Sobańskich miał swoją siedzibę w Obodówce, obecnie na Ukrainie.

– Tak, to bardzo smutne...

– I większość naszych dóbr znajdowała się bliżej Dniestru i dzisiejszej Mołdawii.

Kaśka napotkała lekko zdziwione spojrzenie Kidda, jego jasnoszare oczy były szeroko otwarte. Zdawała sobie sprawę, że właśnie ulega dziwacznej schizofrenii. Z jednej strony odrzucała wszystko, co było związane z Maksymilianem Sobańskim. Rozwodziła się z nim i zamierzała pozbyć się jego nazwiska. Z drugiej strony... Nie, to wcale nie było tak, że chciała zabłysnąć przynależnością do starego magnackiego rodu. Tłumaczyła samej sobie, że wykorzystanie nazwiska Maksa, właściwie cały czas jeszcze jej nazwiska, jest częścią kamuflażu, przebrania, które umożliwiło jej przeniknięcie do gmachu Opery Wiedeńskiej i spotkanie z Księciem. A że przy okazji

rozsmakowała się w tej maskaradzie... Która kobieta nie chciałaby choć przez chwilę poczuć się księżniczką?

Kaśka złapała swoje odbicie w wielkim kryształowym lustrze. Posągowa piękność w czerwieni, dumna, emanująca elegancją i klasą. Tak mogło wyglądać jej życie. Towarzyszyłaby Maksowi podczas balów, rautów, przyjęć i wernisaży. Co z tego, że to wszystko było nieprawdziwe? Cała ta arystokracja była jedną wielką ściemą. Zbiorową ułudą podtrzymywaną przez jej uczestników.

– A pan jest Anglikiem? – Staruszka zwróciła się do Kidda.

– Amerykaninem.

– Ach, wspaniale. Nafciarzem?

– Coś w tym stylu.

– Widać, że nie buja pan w obłokach, tylko twardo stąpa po ziemi. – Podstarzała arystokratka położyła rękę na klatce piersiowej Kidda, po czym, przyciszywszy głos niemal do konspiracyjnego szeptu, odwróciła się do Kaśki, przewracając oczami z udawanym niedowierzaniem. – Przystojny, obłędnie przystojny...

Kaśka nie potrafiła powstrzymać lekkiego uśmiechu zadowolenia. Wcale nie uważała, że Kidd jest obłędnie przystojny, ale stara prukwa pewnie

zachwyciłaby się każdym facetem, który nie wspierałby się na lasce. Płynnym gestem Kaśka porwała z tacy przechodzącego kelnera kieliszek szampana. Ubrany we frak mężczyzna natychmiast się zatrzymał i skłonił lekko głowę. Kaśka upiła łyk, po czym wolną ręką rozświetliła ekran komórki, żeby zobaczyć, czy Księżę się nie odezwał.

Niestety, wyświetliła się jedynie informacja o dwóch nieodebranych połączeniach od Maksa, esemesie od mamy i wiadomości na Instagramie od Łukasza Kidda.

Kaśka westchnęła i schowała komórkę z powrotem do torebki. Chciała mieć już tę cholerną transakcję za sobą, ale w sumie nigdzie się nie spieszyła. Skoro włożyli z Kiddem tyle wysiłku, żeby zdobyć stroje wieczorowe i wyszykować się, powinni choć chwilę pobalować. Szampan smakował wybornie. Z tacy kolejnego kelnera porwała tartinkę z tatarem z łososia udekorowanym kawiozem.

Pożegna dziś swoje stare życie, a od jutra zacznie nowe. Na własny rachunek, w wysokości miliona złotych...

– Hej...

Kidd i Kaśka jednocześnie odwrócili głowy. Od tyłu podszedł do nich chłopak, który mógł mieć

siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat. Widać było, że męczy się w stroju wieczorowym, mankiety koszuli nie miały spinek, tylko były wywinięte na rękawy fraka. Niedbałym gestem przecesał lekko falujące kasztanowe włosy, które sięgały mu do ramion.

– Wreszcie ktoś, kto nie jest starym pierdzielcem – powiedział po niemiecku. – Dobrze się bawicie?

– Dopiero przyszliśmy – Kaśka odpowiedziała po angielsku.

Chłopak nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Znała ten typ. Rozwydrzony, bogaty gnojek, któremu od dziecka niczego nie brakowało, o nic nie musiał się starać. Jeszcze kiedy była z Maksymem, pojawiali się na imprezach europejskiej śmietanki, na których roiło się od podobnych książątek. Zdaniem Kaśki, w ich gładkich obliczach było coś niemęskiego. Lubiała nabijać się z tych próżniaków zgrywających dandysów; nazywała ich „cieplarnianymi kluchami”.

– Macie może coś... – powiedział chłopak, uśmiechając się znacząco.

– Co? – spytała obcesowo Kaśka.

– Aż się prosi, żeby pojawiła się Biała Księżna, co nie? – powiedział chłopak, po czym zaśmiał się bezczelnie.

– Spieprzaj, szczeniaku – powiedziała Kaśka, ale

lekkim tonem, bez przesadnej agresji.

Chłopak posłał jej zblazowane spojrzenie, po czym przeczesał włosy i złapał wzrokiem oddalającego się kelnera, z którego tacy ubywało kieliszków. Chwiejnym krokiem ruszył w jego kierunku. Kiedy zrównał się z nim, zatrzymał go i zaczął szeptać coś na ucho. Kelner grzecznie pokręcił głową i ruszył dalej.

– Jezu, co za degrengolada – powiedziała po polsku Kaśka.

– Zawsze bawiło mnie, że mój ojciec, w końcu Amerykanin, ma lewicowe poglądy – powiedział Kidd. – Ale teraz zaczynam go rozumieć.

Kaśka chętnie podrażyła temat, ale nagle poczuła wibrację telefonu. Pospiesznie otworzyła torebkę i wyciągnęła komórkę. Numer był zastrzeżony, ale doskonale wiedziała, kto dzwoni.

– Halo? – powiedziała, odchodząc w stronę kolumny, za którą chciała się schować, żeby spokojnie porozmawiać.

– Witaj, Katarzyno – powiedział Książę. – Gdzie jesteś?

– W lobby.

– Doskonale. Jak mniemam, masz ze sobą moje cacuszko.

– W stanie idealnym. Jest... Naprawdę wspaniale. Nie mogłam się powstrzymać

i przeczytałam.

– Pięknie. Rozgość się. Zaraz do ciebie schodzę.

Książę zakończył połączenie, a Kaśka uśmiechnęła się z zadowoleniem. Spojrzała na jednego z domniemanych ochroniarzy, który stał przy schodach i kiedy zauważył, że na niego patrzy, uprzejmym gestem skinął głową, po czym znów zbliżył mankiet do ust.

Pięć minut i będzie po wszystkim – pomyślała.

Książę niespiesznym, niemal pieszczotliwym gestem wsunął komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zorientował się, że ktoś na niego patrzy. I nie była to alabastrowa rzeźba młodzieńca z rozchyłonymi niewinnie ustami. Podniósł wzrok i uśmiechnął się przepraszająco do księżnej von Donhoff, siedzącej przy okrągłym stoliku, nakrytym grubym obrusem w kolorze burgunda i białą serwetą, na której stał serwis wykonany z porcelany niewiele grubszej niż skorupka jajka.

Książę, podpierając się laską, podszedł bliżej. Tak naprawdę jej nie potrzebował, bo trzymał się nieźle jak na swoje osiemdziesiąt lat. Stawy kolanowe trzeszczały, ale dzięki regularnym zastrzykom z kwasu hialuronowego funkcjonowały w miarę prawidłowo i bez bólu. Mężczyzna wolał jednak sprawiać wrażenie słabszego i delikatniejszego, niż był w rzeczywistości. Czasami porównywał się do przebiegłego węża, który na wielu obrazach,

a także piktogramach związanych z medycyną, owija się właśnie wokół laski. Porównanie lubił rozciągać dalej – na sferę grzechu i kuszenia.

– Johann. – Księżna von Danhoff zawsze używała niemieckiej wersji jego imienia, również w tym języku się do niego zwracała. – Wyłącz to paskudztwo, jeśli nie chcesz mnie rozsierdzić. Udam, że nie zauważyłam... Nie przystoi!

– Najmocniej cię przepraszam, moja droga – odpowiedział Książę. Wiedział, że jubilatka ma do niego słabość. Na wszelki wypadek pochylił się i ucałował jej pomarszczoną dłoń, upstrzoną plamami wątrobowymi. Ot, taki polski zwyczaj. Cudzoziemki, zwłaszcza te starszej daty, tak naprawdę go uwielbiały. Dla większości z nich był to niewątpliwie ostatni kontakt z ustami mężczyzny na tym padole.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale... Muszę załatwić pewną naprawdę drobną sprawę...

Księżna von Danhoff pokręciła głową z dezaprobatą. On zaś zaczął mimowolnie bawić się pierścieniem herbowym, który nosił na serdecznym palcu lewej ręki. Nie był do niego przyzwyczajony. Na co dzień nosił skromniejszy sygnet, na którym wyryte było lustrzane odbicie herbu, ponieważ używany był do pieczętowania listów. Wiele lat temu Książę dorobił go u jubilera w Rzymie.

Natomiast pierścień herbowy był autentycznym klejnotem rodzinnym. Była to, oprócz pieniędzy, jedna z nielicznych pamiątek, które zostały się po szlacheckich przodkach, i Księżę zawsze odczuwał niemal fizyczny ból, dotykając niewielkiego kawałka metalu. Nie miał dzieci, był ostatni z rodu i doskonale zdawał sobie sprawę, że na nim wszystko się zakończy. W testamencie zażyczył sobie, żeby pierścień herbowy został na jego palcu, kiedy będzie już leżał w trumnie.

W Sali Herbacianej, która została obstalowana w operze na potrzeby cesarza Franciszka Józefa, mogli przebywać tylko najbliżsi spośród wybranych. Crème de la crème kilkusetosobowej socjety, która przybyła do Wiednia świętować urodziny dostojnej jubilatki. Księżę należał do wewnętrznego kręgu, od kiedy ożenił się z kuzynką Donhoffów, Eugenią. Jego żona zmarła kilkanaście lat temu, ale taki właśnie był urok arystokracji. Jak już raz weszło się do elitarnego klubu, tylko sążnisty skandal mógł z niego wykluczyć.

– Patrz i ucz się, Lizzy. – Von Danhoff zwróciła się do swojej wnuczki, która również siedziała przy stoliku. – Drogi Johann zawsze miał głowę do interesów. Kiedyś nawet załatwił na moje urodziny Pałac Schönbrunn.

– Pamiętam – powiedziała wnuczka, uśmiechając

się lekko. Miała trzydzieści parę lat i, zdaniem Księcia, była całkiem urodziwa, choć szeroką twarz i kanciastą sylwetkę prędzej określiliby mianem „przystojna” niż „ładna”.

– Teraz zaczynam podejrzewać, że jego sukcesy biorą się stąd, iż interesy przedkłada nad wszystko inne, niczym jakiś parweniusz – westchnęła staruszka, sięgając po filiżankę.

– Nic podobnego. – Księżę uśmiechnął się lekko. – Dobrze interesy mają to do siebie, że robią się same.

– Rzeczywiście, w twoim wypadku wystarczyła cierpliwość.

Księżę już otwierał usta, żeby wyprowadzić ciętą, choć jednocześnie uprzejmą ripostę, ale poczuł wibrację na wysokości serca. Tak niewiele osób znało jego numer, że nie mógł zignorować telefonu. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął komórkę.

– No nie! – obruszyła się księżna. – Teraz igrasz z moją cierpliwością już wprost i bezczelnie. Johann!

Księżę skłonił głowę w przeproszającym geście, po czym wyszedł z Sali Herbacianej. Wibrujący telefon odebrał tuż za progiem, zasłaniając drugie ucho wolną ręką. Zewsząd dobiegał harmider rozkręcającej się z każdą chwilą imprezy.

- Maksymilianie... – powiedział chłodnym tonem.
- Dzwonisz w bardzo niefortunnym momencie.
Mam nadzieję, że z czymś naprawdę ważnym.

Kaśka złapała się na tym, że przechadza się nerwowo w tę i we w tę, a przecież taka gwałtowność ruchów nie przystoi damie. Zwolniła kroku, wyprostowała plecy i spróbowała przybrać pozę godną i stateczną, jak na przedstawicielkę klas wyższych przystało. Nie lubiła swojej starej tożsamości – córki fryzjerki, która ganiała się z chłopakami na podwórku i najlepiej ze wszystkich wspinała się na drzewa – ale czasami, zwłaszcza w momentach zdenerwowania, tamta Kaśka przypominała o sobie.

Kidd stał kilkanaście kroków dalej. Opierał się plecami o marmurową balustradę i podziwiał malowidła na suficie i ścianach klatki schodowej. Kaśka uznała, że lepiej, by Księżę nie zobaczył go tak od razu u jej boku. Nie wiedziała, jak stary arystokrata zareaguje, widząc, że nie ma już szans na ratowanie jej małżeństwa z Maksem. Ale kiedy już wymieni rękopis na gotówkę, atmosfera się

rozluźni. Wypiją po sznapsie i wtedy Kaśka powie mu, co tak naprawdę myśli o jego protegowanym. I niech się stary obraża, ile dusza zapragnie. Nie miała zamiaru robić z nim już żadnych interesów. Ten etap jej życia kończy się dzisiaj. Z milionem w kieszeni będzie gotowa spalić za sobą wszystkie mosty, również ten książęcy.

Ale gdzie on jest? Pięć minut temu powiedział, że już schodzi...

Znów podjęła nerwową przechadzkę. Żałowała, że nie ma wachlarza, którym, jak podpatrzyła, co starsze uczestniczki balu próbowały odgonić napady gorąca. Kątem oka zobaczyła ochroniarzy, którzy pojawili się w foyer w większej liczbie. Nagle zaczęła mieć paranoję, że skupiają uwagę na niej.

Wreszcie komórka zaczęła brzęczeć. Kaśka szybkim ruchem wyciągnęła ją z torebki. Zerknęła na wyświetlacz – zastrzeżony numer.

– Halo? – powiedziała, nacisnąwszy zieloną słuchawkę. – Bo ja właśnie czekam... Ale może pomyliłam miejsce? Przy klatce schodowej na samej górze, obok wyjścia na balkony...

– Katarzyno... – Książę wszedł jej w słowo. – Mam złe wieści. Zmuszony jestem odwołać nasze spotkanie.

Kaśka poczuła, że nogi się pod nią uginają.

Skuliła się, jakby dostała cios pięścią w żołądek.

– Co? Ale dlaczego?! – jęknęła i zaczęła rozglądać się, licząc, że wypatrzy gdzieś Księcia, podejdzie i przekona go osobiście.

– Nasza umowa jest nieaktualna. Przykro mi.

– Co?!

Pociemniało jej w oczach. Wszystkie jej starania mają pójść na marne? Niebezpieczeństwa i ryzyko więzienia?

– Chwileczkę! Jak to? Co się stało?

– Obawiam się, Katarzyno, że złamałaś nasze ustalenia.

– Ja? Skąd! To jakieś nieporozumienie...

Kątem oka zauważyła, że Kidd, słysząc jej podniesiony głos, ruszył w jej kierunku. Powstrzymała go gestem. Musiała skupić się i zgasić ten pożar w zarodku. Nie zamierzała odpuszczać. Księżę często hamletyzował, bywał chimeryczny, miewał humory. Maks twierdził, że jest to skorelowane ze stanem korzonków starego arystokraty, ale spokojną perswazją i cierpliwością zawsze udawało się go udobruchać. Czasami wręcz wystarczyło tylko poczekać, aż się wyzłośliwi, pogrozi palcem, potem znów stawał się normalny. Dlatego Kaśka nie traciła jeszcze nadziei.

– Porozmawiajmy, proszę... – powiedziała, siląc się na grzeczny ton. – Naprawdę, omówmy to na

spokojnie, twarzą w twarz... Ja to wszystko wyjaśnię.

– Katarzyno... Drogie dziecko, umawialiśmy się, jak zawsze zresztą, na absolutną dyskrecję.

– Oczywiście, że tak! I ja słowa dotrzymałam. Jak zawsze zresztą.

Kaśka nadal nie miała zielonego pojęcia, o co mu chodzi.

– Nie, Katarzyno. – Ton głosu Księcia stał się jeszcze bardziej nieprzejeźdny i niemiły. Jakby jego cierpliwość była na wyczerpaniu. – Doszły mnie słuchy, że u twojego boku pojawiła się pewna osoba...

„Doszły mnie słuchy”? Kaśka gorączkowo próbowała przetłumaczyć sobie tę archaiczną nowomowę. Co to mogło znaczyć? Cholera! Na pewno chodzi o Kidda, ale jakie on może mieć znaczenie? I kto mógł to wypaplać? Może ta stara prukwa powtórzyła mu ploteczkę o tym, że Kaśka puściła się z Amerykaninem, nafcierzem z Teksasu? Popierdoleni arystokraci.

– To nie tak, jak Księżę myśli...

Zaczęła tłumaczyć, że nic jej nie łączy z mężczyzną, który wszedł do opery jako jej osoba towarzysząca, że to jedynie znajomy, który wyświadczył jej przysługę i przywiózł ją do Wiednia.

– Katarzyno, twoje życie erotyczno-towarzyskie aż tak wielce mnie nie zajmuje. Wybacz. Moje zaniepokojenie wywołały zgoła inne fakty dotyczące tego człowieka.

– Jakie niby?!

– On jest przedstawicielem służb specjalnych. Została tu zastawiona na mnie pułapka.

Kaśka zamarła.

– Dobrze wiesz, że ci Polacy od dawna na mnie polują. Chcą mnie... – Księżę urwał na moment, szukając właściwego słowa. – Zdyskredytować. Łajdacy... To nie pierwszy raz...

– Nie, to naprawdę jakaś pomyłka – ośmieliła się wejść mu w słowo, a nawet roześmiać. – On jest nikim...

– Wierzę, że nie masz z tym nic wspólnego i stałaś się jedynie bezwolnym narzędziem w ich rękach. Ale nie będę ryzykował, przykro mi, Katarzyno, szalenie mi przykro...

– To jakaś bzdura, przecież mówię, że ten facet jest po prostu moim kierowcą. Niczym więcej! – powiedziała stanowczo, po czym urwała i krótką chwilę zastanawiała się. – Maks panu to powiedział, prawda?

– Źródło tej wiedzy jest nieistotne, moje droga Katarzyno. Ja nie mogę ryzykować.

– Błagam, spotkajmy się. Chociaż pięć minut!

Maks wymyślił to sobie, bo chce mi pokrzyżować plany. To jakaś bajeczka...

– Nie ma mnie już w operze. Chyba sama rozumiesz powagę sytuacji... Wyjeżdżam z Wiednia. I tobie radzę to samo. Niezwłocznie.

Rozłączył się. Nim zdążyła odpowiedzieć, usłyszała trzy piknięcia oznaczające koniec rozmowy.

Stała jak skamieniała. Wiedziała, że to sprawka Maksa. Była więcej niż pewna, że to on naopowiadał Księżciu bzdur, namotał mu w głowie, by rzutem na taśmę storpedować transakcję. Skurwysyn nie wydarł jej skarbu siłą, więc wziął się na sposób. Akcja służb specjalnych w operze! Kretynizm, ale na starego dziada, który boi się, bo wie, że ma sporo za uszami, widocznie to zadziałało. Maks był sprytny, wiedział, jak to rozegrać i załatwić ją na cacy.

Kaśka była tak wściekła, że chciało jej się wyć. A jednocześnie czuła się bezradna. Dalej stała jak sparaliżowana, z komórką w ręku, pośród coraz bardziej gęstniejącego, odświętnie wyszykowanego tłumu. Obawiała się, że już nikt i nic nie skłoni Księcia do zmiany zdania. A zwłaszcza w tak ważnej sprawie, jak jego bezpieczeństwo i anonimowość, na której punkcie miał prawdziwego fioła lub – jakby to ujął słynny

Austriak i wiedeńczyk Zygmunt Freud – fiksację.

Młody zorientował się, że coś poszło nie tak. Twarz Agaty, na co dzień niewyrażająca emocji i skupiona na pracy, nagle ożyła. Czoło zmarszczyło się, a pełne usta rozchyliły się, jakby w geście niedowierzania i zaskoczenia. W tym momencie nawet bardziej niż zwykle przypominała mu Dziewczynę z perłą. Jeszcze kilka miesięcy temu Młody kojarzył słynny obraz Vermeera jedynie z jakichś memów w sieci i koszulek, ale kiedy dołączył do operacji „Sarajewo”, zaczął doszkalać się z historii sztuki.

Agata, podobnie jak piękność z obrazu, była cicha, delikatna i kobieca, ale jednocześnie niedostępna i w pewien sposób zimna. Skojarzenie ze słynnym dziełem Vermeera jeszcze potęgował zestaw słuchawkowy w miejscu, w którym na obrazie znajdował się duży kolczyk z perłą.

Dziewczyna właśnie prowadziła rozmowę, niczym telefonistka w call center.

– Sobańska wychodzi – powiedziała głośno.

– Co?! – Szef, który rozmawiał po niemiecku przez komórkę, odwrócił się nagle i spojrzał na Agatę z niedowierzaniem. Oczy wszystkich obecnych w Pokoju Gier skupiły się na niej, jakby była wyrocznią przekazującą polecenia niewidocznego bóstwa.

– Sobańska wychodzi z obiektu – powtórzyła Agata, po czym przez chwilę wsłuchiwała się w rozmówcę. – Maurycy twierdzi, że mamy mniej niż minutę.

Szef się rozłączył, rzuciwszy do komórki krótkie przeprosiny. Młody próbował zrozumieć, co się dzieje. Wiedział, że Maurycy jest kryptonimem operacyjnym oficera z Agencji Wywiadu, który działa na miejscu. Dzięki współpracy z Austriakami kilkoro ich ludzi przeniknęło do gmachu Opery pod przykrywką ochroniarzy. Podobno nie było to specjalnie skomplikowane, bo firma zabezpieczająca tamtejszą imprezę należała do emerytowanych oficerów austriackiej jednostki specjalnej EKO Cobra, z którymi CBŚP i AW miały swoje kontakty.

– Niech melduje. – Szef błyskawicznie opanował emocje i kontynuował już rzeczowym tonem. – Coś się tam dzieje?!

Poluzował krawat, po czym spojrzał na ekrany

operacyjne, które zajmowały ścianę naprzeciwko wejścia do Pokoju Gier, tak jakby na nich szukał odpowiedzi. Młody odruchowo podążył za nim wzrokiem, ale to nie był film sensacyjny. Nie mieli podglądu na kamery monitoringu w Wiedniu. Choć przecież współpracowali z tamtejszymi służbami specjalnymi i Młody rzucił już rano taki pomysł, ale w odpowiedzi napotkał pełne rozbawienia spojrzenia wszystkich obecnych, niestety również Agaty. Szef wytłumaczył mu wtedy, że austriacka Bundespolizei to zupełnie inna sprawa. Załatwienia u nich zgody trwałoby do Gwiazdki.

– Co jest?! Adam!

Wywołany po imieniu łysy czterdziestolatek, który dołączył do nich wczoraj, oderwał wzrok od ekranu komputera.

– Sobańska miała przed chwilą połączenie telefoniczne. Czterdzieści siedem sekund...

– Numer?! – przerwał Szef.

– Moment, Rysiek... Nie ustalę tego w ciągu minuty, jest zastrzeżony. Prefiks trzydzieści dziewięć...

– Kierunkowy do Włoch? – Szef bardziej stwierdził, niż zapytał. – To on. Książę.

– Może ona zostawiła mu fant w umówionym miejscu? – wyrwało się Młodemu. – Niech sprawdzą, czy nie była przed chwilą w toalecie na

przykład... Niech przeczesują budynek.

– Maurycy potwierdza rozmowę telefoniczną – powiedziała Agata, łapiąc zaskoczonego Młodego za ramię.

Zrozumiał, że go ucisza, ale mimo wszystko gest był miły. Ale nie czas i miejsce, by się nim radować. Zarówno akcja przygotowana w operze, jak i cała mozolnie konstruowana od wielu miesięcy operacja właśnie wymykały im się z rąk. W ciągu następnych kilkudziesięciu sekund wszystkie ich starania mogą obrócić się w pył. Młody czuł, że robi mu się gorąco, a pod pachami zaczyna się pocić.

– Maurycy odzyskał kontakt wzrokowy – relacjonowała Agata, osłaniając ręką zestaw słuchawkowy, jakby bała się uронić choćby słowo. – Sobańska jest w stanie wzburzenia emocjonalnego. Wychodzi z budynku!

Młody bardzo chciał coś zasugerować, ale widząc skupioną, wręcz zbolalą, twarz Szefa, zrezygnował.

– Maurycy pyta, co robimy – powiedziała Agata. – Zdejmujemy ich?

Szef milczał. Ściskając rękami oparcie krzesła komputerowego, przy którym stał, wbijał wzrok w szarą wykładzinę na podłodze, jakby z nylonowych kłaczek chciał wyczytać instrukcję dalszego postępowania.

Młody wiedział, że ich sytuacja za chwilę znów

stanie się beznadziejna. Zamiast obiecanego triumfu w postaci zatrzymania Księcia, który przykryłby blamaż w Konstancinie i być może doprowadził też do ujęcia grupy Maksymiliana Sobańskiego, zostaną z niczym.

Akcja w Operze Wiedeńskiej została zmontowana pośpiesznie, ale z ogromnym nakładem środków, nie licząc wysiłku wielu osób, wykorzystania cennych kontaktów i tak dalej. I właśnie spaliła na panewce. Tak po prostu. Niby normalna rzecz, ryzyko wkalkulowane w przypadku działań służb specjalnych. Młody nadal nie miał pojęcia, skąd Szef dostał cynk o planowanym spotkaniu Sobańskiej z ich obiektem w Operze Wiedeńskiej, ale pewne było, że kolejny raz czegoś takiego nie dostanie na tacy. Taki intel, czyli mówiąc bardziej swojsko – cynk – był na wagę złota.

– Piętnaście sekund – powiedziała Agata, patrząc na Szefa.

Młody poczuł, że zalewa go kolejna fala gorąca. Adrenalina tak mu podskoczyła, że niemal słyszał walenie swojego serca. Byli już tak blisko celu. Co się stało? Książę się spłoszył. Z jego dossier, które Młody znał na pamięć, wynikało, że jest arcyostrożny. Nie dostaną go. Na otarcie łez mogą zgarnąć Sobańską i tego Amerykanina. Tylko czy ona doprowadzi ich do swojego męża i jego ludzi?

– Szefie, wychodzą. Zdejmujemy ich? – Agata powtórzyła pytanie bardziej stanowczym tonem.

Młody był pewien, że ona rozumuje podobnie jak on, że lepiej zgarnąć płatki niż zostać kompletnie z pustymi rękami.

Ale Szef milczał.

Kidd był zdezorientowany, bo nie wiedział, co zaszło podczas rozmowy telefonicznej Kaśki, dlaczego nagle rzuciła się biegiem. Bez słowa ruszył za nią, gonił ją właściwie, ślizgając się po schodach i omijając rozgadane nastolatki w absurdalnie pompatycznych sukniach wieczorowych, które szykowały się do inaugurującego urodziny księżnej walca debiutantek.

– Ustawcie się! – krzyczała po angielsku, ale z silnym niemieckim akcentem kobieta wyglądająca jak podstarzała, zasuszona primabalerina. Była szczupła, trzymała się prosto jak struna i miała białe jak śnieg, gładko zaczesane długie włosy, a na sobie połyskliwie czarną przylegającą suknię wieczorową. – Nie gadać! Nie gadać mi teraz, skup się, Annabella! Za chwilę wasz wielki moment. Vicky!

Kidd zastanawiał się, gdzie są partnerzy małych

księżniczek, ale nie miał czasu zaprzętać tym sobie głowy.

– Poczekaj! – wołał za Kaśką i zrobiwszy kilka susów po dwa stopnie, wreszcie ją dogonił.

– Co mi każesz czekać, jak wszystko się wali?! Maks wszystko rozpieprzył! Rozumiesz? Kurwillo!

Nie zwalniając kroku, wyjaśniła mu, że Książę przed chwilą odwołał spotkanie, ale ona chce jeszcze spróbować go złapać i wyjaśnić nieporozumienie.

– Czekaj! – Kidd przystanął, licząc, że ona też to zrobi, ale Kaśka nie zareagowała, więc zaraz znów ruszył za nią. – Nie uważasz, że Maks specjalnie namieszał, żeby cię wywabić, żebyś wyszła i nadziała się prosto na niego?

– Daj spokój. No co, rzucą się na nas? Są stacje telewizyjne, dziennikarze, setki ludzi. Ta menda po prostu robi wszystko, żebym nie dostała tej kasy. Muszę dorwać Księcia, wyjaśnię mu.

Była już w westybulu i pewnym krokiem zmierzała w stronę przeszklonych drzwi wejściowych. Nagle zamarła. Naprzeciw im szli dwaj tajniacy. Jeden z nich trzymał przed sobą wyprostowaną dłoń, krzycząc „halt!”. Gest policjanta z drogówki nakazujący zatrzymać się. Drugi z tajniaków konferował nerwowo z mankietem koszuli.

Kidd stanął tuż obok Kaśki i teraz oboje patrzyli zdezorientowani na groźne miny nadbiegających ochroniarzy.

– Stop! Stójcie – warknął po angielsku ten na przedzie i sięgnął po broń do ukrytej pod marynarką kabury. – Na ziemię!

– Co?! Co się dzieje? – spytała po polsku Kaśka, odwracając się w stronę Kidda.

– Nie mam pojęcia.

– On ma broń?

– Na ziemię! – Facet podniósł głos. Jego rozkaz zabrzmiał jak nieprzyjemne wysokie szczeknięcie.

Kaśka i Kidd stali nieruchomo. Tajniak, który konferował z mankietem koszuli, naraz złapał za ramię swojego kompana, powstrzymując go. Nachylił się i coś mu powiedział, po czym uśmiechnął się przepraszająco do Kaśki i Kidda.

– Wybaczcie państwo – powiedział po niemiecku.
– Zaszła pomyłka.

Tajniak, który przed chwilą na nich wrzeszczał, popatrzył na swego towarzysza z niemym zdziwieniem, ale natychmiast schował broń i stanął w ugrzecznionej pozie, jak gdyby nic się nie stało. Rozejrzał się jeszcze niepewnie na prawo i lewo, jakby chciał sprawdzić, czy jego wrzaski ściągnęły uwagę wielu osób.

– Możecie przejść – powiedział jego kolega

i skłonił lekko głowę. – Wszystko w porządku. Jeszcze raz przepraszamy.

Kaśka przez ułamek sekundy mrugała z niedowierzaniem oczami, jakby próbowała zrozumieć, co się dzieje. Ale potem przeszła między tajniakami i skierowała się do drzwi wejściowych. Kidd ruszył za nią.

– Tu nie można biegać? – mamrotała pod nosem.
– Chyba o to chodzi?

Na zewnątrz panowała już noc, ale latarnie uliczne, reflektory podkreślające szczegóły architektoniczne budynku i inne niezliczone światła sprawiały, że wszystko było widać jak na dłoni. Kaśka z nadzieją rozglądała się wśród spóźnialskich gości zmierzających do wejścia, wpatrywała się w przyjeżdżające i odjeżdżające auta. Fotoreporterów ubyło, a obie ekipy telewizyjne zwijały się.

– Szukaj go. On chodzi z laską. Siwy, jakieś osiemdziesiąt lat. Dystyngowany...

Kidd posłusznie rozglądał się, ale szybko zrozumiał, że nie ma to większego sensu. Szansa, że wypatrzą Księcia, była zerowa. Mimo to Kaśka nie odpuszczała. Zdesperowanym wzrokiem omiatała ubrane w stroje wieczorowe postaci, które podchodziły w kierunku dwóch ochroniarzy odhaczających nazwiska na liście. Nie chciała dać

za wygraną, ale jej mina stawała się z każdą chwilą coraz bardziej płaczliwa.

– Nie mam nawet jego numeru! Wszystko poszło w pizdu...

– Są. Zauważyli nas – powiedział Kidd i złapał ją za ramię.

Rzeczywiście w ich kierunku ruszyli Maks i Kosiarz, ale Kaśka nadal rozglądała się w poszukiwaniu Księcia, co chwila rozświetlając ekran komórki, żeby sprawdzić, czy nie zadzwonił.

– Kaśka... – Głos Kidda stał się bardziej stanowczy.

Nie zareagowała. W końcu Kidd pociągnął ją zdecydowanym gestem w kierunku czarnego mercedesa z żółtym oznakowaniem „taxi” na dachu, z którego przed momentem wysiadła ubrana w stroje wieczorowe para w średnim wieku. Kaśka przez chwilę stawiała mu bierny opór, odwracając głowę w stronę gmachu opery.

– Chodź, proszę cię. Zaraz nas dopadną.

W końcu odpuściła i dała się poprowadzić do taksówki. Kidd otworzył tylne drzwi i pomógł jej wsiąść. Nie przesunęła się w głąb auta, żeby zrobić miejsce dla niego, więc usiadł z przodu, na fotelu pasażera. Rzucił nazwę hotelu, w którym się zatrzymali, i poprosił, żeby jechali jak najszybciej. Kierowca, pięćdziesięciolatek w grubych okularach,

przyjął zlecenie skinieniem głowy. Lewą rękę trzymał na kierownicy, prawą zaś zaczął wstukiwac coś w komórkę, co chwila odrywając na moment wzrok, żeby skontrolować drogę.

– Pewnie pojedą za nami – powiedział Kidd po polsku, odwracając głowę, by spojrzeć na Kaškę. – Trzeba coś wymyślić, słyszysz? Tak łatwo nie odpuuszczą – dodał, podnosząc wzrok, by wyrzec przez tylną szybę. – Zaraz będziemy w hotelu, to jakieś dwa kilometry. Musimy ich zgubić.

– Dlaczego? – Kaška patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Co dlaczego?

– Dlaczego chociaż raz w życiu nie mogło mi pójść gładko? Nie, ja muszę się z nim skontaktować, złapać go. Przecież nie mogę teraz odpuścić! Posłuchaj... Czy można oddzwonić na zastrzeżony numer? Albo chociaż wysłać esemesa?

– O czym ty mówisz? – Kidd zmarszczył brwi.

– Nie mam numeru Księcia. On zawsze dzwoni z zastrzeżonego. Dzwoniłam do jego asystentki, ale ona ma wyłączony telefon. Wykładasz na polibudzie, jesteś inżynierem. Chyba się znasz na tym, pomóż...

– Owszem, znam się. Nie da się.

Na wszelki wypadek złapał ją za rękę, jakby chciał, żeby poczuła, że ma w nim oparcie.

– Ty to umiesz pocieszyć – fuknęła, wyrwała rękę, a moment później zaczęła przetaczać się przez nią fala lamentu. – I co ja teraz mam zrobić? Wszystko się rozjechało. Jak zawsze.

Milczała przez moment, kręcąc głową, jakby z niedowierzaniem, ale po chwili wybuchła z nową siłą.

– Wymarzyłam sobie skromną rudere na Sycylii... To naprawdę aż tak wygórowane oczekiwania?! Żaden pałac, wszystko do remontu, taka mała, skromniutka ruina, no komu by ubyło? Ale nie! Nie dali...

– Może jeszcze nie wszystko stracone, w hotelu zastanowimy się na spokojnie...

– Co to ma być, ja się pytam... Pieprzone fatum?! Co ja teraz zrobię? Nie mam kasy, nie mam po co wracać do Polski... Nic nie mam!

Kidd złapał na moment spojrzenie kierowcy. Mężczyzna nie miał pojęcia, o czym rozmawiali jego obcojęzyczni pasażerowie, ale jego mina wyrażała współczucie i zrozumienie. Pewnie sam miał doświadczenia z kobietami, którymi targają emocje.

– Mała zmiana – powiedział Kidd po niemiecku. – Proszę nas zabrać do jakiegoś dużego centrum handlowego.

– Do którego? – spytał obojętnym tonem

kierowca. Jego prawa ręka odruchowo powędrowała w stronę ekranu komórki, czekając na instrukcje.

– Wszystko jedno. Byle był tam spory parking.

– To może Wien Mitte... – odparł taksówkarz. Albo BahnhofCity.

– Wszystko jedno. Jedźmy!

– Oczywiście.

Niecały kwadrans później mercedes wjechał na najwyższy poziom nadziemnego parkingu nad centrum handlowym Wien Mitte, a Kidd poprosił, żeby taksówkarz zatrzymał się jak najbliżej wind. Dał mu przygotowany już wcześniej banknot o nominale 20 euro. Kaśka i on wysiedli i zjechali windą na parter.

Wmieszali się w tłum klientów centrum handlowego, choć stroje wieczorowe wyróżniały ich niczym odblaskowe kamizelki. Od strony delikatesów doleciał ich zapach pieczywa i świeżo mielonej kawy. Wyszli przez rozsuwane drzwi na deptak, nie zwalniając kroku ruszyli w prawo w stronę postoju taksówek. Wsiedli do pierwszej z nich i kazali kierowcy jak najszybciej zawieźć ich do hotelu ViennArt.

Tym razem wiózł ich młody chłopak o śniadej karnacji, którego oczy zabłysły na sam dźwięk słowa „schnell!”. Ruszył z kopyta, po czym z taką

wirtuozerią przyspieszał, hamował i zmieniał pasy, by wcisnąć się w luki między innymi autami, że Kidd i Kaśka prawie dostali choroby lokomocyjnej. Dwanaście minut i niecałe piętnaście euro później dojechali do hotelu.

Kidd miał nadzieję, że zgubili pościg. Czuł, że wszystko jest na jego głowie, bo Kaśka, od momentu, kiedy nie wyszło jej spotkanie w operze, załamała się i popadła w stupor. Widać było, że jest zdruzgotana.

– Chodź. – Kidd otoczył ją ramieniem, kiedy wyszli z taksówki. Poczul chłód połyskliwego materiału, z którego wykonany był jej szal, ale i ciepło jej ciała.

Młody kierowca odjechał niemal z piskiem opon. Kidd jeszcze raz rozejrzał się w prawo i w lewo po Breite Gasse, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Nocne powietrze było przyjemnie chłodne, choć przesycone spalinami. Weszli do hotelu podjazdem przez drzwi, które otworzyły się automatycznie.

W windzie Kaśka puściła jego ramię. Chyba poczuła się znów na tyle pewnie, by twardo stanąć na własnych nogach. Podniosła się po ciosie, jakim była rejterada Księcia. W pierwszej kolejności przeprosiła Kidda za swój moment słabości i za to, że nie może zapłacić mu za podwózkę do Wiednia.

Wzruszył tylko beztrosko ramionami. Patrzył na nią z niekłamanym podziwem. Znów miał przed sobą silną i dumną kobietę, choć jednocześnie, gdzieś tam wewnątrz wydawała mu się krucha i delikatna.

Wysiedli na piątym piętrze i ruszyli korytarzem. Wykładzina dywanowa tłumiła odgłosy kroków, słyhać było jedynie szelest materiału, z którego wykonana była suknia Kaśki. Kiedy stanęli przed drzwiami z numerem 507, Kidd wyciągnął z portfela kartę magnetyczną. Przepuścił Kaśkę przodem, a potem sam wszedł do pokoju, włączając nastrojowe oświetlenie lamp ustawionych po obu stronach łóżka.

Kidd odwrócił się i, jakby kierowała nim jakaś siła, zrobił krok w kierunku Kaśki. Objął ją i pocałował w usta. Przez chwilę niepewności czuł opór i już spodziewał się, że odepchnie go i uderzy w twarz albo przeora mu policzek pomalowanymi czerwonym lakierem paznokciami, ale zaciskająca się pięść rozluźniła się i objęła go za kark.

Potem on sam jeszcze się zawahał. Głos rozsądku krzyczał mu do ucha, że postępuje jak skończony idiota, robiąc dokładnie to, czego nie powinien robić. Że wikła się, że ryzykuje i robi największe głupstwo swojego życia.

Na nic to wszystko. Przyciskając ją do ściany i nie

przerywając pocałunku, miał świadomość, że leci w dół przepaści i już nic nie jest w stanie zrobić, żeby się uratować.

Obrócili się z gracją, niczym w wiedeńskim walcu, i opadli na łóżko. Ręce Kaśki puściły jego kark. Rozwiązała mu muszkę, ściągnęła z szyi, znów zaczęli się całować i nagle Kidd poczuł, że ogarnia go szaleństwo, którego nigdy nie doświadczył, uprawiając seks z koleżanką z pracy. A czy kochając się z żoną, tak się zatracił? Tego nie pamiętał, bo przecież było to tak dawno temu...

Haruki Matsui nie mógł zasnąć, mimo że miał za sobą kolejny wyczerpujący dzień. Wraz z żoną, Keiko, która spała obok niego, oddychając miarowo, zwiedzili dziś stolicę Austrii. Największe wrażenie zrobił na nim Pałac Schönbrunn. I to nie sama budowla, monumentalna, ale o nudnej architekturze. Pałac jak pałac, widzieli już ich tyle podczas podróży poślubnej po Europie, że zaczynały mu się mieszać. Haruki nie mógł zasnąć, bo w głowie kołatała mu historia mieszkającego w pałacu cesarza, którego imię, a raczej chyba imiona, wyparowały mu z pamięci. I jego żony Sissi. Jej imię było krótkie i charakterystyczne, więc je zapamiętał.

Przed wejściem do pałacowych komnat dostali audioprzewodnik w formie słuchawki. Nie najnowszy już gadżet miał ciekłokrystaliczny wyświetlacz i sam mógłby – zdaniem Harukiego – znaleźć się w muzeum. Słuchawka sączyła do ucha

turysty opowieść o monarsze, który całe życie kochał swoją żonę i tylko ją, i ciężko pracował od rana do wieczora na rzecz swojego kraju. Ale Sissi, jak sugerowali twórcy przewodnika, dość szybko znudziła się i mężem, i rolą cesarzowej, zaczęła wdawać się w romanse i podróżować po świecie. Jednym słowem, korzystała z życia...

Haruki był zaskoczony opowieścią, którą usłyszał w Pałacu Schönbrunn, i nie mógł przestać o niej myśleć. Może też wypił za dużo kaw, które były w zasadzie darmowe, bo wliczone w cenę hotelowego pokoju. Popatrzył na śpiącą żonę, pomyślał o swojej pracy w maleńkim boksie na siedemnastym piętrze biurowca firmy logistycznej w Osace. Dlaczego on nie mógłby być jak Sissi?

Nagle usłyszał jakieś hałasy za ścianą. Zdławiony okrzyk kobiecy, potem odgłosy jakby uderzenia. W pierwszej chwili przestraszył się, że coś złego dzieje się w sąsiednim pokoju, nim jednak wstał z łóżka, żeby zareagować, może zadzwonić na recepcję, zrozumiał, że dochodzą go odgłosy uprawiania seksu.

Sytuacja jak z filmu rozbawiła go, ale z każdą chwilą rosła w nim zazdrość. I podniecenie. Słyszał głównie kobietę, która musiała przeżywać wyjątkową rozkosz i uniesienie. Nie darła się wniebogłosy, ale jej pojękiwania były niebywale

sugestywne.

Haruki przypomniał sobie, że kojarzy parę z sąsiedniego pokoju, minęli się na hotelowym korytarzu. Na mężczyznę nie zwrócił uwagi, ale kobieta była piękna. Choć w Europie zwracał głównie uwagę na blondynki, a ona miała ciemne włosy, zapamiętał ją.

Ona była jak Sissi. Efektowa i elegancka, a jednocześnie zmysłowa. Nie żadna wyniosła i zimna piękność, ale kobieta, która potrafi cieszyć się życiem i nie da się zadusić konwenansom.

Haruki przełknął ślinę i popatrzył na śpiącą Keiko. Zastanowił się, czy jej nie obudzić. Musiał coś zrobić, bo napięcie, które w nim narastało, nie pozwoli mu zasnąć do rana, będzie się tak męczył i męczył.

Mijały minuty, a odgłosy za ścianą nie ustawały. Po chwili wahania Haruki wstał cicho z łóżka, poszedł do łazienki i przekręcił zamek w drzwiach.

dzień / czwarty

Kompletnie się tego po nim nie spodziewała. Taki niby zrównoważony i opanowany. W dodatku ledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej dał jej kosza... Kto by pomyślał? Zimny, pozbawiony emocji typ, a w jednej chwili krew w nim zawrzała i zapłonął jak pochodnia...

W sumie nie powinna być aż tak zaskoczona. Nie od dziś wiedziała, że ludzie, którzy najbardziej się kontrolują, gdy w końcu tracą panowanie nad sobą, robią to spektakularnie. Z przytupem. Potrafią zdumieć, a nawet zaszokować kogoś, kto na co dzień folguje swojemu temperamentowi. Widocznie emocje, którym nie daje się regularnie ujścia, gromadzą się i odkładają gdzieś głęboko. Gdy w końcu tama pęka, fala namiętności zmywa i miażdży wszystko po drodze.

Kaśka długo jeszcze aż drżała na wspomnienie tej fali. Dosłownie drżała, mimo że klimatyzacja była nastawiona na przyjemne 22 stopnie. Leżała

w hotelowym łóżku na wznak, ale sen nie przychodził. Potem tuliła się do jego twardych, zwartych i gorących mięśni, wsłuchiwała w jego głęboki oddech. I nadal nie mogła zasnąć.

Natomiast Kidd odpłynął niemal zaraz po seksie. We śnie znów był stabilny i zrównoważony, nie wiercił się, nie stękał ani nie chrapał.

Naraz wydało się jej, że słyszy stłumiony okrzyk, a po chwili w sąsiednim apartamencie ktoś spuścił wodę. Potem jednak zapadła cisza. Patrząc na migającą regularnie w ciemności czerwoną diodę czujnika dymu, który był przyczepiony do sufitu, Kaśka wróciła myślami do fiaska transakcji z Księciem. Choć nadal przytłaczała ją świadomość porażki, jednocześnie czuła się spokojniej, a chwilami wręcz błogo. Oczywiście była to zasługa spełnienia, którego doświadczyła za sprawą Kidda. Nawet nie miała ochoty wstać i zapalić papierosa.

A jeśli on przeleciał ją, tylko po to żeby poprawić jej humor?

Wewnętrzna dama skarciła ją w myślach za tak knajacki język. Kaśka nie uważała się za pruderyjną ani nie wstydziła się patrzeć na mężczyzn przez pryzmat ich atrakcyjności, jednak jej życie erotyczne wcale nie było takie bujne, jakby się mogło wydawać.

Od czasu definitywnego rozstania z mężem kilka

miesiący temu aż do dziś tylko raz dała się ponieść namiętności. Zdarzyło się to w pierwszym tygodniu po zerwaniu z Maksem, jeszcze w Gdańsku. Typowe odreagowanie albo próba uśmierzenia nagłej samotności. Nie poszła do baru ani na dyskotekę, nie usiadła przy barmańskiej ladzie i nie dała postawić sobie drinka nieznanemu. Umówiła się, jak na XXI wiek przystało, przez aplikację randkową.

A i tak z pierwszym wybrankiem nic nie wyszło. Wiedziała to od razu, kiedy go zobaczyła w kawiarni, w której się umówili. W wirtualnej rozmowie wydawał się jej pewny siebie i napalony, ale w realu dostała delikatnego studenta ostatniego roku zarządzania, który miał charyzmę wielkanocnego zajączka. Nie wróżyła mu kariery managerskiej powyżej średniego szczebla.

Jak on miał na imię? Ksawery. Bardziej rozbawiona niż rozczarowana, posiedziała z nim kwadrans, pogadała, wypila kawę, po czym poklepała go przyjacielsko po ramieniu i ruszyła kontynuować łowy. Późnym wieczorem tego samego dnia wylądowała w łóżku z bardzo niegrzecznym blondynem. Poczwała ulgę, jednak mimo że facet nalegał, by została na noc, nie miała ochoty na powtórkę ani żaden ciąg dalszy. Nie żałowała przygody, ale potrzebowała jej głównie po

to, żeby definitywnie zamknąć w swoim życiu rozdział pod tytułem „Maksymilian Sobański”. Niczego sensownego z niej nie wyniosła, a po niegrzecznym blondynie pozostało wspomnienie w postaci właściwie tylko tych dwóch słów, którymi go sobie opisała.

Potem poznała jeszcze kilku mężczyzn, z niektórymi flirtowała, ale kiedy już chcieli wykonać decydujący krok, Kaśka się wycofywała, bo coś jej nie pasowało. Z żadnym nawet się nie pocałowała, choć czuła coraz bardziej palącą potrzebę bliskości i intymności. Może nie była aż tak wyzwolona, jak się jej wydawało, albo po prostu stała się wybredna. W końcu Maks, pomijając wszystkie jego wady, ustawił poprzeczkę wysoko.

Zwieńczeniem jej nieudanych przygód z mężczyznami było poderwanie Poety, które również skończyło się niewinnie. A następnego dnia poznała Kidda.

No właśnie... Z Robertem było inaczej. Od początku ją intrygował, potem wzruszył historią o zmarłej żonie i wkurzył, odrzucając jej awanse. Zaimponował jej opanowaniem, a później dla odmiany zaskoczył, kiedy tłumiona namiętność wybuchła w nim z nagłą siłą. Kaśka nie miała cienia wątpliwości, że chce się z nim kochać. Aż bała się przyznać sama przed sobą, że ten

zamknięty w sobie facet o surowych rysach twarzy w ciągu dwóch dni znajomości ją zafascynował.

Rozświetliła ekran komórki, która ładowała się na stoliku przy łóżku. Trzecia trzydzieści. Kaśka nadal nie mogła zasnąć. Miała ochotę obudzić Kidda, żeby jeszcze raz zaczęli wszystko od początku, ale ten jego sen zabitego rozczulał ją. Potrafiła odnaleźć w sobie pokłady troski, o jakie postronny obserwator nigdy by jej nie posądział. Okryła nagiego mężczyznę kołdrą, po czym znów zaczęła się wiercić, bezskutecznie wyczekując snu.

Pomyślała o małpkach w hotelowym minibarku, jednak nie chciała już pić alkoholu.

W końcu usnęła, ale męczyły ją absurdalne koszmary. Śniło się jej, że uprawia seks z rozwydrzonym gnojkiem-arystokratą, który w operze szukał narkotyków. A ich harce obserwuje z aprobatą siedzący na dębowym tronie Książę. Potem we śnie pojawił się Maks, ale kiedy pomyślała, że dołączy, on zniknął, kradnąc pieniądze. Nie wiedziała, jak to zrobił, poczuła tylko, że została wykiwana, a gnojek był pomagierem Maksa. Odepchnęła go i próbowała pobiec za mężem. Ale nie mogła się ruszyć. Była sparaliżowana, unieruchomiona w swoim ciele. Senny koszmar osiągnął wyższy poziom męczarni.

Obudziła się i z ulgą powitała szarość poranka,

która wydobyła z mroku wnętrze pokoju hotelowego, a także muskularny trapez pleców Kidda. Apartament w Marsali, milion za wiersze – wszystkie jej marzenia rozmyły się, ale nagi mężczyzna śpiący obok niej nadal był realny. Obecnie jedyny pewnik w jej życiu. Pytanie tylko, na jak długo.

Czy wczorajsza noc zmieniła coś między nimi?

Kaśka wolała się nie łudzić. Obstawiała, że po niezręcznym poranku i śniadaniu w hotelowej restauracji Kidd zakomunikuje jej, że wraca do Polski. Ona przeprosi go za to, że nie może mu wypłacić obiecanych pieniędzy, ale jak tylko uda jej się sprzedać rękopis, dotrzyma słowa. Oboje będą zdawali sobie sprawę, że to wszystko pic na wodę, i nigdy więcej się nie spotkają. Bo niby komu mogłaby sprzedać nielegalnie zdobyte *Zapiski sztokholmskie*? Może co najwyżej podrzucić je anonimowo polskim władzom, jeśli będzie leżeć jej na sercu dobro rodaków, przyszłych pokoleń maturzystów, którzy na pewno będą jej wdzięczni, analizując wiersze noblistki.

A kto zapłaci za hotel?

Zostało jej najwyżej kilkanaście euro. I co teraz zrobi? Pojedzie stopem do Rumunii albo Bułgarii i zacznie pracować na kasie w supermarkecie? A guzik. Czy Rumunia nie jest w Schengen? Nawet

tam ją złapią... Powinna sprawdzić, może już został wystawiony za nią europejski nakaz aresztowania.

Odgoniła gorzkie myśli. Często tak miała, że zaraz po przebudzeniu umysł działał wyjątkowo klarownie, trzeźwo i bez upiększeń. W ciągu dnia osiadały na nim złudzenia i kompromisy, nadzieje oraz konwenanse. Ale przez krótką chwilę z samego rana widziała rzeczywistość w prawdziwych barwach i nie były one optymistyczne.

Nagle przytłoczona i smutna, znów zwróciła oczy na Kidda. Nagi wydał się jej drobniejszy. Leżał na prawym boku, plecami do niej. Regularne uprawianie sportu sprawiło, że próżno było na jego bokach, pośladkach czy udach szukać choćby grama zbędnego tłuszczu. Łopatki wyglądały, jakby zaraz miały przebić mu skórę, a kręgosłup odznaczał się jak biegnący wzdłuż pleców sznur pereł.

Ostrożnie wygramoliła się z łóżka, tak że twardy materac nawet nie drgnął.

No proszę, jak chce, potrafi być wiotką rusałką, dziewczęciem unoszącym się lekko nad ziemią.

Ze stolika przy łóżku wzięła komórkę, paczkę papierosów i zapalniczkę. Zarzuciła na siebie szlafrok i wyszła na dach nad hotelowym patio.

Słońce stało już całkiem wysoko, ale pogoda była niespokojna. Tu i ówdzie mknęły po niebie szargane wiatrem chmury. W większości szare, jednak zdarzały się prawie czarne, jak dym z palonej opony. Czuło się, że nadchodzi burza albo jakaś inna gwałtowna zmiana pogody.

Kaśka przykucnęła i osłaniając się od wiatru, zapaliła papierosa. Już od jakiegoś czasu nosiła się z zamiarem rzucenia tego gówna, ale w obecnej sytuacji nie wyobrażała sobie, żeby miała siłę, by tego dokonać.

Wiatr szarpał jej włosy i strząsnął popiół z papierosa. Kaśka zakląła. Drobinka popiołu wpadła jej do oka. Kiedy próbowała delikatnie usunąć ją, tak żeby nie rozmazać makijażu, którego nie zdążyła wczoraj zmyć, usłyszała dzwonek komórki.

Wyciągnęła telefon z kieszeni szlafroka i zerknęła na wyświetlacz. Serce zabiło jej mocniej. Dzwonił ktoś z zastrzeżonego numeru. Miała nadzieję, że to Księżę, ale kiedy odebrała połączenie, usłyszała kobiecy głos.

– Cześć, Kasiu.

Moment rozczarowania, ale potem wróciła nadzieja.

– Cześć, Joanna! – powiedziała radośnie, rozpoznając w słuchawce głos asystentki Księcia.

– Jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać...

Kaśka pospiesznie zdusiła papierosa na kamiennej posadzce, a peta wsunęła do niemal pustej już paczki. Przez chwilę słyszała w telefonie chrobot. Widocznie Joanna podawała komuś komórkę.

– Dzień dobry, Katarzyno. – Cichy i spokojny, choć jednocześnie niepokojący głos Księcia w okamgnieniu przywrócił Kaśkę do gry. Wiedziała, że jeszcze nie wszystko stracone.

Kidd zastanawiał się, czy powinien coś zrobić w związku z przedłużającym się wyjazdem. Nie miał w Warszawie żadnych pilnych zobowiązań ani zaplanowanych spraw, ale ruszając w piątkowy wieczór w podróż z Kaśką, był przekonany, że następnego dnia będzie z powrotem. Szybko się spakował i aktywował alarm. Nie podlał kwiatków, nie upewnił się nawet, czy wszystkie okna są pozamykane, światła zgaszone, a garaż zamknięty na klucz. Nie zakręcił głównego zaworu wody i tak dalej.

Nieważne. Gdyby coś się działo, sąsiadka na pewno dałaby mu znać.

Chyba że się obraziła... Niewątpliwie Eliza miała rozczarowaną minę, kiedy w środku burzy zapukała do jego drzwi i zastała u niego obcą kobietę. Kaśka nie ułatwiała sprawy, choć może zupełnie mimowolnie roztaczała wokół siebie aurę, jakby coś było na rzeczy. Kidd splawił Elizę, ale

pomyślał wtedy, że jutro wróci do domu i przeprosi sąsiadkę. Teraz jednak powoli zmieniał się w Odyseusza. Jego podróż wydłużała się w nieplanowany sposób, a końca nie było widać. Podobnie jak końca włoskiej autostrady A4, którą pędził z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zastanawiając się, czy przypadkiem nie łamie przepisów.

Postanowił, że zadzwoni do Elizy, jak tylko zatrzymają się na stacji benzynowej, i poprosi, żeby zajrzała do jego części bliźniaka i podlała kwiatki, które były pamiątką po zmarłej żonie. Rzucił okiem na deskę rozdzielczą samochodu teścia. Wskaźnik paliwa na ekranie wyświetlacza pokazywał, że zaraz zaczną jechać na rezerwie. Trzeba będzie gdzieś zjechać i zatankować.

Powinien też odezwać się do swojej przyjaciółki, koleżanki z pracy, która dobijała się do niego od rana. Ale do tej rozmowy miał jeszcze mniej serca. Wiedział, że nigdy więcej nie spotka się z nią na niezobowiązujący seks. Jak na faceta, który nie uganiał się za spódniczkami, jego sytuacja damsko-męska zrobiła się skomplikowana. Przyjaciółka z pracy, sąsiadka rozwódka, a teraz jeszcze... No właśnie. Kto?

Zerknął na Kaśkę, która siedziała w fotelu pasażera. Nie żałował wczorajszej nocy, choć

zdawał sobie sprawę, że stracił w ten sposób kamyczek, który może wywołać w jego życiu niezłą lawinę.

– A ta Joanna... – zapytał, przerywając chwilową ciszę. – To jest jego córka?

Kaśka uniosła głowę znad komórki, która była podłączona kablem do gniazda USB.

– Skąd. Księżę nie ma dzieci. Chociaż ona pewnie tak się postrzega. Joanna to ktoś... – Przez chwilę szukała słowa, podkreślając jednocześnie klimatyzację. – W rodzaju sekretarki i gosposi. Na początku też myślałam, że jest z nim jakoś skoligacona. Przecież tam wszyscy się żenią wsobnie, łączą rody i odwalają nepotyzm oraz kumoterstwo. Ale nie. Tak jak ja, jest zwykłą plebejuską. Nawet ją lubię. Nie znosiła Maksa, przestrzegała mnie przed nim. Szkoda, że jej wtedy nie posłuchałam.

– Pewnie była zazdrosna.

– O Maksa? – spytała Kaśka, kręcąc głową. – Prędzej o Księcia. Wyczuła, że Maks krok po kroku wkupia się w jego łaski... Coś w tym jest... Ona przybrana córka i Maks jako erzac syna... Jakaś przepychanka tam na pewno odchodziła... Myślę, że ona jedna nie uległa urokowi Maksa. Jest racjonalna i poukładana, od razu go przejrzała. Trochę przypomina mi ciebie...

– Ja całkiem lubię twojego męża... – wtrącił Kidd żartobliwym tonem.

– W tym sensie, że to zimna suka, zero emocji. – Kaśka uśmiechnęła się złośliwie, kończąc myśl. – Joanna też ma ścisły umysł, więc może ciebie dla odmiany polubi...

– Kruk krukowi oka nie wykole?

– Kurwa kurwie łba nie urwie.

– Nie lubię, kiedy jesteś taka wulgarna.

– Akurat.

Kidd z przyjemnością patrzył na roześmianą i pełną energii Kaśkę. Po wczorajszym załamaniu i letargu nie było śladu. Mógł schlebiać sobie, że przynajmniej w części było to jego zasługą. Co by nie mówić, wczorajszy wybuch namiętności wyszedł im jak w tandetnym melodramacie. On też nadal czuł endorfiny i przyjemne odprężenie, jakie funduje seks. Choć w przypadku Kaśki euforia była w większym stopniu wynikiem nowej nadziei. Księżę zadzwonił rano i łaskawie dał jej jeszcze jedną szansę. Obiecał, że spotka się z nią i będą mogli dokończyć transakcję. Ale ponieważ wrócił do Rzymu, musiała pofatygować się do Wiecznego Miasta.

Jedenaście godzin w samochodzie. Tyle wskazała nawigacja, a jednak nie wahał się ani chwili, by dalej jej towarzyszyć. Przecież teraz był już dla niej

kimś więcej niż przypadkowo wynajętym kierowcą.

Kiedy rano podekscytowana Kaśka zrelacjonowała mu rozmowę z Księciem, od razu zadeklarował, że jedzie z nią dalej. Potem kochali się, dłużej i jego zdaniem lepiej niż poprzedniej nocy. Nie, nie był aż tak metodycznym typem, żeby oceniać seks, ale bał się, że kiedy zrobili to po powrocie z opery, trochę na smutno, a trochę na dziko, nie wypadł za dobrze. Był stremowany, musiał zdzierać z siebie marynarkę, koszulę, rozpinąć czerwoną suknię wieczorową Kaśki, wykonaną z delikatnego materiału, którego nie chciał uszkodzić.

Ale kiedy kochali się rano na fali dobrej emocji, aż zaskoczyło go, jak beztroskie i intensywne emocje przeżywa.

To było coś niesamowitego, kiedy bez cienia pruderii zrzuciła z siebie hotelowy szlafrok i naga usiadła na nim, opowiadając mu o telefonie, który odmienił jej los. Śmiejąc się, podniosła rękę i zaczesła do tyłu mokre jeszcze od prysznicia włosy. Jednocześnie lekko wygięła plecy, przyjmując zmysłową pozę.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Z zamyślenia wyrwała go Kaśka. – Co się tak cieszysz jak szczur do sera?

Kidd wyprostował się i zrobił poważną minę.

– Przepraszam. Nie słuchałem cię. Możesz powtórzyć?

W odpowiedzi żartobliwie walnęła go w ramię plastikowym etui, w którym był zamknięty rękopis.

– Pytałam, czy dla zabicia czasu i umilenia podróży chcesz, żebym zrobiła ci loda, czy przeczytała kolejny wiersz Wisławy.

– Nie spytałaś. To bym usłyszał. – Był zadowolony z riposty, ale zaraz poszedł za ciosem.

– Mówiłem ci już. Nie lubię, kiedy jesteś wulgarna.

Był ciekaw jej reakcji. Właściwie nawet testował Kaśkę. Mogła obrazić się, otworzyć drzwi przy prędkości sto sześćdziesiąt na godzinę.

– Musisz się przyzwyczaić. Taka naprawdę jestem – powiedziała hardo i zaczepnie, ale zaraz poprawiła się. – Bywam.

Chyba go wyczuła. Wiedziała, że ją prowokuje. A jemu tak naprawdę w ogóle to nie przeszkadzało, że czasem z damy stawała się wieśniaczką. Wręcz przeciwnie. Ta wyjątkowa kobieta kameleon fascynowała go, a nawet lekko kręciła.

– W takim razie poproszę wiersz, bo wolę nie ryzykować utraty panowania nad kierownicą – powiedział na maksymalnym luzie, na jaki było go stać.

Jadąc autostradą A4, a następnie A13, ominęli Wenecję i Padwę, Bolonię i Florencję. Spieszyli się,

żeby jeszcze przed nocą dotrzeć do Rzymu, ale też specjalnie nie żalowali, że nie mogą zatrzymać się w żadnym z tych pięknych miast. Mieli siebie, w tej chwili mogliby przystać na to, żeby spędzić całą wieczność w ciasnej klatce wnętrza samochodu, byle razem.

Na wysokości Arezzo zatrzymali się na stacji benzynowej. Kidd zgodził się na propozycję Kaśki, by zmieniła go choć na dwie godziny. Dziwnie się czuł na siedzeniu pasażera. Pozwolił jej też przyczepić do wstecznego lusterka zapach, który kupiła na stacji benzynowej. To też był gest. Kabina samochodu była namiastką wspólnego mieszkania, a on wyraził zgodę, by zostawiła w niej swój pierwszy ślad.

Na wysokości Orvieto pokłócili się, bo skrytykował dynamikę jej jazdy.

Zjechali z autostrady i zatrzymali się przy lasku nad odnogą Tybru, która tworzy jezioro Corbara. Bez słowa wyszli z auta i zaczęli namiętnie się całować. Uprawiali seks na rozgrzanej masce samochodu. Następnie Kidd wrócił za kółko. Do Rzymu dojechali po osiemnastej.

Posługując się komórką, Kaśka zarezerwowała im nocleg w sprawdzonym hoteliku. Mieli za to koszmarne problemy ze znalezieniem miejsca do parkowania. Wszystkie uliczki wokół hotelu były

ciasno zastawione, dwa dwuosobowe smarty nawet stały w poprzek jednego miejsca postojowego. Oprócz zalewu aut i stojących na ulicach kontenerów na śmieci, w oczy rzucały im się tabuny turystów, które przy najsłynniejszych atrakcjach turystycznych wręcz się kłębiły.

Z Joanną umówili się na niewielkim placu Mattei. Znajdowała się tu Fontanna Żółwi, zwana tak ze względu na cztery figurki gadów gramolące się do misy, z której wylewała się woda.

– Najpierw miały tu być wykonane z brązu delfiny – powiedziała Kaśka, podążając za wzrokiem Kidda. – Parskałyby wodą, coś w tym stylu, ale ciśnienie z miejskiego akweduktu było za słabe. Dlatego zamieniono je na żółwiki.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Znam się na sztuce, to moja praca. – Kaśka zrobiła minę chłodnej profesjonalistki, ale w oczach zaraz pojawił się łobuzerski błysk. – Tak naprawdę interesuje mnie każda rzeźba, która przedstawia gołych facetów. Tych tutaj czterech koleś, zwanych efebami, miało podtrzymać te delfiny. Ale bez nich kompozycja była bez sensu, więc ratowano ją, dodając żółwie, którym te ciacha pomagają wleźć do fontanny.

– Nie dość że przystojni, to jeszcze uczynni...

– Fiutki po renesansowemu malutkie, ale tyłki

mają pierwsza klasa. Pewnie nawet twardsze niż twój. A te klaty...

Kaśka mruknęła z zachwytem. Kidd pokręcił głową z udawaną dezaprobatą, ale nie umiał powstrzymać uśmiechu. Dalsze przekomarzanie się przerwało im pojawienie się Joanny.

Asystentka Księcia nie zrobiła na Kiddzie dobrego wrażenia. Była w okolicach czterdziestki, zadbana i elegancka, ale nie uganiała się za młodością. Miała krótkie włosy postawione na języka, ciemne, na skroniach wyraźnie przyprószone siwizną. Kiedy podał jej rękę, spojrzała na niego chłodno, a czoło przecięły jej bruzdy. Pomyślał, że to może dlatego, że złamał zasady *savoir-vivre'u*. Powinien poczekać, aż kobieta pierwsza wyciągnie dłoń, ale czasami zwyciężała w nim bezpośredniość, amerykańska częśćka osobowości, którą odziedziczył po ojcu.

– Błagam cię, Joanna, wież mnie do Księcia jak najszybciej – mówiła wesoło Kaśka. – Już mam dosyć tych przeklętych wierszy. Chce się ich w końcu pozbyć!

– Przecież powiedział ci, że najwcześniej jutro. Dziś odpoczywa. Podróż z Wiednia dała mu w kość.

– Wiem, wiem. Ale wszystko dobrze?

– Jak najbardziej. Tylko... Będziesz musiała spotkać się z nim sam na sam. Bez tego pana... –

Joanna wskazała ruchem podbródka na Kidda. – Księżę naprawdę się przestraszył. Znasz go przecież.

– Tak, oczywiście... Ale wiesz, że to Maks, to jego sprawka, namącił mu w głowie. Robert jest zupełnie nieszkodliwy – powiedziała Kaśka, przyciągając Kidda do siebie, po czym czule pocałowała go w usta. – Inżynier, ale zakurzony, wykładowca uniwersytecki, ojciec dwóch synów...

– Nie wnikam – odparła Joanna, przywołując na usta uśmiech. – Szykuj się jutro w porze lunchu... A teraz? Może pójdziemy coś zjeść?

– Koniecznie. I na zakupy! Wiesz, że ja nie mam co na siebie włożyć. Serio! Przyjechałam tu jak stałam, bez niczego. Dramat!

Kidd przysłuchiwał się ich rozmowie i choć Joanna nie patrzyła na niego, skupiała się na Kaśce, nadal wyczuwał z jej strony niechęć. Ostatecznie uznał, że asystentka Księcia może po prostu ma taki styl bycia.

Szkoda, że nie zaufał intuicji. Czasami bazowanie jedynie na logice i faktach, na analizach ścisłego umysłu, jest najprostszą drogą do zguby.

Kaśka chłoneła zachód słońca nad Wiecznym Miastem. Smakowała tę chwilę, którą wypełniała ocierająca się o kicz podniosłość. Z tarasu restauracji Mirabelle roztaczał się pocztówkowy widok na Ogrody Willi Borghese, surowe bliźniacze wieże Wilii Medici i dominującą na horyzoncie kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Wszystko skapane w żółtym, powoli rudziejącym świetle.

– To straszne, naprawdę jestem przerażona, ale ty nie martw się, to jeszcze wszystko da się załatwić – mówiła Joanna, patrząc z troską na Kaśkę. – To przecież wina Maksa. Tylko i wyłącznie. Co ty złego zrobiłaś?

– Ukradłam ten rękopis.

– Ale nie możesz ponosić odpowiedzialności za jego szaleństwa.

– Dzięki, że się o mnie martwisz – odpowiedziała Kaśka, podpierając ręką policzek, jakby była zbyt zmęczona, by trzymać głowę prosto. – Tylko że...

Ty mnie znasz i dlatego rozumiesz, jak to naprawdę wyglądało. Nikt inny mi nie uwierzy. A już na pewno nie policja. Mam przerąbane...

– Zawsze ci powtarzałam, że Maks jest nieźrównoważony. Przepraszam za banał, ale piękna buzia często idzie w parze z niepięknym umysłem. A ja czułam, że będzie mu się pogarszać. Nie jestem psychologiem, ale on zawsze miał problemy z tą swoją wybuchowością. W jego świecie istnieje tylko on, a inni ludzie są zaledwie rekwizytami. Ty też byłaś jedynie atrakcyjną ozdobą, która miała podbić jego wiecznie za niską samoocenę... Przepraszam. – Joanna odruchowo powędrowała ręką do skromnego złotego łańcuszka z krzyżykiem. – Ale taka jest prawda.

– Wiem, wiem... Nie chcę go usprawiedliwiać. Już naprawdę przejrzałam na oczy...

– W ogóle mnie nie dziwi, że to się tak skończyło.

– Joanna kontynuowała swoją myśl. – Przerazające... Książę o niczym nie wie, nie zdawał sobie sprawy.

– Nawet dziś wspominałam o tym Kiddowi. Że od początku miałaś rację. O Boże... – Kaśka miała łzy w oczach. – Gdybym cię wtedy posłuchała...

Restauracja, w której siedziały, była bajecznie droga, ale Joanna na wstępie i z dobrotliwym uśmiechem zapowiedziała, że zaprasza

przyjaciółkę. Kaśka zjadła czarne risotto barwione atramentem kałamarnicy, Joanna zaś linguine z jeżowcami, mozzarellą, pomidorkami cherry i pistacjowym pesto. Na ziemi przy metalowych cienkich nóżkach stolika Kaśka położyła dwie papierowe torby z logo firm modowych. Uwielbiała kupować ubrania we Włoszech, a dziś miała dodatkowy pretekst. Naprawdę przyjechała do Rzymu właściwie goła, nie licząc sukienki, którą miała na sobie trzeci dzień, oraz bylejakiej bielizny, kupionej rano w Wiedniu.

Joanna bez trudu dała się jej namówić na zakupy. Kidd, który prowadził przez większą część drogi do Rzymu, był padnięty. Wymigał się od obiadu, we trójkę wypili tylko szybką kawę w kafejce przy placu Mattei i zjedli po ciastku. Potem zostawił Kaśce kluczyki do samochodu teścia i pieszo wrócił do hotelu. Na pewno był zmęczony, ale Kaśka podejrzewała, że jak typowy facet ma też ciężką alergię na „shopping” i dlatego się wymiksował.

Niech odpocznie, zregeneruje się – pomyślała, tłumiąc uśmiech. – Bo wieczorem i w nocy...

– Posłuchaj, ale ja mówię całkiem serio. – Joanna nachyliła się i spojrzała Kaśce prosto w oczy, zniżając głos. – Myślę, że Księżę będzie w stanie ci pomóc. Wyplączesz się z tego.

– Jak? – spytała Kaśka, bawiąc się maleńką filiżanką espresso. – Przecież z tego zrobiła się sprawa normalnie kryminalna.

– Sama wiesz, jakie on ma możliwości. Nie wiem, wyrobi ci fałszywe dokumenty. Będziesz mogła tu bezpiecznie zamieszkać... Na razie możesz zatrzymać się u mnie.

– Joasiu... – Kaśka powiedziała z sympatią, ale trochę jak do dziecka. – Przecież to nierealne. To brzmi jak z filmu albo z jakiejś powieści sensacyjnej. Fałszywe dokumenty? Nie w XXI wieku...

– Czyli co? Liczysz na tego Amerykanina? Że dzięki niemu dostaniesz obywatelstwo?

– O czym ty mówisz? – Kaśka prawie zakrztusiła się esencjonalną, niemal oleistą kawą.

– No jeśli zwiążesz się z nim, wyjdiesz za mąż, zmienisz nazwisko... Jeśli wyjedziecie do Stanów... Wiem, że Amerykanie nie zgadzają się na ekstradycję swoich obywateli, czytałam.

– Nie no, moment... Prrr, Joanna, stój! – Kaśka zaśmiała się, ale bez złośliwości. – Zapędziłaś się trochę. Wiesz, kiedy ja go poznałam? Trzy dni temu. Jezu, naprawdę myślałaś, że jestem aż tak wyrachowana i planuję dziesięć ruchów naprzód? Spotkaliśmy się przypadkiem, totalnym przypadkiem i... Owszem... Jest między nami

chemia, biologia i stosunki międzynarodowe, ale...
To tyle, przynajmniej na razie.

Kaśka uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie malujące się na twarzy Joanny.

– Czyli to nie jest coś poważnego?

– Oj, nie męcz mnie. Nie wiem, nie myślę o tym na razie, nie analizuję. Chodźmy, masz jeszcze siłę?

– A ty masz?

– Nie – zaśmiała się Kaśka. – Ale chcę jeszcze kupić bieliznę...

– Przecież już kupiłeś – powiedziała Joanna, sięgając po portfel, a jednocześnie próbując złowić wzrokiem kelnerkę.

– Tak, ale... Chodzi mi o coś wyjątkowego. – Kaśka zaśmiała się znacząco. – No wiesz... Na dzisiejszy wieczór.

– Już jest wieczór.

– W takim razie na noc...

Joanna wreszcie zrozumiała. Posłała koleżance rozbawione spojrzenie i pokręciła głową z udawaną dezaprobatą.

– Słuchaj... A co ty właściwie o nim wiesz? – spytała. – O tym całym Robercie...

Przy stoliku pojawiła się kelnerka w białej koszuli i czarnych spodniach przepasanych bordowym fartuchem. Joanna poprosiła ją po

włosku o rachunek.

– A myślisz, że to ma jakieś znaczenie? O Maksie wiedziałam, że jest przedsiębiorczy, ma fantastycznych przyjaciół i znajomych... – Kaśka, mówiąc to, specjalnie wbiła wzrok w Joannę. – Którzy naopowiadali mi takich rzeczy na jego temat... Byłam pewna, że mam do czynienia z najlepszą partią na półkuli północnej.

– Masz trochę racji. Przepraszam. Ale sama powiedz... Jakbym ci tak na dzień dobry wywalila całą prawdę o nim... To, co już wtedy wiedziałam, a raczej podejrzewałam... Uwierzyłabyś? W dzisiejszych czasach trudno o szczerłość. Jakby to powiedział Książę... Rządzą nami konwenanse.

– Dlatego pieprzyć konwenanse – powiedziała Kaśka, skupiając wzrok na portfelu Joanny. – Pożyczysz mi jeszcze trochę kasy? Oddam ci jutro czy tam kiedy w końcu Książę będzie łaskaw... Ale oddam ci, przecież wiesz, że na mnie można polegać... Dostanę od niego kasę za te wiersze...

Joanna pokiwała głową i uśmiechnęła się dobrotliwie. Kaśka dopiła resztkę wody, która była podana z kawą.

– Ale powiedz mi coś jeszcze o tym Robercie... Tak ci się podoba?

– Nie chcę zapeszać. Ale chciałabym... – Kaśka urwała i na moment popatrzyła na znikające

słońce. – Może to bez sensu, ale wiesz, co o nim myślę? To jest taki facet, przy którym można się spokojnie zestarzeć...

– Aż tak?

– Aż tak.

Nieco ponad godzinę później, już bez Joanny, za to objuczona czterema torbami z logo butików, Kaśka wracała w stronę hotelu. Mrok nocy zapadł na dobre, ale miasto jakby dopiero budziło się do życia, a ona nadal nie czuła zmęczenia. Była zrelaksowana i w doskonałym humorze, a dwa mocne espresso zrobiły swoje.

Kiedy się rozstawały, Joanna jeszcze raz zapewniła ją, że Książę zarezerwował dla niej czas jutro w porze lunchu. Niech czeka spokojnie na sygnał. Czyli na ostatniej prostej wszystko w końcu zaczęło się układać. Kaśka była rozluźniona. Poczeka. A tymczasem dla zabicia czasu... Po zaskakującej wiedeńskiej nocy z Kiddem czeka ją noc rzymska...

Postanowiła zrobić mu niespodziankę i przebrać się w seksowną bieliznę, którą kupiła. Miała ze sobą kluczyki. Auto teściów stało zaparkowane kilkadziesiąt metrów przed hotelem, upchnięte między dwa inne samochody. Nie skorzystały z niego, jadąc na zakupy, bo do pierwszego butiku przespacerowały się, a potem nie było już sensu

wracać, więc Joanna zamówiła taksówkę.

Kaśka otworzyła pilotem zamek centralny i wśliznęła się do samochodu. Rozejrzała się w obie strony, ale ulicą nie nadchodził nikt, kogo mogłaby zgorszyć, rozbierając się po ciemku. Chichocząc, gimnastykowała się na siedzeniu. Ściągnęła sukienkę, próbując przypomnieć sobie, kiedy ostatnio robiła coś równie frywolnego w samochodzie.

Nigdy!

Bo przecież wcale nie była tak niegrzeczna, jakby się mogło wydawać. Zdjęcie biustonosza poszło szybko, ale ściągnięcie majtek w ciasnej przestrzeni wnętrza samochodu okazało się małym wyzwaniem.

Nagle zamarła, a serce podeszło jej do gardła. Kątem oka dostrzegła znajomy kształt i kolor. Po drugiej stronie ulicy, kilkanaście metrów dalej, stał zaparkowany jeep Maksa.

Nie – uspokoiła się w myślach – to niemożliwe. Uznała, że popada już w paranoję, bo to z pewnością jest po prostu auto tej samej marki i tego samego koloru, co przecież nie jest żadnym zbiegiem okoliczności. W kilkumilionowym mieście jeździ ich kilkadziesiąt, jak nie kilkaset. Albo nawet tysiące sraczkowych jeepów przemierza ulice Rzymu.

Uspokoiła się na tyle, by pospiesznie dokończyć zakładanie koronkowej bielizny, potem sukienki. Wyszła z samochodu, pozostawiwszy na tylnym siedzeniu trzy torby z kupionymi ubraniami. Rozglądając się bacznie, podeszła bliżej jeepa. W uliczce przed hotelem nadal nie było żywego ducha, jedynie na rogu, w niewielkim sklepiku widać było Azjatę, który stał za kasą i pokazywał coś klientowi w głębi.

Kaśka zatrzymała się, bo poczuła, że nogi uginają się jej w kolanach. Brązowy jeep miał polskie numery rejestracyjne. Wprawdzie nie takie, jak samochód Maksa, ale domyślała się, że po akcji w Konstancinie jej mąż zmienił tablice. Miał zaprzyjaźniony warsztat w Brwinowie pod Warszawą, którego właściciel robił różne szemrane interesy. Podeszła bliżej i zobaczyła na karoserii przetarcie w miejscu, w którym Kidd na stacji benzynowej przepchnął ich swoją giulietą. Nie miała wątpliwości, że ma przed sobą samochód Maksa. Nie wiedziała tylko, czy jej były jest tak głupi, że nie zmienił auta, czy próbował to zrobić, ale mu nie wyszło.

Kurwillo, znowu ich znaleźli...

To było koszmarne przebudzenie. Nie usłyszał, kiedy weszli do pokoju hotelowego. Wyczerpany prowadzeniem samochodu, a jeszcze bardziej chyba intensywnością relacji z Kaśką, spał jak zabity. Może zresztą zrobili to po cichutku i błyskawicznie, żeby go zaskoczyć, obezwładnić zniemacka, żeby się nie szarpał, nie zdążył krzyknąć, zawołać o pomoc. Kiedy się ocknął, Maks Sobański siadał właśnie na nim okrakiem, brutalnie łapiąc go za gardło, a dwaj pomagierzy stali po bokach łóżka i trzymali go za ręce, którymi Kidd chciał się bronić.

Szybko rozluźnił mięśnie w geście poddania. Trzech na jednego... Był bez szans. Leżał nieruchomo, mimo że miliony lat ewolucji pompowały mu do krwiobiegu adrenalinę, by był gotowy stanąć do walki o życie. Wciągając powietrze nosem, czuł zapach wody kolońskiej Maksa. Intensywny i elegancki.

– Dobrze się pieprzy? Nie była za luźna? –

powiedział z zajadłym uśmiechem mąż Kaśki. – Pamiętaj, że byłem tam przed tobą.

Kidd odruchowo się szarpnął, ale Maks jeszcze mocniej ścisnął go za gardło, aż grdyka z bólem wbiła mu się w tchawicę.

– Tylko się rusz, skurwysynu. Albo piśnij...

Maks nie cackał się z nim, ale ból był do zniesienia. Kidd wiedział, że wytrzyma. Gorzej było z brakiem powietrza. Odruchowo otworzył usta, ale nie był w stanie złapać oddechu.

Czyżby ten psychopata zamierzał go udusić? Na szczęście Maks po chwili poluźnił uścisk. Kidd odkaszlnął, po czym łąpczywie zaczął łapać powietrze.

– Rozumiemy się?

Kidd kiwnął głową.

– Gdzie to jest?

Kidd wzruszył ramionami. Milcząc, cały czas głośno oddychał.

– Nie powiesz?

Maks spoliczkował go. Mocno, choć bardziej karcąco niż brutalnie, po czym wyciągnął lewą rękę w stronę jednego ze swoich pomagierów, szczupłego pięćdziesięciolatka o nieprzyjemnej twarzy pooranej głębokimi bruzdami. Tego samego, który na parkingu stacji benzynowej walił kijem baseballowym w szyby samochodu Kidda.

Mężczyzna, którego Kaśka nazywała Kosiarzem, bez słowa wy dobył nóż schowany pod nogawką spodni i podał go Maksowi.

Ukłucie ostrza na podbródku prawie nie bolało, ale Kidd wiedział, że znieczuliła go adrenalina. Poza tym Maks na razie nie naciskał na tyle mocno, żeby go zranić. Ale chwila nieuwagi albo złości i nóż z elementu perswazji łatwo może zmienić się w narzędzie tortur, a może nawet zbrodni.

– Gdzie... Jest... Pierdolony... Rękopis... – Maks mówił cicho, dobitnie i przez zaciśnięte szczęki.

– Nie tu – odpowiedział Kidd, odginając głowę do tyłu, żeby choć trochę zelżał nacisk ostrza wbijającego mu się w podbródek.

– Nie wierzę, gnoju. Mam ci odciąć fiuta? Czy jaja? Wybieraj!

Maks złapał go za krocze. Kidd skrzywił się z bólu, ale nie odezwał się ani słowem. Cały czas z trudem łapał powietrze, bo rosły facet siedział mu na przeponie. Na czoło Kidda wystąpił pot, którego kropelka po chwili spłynęła po skroni. Bolały go też zębra, które jeszcze się nie zagoiły po bójkę z dresiarzami na obrzeżach Wilanowa.

Dwaj pomagierzy Maksa w minutę przeszukali pokój hotelowy. Nie było tu zbyt wiele miejsc, w których można coś schować. Stolik przy łóżku, szafa, łazienka. Kidd bał się, że gdy znajdą w koszu

na śmieci zużyta prezerwatywę, Maks dostanie szau, ale z jakiegoś powodu nie raczyli go o tym poinformować. Otworzyli za to minisejf, używając fabrycznej kombinacji czterech zer. Kidd ani Kaśka go nie używali, więc w środku było jedynie powietrze i kartka z instrukcją obsługi.

– Gdzie, kurwa, jest ten tomik, Kaśka ma go przy sobie? – spytał Maks.

Kidd nie pofatygował się, żeby potwierdzić ani zaprzeczyć.

– No dobrze... – Maks zszedł z łóżka. – W takim razie poczekamy tu na nią.

Z głośnym szurgnięciem przysunął sobie tapicerowane krzesło. Usiadł na nim, obracając w palcach rękojeść noża. Kidd zauważył, że na czubku ostrza czerwieni się kropla krwi z jego podbródka.

Dziesięć albo piętnaście minut później – trudno powiedzieć, bo zdenerwowanie sprawiło, że Kidd stracił poczucie czasu – zaczęła wibrować jego komórka, ładująca się na nocnym stoliku obok łóżka.

– To ona – powiedział jeden z pomagierów, ten grubszy, zerkając na ekran. Miał wysoki, miękki głos, kontrastujący z jego solidną tuszą.

Maks, który wyglądał, jakby chciał się poderwać z krzesła, zawahał się. Nim zdążył się zdecydować,

że odbierze połączenie, komórka zamilkła. Maks zaklął pod nosem.

– Gdzie ona jest? – Wstał i podszedł do łóżka, spoglądając groźnie na Kidda.

– Nie wiem.

– Zajebałbym cię, tu i teraz, gnoju – zasyczał z pogardą Maks – gdyby nie to, że może jeszcze mi się na coś przydasz.

Kidd nie reagował. Starał się nie drażnić niepotrzebnie swojego oprawcy ani zbyt ostentacyjnie go nie ignorować. Nie nawiązywał z nim kontaktu wzrokowego, po prostu gapił się w sufit. Nie stawiał żadnego oporu, nawet biernego.

– Kosiarcz, idź, kurwa, przestaw auto – niespodziewanie rzucił Maks w stronę pięćdziesięciolatka o pobrużdżonej twarzy.

– Co? Po co?

Wolną ręką Maks wyszarpał z kieszeni obcisłych dżinsów kluczyki samochodowe. Rzucił je w kierunku Kosiarza.

– Idź, kurwa, jak ci mówię! Jak będzie wracać, może je zobaczyć. Przeparkuj i się rozejrzyj.

Pięćdziesięciolatek złapał kluczyki w locie i bez słowa wyszedł z pokoju hotelowego. Maks znów usiadł na krześle w pozie jaśniepana.

Kaśka w napięciu wpatrywała się w komórkę. W zamkniętej przestrzeni samochodu rozchodził się cichy dźwięk wybieranego numeru. Kidd nie odbierał. W końcu się rozłączyła. Nieprzyjemna gula w żołądku jeszcze bardziej stwardniała. Kaśka próbowała łudzić się, że zasnął albo bierze kąpiel i dlatego nie odbiera. Schowała komórkę do torebki i odruchowo wyciągnęła z niej papierosy. Jednocześnie patrzyła w okna hotelu, ale nie była w stanie dojść, które należą do ich pokoju.

Po tym, jak upewniła się, że to jeep Maksa, szybko wróciła do ich samochodu. W pierwszym odruchu chciała uciekać, byle dalej stąd.

Ale nikt jej nie gonił. Wtedy uspokoiła się nieco i wybrała numer Kidda. Pomyślała, że poczeka chwilę, może on zaraz się obudzi albo wyjdzie z tej cholernej wanny i oddzwoni. A ona go wtedy ostrzeże, że gdzieś tu kręci się Maks ze swoimi przydupasami.

Kaśka nie miała pojęcia, jakim cudem ich wytropił i to tak szybko. Ale spokojnie – mówiła sobie w myślach – nie ma przecież opcji, żeby dostał się do ich pokoju. Przecież to hotel, jest recepcja, jakaś ochrona, nie wpuściliby go... Może jednak jakimś nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności przyjechał do Rzymu i przypadkiem zatrzymał się tu gdzieś niedaleko? Albo wręcz w tym samym hotelu co oni. To nie było takie niemożliwe, bo przecież kiedyś tu razem nocowali. Dawno temu, kiedy pierwszy raz byli w Rzymie, a potem za każdym razem Maks wybierał już hotel co najmniej o gwiazdkę wyżej, ale jeśli teraz jest splekany i ma długi hazardowe, może też wrócił do opcji ekonomicznej?

Jeszcze wszystko może skończy się dobrze...

Wtedy zobaczyła ruch przed wejściem. Drzwi prowadzące do lobby były przeszklone i obramowane wypolerowanym metalem, który złapał refleks ulicznej latarni. Kaśka nerwowym ruchem nacisnęła guzik uruchamiający silnik. Nowoczesne volvo nie wymagało przekręcania kluczyka w stacyjce.

Nie miała pewności, ale wydawało się jej, że z hotelu wyszedł Kosiarz. Niewysoka, szczupła sylwetka, te kocie ruchy...

Wpadła w panikę. Była przekonana, że mimo

czujników, w które był uzbrojony samochód, nie wyjedzie z ciasnego miejsca postojowego. Nie miała wyczucia, nie była przyzwyczajona do tego samochodu. W pierwszej chwili nawet nie wiedziała, jak wrzucić wsteczny w automatycznej skrzyni biegów. Dziś przez godzinę czy dwie prowadziła volviaka, ale to było na autostradzie. Kidd zaparkował na absolutnie niemożliwym miejscu, wcisnął się między dwa inne samochody, w dodatku lekko na podjeździe, bo Rzym przecież nie jest płaski jak Mazowsze, tylko zbudowany na siedmiu wzgórzach...

Próbowała cofnąć odrobinę, żeby zyskać miejsce z przodu, by móc wykręcić i wyjechać. Ale czujnik już po sekundzie przestał pikać, tylko wył tonem ciągłym. Zaciągnęła ręczny, żeby powstrzymać staczanie samochodu, bo jeszcze moment i przywaliby w samochód zaparkowany za nią.

Kosiarz – teraz nie miała już wątpliwości, że to on – początkowo szedł w kierunku jeepa i dopiero po chwili zorientował się, że w białym volvo siedzi Kaśka i próbuje uciekać.

Rzucił się w jej kierunku. Próbowała znaleźć na desce rozdzielczej przycisk zamka centralnego, który zablokowałby wszystkie drzwi. Ale nie miała pojęcia, gdzie go szukać. W panice zamknęła drzwi breloczkiem, ale jednocześnie uruchomiła alarm,

który dwie sekundy później zaczął przeraźliwie ujadać, bo czujniki wykryły ruch w środku auta.

Próbowała ruszyć z ręcznego. Za szybko przygazowała, bo silnik zawył, a chwilę później Kaśka poczuła swąd spalenizny.

Alarm był w najlepsze. Kosiarz dopadł drzwi od strony pasażera i szarpnął za klamkę. Widziała jego zaciętą, poraną bruzdami twarz i zimne, bezwzględne oczy.

Na szczęście tym razem nie miał ze sobą kija baseballowego. Walił pięściami w szybę i coś tam wrzeszczał, próbując otworzyć drzwi siłą.

Kaśka zamknęła oczy, skręciła maksymalnie kierownicę i wcisnęła gaz. Niech się dzieje, co chce, ale wyjedzie stąd, choćby po trupach i z wyjąłym alarmem. Auto wyrwało się do przodu, a Kosiarz puścił klamkę. Kaśka szybkojutko skontrowała, bo uliczka była wąziutka. O milimetry minęła samochód zaparkowany po drugiej stronie, wyprostowała tor jazdy i mknęła pod górę, mijając po lewej stronie szklane drzwi hotelowego wejścia.

Kilkaset metrów dalej wyłączyła alarm, skręciła w prawo i włączyła się do ruchu na Via del Plebiscito. Mimo nocnej pory, ruch był natężony, ale dość szybko złapała jego rytm i nieco się uspokoiła. Co i rusz zerkała we wsteczne lusterko, żeby zobaczyć, czy jej nie gonią. Na szczęście

sraczkowatego jeepa nigdzie nie było.

Głośno łapała powietrze i niemal słyszała dudnienie swojego serca.

Oprócz samochodów drogą pędziły też skutery. Jeden z nich zrównał się z nią. Kierowany był przez wyrostka, co Kaśka poznała po chudych kończynach, bo twarz skrywała się pod kaskiem. Przestraszyła się. Skuter jechał obok niej jak przyklepiony, ale po chwili siedzący z tyłu drugi nastolatek wykonał w jej kierunku gest otarcia skrzyżowanych wyprostowanych dłoni. Domyśliła się, że to jakiś obsceniczny znak i odwróciła głowę, żeby skupić się na drodze, bo jechała szybko.

Usłyszała dzwonek komórki. Ryzykując wjechanie w tył samochodu przed nią, odwróciła na moment wzrok od drogi, próbując zlokalizować listonoszkę, która leżała na siedzeniu pasażera. Potem już po omacku sięgnęła i otworzyła torebkę. Wyciągnęła dzwoniący i wibrujący telefon. Z ulgą zobaczyła na wyświetlaczu, że dzwoni Kidd.

Pomyślała, że też uciekł Maksowi i teraz melduje się z bezpiecznego miejsca. Super! Podjedzie, zdejmie go i znów uciekną. Kolejny raz uda im się oszukać los.

Nie podda się. Po wczorajszym chwilowym dołku, który przeżyła po wyjściu z Opery Wiedeńskiej, czuła już tylko narastającą siłę. Gen determinacji

odziedziczyła chyba po ojcu, który do końca nie poddawał się chorobie. Ona też odpuszczała jedynie w ostateczności. I tak będzie tym razem. Byle do jutra, do spotkania z Księciem.

Odebrała połączenie, wcisnęła ikonę głośnika i umieściła komórkę w uchwycie na przedniej szybie.

– Halo, jestem, no co tam? – powiedziała w końcu, kontrolując jednocześnie sytuację na drodze. – Całe szczęście, że dzwonicz.

– Kochanie, ja też się cieszę, że cię słyszę...

Kaśka odruchowo wdepnęła hamulec, tak że jadący z tyłu czarny fiat bravo w ostatniej chwili uniknął zderzenia z nią, odbijając na lewy pas. Jego kierowca minął ją, wściekle naciskając klakson.

W telefonie odezwał się nie Kidd, ale Maks.

– Pewnie myślisz, jakim cudem dzwonię z telefonu twojego kochasia?

Kaśka milczała.

– Odrąbałem frajerowi kciuk i przyłożyłem do czytnika linii papilarnych. Teraz jasne?

– Jasne to jest to, że jesteś psycholem – odpowiedziała głucho po dłuższej chwili. Była pewna, że Maks blefuje, ale zrobiło się jej niedobrze. Nawet jeśli nie uciął Kiddowi palca, miał go w swoich rękach.

– Kotku, nie czas na cięte riposty. Skup się. – Maks mówił, siląc się na luz, ale w jego głosie pobrzmiwała też stanowczość wynikająca z tego, że ma w ręku wszystkie asy. – Jeszcze niczego mu nie odciąłem, ale zrobię to. Nie mam wyjścia. Wiesz, że dupa mi się pali... Chyba że oddasz mi to, co do mnie należy.

– Pierdol się...

– Oj, chyba ci jednak choć trochę zależy na moim nowym koledze. Aha, i niech ci nie przyjdzie do głowy dzwonić na policję. Właśnie wynosimy się z tego romantycznego hoteliku, w którym uwiliście sobie gniazdko...

Kaśka zatrzymała się na czerwonym świetle. Przez moment mogła zdjąć nogę z pedałów i skupić myśli.

– Nie oddam ci rękopisu. A ten koleś był tylko moim kierowcą – blefowała. – W dupie mam, co z nim zrobisz.

– Znamy się nie od dziś, więc nie wciskaj mi bulszitu. Dobrze, niuniuś? Za jakieś pół godziny wyślę ci z tego numeru adres, pod który masz mi dostarczyć Wisię Szymborską. Sajonara.

Chciała coś odpowiedzieć, ale usłyszała charakterystyczne piknięcia oznaczające zakończenie rozmowy.

Była jednocześnie załamana i wściekła. Uderzyła

otwartą ręką w kierownicę, aż poczuła ból. Nadal świeciło się czerwone. Nastolatki na skuterze przepchnęli się blisko niej i próbowali zwrócić na siebie jej uwagę coraz bardziej obscenicznymi gestami.

Po zmianie świateł ruszyła ostro, aż diesel teścia Kidda mruknął z niedowierzaniem. Powinna zatrzymać się gdzieś i czekać na instrukcje od Maksa. Wiedziała, że jej mąż nie żartuje, ale nie zdjęła nogi z gazu, wręcz przycisnęła go mocniej.

O nie, nie da się wyrolować na ostatniej prostej.

Po kilku minutach prowadzone przez nią volvo pędziło Via del Mare, wyjeżdżając z centrum Rzymu w kierunku Ostii.

Jednego Kidd nie mógł odmówić Maksowi. Szybkości i stanowczości działania. Kiedy tylko Kosiarz wrócił zdyszany i opowiedział o spotkaniu z Kaśką, we trzech wyprowadzili go z hotelowego pokoju. Nie wymeldował się, nie wziął ze sobą dokumentów ani portfela, ani żadnych rzeczy. Pozwolili mu tylko założyć spodnie i buty. Maks w tym czasie zadzwonił z jego komórki do Kaśki i kazał jej czekać na instrukcje.

Gdy przechodzili koło recepcji, przeszło Kiddowi przez myśl, żeby zacząć krzyczeć, zwrócić na siebie uwagę, ale na wysokości nerek czuł ostrze noża, więc wolał nie ryzykować. Wszystko mogło się zdarzyć, bo w jego ocenie Maks był, a raczej stał się, osobą kompletnie nieprzewidywalną. Niczym cesarz rzymski w stylu Kaliguli czy Nerona, który zaczynał rządy jako czarujący młodzieniec, by z czasem niepostrzeżenie zanurzyć się w odmęty obłądu.

Zapakowali Kidda do auta. Samochód prowadził tęgawy i najmniej agresywny z całej trójki facet w okolicach trzydziestki. Z rozmów z Kaśką Kidd wiedział, że ma na imię Błażej i jest z zawodu konserwatorem zabytków. W jakieś czterdzieści pięć minut przejechali przez Rzym, który mimo nocnej pory tętnił życiem. Potem droga zaczęła pięć się niewielkimi pagórkami. Rosły na nich zwichrowane sosny, a bogate rezydencje z wolna się przerzedzały.

Maks niemal przez cały czas gadał przez komórkę. Najpierw po polsku, ale zdawkowo, jakby pilnował się, żeby przy Kiddzie nie powiedzieć za dużo. Potem wybrał kolejny numer i konwersował po angielsku. Ustalał wskazówki dojazdu, bo następnie pokierował Błażeja niczym pilot kierowcę rajdowego.

Po kolejnej półgodzinie jazdy zatrzymali się przy szlabanie. Byli poza miastem. Mrok nocy rozcinały jedynie reflektory samochodu, w których kłębiły się zwabione światłem owady.

Kilka minut później Kidd siedział już na krześle z rękami związanymi z tyłu tapicerowanego oparcia. Byli w domku kempingowym. Błażej i Kosiarz skorzystali z łazienki, po czym wyszli, pewnie coś załatwić. Kidd został sam na sam z Maksem.

– No patrz, olała cię – powiedział Maks, kiedy kolejny raz próbował wybrać numer Kaśki. W jego głosie pobrzmiwała kpina, ale i irytacja.

Siedział na krześle, naprzeciwko Kidda, z nogą założoną na nogę. Z niecierpliwością potrząsał stopą w eleganckim bucie z czarnej lakierowanej skóry. Patrząc spode łba na Kidda, zaciągał się papierosem. Jego aromat, sugerujący, że do produkcji użyto tytoniu wysokiej klasy, mieszał się z lekkim zapachem stęchlizny i wilgoci, który zastali po wejściu do domku kempingowego. Nim Maks zapalił, wszedł na krzesło, wyrwał z sufitu czujnik dymu i odciął jego kabel nożem.

Kolejny raz sięgnął po komórkę i wybrał numer, ale znów bez rezultatu. Zaszedł Kidda od tyłu i brutalnie złapał go za kciuk, który przycisnął do czytnika linii papilarnych w jego telefonie. I tym razem Kaśka nie odebrała. Maks wymamrotał przekleństwo, obleśny epitet pod adresem żony.

– Jak myślisz, ememesa chyba odczyta? – powiedział, wstając z krzesła i podchodząc do Kidda. W jednym ręku trzymał papieros, w drugim nóż. – Jeśli zaaranżujemy tu jakieś ładne zdjęcie, może to przemówi jej do rozsądku?

Kidd przełknął ślinę, patrząc to na rozżarzoną końcówkę papierosa, to na czubek ostrza, na którym kropla jego krwi zdążyła już zaschnąć

i szernieć. Pocienzał się, że jego los, choć niepewny, jest teraz w rękach Kaśki.

Po tym wszystkim, co ich połączyło... Przecież nie zostawi go Maksowi na pożarcie.

dzień / piąty

Minęła północ, a Kaśka czuła się podle. Nie pierwszy raz zrobiła coś, czego się wstydziła, ale nigdy wcześniej nie igrała z czyimś życiem. Tłumaczyła sobie, że to nie tak, że jest wyzuta z moralności i całkowicie pozbawiona empatii. Nie ma też serca z kamienia. A Roberta Kidda naprawdę zdążyła polubić. Tylko widocznie nie na tyle, by się dla niego aż tak poświęcić i zaprzepaścić swoje marzenia...

Odłożyła sentymenty na bok i dokonała zimnej kalkulacji. Czy w dzisiejszych czasach da się przetrwać bez odrobiny wyrachowania?

Właściwie mogła jeszcze zmienić zdanie. Ocalić Kidda. Maks wydzwaniał do niej co kilka minut. Ze swojego numeru, potem z telefonu Roberta. Za każdym razem postępowała tak samo. Nie odbierała. Zagryzła zęby i ignorowała wibracje telefonu. W końcu wyłączyła komórkę i schowała ją pod poduszkę.

Może tak będzie lepiej. Maks usłyszy komunikat sieci komórkowej o niedostępnym abonencie i zrozumie, że Kaśka przesyła mu wyraźny sygnał: „Nie negocjuję z terrorystami, nie dam się zaszantażować”.

Otóż to. Maks był dla niej nikim więcej jak tylko niebezpiecznym szaleńcem. Który przelicytował, myśląc, że Kaśka poświęci wszystko dla poznanego parę dni temu mężczyzny. Idiota naoglądał się za dużo filmów gangsterskich.

Mimo wszystko żywiła gdzieś w głębi serca nadzieję, że jej były nie zrobi Kiddowi krzywdy. Wścieknie się, że niczego nie wskórał, ale przecież w końcu go puści. Chyba aż tak nie zwariował, żeby mu coś zrobić? Jaki sens miałoby krzywdzenie niewinnego człowieka?

Chociaż...

Kaśka coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że desperacja Maksa, która zaczęła się w Konstancinie-Jeziornej napaścią na dwóch dresiarzy, musiała mieć podstawy solidniejsze niż tylko jego wybuchowy charakter. Coś musiało się stać, co zrobiło z niego psychopatę. Porzucenie go przez Kaśkę niewątpliwie podbiło stawkę. Ale nie aż tak, żeby ścigał ją przez cztery kraje. Jak nic ma długi hazardowe u jakichś bardzo niecierpliwych i nieprzyjemnych wierzycieli w stylu azerska

mafia, jak nie gorzej. Zradyzalizował się, bo sam ma nóż na gardle.

Ale jego problemy nie są już jej problemami. Wyszła z tego toksycznego związku, więc finito.

Kaśka wstała z łóżka i walcząc przez chwilę z firanką, otworzyła okno balkonowe. Wyszła z niewielkiego pokoju hotelowego na taras. Chciała zapalić, ale zrezygnowała i zamiast zaciągać się dymem, wdychała rześkie morskie powietrze. Zadekowała się w Ostii. Uznała, że odległość trzydziestu kilometrów od centrum Rzymu będzie wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa. Miała nadzieję, że Maks jej tu nie znajdzie. Bo że będzie jej szukał, było pewne.

Wynajęła pokój w niewielkim hoteliku, na który z pewnością nie było jej stać, o ile w ogóle jej karta kredytowa zachowała jakiejkolwiek zdolności płatnicze. W gotówce, z pieniędzy pożyczonych przez Joannę, zostało jej niecałe trzydzieści euro. Z pewnością za mało, żeby zapłacić nawet za jedną noc. Trudno, jutro będzie się martwić.

Wnętrze hoteliku przypominało burdel, ale Kaśka skonstatowała, że nigdy w takim przybytku nie była, więc wiedzę na temat jego topografii czerpie z przekazów medialnych, a konkretnie gangsterskich filmów i seriali. Ściany pomalowano wyrazistym różem w odcieniu malinowym, a białe

meble polakierowano na wysoki połysk. Zagłówek łóżka obity był fioletowym pluszem. Na szklanym stoliku stał wazonik o nieco fallicznym kształcie z kompozycją ze sztucznych róż. Jak tylko Kaśka weszła do pokoju, pogasiła wszystkie światła, żeby nie patrzeć na to szkaradztwo.

W pobliskiej knajpie, w której śmierdziało smażoną rybą, za ostatnie pieniądze kupiła butelkę wina nero d'avola i papierosy. Czuła na plecach spojrzenia kilku podstarzałych Włochów, którzy siedzieli przy stoliku w kącie i grali w karty. Chciała jak najszybciej wrócić do swojego pokoju, bo nie czuła się pewnie wśród ludzi ani na otwartej przestrzeni, ale kelner uparł się, że musi jej to wino otworzyć. Wzruszyła ramionami, po czym z powrotem – nie bez trudu – wcisnęła korek choć parę milimetrów w głąb szyjki i wyszła z knajpy.

Po powrocie do pokoju zaczęła szukać kieliszków, ale znalazła jedynie szklankę do płukania ust po myciu zębów, która stała na umywalce w łazience. Wymyła ją i wlała wino. Kiedy upiła pierwszy łyk, była pewna, że następnego dnia będzie bolała ją głowa. Trunek był ciężki, w dodatku ciepły.

Właściwie to już miała kaca, tyle że moralnego. Za każdym razem kiedy lepsza część Kaśki szeptała jej do ucha: „Zdradziłaś go, ale może jeszcze nie jest za późno”, pragmatyczna połówka

podsuwała do ust szklanekę z winem. Jak nietrudno się domyślić, po kilku rundach tego pojedynku górę wziął alkohol. Schowana pod poduszką wyłączona komórka kusiła ją coraz mniej.

Jakim cudem Maks ich znalazł? – myślała Kaśka, opierając głowę o fioletowy plusz. Nie miała siły się zastanawiać, czy ekosystem zagłówka aby na pewno ogranicza się do roztoczy.

Nie było innej możliwości. To Joanna ją zdradziła. Tylko ona wiedziała, w którym hotelu zatrzymali się z Kiddem. Nawet gdyby wypaplała Księciu, stary arystokrata nie przekazałby tej informacji Maksowi. Cokolwiek by o nim mówić, Książę był starej daty i zawsze postępował zgodnie z zasadą *noblesse oblige*.

Kaśka zaklęła pod nosem. Sięgnęła pod poduszkę. Włączyła komórkę, która zaraz rozedrgała się powiadomieniami o nieodebranych połączeniach z numeru Maksa i Kidda, esemesami o roamingu i tak dalej.

„Uciekłem im, odezwij się” – brzmiała jedna z wiadomości wysłanych niby przez Kidda. Tak, jasne – pomyślała gorzko Kaśka. Bała się sprawdzać kolejne wiadomości. Wiedziała, że Maks po nieudanym blefie będzie się chwycił rozmaitych pomysłów wywabienia jej z kryjówki. A na koniec i tak przejdzie do gróźb. Może zacznie przysyłać jej

ememesy z upiornymi zdjęciami torturowanego Roberta... Może już przysłał...

Na ekranie komórki zauważyła czerwoną jedynekę, która wyświetliła się w rogu ikonki Instagrama. Ktoś do niej napisał. Uruchomiła aplikację. Prywatna wiadomość od Łukasza Kidda zmroziła ją: „Hej, co tam, macoch?” – tak ją złośliwie tytułował. „Nie mogę skontaktować się z ojcem. Możesz mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił i przekonał dziadka, bo ten nie chce puścić nas do klubu?”.

Kaśka zauważyła zieloną kropkę obok zdjęcia profilowego Łukasza, oznaczającą, że jest w tej chwili on-line. Szybko zamknęła Instagram. Zalała ją nowa fala wyrzutów sumienia. Ci biedni chłopcy, którzy stracili matkę. Jeśli teraz jeszcze coś stanie się z ich ojcem...

Aż musiała usiąść na łóżku, bo czuła, że coś ją zatyka. W mgnieniu oka otrzeźwiała.

Sięgnęła po komórkę. Wybrała numer Joanny.

– Halo? Cześć... – W głosie przyjaciółki zabrzmiało zdziwienie i niepewność. Kaśka od razu wiedziała, że ze swoimi podejrzeniami trafiła w dziesiątkę.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytała po prostu.

Cisza. Długa cisza przzerwana jedynie głośnym westchnięciem Joanny.

– Mam nadzieję, że kiedyś mnie zrozumiesz.

– Ty głupia suko – powiedziała Kaśka i się rozłączyła.

Joanna od razu oddzwoniła. Kaśka odrzuciła połączenie, po czym znów wyłączyła komórkę i wepchnęła ją pod poduszkę.

Nie miała pojęcia, jakim cudem Maks przekonał do siebie Joannę. Przeleciał ją? Tych dwoje zupełnie szczerze się nie znosiło, ale może właśnie dlatego, że coś było na rzeczy? Kaśka poczuła przykry chłód. Nie fizyczny, ale gdzieś głęboko w duszy. I gorycz zawodu. Nie traktowała Joanny jak bliskiej przyjaciółki, ale takiego numeru się po niej nie spodziewała.

A sama zdradziła jedyne go człowieka, na którym, oprócz swojej matki i rodzeństwa, mogła polegać i który zaofiarował jej bezinteresowną pomoc.

Sięgnęła po butelkę wina i napełniła szklanekę niemal po brzegi. Wypiła spory łyk. I kolejny. To był jedyny sposób, żeby upiorny głos w głowie się wyłączył. W ciągu kilku minut poczuła senność, której nie była w stanie się przeciwstawić. I nawet nie próbowała. W ostatnim odruchu świadomości odstawiła pustą szklanekę na stolik przy łóżku.

Pochłonął ją sen mocny, ale wypełniony koszmarami. Niewyraźnymi, jak mgła unosząca się nad bagnem. Jak długo spała, nie miała pojęcia.

Obudził ją rytmiczny wysoki dźwięk. Otworzyła oczy. Było ciemno, środek nocy. Próbowwała zrozumieć, co słyszy.

Syrena policyjna?!

Poderwała głowę z poduszki, na której wyczuła mokrą plamę. Szybko zorientowała się, że to jej własna ślina, widocznie śpiąc, otworzyła usta, może krzyczała przez sen?

Równie prędko zdała sobie sprawę, że dźwięk, który ją obudził nie był wyciem syreny, ale alarmu samochodowego.

Uspokoila się, ale jednocześnie jęknęła z niechęcią. Pomyślała, że pewnie jakiś kretyn zostawił auto z uchyloną szybą i teraz tak będzie do rana. Alarm w końcu się wyłączył, ale kiedy sięgnęła po suchą poduszkę z drugiej połowy łóżka, znów zaczął wyć.

Oczywiście, jakżeby inaczej. Prychnęła w myślach, ale zaraz zaczęła zastanawiać się, czy to przypadkiem nie jej auto. Była pewna, że nie zostawiła uchylonego okna, ale nie miała pojęcia, jak brzmi alarm w samochodzie teściów Kidda. Czekala. Alarm znów się wyłączył, ale potem odezwał się ponownie. Uznała, że lepiej pofatygować się i sprawdzić, bo inaczej nie zaśnie, a nie daj Boże jeszcze zrobi się zamieszanie i ściągnie na siebie niechcianą uwagę.

Przeklinając pod nosem, wstała z łóżka. Balkon jej pokoju i pozostałe okna wychodziły na morze. Parking znajdował się z drugiej strony budynku. Na seksowną bieliznę, którą kupiła dla Kidda, zarzuciła sukienkę. Bosymi stopami wbiła się w białe tenisówki, które kupiła dziś z Joanną. Nie sznurując ich, przydeptała pięty i wyszła z pokoju.

Minęła recepcję, na której przysypiał drobny siwy staruszek w za dużej marynarce. Wyszła z budynku. Na niewielkim, słabo oświetlonym szutrowym parkingu stało pięć aut. Drogę przeciął jej szary, pręgowany kot. Wskoczył na murek i zaraz zniknął w mroku nocy. Gdzieś na wschodzie niebo z czarnego zmieniło już kolor na granatowy, ale do świtu była jeszcze co najmniej godzina.

Wył i migotał światłami samochód teścia Kidda. Kaśka już z daleka wyłączyła breloczkiem alarm. I od razu poczuła ukłucie w sercu. Chłodniejsze powietrze otrzeźwiło ją.

To taki dziwny zbieg okoliczności. Alarmy w autach raczej rzadko włączają się tak same z siebie. Nie wiał wiatr, a na parkingu nie rosło żadne drzewo, którego gałęzie mogłyby trącać maskę. A naprawdę była pewna, że nie zostawiła uchylonego okna. Może to ten kot? Ale nawet jakby skoczył na samochód w pogoni za myszą, to alarm włączyłby się na jedną serię, a potem zamilkł.

Coś jest nie tak.

Jakby na potwierdzenie jej obaw, z mroku nocy nagle wyłoniła się męska sylwetka.

Kaśka stała jak oniemiała na środku hotelowego parkingu. Nie wiedziała jak zareagować. Rzucić mu się na szyję? Na pewno by ją odepchnął. Przecież go zdradziła.

– Dzwoniłem do ciebie – powiedział Kidd. Jego głos był jak zawsze spokojny, niemal senny, jakby nic się nie wydarzyło. – A potem wysłałem ci esemesy.

– Nie no, to jest jakaś paranoja. A skąd miałam wiedzieć, że to ty? Myślałam, że to kolejny blef Maksa!

– Tak, domyśliłem się...

Nie miała pojęcia, czy naprawdę jest aż tak opanowany, czy maskuje tylko wściekłość. Chcąc uciec od niezręcznej sytuacji, zaproponowała, żeby poszli do pokoju. Kidd podniósł z ziemi swoją torbę podróżną. Minęli dziadka na recepcji, który na moment uniósł powieki, ale nie zareagował, widząc, że Kaśka prowadzi do pokoju mężczyznę.

Pewnie i on, i ten hotel widział już niejedną podobną sytuację.

Drżącymi rękami naląła do szklanki resztkę wina, ale Kidd podziękował. Wypiła je więc sama i zaczęła tłumaczyć mu, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej. Potem on zrelacjonował jej swoje przejścia.

Przetrzymywany w domku kempingowym pod Rzymem, miał świadomość, że jego sytuacja jest beznadziejna. Posadzony na krześle, z rękami związanymi z tyłu oparcia trytytką, która boleśnie wżynała mu się w nadgarstki. Niepozorny i wąziutki paseczek plastiku, ale Kidd wiedział, że nie ma szans go rozerwać.

Gdyby był bohaterem filmu akcji, rozciąłby więzy jakimś sekretnym sposobem, przepalił je ukrytą w mankiecie zapalniczką, w ostateczności rzuciłby się na Maksa i pokonał go bez użycia rąk... Ale to była rzeczywistość, a on – jak zapewniał – jest zwyczajnym mężczyzną, a nie żadnym herosem.

Tuż przed północą Maks, który z każdą chwilą tracił cierpliwość i stawał się coraz bardziej rozdrażniony, zakomunikował Kiddowi, że zaraz obetnie mu palec i wyśle nagranie Kaśce, a jeśli to nie poskutkuje, „urżnie mu jaja”. Wtedy Kidd przestraszył się nie na żarty. Cięte, nomen omen, riposty wyparowały mu z głowy w okamgnieniu.

Potem Maks uderzył go w twarz, kompletnie bez powodu. Widać było, że zdesperowany facet traci nad sobą panowanie. Z każdym połączeniem, którego Kaśka nie odbierała, robił się bardziej wkurzony. Kilkakrotnie łączył się z Kosiarzem i Błażem, którzy pewnie uganiali się po Rzymie, szukając białego volvo teściów.

Kidd wiedział, że musi coś zrobić. W końcu zadziałał instynktownie, kierowany bardziej podświadomością niż logiką. Wstał, jednocześnie pochylając głowę do przodu, przez co krzesło, do którego był przywiązany, oderwało się od podłogi. Zaskoczony Maks, który opierniczał właśnie przez telefon któregoś ze swoich towarzyszy, zrobił zdecydowany ruch w jego kierunku, żeby kopniakiem posadzić go z powrotem, ale Kidd już się rozpędzał, drobiać kroki do tyłu.

Z impetem wpadł krzesłem na przeszkłone od góry do dołu okno balkonowe, które prowadziło na taras.

Był to krok szalenie ryzykowny, z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, Kidd nie miał żadnej pewności, czy zadziała. Maks równie dobrze mógł wpaść w szal i zmasakrować go na miejscu, nim ktokolwiek usłyszy hałas tłuczonego szkła i przybiegnie sprawdzić, co się stało. Po drugie, odłamki szyby mogły przeciąć Kiddowi tętnice.

Gdyby zabrakło mu szczęścia przy przelatywaniu przez drzwi balkonowe, wykrwawiłby się w ciągu kilku minut. Choć liczył, że krzesło zadziała jednocześnie jak taran i tarcza ochronna, a okna w domku kempingowym nie były podwójnie szklone.

Udało się. Wyszedł bez szwanku, jedynie z kilkoma powierzchownymi skaleczeniami. Leżał na tarasie, na boku, wciąż z rękami związanymi za oparciem krzesła. Maks wahał się kilka sekund, ale ostatecznie zamiast go atakować, uciekł, bo do Kidda podbiegło dwóch Włochów z sąsiedniego domku. Zaczęli głośno pytać, co się stało, czy dobrze się czuje. Jeden z nich wyciągnął komórkę, żeby wezwać policję, drugi w tym czasie zapalniczką przepalił trytytkę.

Kidd odzyskał telefon, który Maks, uciekając w popłochu, porzucił w domku kempingowym. Dalej wypadki potoczyły się już przewidywalnie. Przyjechała policja, Kidd złożył jeszcze nie zeznania, ale wyjaśnienia. Funkcjonariusze chcieli zawieźć go na pogotowie, ale odmówił. Odstawili go więc do hotelu w Rzymie z zaleceniem, żeby następnego dnia stawił się na komisariacie.

– No dobra, ale jak mnie tu znalazłeś? – spytała Kaśka, wpatrując się w niego z przejęciem pomieszanym ze wstydem.

Przenieśli się do łazienki, żeby Kidd mógł się wykąpać. Puścił wodę i wszedł do wanny, ona zaś przysiadła na taborecie, z gracją krzyżując nogi. Plecy miała wyprostowane, jakby spięta w oczekiwaniu na powrót do nieprzyjemnego tematu jej zdrady.

Nagi Kidd wyciągnął się w wannie, która była jedynym gustownym przedmiotem w przeładowanym kiczem pokoju hotelowym. Wolnostojąca, trochę w stylu retro, zupełnie nie pasowała do burdelowego wnętrza. A może to Kidd uszlachetniał ją swoją osobą?

– Wyjaśnisz mi to? – ponowiła pytanie.

W końcu przerwał milczenie i pochylił się, by być bliżej niej.

– Boisz się, że poszedłem na układ z policją i obiecałem im, że cię wystawię? A oni pomogli mi cię namierzyć? Z zemsty, że mnie zostawiłaś...

– Robert... To nie jest śmieszne.

– Wiem, nie umiem być zabawny. – Odchylił się z powrotem. – Naprawdę się nie domyślasz? Teść ma w samochodzie zamontowany system lokalizacji przez GPS. Takie zabezpieczenie przed kradzieżą. Przyjechałem tu, znalazłem auto i zacząłem nim bujać, żeby włączał się alarm...

Kaśka przez moment patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, po czym parsknęła śmiechem

i pokręciła głową jakby z niedowierzaniem.

– A jednak powiedziałem coś śmiesznego?

Wyjaśniła mu, że sama przecież parę dni temu wykorzystwała podobny trick, żeby namierzyć miejsce ukrycia rękopisu. Podrzuciła tracker GPS do samochodu dresiarzy chwilę przed tym, nim Kidd stanął w jej obronie.

Oboje milczeli. W łazience było słycać jedynie szmer lejącej się wody.

– Pod tą maską uprzejmości pewnie ziejesz nienawiścią. Przyznaj się... – powiedziała w końcu.

– Przepraszam. Ale uprzedzałam cię, że wyrachowana ze mnie suka.

– Zrobiłaś, co uznałaś za stosowne. – Wzruszył ramionami i sięgnął po maleńkie hotelowe opakowania żelu do kąpieli.

– No ale powiedz, jakoś po swojemu, elegancko. Że jestem egoistką, coś w tym stylu...

– Po co?

Popatrzyła na niego z miną zbitego psa. Naprawdę chciała usłyszeć teraz coś kąśliwego. Gdyby naskoczył na nią albo chociaż się odgryzł... Nie byłiby kwita, ale na pewno bliżej wyniku remisowego. A tak on nadal pozostawał nieskazitelnie szlachetny i prawy. Mógł górować nad nią, nawet nie kiwając palcem.

Nie lubiła takich sytuacji. Krew, w której jeszcze

było sporo wina, od razu się w niej zagotowała. Podniosła się z taboretu i weszła w sukience do wanny.

– Co ty robisz? – spytał Kidd.

Nie odpowiedziała, tylko zaczęła go całować. Nadmiar wody wylewał się na posadzkę. Zaczęli kochać się w wannie, ale była na tyle ciasna, że dość szybko przenieśli się przed lustro w łazience, potem do przedpokoju, a w końcu na łóżko.

Nie zapalili światła, ale brzask poranka stopniowo wydobyl z mroku splecione sylwetki. Kidd zdał sobie sprawę, że chyba nigdy wcześniej nie kochał się o wschodzie słońca. Nim się obejrzał, wokół było jasno. Widział każdą niedoskonałość skóry Kaśki, sam też nie był w stanie ukryć przed nią niczego. Ale czuł, że nie ma to żadnego znaczenia.

Potem leżeli przytuleni, a ciszę przerywał jedynie szum klimatyzacji.

Oboje uznali, że są zbyt nakręceni, by kłaść się teraz spać. Postanowili, że pójda na śniadanie, które było serwowane od siódmej trzydzieści. A następnie wrócą do pokoju i spróbują zasnąć.

– No chyba że znowu zaszalejemy – powiedziała zalotnym tonem i pocałowała go delikatnie w posiniaczoną skroń.

Ale wtedy zadzwoniła jej komórka. Kaśka

podeszła do stolika przy łóżku i zerknęła na wyświetlacz. Twarz jej spoważniała. Pospiesznym ruchem sięgnęła po telefon, po czym odpięła go od ładowarki.

– To chyba Książę – powiedziała i odebrała połączenie.

Miała przeczucie, że się nie uda. Znowu się nie uda. Po raz ostatni się nie uda i będzie to już *grande finale*, a raczej *grande* fiasko jej starań.

Prześladował ją fatalizm, złośliwy los znów pokrzyżował jej plany. Nieważne ile razy będzie próbowała osiągnąć swój cel i sfinalizować transakcję sprzedaży *Zapisków sztokholmskich*, zawsze w ostatniej chwili coś potoczy się nie tak. Fortuna nigdy Kaśki nie rozpieszczała, ale w ostatnich dniach ilość kłód, które rzuciła jej pod nogi, była tak wielka, że spokojnie starczyłoby, by palić w kominku przez całą zimę.

– Denerwujesz się? – spytał Kidd.

– A ty byś się nie denerwował?

Samochodem teściów wracali z Ostii w kierunku centrum Rzymu. Kiedy rano zadzwonił Książę, wiedział już co nieco o wydarzeniach minionej nocy. Skruszona Joanna przyznała mu się, że „popęłniła głupstwo, informując Maksymiliana”.

I że bardzo tego żałuje.

– Dlatego wziąłem sprawy całkowicie w swoje ręce, Katarzyno – wyjaśnił Książę przez telefon. – Tym razem nie masz się czego obawiać. Spotkajmy się w miejscu, co do którego wiedzę będą mieć jedynie dwie istoty na całej ziemi. Ty oraz moja skromna osoba.

– Świetnie. Tylko jednak na wszelki wypadek chciałabym wiedzieć: dlaczego ona odwaliła taki numer?

Kaśkę autentycznie bolała zdrada osoby, którą uważała za swoją przyjaciółkę. Właściwie jedyną przyjaciółkę, nie licząc młodszej siostry, bo od kiedy związała się z Maksem, dawni znajomi, z jej „wieśniaczych” czasów, poszli w odstawkę.

– Naprawdę nie domyślasz się, Katarzyno? Jaki żywioł bywa tak silny, że potrafi przełamać i zdrowy rozsądek, i lojalność, nie mówiąc o moralności?

– Miłość?

– Tak. *The rest is silence*, jak powiedział pewien znany duński szaleniec.

– Ale to niemożliwe. Joanna nie znosi Maksa. Nie wierzę...

– A kto mówi o Maksie?

Kaśka zbaraniała. Dopiero po chwili zrozumiała sugestię Księcia. W pierwszym momencie wydała

się jej absurdalna, ale zaraz wszystkie części układanki zaczęły trafiać na swoje miejsce. Niechęc Joanny do Maksa, sympatia wobec Kaśki, niby bezinteresowna pomoc w sytuacji kryzysowej, wypytywanie o związek z Kiddem. Wisienką na torcie był ten moment, kiedy Kaśka wyjaśniła jej, dlaczego kupuje seksowną bieliznę. I jeszcze pożyczyła od niej na to pieniądze!

Kaśka milczała, Księżę też nie kontynuował wątku miłosnych fascynacji swojej asystentki. Przeszedł na temat Maksa. Jeszcze raz zapewnił Kaśkę, że nie miał pojęcia o jego wyczynach. „Co się stało z tym chłopcem?” – powtarzał co chwila. Długo i z wyraźną troską rozwodził się nad przemianą męża Kaśki „z dżentelmena w chuligana”. Aż przestraszyła się, że Księżę zadzwonił nie w sprawie ich transakcji, ale po to, by znów zaapelować do niej, poprosić o powrót do męża, ratowanie go, ściągnięcie ze ścieżki zła i wyprowadzenie na prostą.

A jednak nie. Stary cwaniak był jeszcze większym egoistą niż Kaśka. Wszyscy byli jedynie pionkami w jego grze, której celem pozostawało zdobycie kolejnego skarbu. Wprawdzie Maksa lubił najbardziej, ale widocznie tylko tyle, by pogłędzić chwilę o tym, jak go rozczarował, a nie żeby zaprzętać sobie głowę jego problemami.

Książę w końcu przeszedł do meritum i zaproponował, żeby jeszcze dziś spotkali się i sfinalizowali transakcję sprzedaży rękopisu.

Stojący nad grobem, zaślepiony żądzą posiadania bogacz. Nic innego się nie liczyło, tylko *Zapiski sztokholmskie*. Ale Kaśce to odpowiadało. Ona również nie miała wobec niego sentymentów.

Wyglądając przez boczną szybę prowadzonego przez Kidda auta, patrzyła na mijane przedmieścia Rzymu. Chciała usiąść w jakimś ładnym miejscu, zamówić kawę i spokojnie czekać na wiadomość od Księcia z dokładnym miejscem spotkania. Kidd od rana nalegał, by jej towarzyszyć. Zadzwoił nawet na numer pozostawiony mu poprzedniej nocy przez policjantów i przełożył na popołudnie wizytę na posterunku.

– Martwię się o ciebie – powiedział, zaciskając ręce na kierownicy. – Pójdę tam z tobą, okej? Pozwól mi...

– Nie, nie, nie ma takiej opcji – weszła mu w słowo. – Bo Książę spanikuje. I znowu mi spierdoli.

– Dlaczego on tak się boi?

Kaśka westchnęła. Podczas wielu godzin wspólnej jazdy samochodem opowiedziała Kiddowi już sporo o swojej przeszłości, zwłaszcza o kilku ostatnich latach. Choć nie wszystko. Łatwiej jej

było zrobić czarny charakter z Maksa, z którym wzięła rozbrat. Ale prawda była taka, że Książę też miał swoje za uszami.

Kaśka nie pamiętała już dokładnie, kiedy zorientowała się, że podstarzały arystokrata, świadek na jej ślubie, musi zdawać sobie sprawę z nielegalnych i coraz bardziej brutalnych działań Maksa. Przecież był głową całego procederu wywożenia z Polski cennych dzieł sztuki. Jego obsesja na punkcie zachowania anonimowości świadczyła o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że jest cwany i w razie wpadki nie chce, by cokolwiek łączyło go z Maksem i jego ludźmi. Po drugie, że zdaje sobie sprawę, jak bardzo szemrane działania podejmowali, by dostarczać mu wymarzone fanty.

– To nic dziwnego, że on się kryje. Większość rzeczy na aukcjach kupują anonimowi nabywcy, zwłaszcza jeśli mówimy o naprawdę grubej forsie. – Kaśka odpowiedziała na pytanie Kidda unikiem. – Nie chcą chwalić się bogactwem ani przyciągać złodziei. Narażać siebie i swoich rodzin na różne nieprzyjemności w stylu porwanie dla okupu. Duże pieniądze lubią dyskrecję, to wszystko. Dlatego tak się pilnuje.

Sama też przez jakiś czas w to wierzyła. Maks utrzymywał w tajemnicy szczegóły ich współpracy z Księciem, a jej, Kosiarzowi i Błażejowi powtarzał

właśnie takie okrągłe frazesy. Kaśka była przekonana, że ich główny klient i protektor jest dżentelmenem starej daty, a jej mąż obytym w świecie przystojniakiem z lekkim łobuzerskim zacięciem. A potem zdarzył się epizod z generałową i obrazem Fangora, i nie była w stanie zapomnieć wzroku tej przerażonej staruszki, która drżącymi rękami podpisywała akt notarialny.

– A jeśli to kolejna pułapka Maksa? – zapytał Kidd, poprawiając okulary.

– Nie sędzę.

Dojechali do centrum, gdzie Kiddowi cudem udało się zaparkować przy Via Dandolo. Skwar lał się z nieba, więc usiedli na kawę przy stoliku pod parasolem w niewielkiej cukierni. Zagryzając zęby na wybornym ciastku z kremem migdałowym, uznała, że może Kidd tak się wprasza, bo wątpi, czy ona dotrzyma danego słowa i zapłaci mu za podróż. Sama na jego miejscu też ograniczyłaby kredyt zaufania. Przecież wczoraj... „Zdradziła go” to za duże słowo. Ale ma facet prawo obawiać się, że jak tylko Kaśka dostanie od Księcia gotówkę, rozplynie się w powietrzu i tyle ją będzie widział.

– No dobrze – powiedziała, upiwszy łyk kawy. – Wiesz co? Nie mogę cię wziąć, żeby nie wkurzyć starego, ale to w sumie nie jest głupi pomysł... Mógłbyś mnie asekurować z pewnej odległości.

Klapniesz na ławce albo będziesz udawał turystę. A jak tylko dostanę kasę, podchodzę do ciebie i się rozliczamy.

– Nie chodzi mi o to, żeby cię pilnować, bo mi uciekniesz – powiedział jak zawsze spokojnym tonem, ale uniesione brwi świadczyły o lekkiej irytacji. A może rozbawieniu. – Po prostu martwię się o ciebie.

Aż westchnęła z wrażenia. Podejrzewała go o niskie pobudki, a on jest skupiony na niej, jej bezpieczeństwie i potrzebach. Jakże miła odmiana po narcystycznym Maksie.

– Wiem. Dzięki – powiedziała po chwili.

– Naprawdę nie chciałbym, żeby coś ci się stało... Maks przecież nadal hasa gdzieś po rzymskich ruinach.

Poczuła coś na kształt wzruszenia i aż musiała złapać Kidda za rękę. Jego dłoń była sucha, twarda i ciepła. Wokół owłosionych nadgarstków biegły czerwone pręgi, ślad po wczorajszych dramatycznych przejściach. Nachyliła się i pocałowała go w usta, zmuszając go do oderwania wzroku od drogi. Wtedy pierwszy raz uwierzyła, że może jednak się jej uda. Że fatum może w końcu odpuściło, czarny kruk odleciał, dał za wygraną, widząc jej determinację.

Stało się. Przybyła, zobaczyła i zwyciężyła.

W drżących rękach trzymała milion złotych. Jednocześnie gdzieś głęboko wewnątrz czuła spokój. I ulgę, że cała ta wyprawa, jak i wszystkie jej wcześniejsze starania dobiegły kresu. I jeszcze czuła euforię, wynikającą z przekonania, że oto zaczyna nowy, szczęśliwy etap życia. W ciemnoszarej podłużnej kopercie z czerpanego papieru znajdowało się wynagrodzenie za *Zapiski sztokholmskie*: dziesięć tysięcy euro w gotówce, reszta zaś pieniędzy mieściła się na niepozornej kartce papieru. Był na niej numer konta w cypryjskim banku, wyciąg potwierdzający wpłatę i procedura autoryzacji, dzięki której jedynym dysponentem środków była urodzona w Gdańsku Katarzyna Sobańska. Kaśka wiedziała, że Książę dopilnował wszystkiego, bo zna się na interesach, zwłaszcza tych szemranych. Miał do dyspozycji sprawdzonychmacherów, którzy zonglowali dla

niego kontami w rajach podatkowych.

Mogła poprosić Księcia o całą sumę w gotówce, ale to byłoby zwyczajnie pozbawione sensu. W XXI wieku w każdym cywilizowanym kraju mogłaby potem co najwyżej wydać ułamek tej sumy. Zakup jakiegokolwiek nieruchomości nie wchodziłby w grę. Służby fiskalne i wszystkie inne pojawiłyby się na jej progu, jeszcze zanim zdążyłaby urządzić parapetówkę. Zażądałyby ujawnienia źródła dochodów, wszczęły postępowanie i tak dalej. Wprawdzie cały czas miała w tyle głowy myśl, że swoje nowe gniazdko będzie musiała uwić poza Unią Europejską, ale może jednak Joanna miała rację i macherzy Księcia będą w stanie jakoś jej pomóc i z tym drobnym problemem.

Ledwie trzydzieści dni temu dowiedziała się o istnieniu *Zapisków sztokholmskich* i rozpoczęła starania, by je pozyskać. Można więc uznać, że w miesiąc zarobiła tyle, ile przeciętnemu Polakowi zajęłoby dwadzieścia lat.

Napawała się swoim wyczynem, obracając twarz ku słońcu. W Rzymie panowała piękna pogoda, choć upał doskwierał, a lekki wietrzyk orzeźwiał tyle co nic. Siedzieli we dwójkę na metalowych krzeselkach przy stoliku w kawiarni na tarasie Zamku Świętego Anioła z widokiem na Bazylikę Świętego Piotra. Kaśka zastanawiała się, dlaczego

Książę wybrał na spotkanie akurat to miejsce, dziwaczną, cylindryczną budowlę, pierwotnie grobowiec rzymskiego cesarza Hadriana, który przebudowano na fortecę, a potem na papieską twierdzę. Może chciał upewnić się, że Kaśce nikt nie będzie towarzyszył, że nie będzie włókł się za nią żaden ogon. Do zamku prowadziło tylko jedno wejście. Możliwe, że nim się spotkali, Książę obserwował, czy aby na pewno nadchodzi sama.

Kaśka zerknęła w stronę opalizujących zielonkawo wód Tybru. Wypatrywała sylwetki Kidda, którego zostawiła spacerującego na nabrzeżu w okolicach Mostu Świętego Anioła. Książę ostrożnie wyjął rękopis z nieprzemakalnego pokrowca, który następnie odłożył na stolik. Poprawił okulary w złotych oprawkach i zaczął przeglądać wiersze. Jego świetnie skrojony jasnoszary lniany garnitur, wyprostowana sylwetka i powolne, wystudiowane ruchy zdradzały przynależność do wyższych sfer.

Kaśka postrzegała świat wokół w jasnych, intensywnych barwach. Widoczna w oddali kopuła bazyliki lśniła patyną, a niebo nad nią przytłaczało soczystym błękitem. Euforia w połączeniu z mocną kawą nadal trzymała Kaśkę na lekkim haju. To było niemal tak przyjemne jak udany seks. Schowała kopertę do torebki, swojej wiernej listonoszki, i znów popatrzyła w dal. Chwilę zajęło

jej zlokalizowanie Kidda. Siedział na kamiennym nabrzeżu i czytał gazetę. Zorientowała się, że to on, tylko dlatego że pamiętała, jak jest ubrany. Uspokoila się. Nawet gdyby Książę jakimś cudem wiedział, jak Kidd wygląda, z tej odległości nie rozpoznałby go.

Nie ma ryzyka, że stary się wystraszy.

Poza tym klamka zapadła. Transakcja została sfinalizowana i już nic nie jest w stanie wydrzeć jej koperty z milionem. Kaśka z ulgą wypila kolejny łyk kawy, która smakowała bajecznie. Pomyślała, że odpali Kiddowi dwa tysiące euro. Plus zwrot kosztów benzyny. Niech ma! Dwa razy więcej niż się początkowo umawiali, ale przecież miał ją zawieźć tylko do Wiednia. Tysiąc w tę czy we w tę, nie miało to dla niej znaczenia. Była milionerką.

Książę z namaszczeniem przewracał kolejne kartki notatnika. Obok ich stolika przechodzili turyści, robiąc sobie zdjęcia komórkami.

– Piękne – westchnął. – Piękne te wiersze. Czytałaś?

– Pobieźnie – odpowiedziała.

– Prawdziwe perełki. Posłuchaj. „I znowu napisała jakieś dziwne słowo / Zżyma się tłumacz. Co w jej języku ma rodzaj i nogi / a w moim obłe, nijakie i zsuwa się ze stołu”.

– Tak, pamiętam – uśmiechnęła się. – Na końcu

tłumacz nie może już zadzwonić do poetki, żeby spytać, co miała na myśli, bo ona umarła...
Wzruszające.

– Pomyśl o tym, że oprócz nas, jak dotąd miało je w rękach ile? Zaledwie parę osób – mówił Książę, przewracając kolejne strony. – A miliony chcą je poznać. Chcą z nimi obcować. To byłaby sensacja na skalę światową.

Kaśkę zdziwił tryb przypuszczający „byłaby”, zamiast „będzie”, ale milczała. Czowała satysfakcję, widząc poruszenie Księcia. Ozdobiony rodowym sygnetem serdeczny palec jego lewej ręki lekko drżał. Kaśka na moment zapomniała o wszystkich podejrzaniach i zastrzeżeniach wobec starego arystokraty. Tak, pewnie zawładnęła nim chorobliwa żądza kolekcjonera dzieł sztuki. Pociąg do piękna i geniuszu artystycznego. Siła, która zaślepia i każe iść po trupach do celu. Może wręcz nałóg, głód. Da się go zaspokoić tylko na chwilę kolejną wymarzoną zdobyczą. Było w tym oczywiście coś niepokojącego i niebezpiecznego, ale też i godnego podziwu. Kaśka nigdy nie była w podrzymskiej willi Księcia, ale czasami wyobrażała ją sobie. Na ścianach od góry do dołu obrazy, w kątach pomieszczeń rzeźby. Wszystkie te perełki i arcydzieła, które przez ostatnie lata dla niego zdobyli. Podzielone tematycznie, a może

chronologicznie. Do tego antyki, stare meble, enklawa dobrego smaku za grube miliony.

– Poproszę jeszcze jedno espresso...

Z zamyślenia wyrwał ją Książę, który zwrócił się po włosku do kelnera. Młody chłopak, który z uprzejmą miną zawisł przy ich stoliku, nie wyglądał na Włocha, prędzej na dorabiającego studenta ze Skandynawii – wysoki, szczupły blondyn o orlim nosie. Spojrzał na Kaśkę pytająco.

– A dla pani?

– Wodę z lodem.

– I poproszę popielniczkę – wtrącił Książę.

Kelner skłonił lekko głowę, zabrał puste filiżanki i skierował się do wnętrza kawiarni. Książę dalej był zaczytany w wierszach, Kaśka wróciła do swoich myśli.

Tylko komu on zapisze w spadku wszystkie te skarby? Nie ma przecież dzieci. Kiedyś Kaśka, widząc, że Książę traktuje Maksa niemal jak syna, snuła dalekosiężne plany. Mogłoby przecież zaopiekować się nim na starość, zresztą za jego pieniądze. A potem... Teraz plany te wydały się jej infantylne, a nawet obrzydliwe. I kompletnie nierealne.

Stąpała twardo po ziemi, sama chciała wykuwać swój los. Zarabiać na życie, prowadząc niewielki pensjonat w Marsali, z widokiem na Morze

Śródziemne... Albo w innym pięknym miejscu. Maks też obejdzie się smakiem. Księżę pewnie zapisze swoją wspaniałą kolekcję państwu. Być może chociaż w ten symboliczny sposób będzie chciał zyskać nieśmiertelność. Tak jak istnieje Kolekcja Czartoryskich, tak kiedyś, nawet wiele stuleci później, będzie się mówić o jego zbiorach. Pod jego nazwiskiem.

Pojawił się kelner, który postawił przed Księciem filizankę espresso i szklaneczkę wody, a przed Kaśką wysoką szklanę, brzęczącą kostkami lodu. Przesunął niewielki wazonik z rozkwitającą białą różą na krótkiej łądyżce i na środku stolika umieścił popielniczkę z rżniętego kryształu. Następnie odszedł, skłoniwszy się lekko.

Księżę włożył rękę do kieszeni marynarki i nie odrywając wzroku od rękopisu, wyciągnął srebrną zapalniczkę. Kaśka pomyślała, że ona też ma ochotę zapalić. Sięgnęła do swojej kopertówki w poszukiwaniu papierosów.

Kiedy wyciągnęła paczkę i podniosła głowę, zdębiała. Księżę właśnie podtykał płomień zapalniczki pod róg *Zapisków sztokholmskich*.

Krzyknęła i rzuciła się, chcąc ratować rękopis. Tak wiele wysiłku ją kosztował, że zrobiła to bez namysłu. Był drogocenny, ale w tej chwili nie chodziło tylko o wymiar finansowy. O wybitne wiersze! O poezję noblistki. Kaśka chciała je ocalić. Nawet za cenę poparzonych dłoni, którymi próbowała chwycić płonący rękopis.

– Co robisz?! – wrzasnęła, z wrażenia zwracając się do starego arystokraty na „ty”.

Książę odsunął się szybko, nie zdołała złapać rękopisu. Płomienie wspinały się już po kartkach, ale gdyby szybko przydusić je, może coś jeszcze udałoby się ocalić.

Kurwillo!

– Spokojnie. Nie obawiaj się, Katarzyno – powiedział Książę, łapiąc wolną ręką jej nadgarstek. Nasza umowa pozostaje w mocy. Nie odbiorę ci pieniędzy.

Wyszarpnęła rękę.

– Ale co...?! – Patrzyła wciąż zszokowana, jak równo zapisane linijki skręcają się i znikają w ogniu, aż złapała się za głowę. – Co pan robi?!

– Nie musisz wszystkiego rozumieć.

Książę jeszcze przez chwilę trzymał płonący rękopis, a potem, kiedy nie był już w stanie uciec przed żarem, rzucił go do kryształowej popielniczki. Nikt z obsługi ani mijających ich turystów nawet nie zwrócił na nich uwagi.

– Dlaczego pan go spalił?! – powiedziała, z trudem panując nad głosem. – To fałszywka?

– Nie. – Książę zaśmiał się lekko. – Mam wszelkie podstawy, by sądzić, że to jest autentyczny tomik Szymborskiej. A raczej był. Spokojnie, Katarzyno, nie ma sensu się stresować. Już dobrze. Przecież wszystko obróci się kiedyś w proch. Ty i ja. Wszystko bez wyjątku...

Kaśka czuła, że serce wali jej jak młotem. Nadal nie miała zielonego pojęcia, co się dzieje, ale zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że Książę zwariował. I za chwilę zażąda zwrotu koperty z wynagrodzeniem. Ewentualnie pozwoli jej zachować dziesięć tysięcy euro za fatygę, ale okaże się, że żadnego konta na Cyprze nie ma.

Dlaczego zniszczył te Bogu ducha winne wiersze? Przepadły bezpowrotnie, bo Kaśka kierowała się uczciwością w interesach, więc nie zrobiła kopii.

Miała ochotę rzucić się na starego dziada z pięściami. Co on narobił?!

– Przepraszam, niepotrzebnie cię zdezorientowałem – powiedział Książę, spokojnie dopijając kawę. – Powinienem być z tym poczekać. Ale po prostu nie mogłem się powstrzymać.

Posłał jej figlarne spojrzenie, tak jakby przed chwilą zrobił niewinny kawał w stylu podpalenia sobie cygara banknotem o niewielkim nominale.

– Pieniądze są twoje, naprawdę. Wszystko co do grosza, okrążył milion. Nic się nie martw, drogie dziecko. No już...

Kaśka patrzyła jak zafascynowana na dogasający w popielniczce płomień. Nietknięta pozostała tylko płócienna okładka. Kilkanaście niewielkich kartek spaliło się szybko, pozostawiając poskręcane czarne, szarzące na brzegach płatki, które obracały się w popiół, porywany z popielniczki przez lekki wietrzyk.

Tak płonął milion złotych. Po chwili w kryształowej popielniczce zostały już tylko najcięższe drobinki sadzy.

Kaśce włos zjeżył się na głowie. Nie mogła sobie darować, że nie powstrzymała Księcia. Ani że nie zrobiła wcześniej kopii. Tomik wierszy na miarę Nobla przepadł, odszedł z tego świata, by – w przeciwieństwie do człowieka – nigdy już nie

zmartwychwstać.

Pomyślała, że może stary Książę cierpi na jakąś odmianę demencji. Chciała jak najszybciej wstać od stolika i uciec.

Nagle kątem oka zauważyła gwałtowny ruch. W przeciągu sekundy zostali otoczeni przez umundurowanych mężczyzn z bronią w ręku. Jeden z nich miał nawet karabinek automatyczny, inny krzyczał coś po włosku.

W niewielkim oknie, pomniejszonym jeszcze optycznie grubością muru, była krata i dodatkowo metalowa siatka o drobnych oczkach. W pierwszej chwili Kaśka pomyślała, że może siatka pełni funkcję moskitiery, ale kto by myślał o takich luksusach dla osadzonych. Prędzej była zabezpieczeniem, żeby nikt z zewnątrz nie mógł niczego przekazać do wnętrza celi, która znajdowała się na parterze aresztu.

Widok na brudną szarą ścianę budynku naprzeciwko, na spękany tynk, bez nawet skrawka nieba dławił Kaśkę. Była uwięziona w dole jakiejś potwornej studni, dosłownie i w przenośni. Złośliwy los szurał nią po dnie rozpaczy.

A przecież to dopiero preludium. Odtąd będzie jeszcze gorzej. Dużo gorzej, bo jest skończona i to na amen.

Umundurowani funkcjonariusze skuli ją na tarasie kawiarni i wyprowadzili spiralnym

pasażem, który oplatał Zamek Świętego Anioła. Eskortowali ją do biało-błękitnego radiowozu, o ironio alfa romeo giulietty, takiej samej, jaką jeździł Kidd. Samochód stał zaparkowany przy Piazza Adriana, niedaleko siedziby Sądu Najwyższego. Książę został zapakowany do drugiego radiowozu. Zachowując spokój, wynegocjował z policjantami, żeby nie zakuwali go, bo musi podpierać się laską. Wsiadł do auta i dopiero wówczas oddał ją jednemu z funkcjonariuszy i wyciągnął obie ręce, na które założono mu kajdanki. Nawet raz nie spojrzął na Kaśkę, jakby w momencie zatrzymania przestała dla niego istnieć.

Do aresztu jechali na sygnale. Syrena policyjnego wozu emitowała jeden ciągły ton, drugi zaś modulowany, przez co całość brzmiała jak obsesyjnie powtarzana melodia jakiejś smutnej piosenki. Otumaniona Kaśka wyglądała przez okno na mijane zabytki i tłumy podekscytowanych turystów. Ponad dwa tysiące lat historii patrzyło na jej upadek.

Kiedy dojechali do aresztu na terenie więzienia w dzielnicy Rebibbia, policjanci rozkuli ją, zabrali torebkę i wszystkie rzeczy osobiste. Domagała się informacji, dostępu do prawnika, kontaktu z ambasadą, ale jeśli nawet któryś

z funkcjonariuszy odpowiadał na jej gniewne, rzucane po angielsku słowa, to było to niezbyt uprzejme zbywanie: *non ora, dopo* – „nie teraz, później”.

Początkowo w celi nie było nikogo oprócz niej. Pozostawiona sam na sam z niewesołymi myślami, męczyła się w upiornie dusznym, pozbawionym klimatyzacji szarym pomieszczeniu. Każda mijająca minuta dłużyła się niczym godzina. Kaśka zastanawiała się, czy przestępczość w Rzymie jest tak mała, czy może uznali ją za wyjątkowo niebezpiecznego więźnia i dlatego trzymają w pojedynczej celi. Choć tak naprawdę nie była więźniem – jeszcze – ale wolała ulżyć sobie i trochę poddramatyzować. Nic lepszego do roboty nie miała. Myśleć o ocaleniu, o jakiejś strategii? Za późno. Dała się podejść jak dziecko.

Nozdrza drażnił jej zapach tanich środków czystości. W końcu, choć nie miała pojęcia, czy upłynęła godzina czy dwie, czy pięć, bo zabrali jej telefon komórkowy i zegarek na rękę, funkcjonariusze służby więziennej przyprowadzili do celi drobną kobietę o bladej cerze i tłustych czarnych włosach spiętych w koński ogon, która próbowała zagadywać Kaśkę po włosku. Angielskiego nie знаła, więc obie szybko dały sobie spokój i każda zajęła się własną mizérią

i frasunkiem.

Kaśka przechodziła przez pierwszy z czterech etapów wspólny dla traumy, żałoby czy też śmiertelnej diagnozy – szok i niedowierzanie. Nie przyjmowała do wiadomości aresztowania, co kilka, kilkanaście sekund jej umysł podejmował wysiłek, by się obudzić, wyjść z bieżącej narracji, wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza. Ale za każdym razem krata w oknie, metalowa siatka, szary mur, popękany tynk oraz duchota witały ją z otwartymi ramionami. Studnia, na której dnie się znalazła, stawała się coraz bardziej realna.

Kaśka powoli zaczynała godzić się z rzeczywistością. Mogła umknąć policji w Warszawie, kilkakrotnie dała radę uciec Maksowi, ale limit szczęścia właśnie się wyczerpał, a debetu nie przewidziano. Przecież nie ucieknie z aresztu. Już się nie wywinie. Odpokutuje za winy, pewnie nie tylko swoje.

Księżę też jej nie pomoże, bo sam przecież siedzi pewnie w celi obok.

To już koniec, Katarzyno.

Pomyślała o matce, do której będzie musiała w końcu zadzwonić i powiadomić ją o kłopotach, błagać o pomoc. To tylko kwestia czasu, kiedy dowiedzą się psiapsiółki matki, jej koleżanki z zakładu fryzjerskiego. Zawistne baby, które

uwielbiały plotkować i cieszyć się cudzym nieszczęściem. Teraz będą miały Gwiazdkę w czerwcu, bo to będzie plota sezonu, jak nie dekady.

Czy mama wytrzyma te szykany i wytykanie palcem? I tak była zahukana, traktowana przez nie z góry. Koleżaneczki już wiedziały o rozstaniu Kaśki z Maksem i miały niezłe używanie. Gdyby wypaliła Sycylia, zabrałaby mamę i mogłyby wypiąć się na to toksyczne towarzystwo. A tak... Matka kryminalistki, teściowa mordercy, będzie wśród śmiechów zapieprzać do emerytury na adwokata dla Kaśki.

A co powiedzą brat i siostra? Konrad na pewno przejmie się najmniej. Ale Zuzia, przyszłoroczna maturzystka, przeżyje szok. Starsza siostra była dla niej przecież wzorem do naśladowania. Dobrze, że chociaż ojciec nie dożył jej upadku. Kaśka przesłoniła sobie ręką usta i załkała bezgłośnie. Chciała uciec od zbyt bolesnych myśli, ale nie było dokąd.

Zastanawiała się, kto ją wydał. Pierwszy na liście podejrzanych był Maks. Jest przecież zdolny do wszystkiego. Tylko... Czy odważyłby się utopić również Księcia? Z tego samego powodu wykluczyła raczej Joannę. Może ta idiotka zwariowała, była zakochana w Kaśce, ale Księżę

był dla niej najbliższą osobą. Autorytetem, przyjacielem, nie mówiąc o tym, że pracodawcą. Gdyby go wtopiła, zostałaby z niczym. Chyba że przez te wszystkie lata odłożyła niezłą sumkę albo pofałszowała jakieś pełnomocnictwa. Cicha woda brzegi rwie. Ale nie, niemożliwe, żeby Joanna wycięła Księżciu taki numer. Traktowała go jak ojca...

Natomiast Kidd, choć z pewnością miłośnik praworządności i uczciwości, wkopałby ewentualnie Księcia, ale chyba nie Kaśkę. A może chciał się odegrać za to, że wczoraj go zdradziła i pozostawiła na pastwę Maksa?

Kaśka poczuła, że w gardle formuje się jej gula.

Nie, niemożliwe... On jest zbyt prostolinijny, żeby ją tak perfidnie podejść. Kiedy funkcjonariusze odprowadzali skutą Kaśkę do radiowozu, spojrzała w stronę nabrzeża, na którym siedział Kidd, ale już go nie było. Pewnie kiedy zobaczył, że coś się święci, uciekł. Czy jego też będą próbowali zatrzymać? A może już go złapali?

Jeśli jeszcze jego pociągnęła za sobą... Jedyne go żywiciela rodziny, niewinnego ojca dwójki dzieci.

A może nikt nie zdradził? Czy to możliwe, że policja zwyczajnie ją namierzyła? Czy obława, która zaczęła się jeszcze w Warszawie, w końcu ją dopadła? Od czasu ucieczki z Polski Kaśka

sprawdzała portale informacyjne. Sprawa napadu w Konstancinie-Jeziornej dziwnie szybko ucichła. Kaśka uznała, że to nic nadzwyczajnego, bo każdy news w dzisiejszych czasach żyje tyle co jętką. Następnego dnia jest już tylko mglistym wspomnieniem. Ale co jeśli policja specjalnie wszystko wyciszyła, żeby uspić ich czujność? Może w rzeczywistości nadal prowadzili śledztwo na najwyższych obrotach, z pomocą służb w innych krajach? Przypomniało się jej, że choć pożyczyła od Joanny gotówkę, uparła się, że w zamian chociaż zapłaci za pożegnalnego drinka, kiedy skończyły robić zakupy i usiadły przy Piazza Venezia, żeby odsapnąć i jeszcze chwilę pogadać. I wówczas, raz jeden, użyła swojej karty kredytowej. Już kiedy na terminalu pojawił się komunikat *transazione eseguita*, który potwierdzał transakcję, pomyślała, że popełniła błąd. Może wtedy ją namierzyli? Ten jeden głupi moment mógł zadecydować o całej jej przyszłości. Bo po komórce przecież nie mogli jej wytropić. Pre-paidy jej i Maksa nie były na nich zarejestrowane.

– *Guarda quello, guarda quello!* – powtarzała jak w amoku bladolica Włoszka, podciągając luźne rękawy wygniecionej lnianej koszuli i pokazując Kaśce podrapane do krwi przedramiona. Po czym usiadła na metalowej ławeczce przy ścianie

i zanosła się szlochem.

Zimny dreszcz przeszedł Kaśce po plecach. Marzyła o papierosie. Myśli huczały jej w głowie, a jednocześnie dławił ją strach i wstyd. Miała sucho w ustach, język stał kołkiem.

Doigrała się. Tak dobrze się zapowiadała, a stoczyła się jak najgorszy element patologiczny.

Chciała krzyczeć z bezsilności, ale w tę rolę wcieliła się już szalona Włoszka, towarzyszka niedoli. Jęcząc i gadając do siebie, waliła pięściami w metalowe drzwi, po czym usunęła się na podłogę i znów wybuchła płaczem.

W końcu przyszli po Kaśkę. Dwoje funkcjonariuszy w mundurach. Ich koszule miały inny odcień błękitu niż u policjantów, którzy ją zatrzymali. Kaśka pomyślała, że są pewnie strażnikami więziennymi. On wyglądał jak typowy Włoch, niewysoki trzydziestoparolatek o ciemnych włosach i oczach, ona była blondynką po czterdziestce, chyba naturalną, mocno umalowaną, łącznie z maźniętymi różem policzkami.

Poprowadzili Kaśkę wąskim, za to wysoko sklepionym, odrapanym korytarzem, pozostawiając w celi awanturującą się Włoszkę.

– *Did you contact someone at the Embassy?* – Kaśka spytała, czy skontaktowali się z kimś w ambasadzie.

Nie miała pojęcia, jakie prawa jej przysługują, ale na pewno powinna zostać otoczona opieką polskiej placówki dyplomatycznej. I powinni jej umożliwić kontakt z kimś bliskim, kto załatwi adwokata. Wcale nie spieszyła się do tego, żeby zadzwonić do mamy i poprosić o pomoc, ale nie miała wyjścia. Do kogo innego mogłaby się zwrócić? Nie miała oddanych przyjaciół, którzy ruszyliby jej teraz z pomocą. Chyba że Kidd... Jeśli pozwolą jej skorzystać z komórki, mogłaby zadzwonić do niego, żeby nie dobijać mamy.

– Halo! Znam swoje prawa – powiedziała Kaśka po angielsku, kiedy żadne ze strażników nie zareagowało na jej pytanie. – Chcę zadzwonić.

Zatrzymała się i zaczęła stawiać bierny opór. Zgrywała hardą, ale tak naprawdę chciało się jej płakać. Czuła, że kolana jej drżą, ledwo stoi na nogach.

– *Easy, easy* – powiedziała funkcjonariuszka, niezbyt grzecznym gestem popychając Kaśkę, by szła dalej.

– Teraz będzie wstępne przesłuchanie – dodał jej towarzysz po angielsku, ale z wyraźnym włoskim akcentem. – Nasz człowiek i wasz człowiek. Spokojnie. Będiesz mogła się skontaktować z prawnikiem.

Kaśka odpuściła i ruszyła dalej. Zatrzymali się

na końcu korytarza. Policjantka otworzyła kartą magnetyczną metalowe drzwi z niewielkim okratowanym okienkiem. Kaśka weszła do środka i oniemiała z wrażenia. Nogi się pod nią ugięły, dobrze, że strażnik odruchowo złapał ją za ramiona i podtrzymał.

Na środku pozbawionej okien salki przesłuchań stało przy metalowym biurku dwóch mężczyzn pograżonych w swobodnej rozmowie, pochylających się nad jakimiś dokumentami w papierowej teczce. Jednym z nich był kolejny typowy Włoch, brunet, który śmiał się właśnie, ekspresyjnie gestykulując.

Drugim mężczyzną był Robert Kidd.

Obraziła się, to mało powiedziane. Udawała, że zapadła w katatonię. Wprawdzie na metalowym krzeselku siedziała o własnych siłach i to wyprostowana jak struna z elegancko skrzyżowanymi nogami, ale nie odpowiadała na żadne pytania i unikała kontaktu wzrokowego. Tłumiąc gotującą się wściekłość, rozpacz i rozczarowanie, konsekwentnie milczała, patrząc gdzieś w przestrzeń. Ignorowała i Kidda, i jego włoskiego partnera. Tak jakby udawała, że jej tu nie ma.

Kidd spodziewał się po niej wszystkiego. Przede wszystkim emocji, krzyku, obelg, soczystych przekleństw, a może nawet płaczu, ale nie zamknięcia się w sobie na cztery spusty. Kolejny raz go zaskoczyła. Patrzył na nią z troską, próbował zagadywać, a po kilku minutach klinczu poprosił komisarza Lavino, żeby zostawił ich na chwilę samych. Włoch zgodził się bez żadnych

ceregieli. Pewnie i tak miał ochotę zapalić. Wyszedł z pokoju przesłuchań, otwierając metalowe drzwi kartą magnetyczną. Zatrzasnęły się za nim z głośnym hukiem.

Kidd i Kaśka zostali sami.

– Posłuchaj... – powiedział Kidd po polsku. – Musisz zacząć ze mną rozmawiać. Dla twojego dobra. Milczenie w tym momencie... To najgorsze rozwiązanie.

Cisza. Kaśka nadal ostentacyjnie odwracała głowę, żeby na niego nie patrzeć.

– Masz jeszcze szansę wyjść z tego – powiedział, poprawiając mankiety koszuli. – Bez najmniejszego szwanku. Bez żadnych konsekwencji. Chcesz, żebym powiedział ci jak?

Był przekonany, że na taką propozycję zareaguje. Niestety, nadal milczała jak zaklęta. Ale on był cierpliwy. Wiedział, że prędzej czy później ją skusi. W jego ocenie najgorsza z tego całego bagna, w które Kaśka wpadła, byłaby utrata przez nią tożsamości. Gdyby z pięknej, rozbijającej się po wielkim świecie marszandki stała się pospolitą kryminalistką. Wówczas w najboleśniejszy możliwy sposób Katarzyna Sobańska przestałaby istnieć. Umarłaby śmiercią cywilną. Dlatego Kidd miał pewność, że Kaśka w końcu zrozumie, że oto on daje jej realną szansę ucieczki spod gilotyny.

– Chcesz to wszystko cofnąć? Załatwię to. Możesz mi zaufać.

Skrzywił się w myślach. W świetle wydarzeń ostatniej doby to zdanie brzmiało tak pusto, że wręcz groteskowo, ale jednak wypowiedział je szczerze. Czuł, że mimo wszystko ich bliskość i porozumienie to nie był pic na wodę, fotomontaż.

Zdarzyło się między nimi coś autentycznego.

Wstał z krzesła i oparł się o metalowy stół, tak żeby spojrzeć jej prosto w oczy, ale od razu i ostentacyjnie odwróciła wzrok. Przemawiał do niej jeszcze chwilę, jednak w końcu uznał, że dotarł do krawędzi. Teraz mógł już tylko czekać. Usiadł z powrotem na krześle, splótł ręce na klatce piersiowej i patrzył na nią.

– Kim ty jesteś? – zapytała po minucie. Jej głos był matowy i brzmiał głucho.

Odezwała się, przełamała katatonię. To już coś.

– Nazywam się Kidd. Robert Kidd.

Wreszcie zwróciła ku niemu głowę, ale posłała mu spojrzenie godne bazyliuszka.

– Naprawdę. Nazywam się Robert Kidd – powtórzył cicho, wytrzymując jej spojrzenie. – Urodziłem się w Warszawie, szesnastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku.

Włączyła się automatycznie zaprogramowana

klimatyzacja. Nawiew szumiał cichutko, ale jakaś wadliwa część we wnętrzu urządzenia co i rusz grzechotała.

– Pytam, kim jesteś. Bo przecież nie wykładowcą na polibudzie – powiedziała, splatając ręce na piersiach identycznie jak on, tak że przez chwilę myślał, że go parodiuje.

– Jestem wykładowcą na polibudzie. – Wzruszył ramionami, po czym wyprostował się dumnie. – Ale to, co cię pewnie bardziej interesuje... Jestem też oficerem. Służb. Polskich służb. Dawniej Agencji Wywiadu. A obecnie jestem oddelegowany, pracuję dla CBŚP.

– Ja pierdolę – powiedziała lekko zrezygnowanym tonem, patrząc mu prosto w oczy. – Co to niby jest?

– Centralne Biuro Śledcze Policji.

– No pięknie – prychnęła. – To mnie, kurwa, podszedłeś. Gnoju ze służb. Polskich służb.

Kpiła z niego, więc miał nadzieję, że lody zostały przełamane.

– Posłuchaj... – powiedział, starając się unikać protekcjonalnego tonu.

W odpowiedzi pokręciła głową. Nie miał pojęcia, czy ten gest oznaczał brak zgody, czy może niedowierzanie. Uznał, że Kaśka potrzebuje więcej czasu, żeby się z nową sytuacją oswoić. Nie

wiedział, czy go słucha, czy w ogóle ją to obchodzi, ale postanowił, że opowie jej całą swoją historię. Niech zobaczy, że prawie wszystko, co wcześniej mówił jej o sobie, jest prawdą. Przemilczał tylko jedną rzecz. Oczywiście najważniejszą, ale jedną, jedyną. Swoją rolę w operacji „Sarajewo”, wymierzonej przeciwko Księżciu. Cała reszta wyglądała dokładnie tak, jak jej przedstawił.

Naprawdę skończył studia inżynierskie na Politechnice Warszawskiej, po których dostał propozycję pracy przy rozbudowie portu naftowego w Arabii Saudyjskiej. Miał dwadzieścia cztery lata i wtedy właśnie został zwerbowany, tuż przed wyjazdem na kontrakt.

– Choć nie lubię tego słowa – powiedział, drapiąc się po nieogolonym policzku. – Zwerbowany. Ale powiedzieć „dostałem propozycję współpracy” brzmi równie źle. „Postanowiłem służyć ojczyźnie”... Jeszcze gorzej.

Kaśka uparcie milczała, ale widział w jej oczach cień zainteresowania. Opowiedział jej o tym dniu, kiedy do narwanego dwudziestoczterolatka zgłosił się nieżyjący już oficer, który przedstawił mu się jako Tadeusz Lisiewicz. Właściwie starszy pan, o białych jak śnieg włosach, nienagannych manierach i silnym, wibrującym głosem. Wzbudzał zarówno szacunek, jak i poczucie bezpieczeństwa.

Kidd podświadomie, gdzieś w głębi duszy, spodziewał się, że prędzej czy później taką propozycję otrzyma, przede wszystkim ze względu na swoje polsko-amerykańskie pochodzenie. Jego ojciec wspominał, że przed pierwszym wyjazdem ze Stanów do Warszawy, pod koniec lat siedemdziesiątych, kontaktowali się z nim przedstawiciele CIA, ale odmówił współpracy.

Pułkownik Lisiewicz wzbudził w Kiddzie zaufanie, ale tak naprawdę skusił go dreszczyk emocji, obietnica przygody. Był tak podekscytowany, że tamtego wieczoru urządził sobie maraton filmów o Bondzie. Jednak początki pracy wywiadowczej zniechęciły go. Przez pierwsze pół roku zbierał informacje, pisał raporty i spotykał się ze swoim oficerem prowadzącym, którym był pracownik polskiej ambasady w Rijadzie w randze attaché. Nie było w tym nic z filmów sensacyjnych. Dużo bardziej ekscytował się pracą inżyniera na zagranicznym kontrakcie.

– Byłem agentem z licencją na zanudzanie – powiedział, zachowując kamienną twarz.

Myślał, że rozbawi Kaśkę swoją opowieścią albo chociaż trochę rozluźni. Nic z tego. Nadal patrzyła na niego w milczeniu, a jej mina wyrażała jednocześnie krańcową wściekłość i zdumienie, ale zaprawione nutką bojaźni. Taką minę musiała

mieć żona Abrahama, kiedy ten zakomunikował jej, że planuje złożyć w ofierze ich syna.

Niezrażony, dalej snuł opowieść, choć przecież nie powinien zdradzać Kaśce żadnych szczegółów swojego tajnego życia. Podświadomie czuł jednak, że tylko całkowita szczerść może jeszcze uratować ich relację.

A uświadomił sobie, że bardzo mu na tym zależy. I na uratowaniu Kaśki. Przed nią samą. I wbrew formalnościom, a nawet przepisom.

Opowiedział jej, jak został tak zwanym oficerem drugiej linii, co oznaczało zatrudnienie na niejawnym etacie. Oficjalnie pracował jako inżynier, ale tak naprawdę zaczął brać udział w misjach, bo po roku przesunięto go do pionu operacyjnego. Szczegółów wykonywanych zadań nie mógł Kaśce zdradzić, ale miał wrażenie, że doskonale rozumiała, co miał do roboty na Bliskim Wschodzie. W międzyczasie zaliczył kursy w Ośrodku Szkolenia Agencji Wywiadu w Kiejkutach. Odnosił sukcesy, był doceniany i chwalony przez oficerów prowadzących i przełożonych.

– Ale trzy lata temu umarła moja żona. – Uświadomił sobie, że pierwszy raz mówi jej wprost o Julii. – I wszystko się posypało.

– Jak to się stało? – spytała.

Od początku wiedział, że Kaśkę to ciekawi, każdego w naturalny sposób by ciekawiło, ale pewnie nie chciała być wścibska, nie dopytywała, a on zawsze miał opory, żeby o tym opowiadać. Teraz jednak skończyła z uprzejmością.

– Wypadek. Banalny wypadek samochodowy.

– Ty prowadziłeś?

– Nie.

Po śmierci żony Kidd wrócił do Polski i szybko przekonał się, że synowie potrzebują go z całą mocą. Łukasz i Tomasz stracili matkę. Mieli po trzynaście lat, właśnie weszli w mrok okresu dojrzewania. Z dnia na dzień odszedł ze służby, a żeby mieć z czego utrzymać rodzinę i nie gnuśnieć, wrócił na uczelnię.

Zapikał elektryczny zamek. Metalowe drzwi otworzyły się i zajrzał Lavino. Błyskawicznie zorientował się, że jest progres, ale rozmowa Polaków jeszcze się nie skończyła.

– Kawy? – spytał po angielsku.

Kidd skinął głową i popatrzył na Kaśkę.

– Tak, poproszę – westchnęła. – Tylko czarną, nie to wasze pierdolone cappuccino.

Lavino uśmiechnął się leciutko, po czym wycofał się, zamykając drzwi.

– Pierwszy rok po śmierci Julii był koszmarem. Cud, że się wtedy z chłopakami nie pozabijałem.

Z czasem było trochę znośniej... Burza hormonów przeszła...

Kidd opowiadał, jak oprócz przykrywki w postaci pracy na uczelni zaczął wykonywać zlecenia dla Wydziału Analiz. W końcu jednak znów podjął służbę w pionie operacyjnym, z założeniem, że przydzielą go do misji, która była montowana w Warszawie we współpracy z CBŚP.

– Zaraz, chwila! Ale ja nie wierzę, że wpadliśmy tam na siebie w Wilanowie przypadkiem – powiedziała Kaśka. – To za duży zbieg okoliczności.

– Oczywiście. Tu nie ma miejsca na zbiegi okoliczności.

Wyraz smutnego zdumienia na jej twarzy jeszcze się pogłębił.

– Czyli... – wycodziła. – Nasze pierwsze spotkanie... To wszystko było ukartowane?

– Tak.

– Ale przecież ci dresiarze cię pobili. Prawie połamali ci zębra.

Kidd wyprostował się na krześle i wzruszył ramionami.

– Takie mieli zadanie. Żeby to wszystko wiarygodniej wyglądało. Mieli mnie pobić, ale nie zabić. Niestety, zaraz potem... Przez twojego męża sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Ja pierdolę... – wyrwało się Kaśce.

– Komasa też był podstawiony. Miał odegrać rolę szemranego biznesmena, który ma na zbyciu cenne dzieło sztuki. Zdobyte nie wiadomo skąd, nie wiadomo jak. Ci dwaj jego dresiarze-ochroniarze byli częścią jego legendy... Wiesz, co to jest legenda w żargonie służb?

– Domyślam się. Ładne słowo na bajeczkę.

– Zmyślona wersja zdarzeń albo tożsamość. – Kidd pokiwał głową. – Nieznany rękopis Szymborskiej miał być haczykiem, na który wszyscy się złapiecie...

Nagle dostał w twarz. Kaśka uderzyła go z liścia, ale mocno, aż jeszcze przez chwilę dzwoniło mu w uchu, a policzek płonął.

Zachował spokój. Domyślał się, że musiała dać ujść złości i frustracji. Ulżyła sobie. W jakimś sensie mu się należało. Kiedy drugi raz podniosła rękę, był już szybszy. Złapał ją za nadgarstek i trzymał, aż poczuł, że odpuszcza. Pomyślał, że najgorsze ma za sobą, teraz między nimi mogło być już tylko lepiej. Akurat ten aspekt działalności wywiadowczej, jakim było rozpracowywanie ludzi, kaptowanie osobowych źródeł informacji, był jego mocną stroną.

– To nie był mój pomysł, jeśli to coś zmienia – powiedział, rozmasowując policzek.

– Gównu mnie obchodzi, który debil to wymyślił.

To chore! Jesteście pojebańcami.

Kidd milczał. W pewnym sensie miała rację.

– A co, gdybym nie miała wtedy paralizatora? – spytała po chwili.

– Tak naprawdę... – Zawahał się, jakby bał się, że znów go uderzy. – Nie wpadliśmy na to, że go masz i użyjesz. Oni dostali rolę do odegrania. Puściłbym w końcu torebkę. Mieli ci ją zabrać.

– Ale po co?

– Myśleliśmy, że masz od Księcia pieniądze na zakup rękopisu. A chodziło o to, żeby doprowadzić cię do takiej desperacji, żebyś go ukradła. I żebyś musiała uciekać, a przede wszystkim szukać pomocy. Ja w międzyczasie zdobyłbym twoje zaufanie. Plan był taki, żebym ci towarzyszył... Doprowadziłabyś nas do Księcia. Bo oczywiście to on był prawdziwym celem. A wy... Wybacz, ale tylko płótkami. Gdybyśmy złapali tylko was, Książę szybko by się pozbierał i zmontował kolejną grupę. I wywoziłaby dla niego z Polski następne dzieła sztuki.

– Przecież wciągnąłeś w to swoich synów, sprowadziłeś mnie do swojego domu... Ty pierdolony popaprańcu!

– Nie chciałem, żebyś mnie wtedy odwoziła, pamiętasz? To ty się uparłaś. Plan zakładał, że to wszystko odbędzie się trochę wolniej. Kiedy moi

synowie wyjadą na wakacje, a ja będę bardziej... dyspozycyjny.

– Co za pojęb... – syknęła.

– Masz rację, to było nieprofesjonalne. Podobnie jak wizyta u moich teściów. Ale ten numer Maksa w Konstancinie wywrócił cały scenariusz do góry nogami. Tego dnia, kiedy wszystko się posypało, mieliśmy tylko spotkać się na kolację. Miałem powoli cię...

– Uwodzić? – weszła mu w słowo.

– Oswajać.

Kidd przezornie odchylił się, bo obstawiał, że Kaśka znowu będzie chciała dać mu w twarz. Ale była zbyt zszokowana. Siedziała jak skamieniała.

– I narażałeś swoich teściów? Niewinnych ludzi? Pojebało cię?

– Nikogo nie narażałem. Cały czas byliśmy pod osłoną służb.

– Nie, to nadal jest kurewsko głupie. I nierealne.

– Tak ci się wydaje, ale... To wszystko opracowali nasi analitycy i psycholodzy. Wiedzieli, że w Warszawie nie masz nikogo, nikt ci nie pomoże. Poza tym nie byłem jedyną opcją tego planu. Było kilka innych wersji.

– Poeta? – spytała zdumiona.

– Kto? Nie wiem. Nie byłem wtajemniczony w pozostałe scenariusze. Ale w każdym z nich ty

byłaś koniem trojańskim, który miał nas doprowadzić do Księcia. Przykro mi. I nie bierz tego do siebie. To tak naprawdę dobra wiadomość. Od początku chodziło o niego, nie o ciebie. Dlatego uwierz mi, kiedy mówię, że możesz wyjść z tego obronną ręką. Jeśli tylko nam pomożesz.

– Ale jak? Po co? Przecież już go macie.

– Sytuacja trochę się skomplikowała. Musimy ująć jeszcze twojego męża. Sama wiesz, co zrobić.

Kaśka zamrugwała kilkakrotnie.

– Mam ci jeszcze wystawić Maksa?

Kidd pochylił się w kierunku Kaśki, popatrzył jej głęboko w oczy.

– Jeśli pomożesz mi z tym, będziesz wolna. Słowo. Jestem w stanie to załatwić.

I wtedy wreszcie gdzieś głęboko, pod maską wściekłości, zobaczył w jej ciemnych oczach przebłysk nadziei.

– Kurczę, od jak dawna wiedziałaś? – spytał Młody, siadając przy stoliku, na którym położył plastikową tacę z jedzeniem. Czuł się niepewnie, bo zaszałał i nie przyszedł dziś do pracy w przepisowej koszuli, ale w opinającej sylwetkę cienkiej bluzie z logo Legii. Z jednej strony uwydatniała jego mięśnie, okupione ciężką pracą na siłowni, ale z drugiej – obawiał się, czy nie wygląda zbyt pedalsko. I czy Szef nie będzie krzywo patrzył na taką manifestację lojalności wobec klubu piłkarskiego.

– O czym? – spytała Agata.

Na moment zawiesiła wzrok na jego torsie, ale może tylko mu się zdawało.

– No jak to o czym? O tym całym Kiddzie! Ale numer.

– Od początku. – Wzruszyła ramionami.

Ta jej poza niedostępnej i nabzdyczonej doprowadziłaby go do białej gorączki, gdyby nie

postęp w ich relacji. Niewielki, ale niewątpliwy. Pierwszy raz wspólnie jedli lunch w stołówce na trzecim piętrze i czuł, że dziewczyna zaczyna opuszczać gardę. Może tak ma, że na czas akcji skupia się maksymalnie i o niczym innym nie potrafi myśleć, a po sukcesie się rozluźnia. Jeszcze wprawdzie nie domknęli wszystkiego, bo Sobański hasał na wolności, ale Książę, główny cel operacji „Sarajewo”, został ustrzelony. Więc właściwie pora otworzyć szampana i zająć się dla odmiany choćby swoim życiem prywatnym, które przecież nie może leżeć odłogiem w nieskończoność.

W sumie szampan średnio by pasował do jedzenia na stołówce, które było gorzej niż przeciętne. Nie umywało się do obiadków mamusi. Agata wzięła naleśniki z serem, a on schabowego w grubej panierce z rozgotowanymi ziemniakami i zalatującą octem surówką z buraków. Ale Młody był zbyt podekscytowany, by zwracać uwagę na mało wykwintny smak potraw.

Puszczął też w niepamięć fakt, że znowu potraktowali go jak gówniarza i nie dopuścili do największej tajemnicy. Oto facet, którego uważał za współnika Sobańskiej, okazał się ich wtyką! Ich agentem! Byłym oficerem wywiadu o kryptonimie „Denali”. Numer jak z filmu sensacyjnego.

Kiedy uda im się jeszcze złapać trio Sobańskiego,

to będzie pełnia szczęścia. Rozwałą największą w tym tysiącleciu zorganizowaną grupę przestępczą, nielegalnie wyprowadzającą z Polski dzieła sztuki. Młody miał umiarkowanie prawicowe poglądy, niewątpliwie uważał się za patriotę i to, co wyczyniał Książę, napawało go oburzeniem. Skurwysyn do kwadratu! Jak się okazało, facet zgarnął grube miliony, pół miliarda złotych, w ramach odszkodowania za utracone przez jego przodków ziemie w Polsce, po czym wydawał te pieniądze, łaskawie zwrócone przez państwo, żeby to państwo ograbiać z dziedzictwa narodowego! Aż się nóż w kieszeni otwierał.

– Dlaczego nikt mi o nim nie powiedział, o tym całym Kiddzie? – zapytał, odcinając spory kawał kotleta.

– Nie wiem, pytaj Szefa.

Oczywiście była to pierwsza rzecz, którą Młody chciał zrobić, kiedy okazało się, że ten cały Kidd to ich człowiek, który został podsunięty Sobańskiej na przynętę. Ale Szef od razu pojechał do ministerstwa, żeby pochwalić się sukcesem i ocalić głowę, nad którą od trzech dni zbierały się najczarniejsze chmury.

– Dupny ten mój kotlet, a twoje?

– Mhm.

Konwersacja z Agatą niepokojąco szybko

wygasła, niczym ognisko rozpalone przy użyciu wilgotnego drewna. Chcąc ją ratować, Młody zaczął wypytywać o Kidda. O dziwo, Agata znów się ożywiła i z chęcią o nim opowiadała.

– Był jednym z lepszych oficerów Agencji Wywiadu. Działał głównie w Zatoce i w Afganistanie oraz Pakistanie. I chyba w Izraelu... Ale potem wycofał się ze służby operacyjnej...

– Dlaczego? – Młody upił łyk kompotu, po czym włożył sobie do ust kolejny kawałek schaboszczaka.

– Względy rodzinne. Rozpracowanie Księcia to jego pierwsza operacja po kilku latach przerwy.

Młody słuchał jej z uwagą. Przełknął kęs jedzenia i jednocześnie intensywnie myślał. Psychologia nie była jego najmocniejszą stroną, ale naraz zaczął rozumieć, że z Agatą coś jest jednak nie tak. Niby poszła z nim na lunch, ale tak naprawdę nie zwracała na niego uwagi. Myślami była gdzie indziej. Co ją tak zajmowało? Złapanie Sobańskiego? W tej kwestii musieli liczyć na Włochów, bo facet pewnie ukrywa się w Rzymie.

Chyba że znów mu czegoś nie mówią. Młody postanowił, że tym razem tak łatwo nie da się pominąć. To była ostatnia prosta operacji „Sarajewo” i ostatni dzwonek, żeby w jakikolwiek sensowny sposób w niej zaistnieć.

Kiedy już w milczeniu kończyli jeść, na stołówce pojawił się Szef. Jemu sukces dodał skrzydeł. Mimo że od czterdziestu ośmiu godzin praktycznie nie spał, wyglądał rześko. Wesoło zagadywał pracownicę stołówki nakładającą jedzenie.

– Oby tak dalej, dzieciaki – powiedział po chwili, zatrzymując się z tacą przy ich stoliku. – Jeszcze odrobina wysiłku i jesteśmy w domu.

– No ale jaki jest w ogóle plan na tego Sobańskiego? – zapytał Młody, odkładając sztucce na talerz.

Uznał, że tym razem wstawi nogę w drzwi elitarnego klubu starych wyg. Może w końcu go wpuszczą. Szef postawił tacę z jedzeniem na stoliku obok. Wybrał ten sam zestaw co Młody, ale oczywiście dostał kotlet dwa razy większy i lepiej wyklepany.

– Kidd nam przyszykuje grunt pod kocioł. Razem z tą małą.

– W Rzymie? – spytał Młody.

– Skąd. Zwabią ich do Polski. Drugi raz nie będę babrał się z tym gównem na cudzym podwórku.

– Moim zdaniem nie powinniśmy wchodzić z nią w żadne układy – powiedziała Agata. – Ona powinna zostać w pierdlu w Rzymie, poradzimy sobie sami.

– No, no. – Szef poklepał ją lekko po ramieniu. –

Już nie bądź taka zazdrosna.

Agata zrobiła na moment minę, jakby chciała się na niego rzucić. Młody aż zakrztusił się kompotem. Nigdy nie widział, żeby straciła panowanie nad sobą, w ogóle okazywała jakieś emocje, a teraz... Miała wyraz twarzy tak wściekły, a jednocześnie przestraszony, jakby została na czymś przyłapana.

Widząc złośliwy uśmiezek błakający się na twarzy Szefa, Młody nagle wszystko zrozumiał. I te jego słowa, skierowane do Agaty: Nie bądź zazdrosna. Pomyślał, że jednak nadaje się na agenta wywiadu, bo sprawnie łączy fakty i obserwacje, wyciąga wnioski. Już wiedział, dlaczego Agata pozostaje tak nieczuła na jego zainteresowanie, a wręcz zaloty. Musiała kręcić z tym całym Kiddem i teraz pewnie toczy pianę, bo wyszło na jaw, że on zaczął sypiać z Sobańską.

Pieprzona telenowela – pomyślał Młody i krzywiąc się, dopił wodnisty kompot.

Kidd był wyczerpany przesłuchaniem Kaśki. Wbrew temu, co lubiła mu zarzucać, nie był cyborgiem ani pozbawionym uczuć Robocopem. Zdawał sobie sprawę z tego, że angażując się emocjonalnie, przekroczył cienką granicę.

W ramach służby nie raz musiał zrobić coś wątpliwego moralnie albo wręcz nielegalnego. Po idealistycznych początkach, po nudnym zbieraniu informacji i pisaniu analiz, przyszły momenty w jego karierze oficera wywiadu, których wspomnienia nawet dziś wzbudzały w nim dreszcz. Odesłanie Julii i dzieciaków do Polski nie było podyktowane trudnościami w zaadaptowaniu się do życia na Bliskim Wschodzie. Chodziło przede wszystkim o ich bezpieczeństwo. A także te chwile pod koniec dnia, kiedy Kidd wracał do domu i nie był w stanie odgrywać roli troskliwego i wyluzowanego ojca i męża, bo miał krew na rękach, czasami dosłownie.

Sypiając z Kaśką, nie przekroczył granic etyki zawodowej, ale angażując się emocjonalnie – już tak. Nie chciał, nie powinien teraz o tym myśleć. Tak naprawdę miał uczucia, które kolejny raz weszły mu w paradę. Zachował się nieprofesjonalnie, choć z romansu z Kaśką nikt przecież nie będzie go rozliczał. Zawsze może powiedzieć, że przespał się z nią w ramach prowadzonych działań operacyjnych. Tylko z Agą będzie musiał porozmawiać. Wytłumaczyć jej to tak jakoś bardziej po ludzku...

Agata, którą zdrabniał jako Aga, bo żadna Agatka mu do niej nie pasowała, skrywała wrażliwość pod maską profesjonalistki. To na pewno nie będzie łatwa rozmowa.

Dopił kawę, jak zwykle we Włoszech bardzo dobrą, i przetarł rękoma twarz. Teraz czekało go przesłuchanie Księcia. Kidd spodziewał się, że wcale nie pójdzie mu łatwiej. Podstarzały arystokrata już na wstępie utrudnił im sprawę. Próbował utracić areszt pod pretekstem choroby serca. Na szczęście Lavino przysłał mu do celi lekarza, który nie patyczkował się ani nie dał się omamić czy przekupić, tylko dał im zielone światło.

Księżę był dziwnie spokojny. Nie wyglądał na swoje osiemdziesiąt lat, a starość znosił z godnością. Trzymał się prosto, siedząc na

metalowym krześle, z nogą założoną na nogę. Jego ciemnowiśniowe lakierki były starannie wypastowane, a lniany garnitur, choć niemodny, wyglądał jak szyty na miarę. O krawędź metalowego stołu stała oparta czarna laska ze złożoną rączką w kształcie głowy orła, ale Kidd miał wrażenie, że Księżę wcale nie potrzebuje się na niej podpierać.

Lavino zaczął majstrować przy doczepionej do laptopa kamerce, która miała nagrywać przesłuchanie.

– Zanim zaczniemy... – Kidd powiedział po polsku. – W tej sprawie właściwie jedno mnie jeszcze interesuje. Dlaczego pan to robi?

– Czy zechciałby pan wyłączyć klimatyzację? – Księżę zwrócił się po włosku i z uprzejmym uśmiechem do komisarza Lavino. – Albo przynajmniej zwiększyć temperaturę. Mam niestety bardzo wrażliwe zatoki...

Włoch rozejrzył się, ale nie znalazłszy pilota, wstał od stołu i podszedł do ściany przy drzwiach, w której zamontowany był panel kontrolny klimatyzatora. W niewielkim pomieszczeniu rozeszło się kilkakrotne piknięcie, po którym szum nawiewu przycichł.

– Myślę, że w pewnym sensie właśnie odpowiedział pan na moje pytanie. – Kidd

przeszedł na włoski.

– Ach tak? – Księżę posłał mu jadowite spojrzenie, które dziwnie kontrastowało z wystudiowanym uśmiechem. – Zechce mnie pan oświecić?

– Mimo że jest pan Polakiem, przynajmniej z pochodzenia, ma pan jakąś urazę do swojej dawnej ojczyzny. Wydaje mi się, że nie tyle fascynuje pana polska sztuka, co chęć ograbiania z niej kraju swoich przodków.

– Czy to jest karalne?

– To nie. Ale jestem pewien, że usłyszysz pan zarzuty. Moi włoscy koledzy uzyskali właśnie nakaz przeszukania pańskiego domu.

Wiadomość musiała zrobić na Księżciu wrażenie, ale nadal trzymał fason. Drżącą ręką sięgnął do kieszeni marynarki, nim zorientował się, że zapalniczka i papierośnica zostały mu odebrane po zatrzymaniu.

– Czy mógłbym zapalić? – spytał grzecznie Włocha, kolejny raz ignorując Kidda. – Panie komisarzu...

– Tu nie wolno palić – odburknął Lavino, wyraźnie dając Księżciu do zrozumienia, że jakiegokolwiek próby urabiania go czy ustawiania przeciwko Kiddowi będą stratą czasu.

– A szkoda... – Księżę zwrócił naraz twarz

w stronę Kidda. Zmrużył oczy, przez co jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej wrogie i jadowite. – Bo tak się składa, że ja bardzo, ale to bardzo lubię palić.

Kidd pomyślał, że stary arystokrata zaczyna jakiś dziwaczny popis, bo już nic racjonalnego nie jest w stanie powiedzieć. Żadna linia obrony nie powstrzyma triumfu sprawiedliwości. Znajdą te wszystkie dzieła sztuki, które Maks, i nie tylko on, przez lata metodycznie wywozili dla niego z Polski, często zastraszając właścicieli, a nawet uciekając się do kradzieży i rabunku. Powiązanie Księcia z szajką Sobańskiego było nieuchronne.

– Niczego nie znajdziecie – powiedział Księżę. – Wszystko obróciło się w proch. A raczej popiół.

Kidd nerwowo przełknął ślinę. Przypomniawsobnie, że Księżę na tarasie kawiarni spalił *Zapiski sztokholmskie*. Nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ rękopis był fałszywką. Pozbawiony wartości, prawdopodobnie i tak nie mógł być dowodem w sądzie. Dopiero rewizja w willi Księcia miała dostarczyć wystarczająco materiałów, żeby go skazać. Teraz jednak w głowie Kidda zaczęła kiełkować niepokojąca myśl.

– Nie rozumiesz, głupcze? – Księżę niespodziewanie przeszedł na polski. – Wszystko puszczałem z dymem! Wszystko spaliłem.

Wszystko!

Kidd i Kaśka wyszli z budynku aresztu późnym popołudniem. Drzwi okute polerowaną blachą zatrzęsnęły się za nimi z hukiem. Znajdowali się na wewnętrznej uliczce więzienia Rebibbia, a Kaśka wśród zaparkowanych aut, które zapewne należały do strażników i pracowników administracyjnych, dostrzegła znajome volvo teściów Kidda. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć w odmianę swojego losu. Czuła się tak lekko, że potrafiłaby chyba unieść się nad ziemią i odlecieć.

Pogoda nadal rozpieszczała. Świat był skąpany w pomarańczowo-żółtym świetle zachodzącego słońca. Upał zelżał, ale wiatr całkowicie zamarł. Dwie flagi na masztach – włoska i unijna – zwisały oklapnięte.

Kiedy wsiedli do samochodu i odjechali, Kaśka chłonęła każdą sekundę, każdy widok rzymskiej ruiny czy udekorowanej płaskorzeźbami fasady kamienicy, którą mijali. Czuła się jak w cudownym

śnie, bo przecież już więcej miała nie oglądać tych wspaniałości. Myślała, że będzie gnić w areszcie, potem ekstradycja i ciąg dalszy horroru w jakimś polskim więzieniu...

– Życie jest piękne – westchnęła. – I słodkie. To chyba Włosi wymyślili.

Nadal była oszołomiona i wściekła na Kidda, ale jednocześnie wdzięczna mu za to, że tego wieczoru nie spędzi w przygnębiającej celi aresztu z szaloną Włoszką, która pewnie udusiłaby ją we śnie.

Kidd w milczeniu skupiał się na prowadzeniu auta. Miał jeszcze bardziej nieodgadnioną minę niż zwykle. Kaśce wydawało się, że jest przybity, choć może był po prostu zmęczony. Tajniki emocji tego ciemnego blondyna o jasnych oczach byłyby nie do rozszyfrowania pewnie i dla profesjonalnego psychologa. Twarz Kidda była jak maska. Po kilku dniach znajomości Kaśka mogła powiedzieć tylko tyle, że czasem zrzuca ją, w rzadkich momentach uniesienia. Kiedy kochali się, przez chwilę widziała w jego oczach ogień i pasję, i luz, ale czy to wszystko nie było udawane?

Może jednak przespał się z nią w ramach swoich działań operacyjnych?

Cela aresztu, służby specjalne... Do tej pory podobne realia знаła tylko z filmów i seriali. Jeszcze nie w pełni pogodziła się z tym, że

wtargnęły w jej życie.

Pieprzony świat, w którym wszyscy na potęgę się oszukują. Ona wczoraj popisała się nielojalnością, zostawiając Kidda na pastwę Maksa, ale to pikuś w porównaniu z tym, że on od początku ją wkręcał. Facet, który miał być jej zbawcą, rycerzem na białym koniu i ostatnim sprawiedliwym.

Wieczorny ruch na ulicach narastał. Rzeka samochodów toczyła się leniwie niczym Tyber, ale trzeba było uważać na liczne skutery, którymi rzymianie i rzymianki starają się uciec przed korkami. Niewielkie maszyny krążyły pośród samochodów niczym chmara komarów, wciskając się w każdą możliwą lukę.

– Jakim cudem udało ci się to załatwić? – Kaśka przerwała w końcu ciszę. – To, że mnie puścili. Kim ty jesteś?

– Już ci tłumaczyłem, z ich punktu widzenia niczego nie zrobiłaś – powiedział Kidd, hamując przed światłami. – Załatwiłem, że nasi nie wystąpią z europejskim nakazem aresztowania. Wobec Księcia, twojego męża i tych jego kompanów tak. Wobec ciebie nie. I tyle.

– Ale kim ty jesteś, że możesz o tym decydować?

– Nie ja. W Warszawie jest cały zespół ludzi, którzy od pół roku polują na Księcia. Sama wiesz, ile on ma za uszami. Twój mąż zresztą też...

Pokiwała głową. Chciała w pierwszym odruchu poprawić, że „eksmąż”, choć prawda była taka, że rozwiodła się z Maksem tylko w swoich myślach, w rzeczywistości jeszcze nawet nie złożyła pozwu. Ale w obecnej sytuacji to i tak było bez znaczenia.

Liczyło się to, że jest wolna. Przynajmniej na razie. To kredyt zaufania, który będzie musiała spłacić. Nic na tym świecie nie jest za darmo. Musi się postarać, jeśli nadal chce marzyć o swoim pensjonacie w Marsali. Ale w przedziwnym zwrocie akcji on znów zamajaczył na horyzoncie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie będzie musiała uciekać jak szczur i chować się po kątach. Zabierze mamę, pomoże rodzeństwu. Ta myśl sprawiała, że Kaśka trzymała się w ryzach.

– Robert, czy ja naprawdę mogę ci zaufać? – spytała, wciąż chłonąc widoki za szybą. Przejeżdżali akurat Via Celio Vibenna, mijając Koloseum i rozgrzebaną budowę nowej linii metra.
– Ja nie chcę iść do więzienia.

– Abstrahując o tego, że nie masz wyjścia... Tak, możesz mi zaufać. Mój szef dogadał się z prokuraturą. Masz moje słowo, mówiłem ci.

Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

– I? – ponagliła go.

Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, ale Kaśka

wbijając w niego wzrok, bo nie chciała już więcej tajemnic. Jeśli miała mu pomóc, potrzebowała pełnej i rzetelnej wiedzy.

– Musimy ich złapać – powiedział cicho. Jego głos wydawał się jeszcze niższy, ale dzięki temu cieplejszy, prawie jakby wypowiadał intymną pieszczotę. – Bo wygląda na to, że bez zeznań twojego męża... Książę się wywinie. Oni muszą się obciążać nawzajem.

– Co? Jak to?!

Kidd przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Zaciśnął usta, przez co wyraz jego twarzy stał się jeszcze bardziej surowy.

– Wiedziałaś, że on niszczy te dzieła sztuki, które mu sprowadzacie? – zapytał w końcu.

Kaśka milczała. Słowa Kidda wydały się jej absurdalne.

– Cały czas mam nadzieję, że znajdą coś w trakcie przeszukania, bo wydaje mi się to niemożliwe. Z drugiej strony... – Kidd westchnął ciężko. – Docierały do nas i takie sygnały.

– O czym ty mówisz?

– Sprowadzał dzieła sztuki nie po to, żeby je kolekcjonować. On je po prostu niszczył.

Kaśka zbaraniała. Wydawało się jej to niedorzeczne, ale przypomniała sobie, jak Książę po prostu wziął i spalił *Zapiski sztokholmskie*.

– Co ty pieprzysz? – powiedziała, ale cicho, bez przekonania. – Dlaczego miałyby to robić?

– Nie wiem. Nie jestem psychologiem. Interesuje mnie tylko to, żeby ten cały proceder ukrócić. A bez dowodów, że wszystkie te nielegalne rzeczy robiliście właśnie dla niego... Facet może się wywinąć.

– Dlatego mnie potrzebujesz.

– Ja osobiście nie. Moi mocodawcy.

To ostatnie zdanie zabolalo Kaśkę wyjątkowo mocno, ale atmosfera między nimi była oficjalna już od momentu wyjścia z budynku aresztu. Prawie jak między urzędnikiem i petentem. Chłód i dystans po obu stronach. A jeszcze przecież rano... Niecałe dziesięć godzin wcześniej kochali się, wili się w ekstazie. Przeżywali euforię wczesnego etapu...

Miłości? Stop! Skąd!

Ile razy musiała się boleśnie zawieść, by zrozumieć, że facetom nie wolno ufać.

Do wiru myśli, który świdrował jej biedną głowę, doszła jeszcze wizja pustych ścian w rezydencji Księcia. Te wszystkie fangory, kossaki, które wyobrażała sobie, że cieszą oko starego wariata, zostały zniszczone? Niemożliwe! Ale właściwie... Już nic jej nie zaskoczy. A nawet widziała jakiś sens w tym, że Książę, który nie miał żadnego

spadkobiercy, a zwykłymi ludźmi – motłochem – gardził, postanowił wykręcić na koniec taki numer. Stary facet, który dopiero w jesieni życia wyrwał kupę kasy, a jednocześnie nienawidził kraju, z którego jego rodzina została wygnana tuż po wojnie...

To było całkiem prawdopodobne. Maks czasami przebąkiwał coś o niechęci Księcia do władz Polski. Proces o odszkodowanie za zagrabione przez komunistów majątki ciągnął się przez dziesięciolecia. Księżę w tym czasie zdążył się zestarzeć, zmarła mu żona, właściwie stracił już nadzieję na pozytywne załatwienie sprawy. I może mu odbiło? Jak temu dzinnowi uwięzionemu setki lat na dnie morza, który w końcu swojego wybawcę postanowił zabić, zamiast go ozłocić w podzięce za uwolnienie.

Z zamyślenia wyrwał ją Kidd, który zatrzymał samochód i zaczął parkować tyłem. Luka między dwoma autami była tak mała, że Kaśce do głowy by nie przyszło, by się tam pchać, ale on oczywiście się wciśnię.

– Gdzie jesteśmy? – spytała, wyglądając z zaciekawieniem przez okno.

– W Rzymie – zażartował, jak zwykle nieśmiesznie.

Przywiózł ją do hotelu Dante Sexto, blisko Tybru

i słynnych kamiennych ust Bocca della Verita. Było to już ich trzecie lokum w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Hotel w przerobionej starej kamieniczce był elegancki, w niczym nie przypominał ich karnawałowego lokum z Ostii. We wnętrzach wykończonych naturalnym kamieniem, bodajże piaskowcem, i szlachetnym drewnem, Kaśka poczuła się przytulnie i bezpiecznie. Choć nie miała złudzeń, że jest to złota klatka, rodzaj aresztu domowego. Mieli tu przenocować i zająć się przygotowaniem pułapki na Maksa.

– Co byś zrobił, gdybym teraz wyszła z pokoju, zjechała windą na dół i zwiąła? – spytała żartobliwym tonem, choć wcale nie było powiedziane, że przedstawianej koncepcji nie rozważa na poważnie.

W odpowiedzi sięgnął do bocznej kieszeni swojej torby podróżnej i wyciągnął plastikowe kajdanki, które przypominały trytytkę.

– Mało seksowne – skwitowała. – W tych sprawach jestem tradycjonalistką i wolę metalowe, ewentualnie przywiązanie do łóżka z pomocą jedwabnej apaszki... Byłam kiedyś przez chwilę z takim perwersyjnym blondynkiem...

Próbowała go prowokować, ale nawet powieka mu nie drgnęła. Kaśka westchnęła i poszła do

łazienki.

Wzięła długą kąpiel w szerokiej wannie, która wręcz zachęcała, by ktoś jeszcze dołączył. Ale ręka Kaśki musnęła tylko zimny marmur. Aż trudno było uwierzyć, że ledwie wczoraj, w ciasnej wannie hoteliku w Ostii oboje płonęli namiętnością.

Z kąpeli wyszła orzeźwiona i lżejsza, jakby jej wszystkie grzeszki oraz duża część złości spłynęły rurami wraz z wodą do Tybru.

Potem poszli na spacer i na kolację. Kidd wprawdzie zaproponował restaurację w hotelu, ale Kaśka poprosiła go, żeby wyszli. Nie chciała siedzieć w zamkniętej przestrzeni. Marzyła się jej klimatyczna knajpka z ogródkiem, z widokiem na jakieś podświetlane ruiny. Powiedziała mu, że chce nacieszyć się wolnością i Kidd bez wahania się zgodził.

Pół godziny później siedzieli przy stoliku, patrząc sobie w oczy. Ale nie było to spojrzenie pełne miłosnego haju. Raczej podejrzliwe i badawcze.

– No dobrze, przypuśćmy, że bym się zdecydowała – powiedziała Kaśka. – Nie mam przecież innego wyjścia...

– Masz. – Kidd wzruszył ramionami, ale w odpowiedzi zmiażdżyła go wzrokiem.

– Powiedz mi po prostu, co mam zrobić. Zachowujmy się, jakbym była dziwką, a ty

klientem, który zapłacił za usługę, więc wymaga...

Dla kontrastu przybrała pozę i minę w trybie „dama”. Wyprostowała się, wręcz lekko usztyniła swą łabędią szyję, a jednocześnie skromnie spuściła wzrok. Z gracją operowała sztucami, nakładając nożem na widelec mikroskopijną porcję sałatki z karczochów.

– Sytuacja wygląda tak – powiedział Kidd, ścisząc głos i pochylając się nad stolikiem w jej stronę. – Ta pułapka na Maksa... To musi wydarzyć się w Polsce.

Kaśka gwałtownie odłożyła sztucę, aż brzdęknęły w zetknięciu z talerzem.

– Zwariowałaś? On nigdy tam nie wróci. Wie, co nawywijał, wie, że jest ścigany. Myślę, że położył już lachę na tej swojej galerii w Gdańsku, to i tak była studnia bez dna. A facet ma jeszcze jakieś możliwości, żeby rozbijać się po świecie.

– Nie mamy wyjścia. Tak zdecydowali... – Kidd szukał odpowiedniego słowa, po czym znacząco spojrzał w górę.

– To porozmawiaj z nimi – odpowiedziała, złośliwie papugując jego gest.

– Posłuchaj... Zmontowanie akcji za granicą nie jest takie proste. Poza tym jak się przejechali w Wiedniu...

– W Wiedniu? – spytała oszołomiona.

Kidd skrzywił się, jakby rozgryzł coś kwaśnego. Domyśliła się, że niechcący powiedział jej trochę za dużo.

– Tak, tam była zaplanowana realizacja w operze. Dyskretne zdjęcie Księcia... Ale to był wyjątkowy splot okoliczności... My oficjalnie nie możemy nawet prowadzić operacji na terenie obcego kraju.

– Nie możecie namierzyć ich, a potem dać cynk Włochom czy innym Austriakom?

– Oczywiście, że tak. Ale wtedy zasługa przypadnie Włochom czy innym Austriakom.

– Czyli o to chodzi... Co to ma być? Chłopcy chwalać się, który dalej nasika?

Po minie Kidda wiedziała, że dobrze kombinuje.

– Jesteście naprawdę popierdoleni – mruknęła.

W końcu odpuściła. Szansa, że na dobre pozbędzie się Maksa ze swojego życia, była kusząca. No i oczyści się z zarzutów. W zasadzie to dwa plusy dodatnie, a żadnego ujemnego... Jeśli miała jakiegokolwiek skrupuły, szybko nad nimi zapanowała, bo jedyne, co jej doskwierało, to fakt, że znów będzie musiała kogoś zdradzić, nawet takiego parszywca jak Maks.

Lepiej, żeby nie weszło jej to w krew.

Jeszcze raz omówiła z Kiddem swoją rolę i sięgnęła po komórkę. On wprawdzie przekonywał ją, żeby – skoro zaczęła pić wino – poczekali z tym

do jutra, ale nie chciała zwlekać. Woląta to mieć już za sobą.

– Cześć, kochanie. – Po czterech sygnałach usłyszała w komórce głos męża. – Stęskniłaś się?

Telefon od Kaśki zaskoczył Maksa. Odebrał, siląc się na luz, choć był spięty do granic możliwości. W głowie szumiała mu grappa, którą raczył się od godziny, ale nie był pijany. Zdołał zebrać myśli i skupić się na prowadzeniu rozmowy.

– Wiesz już, co się stało, prawda? – spytała Kaśka. – Z Księciem.

– Pogratuluj sobie.

– To nie moja wina!

Wydawało mu się, że w jej głosie pobrzmiwa szczerza dezorientacja i przygnębienie.

– Byłam przy tym – kontynuowała. – Mnie też zgarnęli...

– I co?

– Nic. Co, ja przecież biednym żuczkiem jestem. Nie postawili mi zarzutów. Przemaglowali i wypuścili. Chodziło im chyba o niego, tak mi się wydaje, bo...

– Z czym dzwonisz? – przerwał jej ostrym tonem.

– Książę zostawił mi kod do skrytki bankowej...

Maks sięgnął po stojący na stoliku kieliszek, który miał gruszkowaty kształt przypominający kobietę szeroką w biodrach, a jednocześnie wąską w ramionach. Na dnie było jeszcze sporo złotawego płynu, ale po chwili wahania odstawił grappę.

– Jesteś tam? – Kaśka spytała niepewnie.

– Mów dalej.

To nie było takie do końca nieprawdopodobne, że przełamała się i postanowiła do niego zadzwonić. Wraz z zatrzymaniem Księcia właściwie cały ich świat się rozsypał. Źródło dochodów, a także kontaktów, nagle wyschło. Maks nie miał wątpliwości, że Książę pójdzie siedzieć, nawet jeśli wszystkie swoje miliony wyda na adwokatów. Czy zresztą tak wiele jeszcze ich zostało?

Sam Maks od kilku godzin zastanawiał się, co zrobić w nowej rzeczywistości. Próbował skontaktować się z asystentką Księcia, ale Joanna nie odbierała. Instynktownie czuł, że jedyną sensowną strategią jest działać szybko i w momencie pierwszego zamieszania spróbować rozdrapać jeszcze, co się da, nim policja i służby zabezpieczą majątek starego.

Kaśka opowiadała mu ze szczegółami, jak wyglądało zatrzymanie i że w ostatniej chwili Książę przekazał jej karteczkę, którą miał przy

sobie, w portfelu. Był na niej kod dostępu do skrytki, ustanowionej na okaziciela. Problem w tym, że Kaśka nie ma pojęcia, do którego banku ma uderzyć. Czy w Rzymie, a może w ogóle nie we Włoszech, tylko w Szwajcarii? Czy może w Austrii, skąd pochodziła zmarła żona Księcia.

– A dlaczego uważasz, że ja będę to wiedział? – spytał Maks, znów biorąc do ręki kieliszek. Mimowolnie zaczął się nim bawić, wykonując koliste ruchy. Grappa krążyła po szklanych ściankach, a do jego nozdrzy doleciał przyjemny, choć mocno spirytusowy zapach.

– Bo wiesz co? – powiedziała Kaśka jakby po chwili wahania. – Myślę, że Księżę miał taki przebłysk, żeby nas pogodzić.

I to też była prawda. Kiedy stary dowiedział się o ich kłopotach małżeńskich, przejął się. Wielokrotnie zachęcał Maksa do starań o odzyskanie Kaśki, deklarował pomoc. Pomysł ze skrytką wydawał się prawdopodobny, bo Maks rzeczywiście wiedział o jej istnieniu. I znał nazwę banku w Zurychu, w którym została zdeponowana. Księżę parokrotnie wspominał mu, że zabezpieczył się na czarną godzinę. Nawet tę najczarniejszą, gdyby stracił dostęp do wszelkich swoich dóbr, legalnych i nielegalnych, również tych sprytnie zakamuflowanych na Cyprze i w innych rajach

podatkowych. Wtedy zawsze pozostawała mu ostatnia deska ratunku, której żadne służby nie byłyby w stanie mu skonfiskować ani zamrozić. Co jak co, ale Szwajcarzy potrafią zadbać o takie rzeczy.

– Wiesz, że ten chuj okazał się agentem? – W głosie Kaśki pobrzmiwała prawdziwa wściekłość. – Podszedł mnie. A ty miałeś rację, ostrzegałeś Księcia...

To było zaskoczenie. I to sporego kalibru. Ale Maks nie zamierzał przyznawać się, że historyjkę, którą nastraszył starego w Wiedniu, zmyślił na poczekaniu. A może podpowiedziała mu ją intuicja, która wyczuła, że coś się święci. Trafił w dziesiątkę z tym kurduplem? Niesamowite.

– Zawsze fatalnie wybierałaś facetów – zażartował Maks, ale zaraz spoważniał. – Tylko powiedz mi... Jakim cudem cię nie zgarnęli?

– Zgarnęli, przecież ci mówiłam. Ale nic na mnie nie mają. Książę zdążył spalić rękopis.

Maks wiedział, że i to może być prawdą. Jako jedyny z ich grupy zdawał sobie sprawę, że wszystkie dzieła sztuki, które zdobywają dla Księcia, kończą w jego kominku. Stary pierdziel miał kasy jak lodu, rzecz zupełnie niewyobrazalna dla przeciętnego zjadacza chleba. Nawet prowadząc wystawne życie, nie wydałby ułamka

wyprocesowanej od skarbu państwa sumy. A z jakiegoś powodu przed śmiercią chciał przepuścić wszystko. Poczuć, że wykorzystuje pieniądze, które dostał w ramach odszkodowania, że je autentycznie wydaje, a nie inwestuje w dzieła sztuki, zamraża i nawet nie będzie miał komu ich przekazać. Bez dwóch zdań był egoistą, zgorzkniałym starym głupcem, który nikogo nie kochał, a na pewno nie ludzi. Może gdyby odzyskał te pieniądze wcześniej, gdy był jeszcze w kwiecie wieku, wydałby je sensownie. Ale teraz tuż przed śmiercią wzbudzały w nim jedynie wściekłość, zgorzknienie i nienawiść.

Kiedyś, jeszcze na początku ich znajomości, Maks miał nadzieję, że to w nim Książę dostrzeże swojego dziedzica. Starał się nawet grać rolę uroczego młodzieńca z dobrego domu, ale szybko przekonał się, że takie numery działają tylko na kobiety. Stary powiedział mu to kiedyś wprost, że lubi go, ale nie bardziej niż drewnianą laskę, którą się podpierał. Ma do niego sentyment, jak do użytecznego przedmiotu, narzędzia, ale nigdy nie zostawi mu swojego majątku.

– Jesteś tam? – Maks usłyszał w słuchawce ponagląący głos Kaśki.

– Jestem. I co, z dobrego serca proponujesz, że się ze mną podzielisz? – spytał.

– Dobrze wiesz, że to ostatnia rzecz, którą chciałabym zrobić – odpowiedziała. – Ale mam wyjście? Jak chcemy dorwać się do tej skrytki, musimy współpracować.

– Co prawda, to prawda.

– Jesteś we Włoszech?

– Ja? Skąd. – Maks skłamał bez zająknięcia. – Jestem już w Polsce.

– Świetnie się składa. Ja właśnie wracam. Zadzwoń do ciebie jutro.

– Poczekaj chwilę, kochanie – powiedział pospiesznie, żeby się nie rozłączyła. – Nie tak szybko.

– Tak?

– Wszystko rzeczywiście świetnie się składa. Aż za dobrze. Dlatego chyba nie powinienem ci zaufać. Co sądzisz?

– Sądzę, że jesteśmy sobie warci – zaśmiała się.

– Ale zrobisz, jak chcesz. Pa.

– Poczekaj... – Tym razem powiedział bardziej stanowczo.

Trzymając komórkę przy uchu, patrzył jednocześnie na Kaškę. Widział, że speszonym gestem poprawia włosy. Siedziała po drugiej stronie Piazza Navona przy stoliku z tym pajacem, Amerykaninem, którego przed chwilą w rozmowie z Maksem wyzywała od najgorszych. Oni nie mieli

szans go zauważyć, bo schował się w mroku wieczoru, poza zasięgiem ulicznych świateł.

– Na co mam czekać? – spytała, siląc się na lekki ton.

– Chyba nie sądzisz, że tak łatwo znowu ci zaufam.

– Znowu? – Niemal parsknęła śmiechem. — Ja cię nigdy nie zdradziłam, kiedy byliśmy razem. Mam ci przypomnieć te wszystkie natchnione dupy, które posuwałeś w galerii czy gdzie tam jeszcze?

Maks mimowolnie uśmiechnął się na wspomnienie swojej asystentki, rudowłosej Kingi. Sięgnął po kieliszek i dopił grappę jednym haustem. I tak nigdy nie uwierzyłby tej zakłamanej suce, która była jego żoną. Gdyby nawet miała kod do skrytki bankowej Księcia, zgodziłby się z nią współpracować wyłącznie na swoich warunkach. Ale ona kłamała od początku do końca. Aż gotowała się w nim krew, kiedy zdał sobie sprawę, że bez mrugnięcia okiem gotowa była skazać go na wieloletnie więzienie. Ten telefon i jej propozycja to była jedna wielka ściema i pułapka, przygotowana przy współpracy z tym frajerem, z którym na dodatek miała czelność się pieprzyć.

Zdradziła go na wszystkich frontach, więc obiecał sobie, że za wszystko słono mu zapłaci.

To nie był zbieg okoliczności. Maks wiedział, w której restauracji Kaśka i Kidd jedzą kolację i popijają wino, bo kazał ich śledzić, od momentu kiedy późnym popołudniem wyszli z budynku więzienia Rebibbi. Kosiarz jechał za nimi na wypożyczonym skuterze, w zasłaniającym twarz kasku. Wtopił się w chmurę jednoślądów i, niezauważony, wytropił, w którym hotelu się zatrzymali.

A potem na zmianę z Błażem dyskretnie obserwowali Kaśkę i Kidda. Dali znać Maksowi, do której restauracji tamci idą na kolację. Wtedy on usiadł w knajpie po drugiej stronie Piazza Navona i zamówił grappę. Coś tu śmierdziało i to bardzo mocno. Cały czas nie był w stanie ułożyć elementów układanki w spójną całość, ale kiedy Kaśka do niego zadzwoniła i złożyła mu dziwną propozycję, wszystko nagle stało się jasne.

Nie przerywając połączenia i cały czas dyskretnie

ją obserwując, kazał jej opisać kartkę papieru, na której rzekomo zapisany był kod do skrytki bankowej. Książę, który rzeczywiście trzymał ją w portfelu, pokazał mu ją kiedyś przy płaceniu w restauracji.

Teraz Maks widział z daleka, jak Kaśka bierze do ręki coś, co Amerykanin wyjął przed chwilą z kieszonki koszuli. Maks pamiętał, że kod był zapisany zielonkawym atramentem, a kartka pochodziła z papeterii hotelu The Dolder Grand, absurdalnie drogiego, pięciogwiazdkowego, w którym lubił zatrzymywać się Książę, załatwiając interesy w Zurichu. Jednak stary przezornie oddał logo, żeby nikt postronny nie domyślił się, w którym mieście znajduje się bank ze skrytką.

A teraz kartkę miał tamten złamas ze służb. Wszystko było jasne. Zastawiali na niego pułapkę. Kaśka poszła na współpracę, a ceną za jej wolność była głowa Maksa.

Głowa, z której grappa całkiem już wyparowała. Maks wyprostował się na metalowym krześle i przez chwilę jeszcze kontynuował rozmowę. Niby się wahał, czy przystać na propozycję Kaśki, udawał nieufnego. Gdyby zgodził się zbyt szybko, nabraliby podejrzeń. To była gra o wszystko, o życie, i każdy jego ruch musiał być perfekcyjnie

przemyślany. W końcu powiedział, że się zgadza. Kaśka utrzymywała, że jest już w drodze do Polski. Kolejne kłamstwo, ale oczywiście nie zdradził się z tym, że ją widzi, jak wcina sałatkę po drugiej stronie placu. zaproponował, żeby spotkali się w Krakowie następnego dnia około południa.

Rozłączył się i skinął na kelnera. Przez chwilę wahał się, czy nie zamówić jeszcze jednego kieliszka. Grappa była wyśmienita, ale wolał zachować przytomność umysłu. Musiał działać. I to szybko.

Widział, jak wiele kosztowała ją rozmowa z mężem, więc nie oponował, kiedy zamówiła jeszcze jeden kieliszek wina Brunello di Montalcino. Było drogie, a uregulować rachunek musiał on, bo Kaśka wydała całą gotówkę, jej karty kredytowe były obciążone powyżej granic wytrzymałości, a koperta z milionem od Księcia została przez Kidda zarekwirowana i oficjalnie będzie ją musiał przekazać zwierzchnikom po powrocie do Polski.

– Mam nadzieję, że nie będziesz stosował wobec mnie przemocy ekonomicznej – zażartowała ponuro, odkładając kartę win. Odchyliła się na krześle i zawiadackim gestem splotła ręce na karku.

Kidd pił wodę mineralną. W końcu był na służbie. Uważał, że alkohol, nawet w najmniejszych dawkach, obniża koncentrację, więc folgował sobie wyłącznie w czasie prywatnym lub gdy wymagała

tę działalność operacyjną. Niby aż do powrotu do Polski jego jedynym zadaniem było eskortować Kaśkę, ale to wystarczało, by czuł się w obowiązku przestrzegać reguł.

Uregulował rachunek kartą, po czym zostawił dziesięć euro napiwku. Wstali od stolika i ruszyli na spacer, wśród tłumów rzymian i jeszcze większej rzeszy turystów. Wieczór był ciepły i pogodny, aż nie chciało się wracać do hotelu. Szli blisko siebie, choć wciąż zdystansowani i nieufni, ale na Moście Mulwijskim nie wytrzymali i zaczęli się całować. Kidd nie do końca zorientował się, jak to się stało, że jego – jeszcze przed momentem wzorcową – etykę pracy i karność diabli wzięli. Jakoś tak szli, rozmawiali, w pewnej chwili byli tak blisko siebie, że ich ramiona otarły się.

Gniew, złość, nieufność... To wszystko gdzieś wyparowało, wyparte przez emocję stokroć silniejszą, nad którą nikt nie byłby w stanie zapanować.

Kidd nie był zwolennikiem okazywania sobie uczuć publicznie, ale ich pocałunek na pewno nie był aż tak wylewny, żeby wprowadzić otoczenie w zakłopotanie. Niemniej jednak do jego uszu doleciały po chwili pojedyncze oklaski i śmiechy przechodniów, przyjazne, pełne aprobaty.

Speszeni kochankowie rozdzielili się na moment,

ale dalej ruszyli już jako jedność, trzymając się mocno za ręce.

– Nigdy ci tego wszystkiego nie wybaczę, pieprzony glino – powiedziała złośliwym tonem Kaśka.

W głębi serca Kidd liczył, że kiedyś jednak ta chwila nastąpi. Że Kaśka puści wszystko w niepamięć. Sam w końcu wyznał zwierzchnikom, że nie tylko sypiał z obiektem, który przyszło mu prowadzić, ale zaangażował się emocjonalnie. Widocznie nie nadawał się już na agenta. W rozmowie telefonicznej przełożony, dowódca operacji „Sarajewo”, obsztorcował go, nawymyślał od Casanovów, ale to był ludzki szef. Wcześniej już wiedział, że Kidd sypia z koleżanką z pracy, i powiedział, że jeśli będą robić to dyskretnie, przymknie oko. Miał zaufanie do Kidda. Teraz liczyło się tylko to, by jak najszybciej dorwać Sobańskiego i jego ludzi.

– Wiesz, co to za miejsce? – spytała Kaśka. – Most Mulwijski nie raz odegrał kluczową rolę w historii starożytnego Rzymu...

– Pieprzę to – wymamrotał Kidd. – Wracajmy...

Już w hotelowej windzie zaczęli namiętnie się całować. Na szczęście na korytarzu i aż do drzwi ich pokoju nie natknęli się na nikogo. Kidd otwierał drzwi już bez koszuli.

- Tylko więcej mnie nie bij – szepnął jej do ucha.
- Nie lubisz?

W odpowiedzi podniósł ją i oparł o ścianę, ona zaś oplotła nogi wokół jego bioder.

Potem leżeli przytuleni w chłodnej satynowej pościeli. Paliły się jedynie nocne lampki po obu stronach łóżka. To był ten moment, żeby zacząć rozmowę. O tym, co jest między nimi i co może być dalej.

– Myślisz, że będę cię w ogóle jeszcze chciała oglądać? – Kaśka udawała zdziwioną, ale jednocześnie na jej ustach błąkał się uśmiezek zadowolenia.

– Kiedy to wszystko już się przewali. To znaczy, jak dobrze pójdzie, jutro o tej porze... – powiedział Kidd.

– Ucieknę, byle dalej od ciebie – weszła mu w słowo droczącym się tonem. Po czym trochę żartobliwie, ale jednocześnie zaczepnie, ugryzła go w ucho.

W odpowiedzi złapał ją za nadgarstki i całując łapczywie, wśliznął się między jej uda.

– To ja znajdę cię i...

Nie dokończył. Usłyszeli elektroniczne piknięcie, jakby ktoś odblokował kartą magnetyczną zamek. Ułamek sekundy później drzwi ich pokoju hotelowego otworzyły się gwałtownie. Do środka

wtargnął Kosiarz, a za nim Maks.

Pierwsza i najważniejsza rzecz, którą Kidd ustalił: Maks był bez broni, natomiast jego człowiek, zwany Kosiarzem, trzymał w ręku pistolet i robił to jak zawodowiec. Druga myśl – jakim cudem ich tu znaleźli?

O niczym innym nie zdążył już pomyśleć, bo dostał na odlew pięścią od Maksa. Facet nie umiał się bić, bo wymierzył cios niezdarnie i nieefektywnie, trafiając Kidda w ucho.

– No ładnie, ładnie, droga żono – powiedział Maks niby z wyluzowanym uśmiechem, ale przez zaciśnięte zęby, rozcierając pięść. – Myślę, że ten rozwód jednak powinien być orzeczony z twojej winy. I po co te kłamstwa, że mnie nigdy nie zdradzałaś? Ja przynajmniej nie dałem się przyłapać, głupia suko!

– Maks, uspokój się! – krzyknęła Kaśka, próbując przykryć nagość prześcieradłem.

Wyglądała na zszokowaną i naprawdę

przestraszoną. Nic dziwnego. Sytuacja jej i Kidda wydawała się beznadziejna. A gdyby to Maks trzymał broń, pewnie na dzień dobry nie wytrzymałby i zastrzelił ich oboje.

– Dam ci tę kartkę. Mam ją przy sobie... – powiedziała już spokojniej. – Tylko nie rób nic głupiego.

Kaśka ostrożnie uniosła obie ręce, jakby chciała wysondować, czy ma jego zgodę na to, żeby wstać z łóżka. Maks uśmiechnął się, ale był to wystudiowany grymas. Jego twarz była napięta jak maska.

– Czytasz w moich myślach, kochanie. Które małżeństwo może to o sobie powiedzieć? Tylko czy to wystarczy? Czy wystarczy?

– Maks... – przerwała mu proszącym tonem. – Mam ci ją dać? Weź ją! O to ci chodzi?

Skinął głową. Kaśka wstała z łóżka, otulając się niezdarnie pościelą. W rezultacie Kidd został bez przykrycia. Podsunął się wyżej, żeby oprzeć się o zagłówek, a rękami powoli, żeby nikogo nie zaniepokoić, sięgnął po poduszkę, chcąc zasłonić przyrodzenie.

– Gdzie te łapy? – Maks z całej siły kopnął w łóżko. – Wstydzisz się? Pokaż, na co połasila się moja luba. No, powiem ci, imponująco to to nie wygląda.

Kidd porzucił zamiar sięgnięcia po poduszkę. Wolał nie ryzykować, że sprowokuje tego psychopata. Maks schylił się w stronę Kosiarza, który z obojętną miną celował w Kidda z broni. Kaśka poprawiała pościel, którą się owinęła. Spod nogawki Kosiarza Maks wyciągnął nóż z pochwy, przyczepionej do łydki mężczyzny. Kidd przypomniał sobie ukłucia jego ostrza na swoim podbródku. Odruchowo zasłonił nagość dłońmi, co wywołało rechot Maksa.

– Dobrze kombinujesz, cwelu.

W tym momencie Kaśka, która grzebała w leżącej na fotelu torebce, rzuciła się dzikim susem. Popchnęła Maksa, który wpadł na Kosiarza, ale ten odruchowo przestał już celować w Kidda, obracał właśnie broń w stronę Kaśki. Nim całkowicie stracił równowagę, strzelił.

Kidd działał instynktownie. Miał tę przewagę nad Kosiarzem i Maksem, że był wyszkolonym agentem. Niejeden raz ćwiczył scenariusze walki z uzbrojonym przeciwnikiem, w momencie chaosu, który pojawia się po wystrzale z broni w zamkniętym pomieszczeniu.

Tego rodzaju sceny w filmach czy serialach są czystą fikcją. Nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością.

Kidd wyskoczył z łóżka, nie zważając na swoją

nagość. Był całkowicie skoncentrowany na broni. Rzucił się w kierunku ręki Kosiarza, która odskoczyła siłą odrzutu. A kątem oka upewnił się, że Maks wypuścił z ręki nóż.

Nic dziwnego. Huk wystrzału w pokoju hotelowym był tak ogłuszający, że przez dłuższą chwilę jedyne, co Kidd słyszał, to nieprzyjemne dzwonienie w uszach. W powietrzu unosił się swąd spalonego prochu, ale on dokładnie tego się spodziewał, co dawało mu kolejną przewagę.

Dopadł Kosiarza, złapał go obiema rękami za prawy nadgarstek, jednocześnie kopiąc z całej siły w krocze.

Kopnął znów i jeszcze raz, aż w końcu poczuł, że uścisk bandziora na broni słabnie.

Na szczęście Maks, który w momencie wystrzału znajdował się najbliżej lufy, był tak oszołomiony, że kucnął, trzymając dłonie przyciśnięte do oczu. Prawdopodobnie poparzył go strumień gorącego gazu, który wylatuje z lufy w ślad za pociskiem.

Kaśka leżała na podłodze przy fotelu, na wznak, nie dając oznak życia. Na jasnej pościeli, którą się okrywała, rosła plama krwi.

dzień / szósty

Młody ze złością trzasnął drzwiczkami kuchennej szafki, aż wypadły z zawiasów, a raczej śruby trzymające zawiasy wyrwały się z lichej płyty wiórowej. Przyszedł do pracy już rozeźlony i nakręcony negatywną energią, bo z samego rana zaliczył awanturę z matką. Stara przez dobry kwadrans suszyła mu głowę, że ciągle go nie ma, wobec czego nie sprząta swojego pokoju, nie robi zakupów, nie wynosi śmieci, no jednym słowem nic nie robi.

I w sumie miała trochę racji, bo prawie od tygodnia niemal nie wychodził z pracy, wyrabiał nadgodziny i zarywał noce, a prawdę mówiąc, niczego wielkiego nie osiągnął. Jego realny wkład w operację „Sarajewo” wynosił tyle, co kot napłakał.

W dodatku zadzwonił kumpel z warsztatu samochodowego, do którego Młody wstawił wczoraj starego golfa. Okazało się, że trzeba wymienić

amortyzatory, więc naprawa potrwa dłużej i będzie dużo droższa. Jednostka wojskowa, w której znajdował się Pokój Gier, była położona na końcu świata, więc perspektywa półtoragodzinnych dojazdów komunikacją miejską dobiła Młodego. A teraz jeszcze okazało się, że nie ma kawy. Ostatnio nadużywał jej do tego stopnia, że właściwie już w ogóle na niego nie działała, nie dawała kopa ani zastrzyku energii. Ale musiał ją pić, bo jak narkoman, kiedy tego nie robił, stawał się rozdrażniony, bolała go głowa i miał wszystkie inne objawy zespołu odstawienia. Chodził śnięty, a na siłowni nie był w stanie przebrnąć przez dziesięć minut rozgrzewki na bieżni.

Ale żeby zabrakło kawy!

W dodatku w zlewie stała sterta brudnych kubków. Nic dziwnego, że ich zespół zaliczał głównie porażki i wczoraj tylko cudem udało im się zatrzymać Sobańskiego i jego ludzi. Jak mogli z sukcesem przeprowadzić skomplikowaną operację przeciwko zorganizowanej grupie przestępczej, skoro sami byli tak beznadziejnie zorganizowani, że ktoś nawet głupiej kawy nie zamówił? Nie posprzątał i nie pozmywał? On, agent CBŚP, ma teraz zapierdalać z gąbką i płynem do naczyń?!

– Cześć.

Młody usłyszał za plecami głos Agaty. Odwrócił się szybko, może nawet odrobinę zbyt agresywnie, ale humor od razu mu się poprawił. Dziewczyna wyglądała jak zawsze atrakcyjnie. Policzki, pewnie po szybkim marszu od przystanku na Puławskiej, miała lekko zaróżowione, przez co przypominały jędrną złocisto-czerwonawą brzoskwinię. Jasne włosy upięła w kucyk, a w rękach trzymała dwa kubki kawy na wynos.

Jeden dla siebie, a drugi...

Pomyślał, że los w końcu się do niego uśmiechnął i ten dzień, który zaczął się tak beznadziejnie, będzie jednak udany. Wyciągnął rękę w kierunku papierowego kubka.

– To dla mnie? – zapytał, starając się grać pewnego siebie, bo jadąc metrem, przeczytał w komórce artykuł o tym, że kobiety lubią zdecydowanych mężczyzn.

– Dla Szefa.

Młody cofnął rękę i zawył gdzieś głęboko w środku. W mgnieniu oka stracił całą pewność siebie. Kolejny raz boleśnie się przekonał, że los go nienawidzi i nie daje mu żadnych szans. Agata miała go kompletnie w dupie. Dlaczego?

Zastanawiał się, co ten pieprzony Kidd ma takiego w sobie, że laski lecą na niego jak pszczoły do miodu. Kiedy wczoraj domyślił się, że Agata

z nim sypiała, próbował z nią pogadać. Ale oczywiście zbyła go, choć nie wyparła się romansu z tym ich pozał się Boże Bondem. Młody polazł potem do kadr i przestudiował dossier Roberta Kidda alias Denali. Facet był starszy i niższy od niego, i na pewno nie tak napakowany. Młody od końca liceum regularnie ćwiczył na siłowni. I był dumny z efektów swojej ciężkiej pracy. Przy wzroście metr osiemdziesiąt siedem ważył dziewięćdziesiąt dwa kilo, ale kiedy ostatnio sprawdzał skład ciała na tancie, wyszło mu zaledwie trzynaście procent tkanki tłuszczowej. Miał szerokie plecy, wąską dupę, twarde jak stal bicepsy – to powinno działać na kobiety.

Na razie działało tylko na starą Pikulską, która warowała w kadrach. Nakłamał jej, że potrzebuje danych do analizy dla Szefa. Pozwoliła mu grzebać, oczywiście tylko w dziale jawnym, zerkając na niego od czasu do czasu zza okularów na łańcuszku. Przeglądając teczkę osobową Kidda, Młody długo wpatrywał się w umieszczone w niej zdjęcia. Nie znał się na męskiej urodzie, ale jego zdaniem twarz spoglądająca z fotografii była przeciętna. I facet nie był nawet zawodowym oficerem!

Co więc takiego miał ten Kidd, że rozkochał w sobie Agatę i jeszcze na dokładkę żonę

Sobańskiego, która wczoraj bez wahania zaryzykowała własne życie, żeby go ratować?

Młody nie znalazł odpowiedzi na dręczące go pytania. Tylko sfrustrował się i nawet wieczór spędzony na przerzucaniu żelaza na siłowni nie poprawił mu nastroju.

W socjalu pojawił się Szeff. Agata wręczyła mu kubek z kawą.

– Już zimna, niestety – powiedziała, uśmiechając się przepaszająco.

– Dzięki, nie szkodzi. Sobański jeszcze w tym tygodniu będzie w kraju – odparł Szeff, upijając głośno łyk. – I ci jego dwaj przydupasi. Przesłuchamy ich równolegle, pierwszy na pewno pęknie ten grubasek. I będzie po sprawie, tak to widzę.

– Janczak – podpowiedział Młody, który wszystkie akta i notatki dotyczące sprawy miał w małym palcu.

– Co?

– Ten przy kości ma na nazwisko Janczak. Błażej Janczak, konserwator zabytków, to znaczy drewna – powiedział Młody.

– Dobrze, bardzo dobrze, będą z ciebie ludzie – rzucił Szeff między kolejnymi łykami kawy.

– A co z nami? – spytała Agata.

– W jakim sensie?

– Nie rozpędzą nas? Po tej wczorajszej rozwałce w hotelu? – wypalił Młody i od razu poczuł, że znów przeszarżował, bo SzeF obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

– Zobaczymy. Ale jestem dobrej myśli. Posłuchaj, Młody, to normalne, że w trakcie realizacji dzieją się różne nieprzewidziane rzeczy. Że są ofiary... Też. Ludzie giną. Rozpierducha... Bywa. Sam rozumiesz. To smutne, ale nieuniknione. Najważniejsze jest osiągnięcie celu. Ze sposobu będą cię rozliczać, tylko jeśli tego celu nie osiągnąłeś.

SzeF klepnął go po plecach, podziękował Agacie za kawę i wyszedł z socjalu, przypominając im o odprawie, która miała zacząć się w Pokoju Gier punktualnie o dziewiątej.

– Jak chcesz, to dam ci pół mojej – powiedziała Agata, kiedy zostali sami.

Młody oniemiał. Uśmiechnął się tylko lekko i skinął głową. Agata zdjęła pokrywkę z papierowego kubka, otworzyła szafkę i wyciągnęła z niej wyszczerbiony kubek-reklamówkę jednej z firm produkujących kawę rozpuszczalną. Zajrzała do środka, bo co bardziej leniwi koledzy zamiast zmywać naczynia po sobie, czasami odstawiali je do szafki. Następnie odlała połowę kawy i podała kubek Młodemu.

Napój był już zimny, ale mimo wszystko była to najlepsza kawa, jaką Młody pił od dawna.

Rano Kidd zszedł do hotelowej restauracji w najpóźniejszym możliwym terminie. Śniadania serwowano do dziesiątej, a na jego zegarku była dziewiąta pięćdziesiąt sześć, kiedy otworzył przeszklone drzwi. Przywitał go aromat pieczywa i świeżo parzonej kawy. Przez wielkie okna do wnętrza wpadała kaskada promieni słonecznych, ale klimatyzacja zapewniała przyjemny chłód.

– *Buongiorno* – czuwający przy drzwiach gładko ogolony i wypięty jak struna kelner nawet nie skrzywił się na jego widok. – *Numero di camera?*

– Siedemset dwa. – Kidd bez namysłu podał numer swojego pokoju. Kelner zapisał go w kajeciku.

– Zapraszam – powiedział kelner, wykonując powściągliwy gest.

W restauracji nie było już żadnego z hotelowych gości. Z zamontowanych pod sufitem głośników

sączyła się banalna muzyka, jakiś instrumentalny chillout bez wokalu. Dwóch mężczyzn z obsługi krzątało się, ściągając ze stołów – osobno czerwone serwety, osobno białe obrusy.

Kiddowi przypomniała się podobna scena, kiedy z Julią zeszli rano po weselu, a w sali, w której odbywało się przyjęcie, rozpoczynały się dopiero porządki. Usiedli wtedy przy nienakrytym stoliku i wciąż pijani radością czekali, aż obsługa poda im kawę.

I naleśniki. Kidd do dziś pamiętał ich smak. Były typowo amerykańskie, jakie jadał w dzieciństwie u swojej nieżyjącej już babci, która mieszkała w Newington w stanie Connecticut, polane syropem klonowym, pyszne, choć do bólu słodkie.

To było siedemnaście lat temu. Kidd nigdy nie uciekał od wspomnień. Skoro go naszły, dawał im się ponieść, uwieść choćby na chwilę. Miał z nimi inny problem. Zużywały się. Z czasem blakły. Za każdym razem kiedy je przywoływał, były słabsze i bardziej zatarte, aż w końcu nie wiedział, czy rzeczywiście tak to wszystko wyglądało, czy ubarwia historię, niczym nieudolny konserwator obrazów ratujący zetlałe płótno, ale tak naprawdę malujący je na nowo.

Może najwyższy czas przyzwyczać się, że wszystko w życiu przemija, nawet wspomnienia.

Nalewając szklanę świeżo wyciskanego pomarańczowego soku, zastanawiał się, czy nadal byłiby razem, gdyby Julia żyła. Nie, nie miał poczucia, że kiedy umarła, ich małżeństwo było w kryzysie. Układało im się, choć – jak wszystkie pary – mieli swoje wzloty i upadki. Ale przecież różne rzeczy się zdarzają. Miłość się kończy, uczucie się wypala, a więzi się poluźniają, czasem zrywają. Jak w przypadku jego sąsiadów z bliźniaka w Wilanowie. Jednak Julia i on... Kiedy umarła, mieli za sobą prawie czternaście lat małżeństwa. Dopasowali się do siebie idealnie. Nie było między nimi żadnych poważnych konfliktów. Choć fakt, że praktycznie się nie kłócili, nie oznacza automatycznie, że byli szczęśliwi. Namiętność, która mocno przecież naznaczyła początki ich młodszej miłości, była już tylko wspomnieniem. Kidd przypomniał sobie gorzką rozmowę w łazience, przy wyciąganiu mokrego prania z pralki. Julia miała mu za złe rozłękę, jego pracę w Agencji Wywiadu, która czasami pochłaniała go bez reszty.

Kidd zmarszczył czoło i wynurzył się z jeziora wspomnień. Pamięć ma to do siebie, że nie tylko zaciera wspomnienia, ale i je idealizuje. Dlatego może lepiej poddać się im, zamiast nurkować zbyt głęboko i grzebać w mule na dnie.

– Czy mógłbym pożyczyć tacę? – spytał Kidd jednego z krzątających się kelnerów. Ten popatrzył na niego dziwnie, jakby nie zrozumiał, ale po chwili pokiwał głową i poszedł na zaplecze.

Pięć minut później Kidd wysiadał z windy, balansując metalową tacą, na której stała filiżanka kawy, szklanka soku pomarańczowego, talerzyk z maślanym croissantem, omlet z ricottą i szczypiorkiem i miseczka sałatki owocowej. Przed drzwiami pokoju 702 postawił tacę na brązowej wykładzinie dywanowej w żółtawe esy-floresy i wsunął do zamka kartę magnetyczną.

Małeńka dioda zmieniła kolor z czerwonej na zieloną. Kidd nacisnął klamkę i wszedł do środka.

– Naprawdę mogłam ruszyć dupę i zejść na to śniadanie – powiedziała Kaśka, kiedy zamknął drzwi za sobą. – Nic mi nie jest!

– Chciałem konsekwentnie budować wizerunek idealnego mężczyzny – zażartował Kidd, choć kiedy usłyszał swoje własne słowa wypowiedziane na głos, uznał, że poczucie humoru naprawdę nie jest jego najmocniejszą stroną.

– I co? Myślisz, że się nabiorę na te tanie sztuczki? Na ten ordynarny PR? Wstrzyknęli mi wczoraj głupiego jasia, ale raczej już przestał działać.

Uśmiechnął się tylko i bez słowa podał jej tacę.

– Boli cię? – zapytał z troską. – Może zadzwońmy po lekarza.

– Spokojnie, dam radę.

Wczorajszy wystrzał, który miał miejsce w pokoju kilka pięter niżej, na szczęście nie zranił Kaśki poważnie. Kula ledwie musnęła jej lewy bok, tuż powyżej miednicy, rozcinając skórę. W szpitalu założyli jej kilka szwów i opatrunek. Zaproponowali, że zostawią ją na obserwacji, ale oczywiście się nie zgodziła. Żartowała, że gdyby była szczuplejsza, nic by się jej nie stało, a tak dorobiła się boczków i ma za swoje.

Kidd nie mógł się powstrzymać, żeby nie patrzeć, jak Kaśka je śniadanie. Z pyskatej dziewczyny znów zmieniła się w damę. Sztućcami operowała z gracją i precyzją chirurga. Kiedy skończyła jeść omlet, piła kawę i chrupała croissanta, trzymając go w szczupłej dłoni gestem, który w zasadzie niczym szczególnym się nie wyróżniał, ale jemu wydał się elegancki i powściągliwy, a jednocześnie uroczy. Kidda nie przestawała zachwycać i zdumiewać ta jej łatwość przeistaczania się z wieśniaczki w damę i na odwrót.

Domyślał się, że dobrych manier przy stole nabrała, obracając się z mężem w tak zwanych wyższych sferach. Wyrobiła się, ale niewątpliwie wymagało to pracy nad sobą. Bardziej interesowała

go jej wcześniejsza przeszłość. Ta zwyczajna. Chciał ją wypytać o dzieciństwo, rodzinę. Na razie wiedział tylko, czym zajmuje się jej matka, że jej ojciec już nie żyje oraz że ma dwójkę młodszego rodzeństwa. Pomyślał, że będzie kolejny temat na długą podróż do domu, w którą chcieli wyruszyć zaraz po śniadaniu.

A może i na kolejne dni? Bo przecież chyba będą kontynuować znajomość, która jak film Hitchcocka rozpoczęła się trzęsieniem ziemi, a później napięcie cały czas rosło? Może uda się dopisać kolejny rozdział? Jeśli oboje będą w stanie puścić w niepamięć kłamstwa i nielojalności. Może gdy skupią się na tym, co szczerze ich połączyło, zaczną wszystko budować jeszcze raz, tym razem porządnie...

Kiedy Kaśka zjadła, zamarudzili jeszcze i spędzili w łóżku kwadrans... Pół godziny... Czterdzieści pięć minut. Początkowo tylko się przytulali, ale znów spadła na nich ta przemożna siła, której nie próbowali się nawet przeciwstawić.

– Ale przecież jesteś ranna – wyszeptał Kidd, całując ją w skroń.

– To zrób tak, żeby nie bolało...

W południe byli gotowi wymeldować się z hotelu i ruszyć w drogę powrotną do Polski. Kidd przez chwilę rozmawiał przez telefon z teściem, który na

jego prośbę załatwił naprawę giulietty.

Kaśka poszła jeszcze do łazienki, więc Kidd, korzystając z okazji, wybrał numer oficera prowadzącego operację z ramienia CBŚP, zwanego przez wszystkich po prostu Szefem.

– Cześć, bohaterze. – Głos, który odezwał się w słuchawce, był zmęczony, ale niepozbawiony charakterystycznej zadziorności.

– Bohaterkę to mamy rodzaju żeńskiego – powiedział Kidd.

Przez chwilę rozmawiali o Maksie i jego dwóch współnikach, którzy siedzieli w rzymskim areszcie. Sprawa wydania ich Polsce skomplikowała się o tyle, że mieli teraz na koncie również parę wykroczeń na terenie Włoch, łącznie z uprowadzeniem Kidda i wczorajszym napadem, nielegalnym posiadaniem broni i tak dalej. Ale nie było wątpliwości, że europejski nakaz aresztowania zadziała i cała trójka w końcu znajdzie się w Polsce, by stanąć przed sądem.

– Właściwie to też miałem do ciebie dzwonić – powiedział Szef. – Bo jest tylko jeden mały problem. A konkretnie z tą Sobańską...

Kidda zmroziło. Dobrze znał policjanta Ryszarda Dąbrowskiego, choć współpracowali dopiero od kilku miesięcy. Nie spotkał się jeszcze z sytuacją, w której zapowiadany przez niego „mały” problem

nie okazały się gigantycznym utrudnieniem. Żartował nawet czasem, że Szeff równie dobrze mógłby mieć przydomek „Niedopowiedzenie”.

– Jaki problem? – zapytał Kidd, zerkając w stronę łazienki, z której dochodził szmer wody.

– Prokurator nam fika. Nie zgadza się na ten układ. Ulgowe traktowanie tak, ale to wszystko, co udało mi się przeforsować. Sam wiesz, że za dużo się zadziało... Zginęli nasi. Oni muszą za to beknać, bo jaki pójdzie przekaz?

– Żartujesz.

Kidd nigdy nie przeklinał. Nigdy. Teraz jednak z największym trudem zdusił przekleństwo. Zdenerwowany poderwał się z łóżka i zaczął krążyć po pokoju.

– Ona nie miała z tym nic wspólnego – powiedział, znów odruchowo sprawdzając, czy Kaśka nie wyszła z łazienki. – Przecież dobrze o tym wiesz. Ukradła rękopis, który i tak był podstawiony. To groteska.

– Słuchaj, ja wiem... Ale wcześniejsze grzechy też parzą. Święta nie była. Jak dokopią się do tych wszystkich babć, które zastraszała, żeby wycygnąć od nich fanty dla tego naszego księciunia... Jak nic wyjdzie, że paru staruszkom przyspieszyli podróż na tamten świat. Wywieźli w pychę dzieła sztuki i to takich sprzed czterdziestego piątego. Gdyby to

jeszcze odzyskać. Ale to poszło z dymem... Sorry, Gregory, oni muszą za to beknąć.

– Zrób coś, Ryszard. Ja tego nie akceptuję – powiedział stanowczo Kidd, kierując się w stronę drzwi balkonowych. Promienie słoneczne były prostopadle, przez co jasny piaskowiec, którym wyłożony był taras, zdawał się płonąć. – Dałem słowo. Upoważniłeś mnie.

– Spokojnie. Myślisz, że ja się nie wkurzyłem? Jak zwykle mają tam burdel i zmieniają zdanie jak panienka, która...

– Ryszard! – Kidd przerwał mu stanowczo, nie miał ochoty na seksistowskie wstawki.

– Kurwa, nic nie poradzę! Jeszcze raz ci mówię, że mnie też wycyckali. Postaram się, żeby chociaż dostała jakieś złagodzenie... Tylko nie świruj. Bo specjalnie przez wzgląd na ciebie chcę to zrobić bez fajerwerków, ENA i tak dalej. Ale jeden telefon do Włochów i ona wraca do aresztu, a do Polski konwojem.

Kidd podszedł do balustrady i spoglądał na rozciągający się przed nim widok na Rzym – pojedynczą palmę przed hotelem, a dalej kamienice i dwie spatynowane wieże jakiegoś kościoła. Przetarł czoło, po czym odwrócił się. Przez szybę okna zobaczył uśmiechniętą Kaśkę, która wyszła z łazienki. Umalowana, w czerwonej sukience

przed kolana i ze spiętymi włosami była piękna i bezpretensjonalna, jakby gotowa, by za moment wsiąść na motor i odjechać z jakimś „bad boyem”.

– Słyszysz mnie? Jeśli chcesz, możesz to zrobić elegancko. Ale masz ją dowieźć w jednym kawałku – powiedział stanowczo Szeff.

Kaśka dostrzegła Kidda na tarasie i uśmiechnęła się. Zmusił się do odwzajemnienia uśmiechu. Chcąc jakoś dać ujść złości i frustracji, zacisnął wolną rękę w pięść.

– Słyszę cię – powiedział cicho do komórki.

– Ustalimy przecięcie gdzieś blisko granicy i wyślemy ci namiar. Ty już nic więcej nie rób, po prostu ją dowieź.

– Muszę kończyć.

– Potwierdź, że rozumiesz i przyjmujesz to do wiadomości.

– Potwierdzam.

Kidd się rozłączył i zaciśniętą pięścią przejechał po kamiennej balustradzie, raniąc się do krwi.

– „A jeśli to wszystko pozbawione jest sensu? / Gorzej nawet – może go nigdy nie miało”. To jedyny fragment, który zapamiętałam. Tylko tyle. Nawet ładny.

– Ale przecież to nie była prawdziwa Szymborska.

Kaśka popatrzyła na Kidda, który skupiał wzrok na drodze. Ich pas autostrady był pusty, dopiero gdzieś na horyzoncie majaczył niewielki ciemny kształt. Kidd przycisnął pedał gazu, postanowił dogonić i wyprzedzić auto przed nimi.

– Kto tak naprawdę napisał te wiersze? – spytała.

Kidd milczał. Prowadził już od ponad siedmiu godzin, ale nie czuł zmęczenia. Zatrzymali się tylko raz, na stacji benzynowej pod Mediolanem, żeby zatankować, skorzystać z łazienki i kupić coś do jedzenia. Słońce powoli już zachodziło. W radiu jakaś uchachana prezenterka zapowiadała po niemiecku piosenkę.

– Jakiś facet – powiedział w końcu. – Niewiele wiem. Literaturoznawca, więc to miało ręce i nogi. Był, a właściwie jest, znawcą Szymborskiej.

– I zlecieliście mu coś takiego? Zrobienie takiej fałszywki? To jakiś absurd.

– Nie, oczywiście, że nie. To już istniało. Facet spreparował ten tomik i próbował sprzedać. Był bardzo skrupulatny, nawet zdobył notatnik z Grand Hotelu w Sztokholmie z tamtych lat. I prawie mu się udało. Z tego, co wiem, wpadł z jakiegoś błahego powodu. Dostał wyrok...

– I naprawdę myślał, że nikt się nie zorientuje?

– Ty się nabrałaś – odciął się Kidd, ale widząc urażoną minę Kaśki, szybko się zreflektował. – Pewnie liczył, że zgarnie kasę i ucieknie, nim to się wyda. Ale prawda jest taka, że nie był specjalnie rozgarnięty.

– Czego się spodziewać po literaturoznawcy... – dopowiedziała żartobliwie Kaśka.

– Potem ta fałszywka wylądowała w magazynie policji. I jak szukaliśmy czegoś na przynętę dla Księcia, Szef postanowił ją wykorzystać. Nie dostaliby zgody na ryzykowanie prawdziwym dziełem sztuki, poza tym i Maks, i ty macie rozeznanie w malarstwie i trudno byłoby wam wcisnąć kit, że oto wypłynął jakiś nieznany obraz Fangora czy Beksińskiego...

– I ten biedny literaturoznawca siedzi teraz w pierdłu?

– Nie wiem, nie interesowałem się. Prędzej dostał wyrok w zawieszeniu...

Kaśka pokręciła głową jakby z niedowierzaniem. Uchyliła na moment okno. Do wnętrza samochodu wdarło się cieplejsze powietrze, a wraz z nim dudniący hałas auta prującego z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Ja bym nie wytrzymała. Mówię o więzieniu. Po tych paru godzinach w celi w Rzymie myślałam, że zwariuję.

Kidd milczał, skupiając wzrok na drodze. Kaśka zamknęła okno i popatrzyła na niego z poważną miną.

– Jestem ci strasznie wdzięczna, że mnie wyciągnąłeś. Uratowałeś mi życie.

– Takie miałem rozkazy – powiedział, z największym wysiłkiem tłumiąc złość i rozgoryczenie.

– Dobra, dobra. Mów, co chcesz, ale ja wiem, że to twoja sprawa.

Kidd nie odpowiedział. Po chwili, żeby wypełnić milczenie, nim stanie się niezręczne, zaczął przełączać stacje radiowe. Trafił na rozgłosnię z ostrym rockiem, potem na audycję prowadzoną po niemiecku, więc szukał dalej.

– Co tak nic nie mówisz? – spytała po dłuższej chwili.

– Mówię.

– To za dużo... powiedziane – uśmiechnęła się kpiąco. – Mówisz właściwie tylko wtedy, jak ktoś cię pociągnie za język.

– O... Już się zaczyna – rzucił żartobliwym tonem. – Narzekanie.

Uśmiechnęła się.

– Nie będę narzekać. Obiecuję. Będę grzeczna...

W jednej chwili zrobiło mu się przeraźliwie smutno. Tak jakby wraz z zachodzącym słońcem gasł jego nastrój. I nadzieja, której już nie miał prawa mieć, ale jeszcze jakoś ślepo się jej trzymał. A przecież wiedział, że nieuchronnie kończy się ostatni dzień, jaki spędzą razem. Jak tylko przekroczą granicę Polski, będzie musiał ją wydać.

Kaśka oczywiście nie miała o niczym pojęcia. Beztrosko wyciągnęła z torby kolorowy anglojęzyczny miesięcznik dla kobiet, który kupiła na stacji benzynowej. Znalazła artykuł *Pięć oznak, że wasz związek będzie trwał* i zaczęła czytać go na głos, analizując ich relację.

Kidd jechał szybko i jeszcze przyspieszył, jakby chciał już mieć to wszystko z głowy. Udało mu się urwać prawie dwie godziny z planowanego czasu podróży. Granicę polską przekroczyli po drugiej

w nocy.

Stacja benzynowa, na której zaplanowane było przejęcie Kaśki, znajdowała się kilkanaście kilometrów dalej. Kidd już widział ją na mapie nawigacji, specjalnie wcześniej zaproponował, żeby zatrzymali się tam na moment. Oznaczył stację pinezką. Kiedy aplikacja poinformowała, że są sześćset pięćdziesiąt metrów od celu, nagle zjechał na pobocze i zatrzymał się na światłach awaryjnych.

Zdecydował się.

– Co jest? – Kaśka spytała niezbyt przytomnie, wyrwana z drzemki. Kolorowe czasopismo zsunęło się jej z kolan. – Coś się zepsuło? Dlaczego stoimy?

Szosa przejechał ze sporą prędkością TIR, wprawiając ich auto w chwilowy dygot. Potem co jakiś czas wymijały ich osobówki. Wsłuchując się w rytmiczne cykanie świateł awaryjnych, Kidd zbierał się w sobie. W końcu zaczął mówić. Zrelacjonował jej rozmowę telefoniczną, którą odbył z Szefem jeszcze w Rzymie. Kaśka słuchała z kamienną twarzą. Nie odezwała się ani słowem, raz tylko odkaszlnęła, jakby zaschło jej w gardle. Zachowała spokój i klasę, choć jej spojrzenie stało się zimne, a ruchy nerwowe. Kiedy skończył, westchnęła głęboko i zrobiła smutną, a jednocześnie zdziwioną minę.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Domyśl się.

Milczała. Kidd podrapał się po nieogolonym policzku. Czuł ogromne napięcie zamknięte i narastające w niewielkiej przestrzeni wnętrza samochodu.

– Nie ma sensu, żebym dawał ci auto, bo i tak je namierzą. Ale przecież poradzisz sobie. Znajdziesz kolejnego naiwniaka, któremu zaproponujesz kupno samochodu...

– Ale suchar – odpowiedziała kąśliwie. – Nad żartami to jeszcze dużo musisz popracować, panie Kidd.

Czuł, że Kaśka uszczypliwościami próbuje odreagować bombę, którą na nią zrzucił. Na razie skupiała się na przykrym aspekcie przekazanych przez niego wieści, pomijając dużo istotniejsze strony całej sprawy. Przecież zaryzykował dla niej, zdradził jej służbową tajemnicę i próbuje ją ratować. Do końca walczył z sobą, ale ostatecznie serce zwyciężyło nad rozumem. Nie mógł jej wydać, żeby tak po prostu poszła siedzieć.

Sięgnęła do swojej listonoszki i wyciągnęła paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Mieli umowę, że nie będzie palić w samochodzie jego teściów, nie była zresztą aż tak uzależniona, żeby nie wytrzymać paru godzin bez dymka. Teraz jednak

Kidd nie protestował, kiedy zapaliła i zaciągnęła się mocno.

– Przykro mi, że tak to się potoczyło – powiedział cicho.

Ciężko westchnęła. Wydawało mu się, że w jej oczach coś się zaszklilo. Uchyliła okno i trzymała rękę z papierosem blisko powstałej szpary, ale wiatr jak na złość, zamiast zasysać dym, wtłaczał go w głąb samochodu.

– To się zawsze tak toczy – powiedziała głuchym tonem. – Jesteś już duży, powinieneś to wiedzieć.

– Najważniejsze, że nie wylądujesz w więzieniu. No chyba że chcesz odsiedzieć...

– Nie! – krzyknęła, nawet nie dając mu dokończyć zdania.

Wiedział, że nie ma sensu tego przedłużać. Nic mądrego nie powie, nie naprawi atmosfery, która zdechła. Odpiął pas, nachylił się do Kaśki i mocno ją pocałował. Chwilę stawiała opór, ale bez przekonania, bardziej dla zasady. Potem odwzajemniła pocałunek. Poczował smak papierosa. Kiedy w końcu oderwali się od siebie, na policzku miał rozmazane jej łzy.

– Dobrze, a teraz posłuchaj... Musisz z całej siły walnąć moją głową w kierownicę – powiedział beznamiętnym tonem, jakby instruował ją, jak reguluje się w aucie klimatyzację.

– Słucham? – spytała, strzepując popiół do popielniczki.

Pochylił się w jej stronę i sięgnął do schowka, z którego wyciągnął foliową torbę z czerwonym paskiem zamknięcia. W środku była koperta z czerpanego papieru, w której nadal znajdowała się gotówka od Księcia, a także papiery do konta na Cyprze.

– Przejąłem ją od Włochów – powiedział, widząc zdumienie malujące się na jej twarzy. – A teraz ty mi ją ukradniesz. Bo muszę mieć jakąś podkładkę. Powiem im, że domyśliłaś się tuż przed granicą, obezwładniłaś mnie i uciekłaś. Zorientowałaś się, że w schowku jest kasa. Może mi uwierzą. Powiem, że byłem senny, straciłem czujność po tylu godzinach jazdy.

– Robert, co ty pierdolisz?

– I tak dostanę dyscyplinarkę, że nie jechałaś skuta i w konwoju. Już sobie nagrabiłem, więc złap mnie z tyłu za głowę i walnij o kierownicę. Sam tego nie zrobię.

– Co?!

– Aż taki chojrak nie jestem. Musisz uderzyć mnie z całej siły, inaczej mi nie uwierzą.

– Nie!

Opierała się i wahała dobrych kilka minut. Ale Kidd wiedział, że przekona ją, by eteryczna dama

jeszcze raz zmieniła się w łobuzicę. W końcu wziął ją za rękę i położył sobie na potylicy.

– Złap mnie tu, zamknij oczy i po prostu z całej siły popchnij, aż poczujesz uderzenie.

– Nie!

– Ale z ciebie mimoza. A myślałem, że jesteś twarda – powiedział zaczepnie.

Wtedy poczuł, że jego głowa leci do przodu i w ułamku sekundy wali w twardy środek kierownicy. Nie usłyszał nawet klaksonu. Pociemniało mu przed oczami i stracił przytomność.

Kaśka zostawiła torbę z rzymskimi zakupami. Zabrała z samochodu tylko swoją torebkę, tę samą solidnie wykonaną listonoszkę, od której ledwie parę dni wcześniej rozpoczęła się historia jej znajomości z Kiddem. W środku była cenna koperta z euro w gotówce i danymi do cypryjskiego konta. Po chwili namysłu, a także wahania, wyciągnęła z portfela zamrozonego Kidda karteczkę z kodem do skrytki w szwajcarskim banku. Zrobiła jej zdjęcie komórką, po czym odłożyła z powrotem.

Jak już okoliczności zmuszają ją do powrotu na złą drogę, to pójdzie na całość. Prędzej czy później wytropi, w którym ze szwajcarskich banków mieści się skrytka Księcia. Jak będzie trzeba, odwiedzi każdy z nich i wypowie magiczny kod, przecież nikt jej nie zabroni. Nie, lepiej nie kusić losu. Przecież policja nie będzie siedzieć beczynn timer. Chciwość, podobnie jak pycha, kroczy przed upadkiem.

– O Jezu, leci ci krew – wyrwało się jej, kiedy zerknęła na Kidda.

– Idź już – odpowiedział cicho, wciąż jeszcze lekko zamroczony. – Idź! Pospiesz się. Tylko nie wracaj do Czech, tam cię będą szukać w pierwszej kolejności.

– Odezwę się, jak to się wszystko uspokoi – powiedziała, nachylając się do Kidda. Pocałowała go w skroń. – To jeszcze nie koniec. Nie dam ci tak łatwo o sobie zapomnieć.

Pocałowała go jeszcze raz, po czym wysiadła z auta i trzasnęła drzwiami. Uderzyło ją ciepłe powietrze. Była letnia czerwcową noc. Kaśka przebiegła jezdnię, bo po drugiej stronie za poboczem i rowem melioracyjnym wiła się lokalna droga. Wbrew rozsądkowi, zamiast oddalać się od stacji benzynowej, na której zgodnie z ostrzeżeniem Kidda czekała na nią zasadzka, ruszyła w jej kierunku. Uznała, że najciemniej jest pod latarnią i tam nikt jej nie będzie szukał.

Mijała pogrążone we śnie niewielkie gospodarstwa i w większości brzydkie, klockowate domy jednorodzinne z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Nikt jej nie zauważył, raz tylko czujny pies rzucił się i głośnym szczekaniem odprowadził ją do krańca ogrodzenia, ale kiedy spokojnie przeszła dalej, od razu zamilkł.

Po kilku minutach marszu zobaczyła po drugiej stronie drogi rozświetlający mrok nocy neon z logo stacji benzynowej i tablicę ze świecącymi na czerwono cenami paliw. Podeszła bliżej, stanęła na granicy krzaków leszczyny i dyskretnie się wychyliła.

Pozostawała w bezpiecznej odległości, ale bez trudu rozpoznała z daleka białe volvo teściów Kidda. Samochód parkował z dala od dystrybutorów, niedaleko kompresora czy też odkurzacza. Drzwi od strony kierowcy były otwarte. Kidd siedział na fotelu, ale bokiem, nogi trzymał na ziemi, głowę miał lekko odchylną do tyłu. Przy samochodzie stało dwóch mężczyzn, obaj w dżinsach. Jeden z nich, wysoki, w obcisłej bluzie opinającej muskularną sylwetkę, przyklejał Kiddowi opatrunek u nasady nosa, drugi zaś, starszy, siwiejący, trzymał przy uchu komórkę. Kaśce wydawało się, że zamajaczyły jej dwa białe gaziki, które Kidd miał wsunięte w nozdrza.

Oż kurwillo, chyba złamałam mu nos – pomyślała.

Patrzyła na Kidda i wydawało się jej, że na moment jakby ściągnęła go myślami, bo spojrzał dokładnie w jej stronę. Potem jednak znów odchylił głowę do tyłu. Po kilku minutach wstał i podszedł do siwego mężczyzny, który skończył telefonować

i stał przy kompresorze. Przez chwilę rozmawiali, po czym Kidd wrócił do auta, ale wsiadł od strony pasażera. Muskularny mężczyzna zajął miejsce kierowcy. Auto ruszyło powoli, a za nim jechała czarna skoda octavia. Oba samochody wyjechały ze stacji benzynowej i ruszyły w kierunku Krakowa. Po chwili widać już było tylko ich czerwone tylne światła.

Pomyślała, że nigdy go już nie zobaczy, bo przecież „nic dwa razy się nie zdarza”. Autentyczność przynajmniej tego cytatu była bezsporna, ale Kaśka miała nadzieję, że poezja nie zawsze sprawdza się w prawdziwym życiu.

Stała jeszcze chwilę w ciszy, po czym poprawiła pasek listonoszki, odwróciła się i ruszyła przed siebie, znikając w ciemnościach nocy.

Kidd nie był aż tak poturbowany uderzeniem twarzą w kierownicę, ale wołał poudawać, żeby rzekoma ucieczka Kaśki wyglądała bardziej wiarygodnie. Zwłaszcza że z Warszawy pofatygował się osobiście sam SzeF. Stary wyga był wyczulony na ściemę. Obok niego stał wysoki młody mężczyzna o atletycznej sylwetce, którego Kidd nie znał, chłopak właściwie jeszcze, bo był mocno przed trzydziestką. I jeszcze dwóch funkcjonariuszy siedzących w samochodzie, którym Kaśka miała zostać przewieziona do Warszawy.

– Do południa chcę mieć raport – warknął SzeF, ale Kidd miał wrażenie, że zniknięcie Kaśki nie obeszło go aż tak bardzo. Jakby myślami był gdzie indziej.

Jego młody towarzysz wyglądał na bardziej poirytowanego. Cały czas łypał na Kidda podejrzliwym i niechętnym spojrzeniem, wydawał się podminowany albo tak jakby nie potrafił się

skoncentrować. Szef wyciągnął wibrującą komórkę i odebrał połączenie. Przez chwilę poganiał kogoś, prawdopodobnie szefa krakowskiej delegatury, do przyspieszenia działań w celu złapania Kaśki.

– My się chyba nie znamy. – Kidd wyciągnął rękę w kierunku umięśnionego chłopaka. – Robert.

– Paweł, Paweł Malinowski.

Uścisnęli sobie ręce, ale Kidd nadal nie mógł pozbyć się wrażenia, że chłopak ma do niego jakąś zadrę. Zapadła kłopotliwa cisza, którą wypełniały jedynie odgłosy rozmowy Szefa. Kidd westchnął i wyciągnął z nozdrzy zwitki zrobione z chusteczki, które miały zatamować krwawienie. Był zbyt porządny, żeby cisnąć je byle gdzie. Wstał z fotela kierowcy i zrobił kilka kroków w stronę stanowiska kompresora. Obok znajdował się metalowy kosz wyłożony foliowym workiem na śmieci. Kidd wyrzucił do niego zakrwawione strzępki i zorientował się, że Szef, który w międzyczasie skończył rozmowę, staje przy nim.

– Ten Malinowski dawno z wami pracuje? – spytał Kidd.

– Świeżak? Parę miesięcy – odparł Szef, chowając komórkę do kieszeni. – Mam nadzieję, że się wyrobi.

– Świeżak?

– Tak, taką ma ksywę. On sam myśli, że

nazywamy go Młody. Nie wyprowadzam go z błędu...

Kidd uśmiechnął się i pokiwał głową. Czoło i nasada nosa bolały go przy każdym ruchu, ale powoli się przyzwyczajał. Była to część jego wytrenowanej osobowości człowieka do zadań specjalnych. W ciągu ostatnich kilku dni został pobity przez dwóch dresiarzy, przez Maksa, pokaleczony przez odłamki szyb, spoliczkowany przez Kaśkę. Umiał nie myśleć o bólu i dolegliwościach, przestać je rejestrować. Uważał, że to jedna z jego najprzydatniejszych umiejętności, bo w życiu co i rusz coś boli. Jego współpracownicy mieli w aucie nieźle wyposażoną apteczkę, ale Kidd odmówił połknięcia środków przeciwbólowych. Nie wierzył w żadną drogę na skróty.

– Nie jest taki zły, ale wyrywny i jeszcze gównie umie... – Szef ściszył głos i zerknął do tyłu, żeby upewnić się, czy Młody jest wystarczająco daleko, by ich nie słyszeć. – Dupy mu w głowie, będę go musiał chyba przesadzić, bo ciągle się klei do Agaty.

Kidd pomyślał, że wszystko jasne. Młody funkcjonariusz musiał dowiedzieć się o jego zażyłości z Agą i po prostu był zazdrosny. Zupełnie niepotrzebnie. Agata należała już do przeszłości.

Przyszłością nie była nigdy, jedynie terażniejszością, która teraz została już w tyle. Pojawiła się w jego życiu, żeby zamknąć rozdział należący do Julii. Ale tak naprawdę udało się to dopiero Kaśce.

Obudził się z długiego zimowego snu. Tylko czy teraz rozpocznie nowy rozdział?

Kaśka powiedziała, że to jeszcze nie koniec. On też miał taką nadzieję. Choć w tej chwili nic nie wskazywało na możliwość happy endu, Kidd wiedział, że nie wolno się poddawać. Życie przynosi najrozmaitsze zwroty akcji, które często usuwają przeszkody pozornie nie do ruszenia.

– To co, zbieramy się? – spytał, odwracając się w kierunku samochodów.

– Posłuchaj... – Szef dotknął jego ramienia, jakby chciał go powstrzymać. – Jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć. I właściwie pora i miejsce niesprzyjające, ale chyba będzie lepiej, jeśli powiem ci od razu.

Kidda zmroziło. Doskonale zdawał sobie sprawę, że po takim wstępie nadejdzie bomba i to nie byle jaka, ale jakaś „matka wszystkich bomb”. Gołym okiem widać było, że Szef musi zebrać się w sobie.

– Mów! – Kidd wycedził, czując, jak w okamgnieniu zasycha mu w gardle. Przestraszył się, że coś stało się z którymś z jego synów. Z jego

rodzicami? Teściami?

– Dostaliśmy wczoraj meldunek od waszego rezydenta w Ar-Rajjanie. Dosłownie kilka godzin temu...

Szef zamilkł, jakby wyczerpała mu się odwaga i musiał ją na nowo zebrać. Kidd gorączkowo obracał w myślach hasło „Ar-Rajjan”. Jeśli rezydent, to na pewno chodziło o Katar, choć kojarzył też miejscowość o tej nazwie w Syrii.

– Ryszard, powiedz po prostu, co jest – nie wytrzymał i ponaglił Szefa.

Nie mogło chodzić o jego bliskich. Jakaś stara sprawa? Pewnie coś sprzed lat, ale nie miał zielonego pojęcia co. Szef konsekwentnie unikał jego wzroku, w końcu odchrząknął.

– Chodzi o Julię – powiedział cicho.

Imię zmarłej żony zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. Taki, który ogłusza, ale zaraz po nim następuje przytłaczająca cisza. Kidd szperał w myślach, próbując przypomnieć sobie jakieś logiczne połączenie Julii z Ar-Rajjan czy też ogólnie z Katarem. Nigdy tam z nim nie była, akurat ani w tym mieście, ani w państwie nie zawitali podczas krótkiego okresu, kiedy przebywał na Bliskim Wschodzie z całą rodziną.

– Wiem, że to cię zaszokuje, ale... Julia żyje – wydusił z siebie w końcu Szef.

Kidd poczuł, że się chwieje, traci oddech, dławi się. W oczach mu pociemniało.

– Kurwillo – wyrwało mu się pierwsze przekleństwo od wielu, wielu lat, a raczej śmieszne jego przekręcenie, które podświadomie zapożyczył od Kaśki.

Koniec tomu pierwszego

Posłowie /

Podobno wszyscy Amerykanie pamiętają, gdzie byli i co robili w momencie zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Ja pamiętam dokładnie dzień, w którym Wisława Szymborska dostała Nobla. Miałem wtedy dziewiętnaście lat i od niedawna pracowałem jako dziennikarz radiowy. Internet dopiero raczkował, a newsy z wielkiego świata przychodziły na dalekopisy, drukowane na niekończących się rolkach papieru. Pamiętam, że przekazując słuchaczom wiadomość ze Sztokholmu, czułem dumę i autentyczne wzruszenie.

Dekadę później, już jako scenarzysta, pisałem *BrzydUłę*. Kiedy serial został wydany na DVD, na okładce znalazły się powiedzonka bohaterów. Ktoś przez pomyłkę przypisał Uli fragment wiersza noblistki, który był cytowany w jednym z odcinków. Mogła być z tego naprawdę niezła afera. Produkcja zwróciła się z przeprosinami i pani Wisława Szymborska po prostu przymknęła oko na ten

koszmarny błąd.

W *Przecięciu*, tak jak w przypadku każdej mojej powieści, lista osób, którym chciałbym podziękować, jest długa. Tym razem postanowiłem, że zaoszczędzę papier i każdemu podziękuję osobiście. Wyjątek zrobię jedynie dla Czytelników, ponieważ pewnie nie uda mi się spotkać Was wszystkich, choć będę próbował... A zatem dziękuję Wam i do zobaczenia w kolejnym tomie, który już negocjuję, zarówno z Kaśką, jak i z Kiddem...